

M. J. MCGRATH



Tytuł oryginału: *White Heat*

Dla Simona Bookera

Porywająca, tajemnicza historia z Arktyki, a zarazem debiut książkowy „nieprzyzwoicie utalentowanej” pisarki.

New York Times

Edie Kiglatuk, pół Inuitka, pół biała, jest najlepszą przewodniczką w dalekim zakątku Arktyki. Jednak nie cieszy się szacunkiem starszyny rządzącej w izolowanej społeczności tubylców na Wyspie Ellesmere'a. Podczas prowadzonej przez nią wyprawy jeden z uczestników zostaje śmiertelnie postrzelony. W tym samym czasie bliska jej osoba popełnia samobójstwo. Choć te wydarzenia na pozór nie wiążą się ze sobą, Edie podejrzewa, że jest inaczej. Postanawia sama znaleźć rozwiązanie tej sprawy. W tym celu musi jednak opuścić swoją wioskę i wyruszyć na dalekie krańce tundry.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Edie Kiglatuk położyła kawałek lodu na palniku, by go stopić na herbatę. Zastanawiała się, dlaczego prowadzona przez nią wyprawa łowiecka okazała się porażką. Przede wszystkim ci dwaj mężczyźni, z którymi miała do czynienia tym razem, do niczego się nie nadawali. Poza tym ani Feliks Wagner, ani jego asystent, Andy Taylor, najwyraźniej nie przejmowali się, czy uda im się coś ustrzelić. Ostatnie dwa dni spędzili głównie na gapieniu się w mapy i robieniu zapisków w notatnikach. Może przywiodła ich tu tylko fascynacja kołem podbiegunowym; może chcieli zasmakować prawdziwego, dzikiego życia wśród Eskimosów, jak to obiecywała broszura reklamowa. Mimo wszystko, pomyślała Edie, jeżeli nie uda im się zdobyć czegoś do jedzenia, to długo nie pożyją.

Nalała wrzącej wody do termosu, do którego wcześniej wsypała *qungik*. Biali ludzie nazywali to herbatą labrador-ską. Resztę wody zostawiła dla siebie. Aby znaleźć rosnący w tundrze *qungik*, trzeba było udać się trzy tysiące kilometrów na południe od Umingmak Nuna, Wyspy Ellesmere'a, na której właśnie się znajdowali. Z jakiegoś powodu jednak południowcy sądzili, że herbata labradorska jest bardziej autentyczna, więc Edie zawsze podawała ją swoim klientom podczas wypraw. Sama wolała pić English Breakfast, przygotowaną na wodzie z lodowca, mocno posłodzoną cukrem i wzbogaconą odrobiną foczego sadła. Zresztą rodzaj herbaty był nieistotny, liczyło się to, że woda pochodziła ze stopionej góry lodowej. Jeden z jej klientów powiedział kiedyś, że woda na południu zdążyła przelać się przez jelita dinozaura, zanim trafiła do kranów - za to woda lodowcowa właściwie od samego zarania dziejów spoczywała w zamrożonej postaci, nietknięta przez żadne zwierzę i żadnego człowieka. „Kolejny powód, dla którego południowcy byli gotowi wyłożyć dziesiątki tysięcy dolarów, żeby pojechać tak daleko na północ”, pomyślała Edie. W przypadku Wagnera i Taylora na pewno nie chodziło o polowanie.

Już wkrótce obaj mieli na własnej skórze poznać Arktykę, o jakiej nawet nie śnili. Na razie jednak o tym nie wiedzieli. Gdy Edie przygotowywała herbatę, wiatr zmienił kierunek; ze wschodu, znad grenlandzkiej czapy lodowej, nadciągały podmuchy szkwału, zapowiadając zbliżającą się śnieżycę. Miała nadejść wkrótce, ale zostało jeszcze wystarczająco dużo czasu, by nalać herbaty do termosów i wrócić na żwirową plażę, gdzie przewodniczka zostawiła swych podopiecznych, aby rozbili obóz.

Wrzuciła kolejny kawałek lodu do puszek i sięgnęła do plecaka po kawałek *igunaqu*. Odkroiła kilka plastrów sfermentowanego jelita morsa. Żucie *igunaqu* zajmowało trochę czasu, na czym zresztą częściowo polegał jego sens. Powoli wgrzyzając się zębami w mięso,

kobieta znów wróciła myślami do pieniędzy, a stamtąd do swego pasierba, Joego Inukpuka. To właśnie z jego powodu znajdowała się na wyspie w towarzystwie dwóch mężczyzn, którzy nie potrafili strzelać. W dodatku jeden z nich, ten chuderlawy asystent, Andy Taylor, był wyjątkowo niezdolny. Jako przewodniczka zarabiała lepiej niż jako nauczycielka w szkole, gdzie spędzała pozostałą część swojego czasu, a Joe potrzebował pieniędzy, żeby zrobić dyplom pielęgniarza. Nie mógł liczyć na żadną pomoc ze strony Sammy'ego, swego ojca i byłego męża Edie, ani też od swej matki, Minnie. Nie było rady, tylko ona mogła mu pomóc finansowo. Kobieta rzadko kiedy się bała - niełatwo jest przestraszyć kogoś, kto kiedyś polował na niedźwiedzie polarne - ale przerażała ją to, jak bardzo pragnęła, by Joe mógł pojechać do szkoły. Arktyka pełna była wykwalifikowanych *qalunaatów*, białych lekarzy, białych pielęgniarzy, prawników czy

inżynierów. Większość z nich była zresztą całkiem w porządku, ale nadszedł czas, by Inuici również zaczęli się kształcić. Joe był wystarczająco bystry i wyglądało na to, że mu zależy. Edie była przekonana, że odrobina szczęścia do klientów i gospodarności pozwoli jej zebrać w ciągu lata fundusze potrzebne na opłacenie czesnego za pierwszy rok. Prowadzenie polowań nie było zresztą niczym trudnym; trochę jakby wyruszała w trasę z dwójką maluchów. Znała tę okolicę lepiej, niż własną kieszeń; znała na pamięć każdy lodowiec, każdy fiord i każdy oz w promieniu ośmiuset kilometrów. I w promieniu ośmiuset kilometrów nie było nikogo, kto dorównywałby jej jako myśliwy.

Gdy lód roztopił się do końca, Edie odkręciła korek pierwszego termosu. Nagle półmrok rozdarł ostry, świszczący huk. Zaskoczona wypuściła termos z rąk. Gorący płyn rozprysnął się w powietrzu i zastygł, opadając na ziemię setkami lodowych, drżących kryształów. Jako łowca, przewodniczka natychmiast rozpoznała niespodziewany dźwięk, charakterystyczny odgłos naboju siedmiomilimetrowego wystrzelonego z myśliwskiej strzelby, na przykład Remington 700. Taką właśnie broń mieli ze sobą jej podopieczni.

Edie zmrzyła oczy i spojrzała w dal, szukając jakiejś wskazówki. Plażę jednak zasłaniała góra lodowa. Nieco dalej na wschód rozciągała się ogromna, pusta, bezlitosna tundra. Podmuch wiatru rozwiał mgłę lodową unoszącą się nad ziemią. Edie poczuła przyływ irytacji. Co ci dwaj *galunaaci* sobie wyobrażają? Przecież mieli rozbić obóz. Zachciało im się strzelać do zwierzyny? Raczej mało prawdopodobne, zważywszy na ich ogólny brak entuzjazmu. Może jakiś niedźwiedź zanadto się zbliżył i wystrzelili ostrzegawczo w powietrze, chociaż w takim przypadku jej pies, Grubogłowy, zareagowałby pierwszy. Był bardzo wrażliwy na zapach niedźwiedzia i potrafił go wyczuć z odległości dwóch kilometrów. Edie nie miała wyjścia, musiała dowiedzieć się, co się stało. Odpowiadała za swoich podopiecznych, dopóki znajdowali się z dala od osady w Autisaq. A ostatnimi czasy przewodniczka bardzo poważnie traktowała swoje obowiązki.

Podniosła termos, zła na siebie, że upuściła go i wylała wodę. Sprawdziła strzelbę i ruszyła przez głębokie zasy w kierunku skutera śnieżnego. Szła równym, spokojnym tempem. Grubogłowy, uwiązany przy przyczepie, podniósł łeb i zamachał ogonem. Gdyby wyczuł chociaż ślad zapachu niedźwiedzia, już dawno zdążyłby oszaleć. Edie pogłaskała psa i zdjęła naczynia z pleców. Gdy pakowała je pod płachtę, krótki, zduszony okrzyk przeleciał koło jej ucha i odbił się od dryfującej po morzu kry. Grubogłowy zaczął szczekać. Kobieta poczuła, jak sztywnieją jej mięśnie, a serce zaczyna walić jak oszalałe. Do tej pory nie przeszło jej przez myśl, że ktoś może być ranny.

Jakiś głos wołał o pomoc. Któryś z tych cholernych idiotów najwyraźniej zapomniał, że w trasie trzeba zachowywać ciszę. Krzyk mógł wywołać lawinę suchego śniegu albo sprawić, że ściana lodu osunie się wprost na nieostrożnego delikwenta i wszystkich wokoło. Mógł przyciągnąć uwagę polującego nieopodal niedźwiedzia. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie krzyknąć do tego idioty, żeby przestał wrzeszczeć. Wiatr wiał jednak od strony jej podopiecznych. Głos poniósłby się w przeciwną stronę.

Syknęła na psa, żeby się zamknął.

- *Ikuliaq!* — powiedziała do siebie. — Uspokój się!

Któryś z mężczyzn musiał mieć wypadek. Czasem się to zdarzało. Pracowała jako przewodniczka od dwunastu lat; widziała więcej wypadków, niż można znaleźć pstrągów na tarlisku. Mieli rozbuchane do granic możliwości ego i byli po raz pierwszy w Arktyce, objuczeni po uszy nowoczesnym sprzętem i nadmierną pewnością siebie. Nie wiedzieli przy tym, jak korzystać z jednego ani z drugiego. Sądzili, że będzie dokładnie tak samo, jak na polowaniu na kaczki w Iowa, na które wybrali się podczas ostatniego Święta Dziękczynienia, czy na noworocznym uboju jeleni w Wyoming. A potem wychodzili na skute lodem morze i nic już nie

było takie proste. Może same niedźwiedzie nie zdołałyby ich wystarczająco przestraszyć, ale przeszywający mróz, bezlitosny wiatr, ostre słońce i nieustający ryk Arktyki nadszarpnął morale niejednemu śmiałkowi. Próbowali więc ukryć strach pod płaszczkiem nonszalanckiej brawury doprawionej alkoholem. I wtedy dochodziło do wypadków.

Odpaliła skuter i okrążyła górę lodową, po czym przecięła wzgórze *tuniqu*, grubego lodu ciśnieniowego. Jechała pod wiatr, który sypał kryształki lodu w jej twarz i oczy. Gdy założyła gogle, igiełki przeniosły się na delikatną skórę wokół ust. Edie czuła się niemal jak laleczka voodoo, którą oglądała kiedyś w telewizji. Powtarzała sobie, że jeżeli nikt nie jest ciężko ranny, to będą mogli przeczekać burzę i wezwać pomoc, kiedy pogoda już się uspokoi. Wybuduje schron śnieżny, żeby było im ciepło, a poza tym ma apteczkę i wystarczająco dużo wiedzy, żeby ją dobrze wykorzystać.

Przez chwilę zastanawiała się, co starszyzna pomyśli o tym wypadku. Poza Sammym właściwie nikt nie pochwalał pomysłu, żeby kobieta została przewodnikiem. Stale szukali powodów, żeby zabrać jej licencję. Jak dotąd, nie udało im się nic wskórać. Dobrze wiedzieli, tak jak zresztą i ona, że jest najlepszym przewodnikiem na całym kole podbiegunowym. Nigdy jeszcze nie straciła ani jednego człowieka, nie mówiąc już o *qualunaacie*.

Nawet nie zauważyła, kiedy wjechała na warstwę wyboistego lodu. Wstrząsy przywołały ją do porządku. Jak mówił jej dziadek Elias, gdybanie to choroba białych. Z drugiej strony, Edie była w połowie biała, więc może nie mogła nic na to poradzić. Tak czy siak, teraz w niczym jej to nie pomoże. Jeżeli ma jakoś zaradzić tej sytuacji, musi skupić się na tym, co działo się tu i teraz. Na kole podbiegunowym nie ma miejsca na nic poza chwilą obecną.

Po drugiej stronie wzgórza ciśnieniowego ujrzała wynurzającą się z mroku ludzką sylwetkę. To ten chu-dzielec, asystent Wagnera. Edie przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć jego imienia. Przypominał jej Flipa z duetu Flip i Flap, ale był pozbawiony jakiegokolwiek uroku. Andy, Andy Taylor, tak się nazywał. Machał do niej jak oszalały. Gdy skierowała się na zwirową plażę, podbiegł z powrotem do swojego szefa, który leżał wyciągnięty na plecach. Edie zaparkowała skuter przy lodowej wydmie i ruszyła przez pokryte śniegiem łupkowe skały. Taylor dalej machał rękami, pospieszając ją, dupek jeden. Przewodniczka wciąż szła równym tempem. Bieg równa się pot równa się hipotermia. Facet twierdził, że był kiedyś na Alasce. I nawet tyle się tam nie dowiedział?

Zbliżając się, zdała sobie sprawę, że jest dużo gorzej, niż sobie wyobrażała. Myśli wirowały jej w głowie z tak zawrotną prędkością, że musiała na chwilę zamknąć oczy i się zastanowić. Nagle zrozumiała panikę Taylora. Ranny mężczyzna się nie ruszał. Pod jego prawym ramieniem zbierała się duża kałuża gorącej krwi, roztopiając leżący dokoła śnieg i zastygając w purpurowym sorbecie. W powietrzu unosiła się cienka strużka pary, a od czasu do czasu z leżącego na śniegu ciała dobiegał dziwny, bulgoczący dźwięk.

- Co się stało?

- Byłem po drugiej stronie. - Z ust Taylora popłynął potok słów. - Usłyszałem wystrzał, przybiegłem. - Machnął ręką w kierunku śladów, które zniknęły pod podmuchami wiatru. — Zobacz, zobacz co z nim.

„Myśl, kobieto”. Pomimo towarzystwa - a może właśnie z jego powodu - czuła się zdana całkowicie na siebie. Po pierwsze, musiała zadzwonić przez telefon satelitarny do Roberta Patmy albo do Joego. Do kochanego Joego, który od roku był wolontariuszem w klinice Patmy i umiał już tyle, co jego szef. Spojrzała na rannego. Nie, jak się nad tym chwilę zastanowić, to najpierw musi zatamować krwawienie.

Wróciła do skutera, wyjęła apteczkę, i przedarła się z powrotem przez pokrytą śniegiem plażę. Taylor klęczał obok Feliksa Wagnera z wyrazem przerażenia na twarzy. Przebierał dłońmi

po ciele rannego, rozluźniając materiał opinającej go parki. Edie uklękła obok niego i gestem dłoni kazała mu się przesunąć.

- Ten strzał wziął się znikąd, przysięgam. - Głos Taylora był wysoki i płaczący. Przez jego twarz przebiegł jakiś skurcz, jakaś nagła rozpacz. Powtórzył swoje słowa, jakby wyczuwając, że nie mogą być one prawdą. - Znikąd. — Pokręcił głową. Spod kaptura mignął diamentowy kolczyk. Światło załamało się na nim, spowijając twarz chudego mężczyzny zimnym blaskiem.

Edie jeszcze nigdy nie widziała tak ciężko rannego człowieka. Z ust Wagnera wydobywała się piana; mężczyzna oddychał ciężko i przewracał niewidzącymi oczami. Jego twarz nabrała sinego koloru. W powietrzu unosiła się woń uryny, ale Edie nie była w stanie stwierdzić, który z nich się zmoczył. Zresztą nie miało to żadnego znaczenia. Odsunęła parkę Wagnera i przyjrzała się ranie. Wyglądało to tak, jakby kula przebiła mostek tuż nad sercem. Na szczęście krew nie tyle tryskała, co sączyła się z rany, więc Edie uznała, że pocisk musiał ominąć najważniejsze tętnice. Z tego, co wiedziała o ranach, wynikało, że życiu Wagnera zagrażała teraz przede wszystkim odma płucna. Zwróciła się do Taylora.

- Naprawdę nie widziałeś nikogo ani niczego?

- Ja tego nie zrobiłem, jeżeli o to ci chodzi. - Głos mu się załamał. Wyciągnął dłonie przed siebie, jakby chciał się poddać. - Mówiłem ci, że byłem gdzie indziej, chciałem się odlać.

Przewodniczka spojrzała mu w oczy. Przypomniała sobie, że nie podobał jej się właściwie od chwili, gdy wysiadł z samolotu. Ostatnie kilka minut nie zdołało zmienić jej zdania.

- Do jasnej cholery, ja nie mam z tym nic wspólnego

- ciągnął Taylor.

- Mylisz się - powiedziała, przenosząc swą uwagę z powrotem na rannego. - Oboje mamy z tym bardzo wiele wspólnego.

Puls Wagnera był szybki i słaby. Mężczyzna obficie się pocił. Edie widywała czasem zwierzęta w podobnym stanie. To wstrząs. Raczej z tego nie wyjdzie, nawet jeżeli płuco się nie zapadnie. Teraz najważniejsze było jednak, by w końcu zatamować krew i zapewnić mu trochę ciepła. Z uwagi na umiejscowienie rany było raczej mało prawdopodobne, że Wagner sam się postrzelił, ale intuicja podpowiadała Edie, że Taylor też tego nie zrobił. Spojrzała na niego przelotnie. Na jego dłoniach nie było widać żadnych śladów po pociągnięciu za spust; żadnych czerwonych, pulsujących plam wokół kciuka i palca wskazującego. To nie chudzielec strzelał, chyba że Edie bardzo się myliła. Pochyliła się nad raną i oczyściła ją z fragmentów potraskanej kości. Skinęła na Taylora, by podszedł bliżej. Wagner dyszał przez chwilę, po czym się uspokoił.

Przez chwilę wyglądało na to, że Taylor zaraz zemdleje.

- Zaciśnij ranę i przytrzymaj, ja pójdę zadzwonić po pomoc.

- Zaciśnij? Ale czym?

- Dłonią, czymkolwiek, co to ma zaznaczenie? - Cholerny kretyń. „Jak musisz, to możesz nawet zrobić to fiutem”, pomyślała kobieta, ściągając z szyi szalik do zatamowania krwotoku. Taylor chwycił go lewą ręką i zrobił, co do niego należało.

- A co, jeśli morderca wróci?

Edie spojrzała na niego surowo.

Przecież jesteś myśliwym, prawda?

Telefon satelitarny schowany był w ocieplanym pokrowcu na dnie kosza, tam, gdzie go zapakowała. Rada starszyny Autisaq zarządziła, że każdy miejscowy przewodnik, który prowadził ekspedycje z udziałem obcokrajowców, miał zawsze mieć przy sobie telefon. Poza tym Edie nigdy go ze sobą nie zabierała. Mróz sprawiał, że baterie zawodziły, a połączenie często się urywało. Nigdy zresztą nie miała powodu, żeby z niego korzystać. Aż do dziś.

Edie usłyszała głos Sammy ego. Wzięła głęboki oddech. Dlaczego akurat jej były mąż musiał

mieć dzisiaj dyżur? Spojrzała na zegarek. Sammy powiedziałyby, że to kolejny zwyczaj południowców. Dochodziła czternasta.

- Mieliśmy wypadek podczas polowania. - Na razie postanowiła nie wchodzić w szczegóły. — Dość poważny. Rana klatki piersiowej. Jeżeli będziemy mieć szczęście, to facet się nie wykrwawi, ale wygląda na to, że może mieć wstrząs. Potrzebny mi Robert Patma i samolot.

- Gdzie jesteście?

- Na Craig. Konkretnie Uimmatisatsaq. Patma wie, gdzie to jest. Joe zabrał go tam kiedyś na ryby.

Sammy wessał powietrze przez zęby. Po odgłosie jego oddechu Edie wiedziała, że kręci głową.

- Nie rozłączaj się, sprawdzę rozkład lotów i prognozę.

Czekając na odpowiedź, Edie zajrzała do kosza.

Wyjęła z niego kawałek poliuretanu i nożem odkroiła z niego niewielki kwadrat.

W słuchawce coś zatrzaśkało. Przez chwilę przewodniczka słyszała ciche odgłosy drugiej rozmowy; dwoje ludzi rozmawiało językiem, którego nie rozumiała. W końcu usłyszała głos Sammy'ego.

- Edie, nachodzi śnieżycy.

- Wiem. — Ten człowiek potrafił być wkurzający. -Przelotna, jak to na wiosnę.

- Nie możemy wysłać samolotu, dopóki śnieżycy nie przejdzie.

- A karetka powietrzna z Iqaluit?

- Rozmawiałem z nimi. Wszystkie są zajęte.

Edie zastanowiła się przez chwilę.

- Może wystarczy, że ktoś tu do nas przyjedzie. Robert Patma mógłby wziąć skuter.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Po chwili rozległ się jakiś głos.

- Kigga. - To Joe. Edie rozluźniła się nieco.

Kiggavituinnaq, sokół. Tak ją nazywał. Zawsze powtarzał, że Edie żyje w swoim własnym świecie, gdzieś pod chmurami. Tak naprawdę nie była już jego macochą, przynajmniej z formalnego punktu widzenia. Ale wciąż nazywał ją Kigga.

- Robert Patma wyjechał wczoraj na południe. Jego matka zginęła w wypadku, ojciec leży w szpitalu. Mieli wysłać kogoś na zastępstwo, ale jak dotąd nikt się nie pojawił.

Edie jęknęła ze zniecierpliwieniem. „Oni”, czyli władze federalne, byli winni wszystkiemu, co działo się wokół. „Nie wstawili mi nowej szyby w oknie”, albo „Duchy złościły się na moją siostrę, więc nie pozwoliły im wyleczyć jej na czas z gruźlicy”.

- Niech no tylko wyjdzie to na jaw, a Autisaq może się pożegnać z prowadzeniem ekspedycji. - Była zła, ale nie na Roberta, tylko na system, który sprawiał, że ich sytuacja była tak niepewna.

- Wiem, wiem - powiedział Joe zniecierpliwiony. Miał jej za złe, że skupia się na tak nieistotnych rzeczach, choćby przez chwilę. - Ranny oddycha, tak?

- Ledwo. Trzeba go ustabilizować i zatamować krwawienie.

- Masz jakiś plastik?

- Właśnie odcięłam kawałek.

Na moment połączyła ich jakaś energia. Miłość, podziw, może połączenie obu tych uczuć.

- No cóż, zapakuję najpotrzebniejszy sprzęt na skuter kliniki i sam po was przyjadę - powiedział Joe. - W tym czasie, jeżeli śnieżycy minie, wyślą po nas samolot. Rób to, co robisz i nie dawaj mu nic do jedzenia ani picia. -Jego głos stał się bardziej przyjazny. - Kigga, cokolwiek zrobisz, i tak nic gorszego już się nie stanie.

- Joe... - Chciała powiedzieć pasierbowi, żeby na siebie uważał, ale on zdążył się już rozłączyć.

Edie wróciła do mężczyzn, zdjęła worek biwakowy z sań Taylora i rozłożyła go nad rannym mężczyzną. Zaczął padać śnieg. Za dwie godziny rozsiale się śnieżycą. Kobieta odepchnęła lekko Taylora i pochyliła się nad Wagnerem. Sprawdziła puls i temperaturę, wyjęła kawałek poliuretanu z kieszeni, rozcięła polar rannego nożem i zacisnęła ranę plastikiem. Przez głowę przebiegła jej myśl. Zaledwie trzy dni temu ten krępy, niski mężczyzna sądził, że czeka go przygoda życia; że będzie mógł o niej opowiadać w klubowym barze w rodzinnej Wichicie. Teraz wyglądało na to, że Feliks Wagner już nigdy nie zobaczy nawet drzwi do klubu. Edie odwróciła się do Taylora.

- Musisz pilnować, żeby do rany nie dostało się powietrze. Inaczej płuco może się zapaść. Ja przygotuję nam teraz schronienie. O tej porze roku śnieżycy są bardzo gwałtowne, worek biwakowy nam nie starczy. Gdyby coś się działo, to mnie zawołaj, okej?

- Nie zamierzasz szukać tego, który strzelał? - zapytał Taylor.

Edie przełknęła złość. Nie było nic gorszego od upierdliwego marudy.

- Słuchaj, chcesz, żeby twój kolega przeżył, czy wolisz bawić się w detektywa?

Taylor westchnął. Edie patrzyła, jak mężczyzna znika pod płachtą. Wsiadła na skuter i pojechała w kierunku starych zasp tuż obok klifu na tyłach plaży, po czym ruszyła w górę stoku, aż na sam szczyt, wypatrując śladów stóp i łusek naboju. Nie zamierzała jednak mówić o niczym Taylorowi. Mimo to wolała upewnić się, że zabójcy nie było już w okolicy. Na pagórku wiatr wiał dużo mocniej niż na dole. Jeżeli snajper zostawił jakiegokolwiek ślady, to dawno znikły już one pod grubą warstwą śniegu. Przewodniczka zawróciła. Przejeżdżając obok skalistej wychodni, zauważyła jakiś kształt w śniegu. Nacisnęła hamulce, zeskokczyła ze skutera i cofnęła się kilka metrów. W śniegu widać było zarys śladu buta. Głaz osłonił go przed silnym wiatrem. Edie przyjrzała mu się bliżej, przypominając sobie odcisk butów Taylora.

Wyglądały zupełnie inaczej. Mężczyzna musiał przechodzić tędy całkiem niedawno. Może Wagner? Jeżeli nie, to najprawdopodobniej były to ślady człowieka, który strzelał. Kobieta stała przez chwilę nad odciskiem, zapamiętując ząbkowane brzegi i niewyraźny zarys czegoś, co wyglądało jak niedźwiedź polarny pośrodku podeszwy. Śnieg powoli zamazywał kształt. Edie spojrzała w dal i zobaczyła, jak porywisty wiatr wypełnia pozostałe wgłębienia. Szlak prowadził w kierunku tundry. Morderca dawno zdążył już zniknąć, o ile oczywiście ślady należały do niego.

Edie wróciła na plażę i skupiła się na znalezieniu odpowiedniego śniegu do wzniesienia schronu. Bloki zbyt twardego śniegu nie chciały się ze sobą spajać; jeżeli śnieg był zbyt miękki, schron mógł się zawalić. Kiedyś przeczytała w znalezionym w szkole podręczniku, że najlepszy śnieg do budowania ma gęstość $0,3-0,35 \text{ g/cm}^3$ i twardość $150-200 \text{ g/cm}^3$. Zapamiętała te liczby dlatego, że wydały jej się kompletnie abstrakcyjne, wręcz absurdalne. W terenie trzeba było sobie samemu przeliczać. Na szczęście udało jej się znaleźć idealny, trójwarstwowy śnieg w zaspie na północnym skraju plaży. Pracowała przez jakiś czas, tnąc bloki śniegu nożem wykonanym z kła morsa, tak by powstały z niego podłużne, prostokątne cegłówki. Rzuciła je jedna po drugiej na sanie, po czym przewoziła je partiami spod klifu do miejsca, gdzie czekał na nią Taylor. Zajęło jej to sporo czasu, bo nie chciała się spociec. Gdy skończyła, zanurkowała z powrotem pod płachtę biwaku. Wagner oddychał płytko, cicho.

Sprawdziła podeszwy jego butów. Nie było na nich żadnego niedźwiedzia.

- Dalej krwawi?

Taylor pokręcił głową.

- W takim razie chodź mi pomóc.

Pokazała mu, jak układać śniegowe cegły i jak je uszczelniać. Sama dokopała się do lodu i wygładziła podłoże. Razem wybudowali niewielki, spadzisty tunel, tak żeby ciepłe powietrze nie uciekało ze schronu. Konstrukcja była dość prymitywna, ale Edie była pewna, że się sprawdzi.

Wspólnymi siłami przetransportowali Wagnera do środka i położyli go na stercie skór karibu. Edie wyjęła mu z kieszeni białe, plastikowe pióro kulkowe, kieszonkowy nóż i kilka monet. Wrzuciła wszystko do swojej torby, po czym wyszła na zewnątrz, by pozbierać swoje rzeczy i odwiązać Grubo-głowego. Wiatr stał się przejmująco zimny, mógł mieć nawet minus czterdzieści pięć stopni, a powietrze zgęstniało od śniegu. Edie postawiła małą, prostą przybudówkę przy schronie, wepchnęła do niej psa i zastawiła wejście. Weszła do środka i naląła do kubków resztkę gorącej herbaty.

- No, to wypijmy za te wspaniałe tarapaty - wzniosła toast, podając naczynie Andyemu Taylorowi.

Mężczyzna spojrział na nią ponuro. Może jej nie zrozumiał. A może po prostu nią gardził.

- To z Flipa i Flapa.

- Wiem o tym. - Taylor pokręcił głową, cmokając niczym oburzona kaczka, której ktoś zakłócił spokój.

- Cholera, czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jak bardzo nie na miejscu są te żarty?

Edie zmarszczyła nos i wlepiła wzrok w dłonie. Nie na miejscu, jak dupa morsa. Ledwie powstrzymała się, by go nie uderzyć. Gdyby był Inukiem, już dawno rozkwasiłaby mu nos. W takich sytuacjach opowiadało się historie, piło gorącą herbatę i żartowało. Takie drobiazgi trzymały człowieka przy zdrowych zmysłach. Kolejny kwadrans upłynął im w ciszy. Śnieżycy wciąż jeszcze była daleko. Zanosilo się na długie czekanie.

- Musimy coś zjeść - odezwała się kobieta po jakimś czasie.

Od ostatniego posiłku minęło kilka godzin, a poza tym stracili dużo energii na budowę schronu. Decyzje podejmowane o pustym żołądku rzadko kiedy były dobre. Dołała herbaty do kubków i wyjęła worek strunowy z plecaka. Odkroiła plaster mięsa i podała go Taylorowi. Mężczyzna z nieufnością przyjrzał się przysmakowi.

Edie odkroiła drugi plaster i zaczęła żuć. Spojrzała na Taylora i podniosła kciuki do góry.

- To dobre.

Taylor odgryzł kawałek i zaczął powoli przeżuwać. Po chwili jego twarz wykrzywiła się w grymasie obrzydzenia. Wypluł mięso na rękawiczkę.

- Co to jest, do cholery?

- *Igunaq*. Sfermentowane jelito morsa. To bardzo zdrowe. Pomaga zachować ciepło.

- Kurwa mać — wymamrotał Taylor. Przez chwilę wyglądał, jakby miał zwymiotować.

- Rób jak uważasz - mruknęła Edie, pochyliła się do przodu, wzięła kawałek na wpeł przeżutego *igunaqu* Taylora i wsunęła go do ust. Mężczyzna zrobił taką minę, że przewodniczka niemal popłakała się ze śmiechu. Ach, ci południowcy. Tak łatwo ich wyprowadzić z równowagi.

Wiatr wył, a Edie żuła. Taylor siedział w ciszy. Grad uderzał o ściany schronu śnieżnego niczym odległy grzmot. Kobieta wciąż żuła. Taylor był niespokojny.

- Czy ten człowiek, który niby ma przyjechać, wie, co robi? - spytał w końcu. Musiał krzyczeć, żeby Edie go usłyszała. - Skąd wiadomo, że faktycznie się tu pojawi?

Dziwne pytanie południowca. Dlaczego Joe miałby w ogóle wyjeżdżać, gdyby nie był absolutnie pewien, że dotrze do celu?

- Nie jest aż tak źle - powiedziała.

W Taylorze kipiała wściekłość.

- Jeżeli nie jest aż tak źle, to dlaczego nikt nie przysłał samolotu, do cholery?

- Wiatr wieje od wschodu.

- I co z tego?

Mężczyzna otarł twarz rękawiczką. „W jego głosie słycać agresję, a może frustrację”, pomyślała Edie. Z drugiej strony, mogła się mylić. Ciężko było zrozumieć południowca.

Wyjaśniła cierpliwie, że wiatr będzie się zbierał w przesmykach między wzgórzami i przybierał na sile. Będzie coraz bardziej zlokalizowany, katabatyczny, jak małe tornado. [*Wiatr stokowy spowodowany grawitacyjnym splywem zimnego powietrza z miejsc wyżej położonych (przyp. red.)*]

Samolot musiałyby lecieć prosto przez środek tych silnych wiatrów, co było bardzo ryzykowne. Przy ziemi jednak nie wiało aż tak mocno. Podróż skuterem była trudna - zbyt trudna, żeby mogli przetransportować rannego Wagnera - ale Joe miał doświadczenie w jeździe w takich warunkach i wziął ze sobą odpowiedni sprzęt medyczny oraz wiedzę, której ona nie posiadała.

Eddie odkroiła kolejny kawałek *igunaqu* i zaczęła żuć. Zauważyła, że Taylor nieco się uspokoił.

- Wiesz, że nie miałem z tym nic wspólnego?

- Jeżeli chcesz wiedzieć, to nie sądzę, że to twoja wina. - Przez moment zastanawiała się, czy powiedzieć mu o śladzie, ale w końcu stwierdziła, że na razie na to nie zasłużył. — Ale ciężko będzie to udowodnić.

Powiew wiatru załomotał nad schronem. Odrobina szczeliwa spadła z dachu prosto na Wagnera, który znów zaczął charczeć.

- A co, jak ten twój kolega nas nie znajdzie?

Eddie odkroiła kolejny kawałek *igunaqu*.

- Naprawdę powinieneś coś zjeść.

- Cholera jasna, przecież mamy tu rannego człowieka!

Eddie spojrzała na Wagnera.

- Chyba nie jest głodny.

Taylor zdjął czapkę i przeczesał włosy.

- Czy ciebie cokolwiek rusza? - zapytał.

Kobieta zastanowiła się nad tym przez chwilę. Nie było to może specjalnie ciekawe pytanie, ale Taylor po raz pierwszy powiedział coś intrygującego. Zawsze to jakiś postęp.

- Jest taki film...

- Film? - Taylor aż zapiszczał. Eddie zdała sobie sprawę, że jak na warunki, w których się znajdowali, całkiem nieźle się bawiła.

- Występuje tam Harold Lloyd. W każdym razie jest taka scena, w której Lloyd wisi na rusztowaniu przy ścianie takiego ogromnego wieżowca. Jakby wisiał na skraju klifu, którym potrzęsa wiatr.

Andy Taylor spojrzał na nią jak na wariatkę.

- Mówisz o cholernym filmie?

Ludzie zawsze popełniali ten błąd. Eddie stale musiała im to wyjaśniać.

- No tak, to niby tylko film, ale Harold Lloyd sam występował we wszystkich scenach kaskaderskich.

Taylor się roześmiał, ale raczej nie oznaczało to nic dobrego.

- Tak po prostu - ciągnęła. - Żadnych dubli, żadnych kaskaderów, żadnych trików operatorskich, nic.

Chudy *qalunaat* otarł czoło i pokręcił głową. Zaciśnął usta i przez dłuższą chwilę milczał. Czas płynął powoli. Wiatr wył przeraźliwie nad ich głowami. Taylor poruszył się niespokojnie.

- Czy wasi ludzie w takich chwilach nie opowiadają historii, takich o zwierzętach i ich przodkach? - „Wasi ludzie. Śmieszny jesteś”, pomyślała Eddie. „Jedno z nas siedzi tutaj i płaci, żeby być jednym z »waszych ludzi«, i nie jestem to ja”.

- Przecież właśnie to robię.

- Nie, nie, chodziło mi o takie prawdziwe historie, takie eskimoskie.

- Ach. - Edie usłyszała w prawym uchu znajome dzwonięcie. Gdy była małą dziewczynką, dziadek opowiadał jej, że takie dzwonięcie to znak, że duchy przodków przechodzą przez jej ciało. „Posłuchaj”, szeptał. „Jeden z twoich przodków ma ci coś do powiedzenia”. Edie zamknęła swoje czarne niczym węgiel oczy, które Sammyemu przypominały zaćmienie słońca. Harmonijne łuki brwi uniosły się niczym linia horyzontu nad jej szerokim, płaskim czołem. Pomyślała o swojej babce, Annie, która przybyła tutaj aż z Quebecu i poznała na polowaniu Eliasza, a on porzucił swój dom w Etah na Grenlandii, by móc z nią być. Pomyślała też o swojej matce, Maggie, która poleciała aż do Iqaluit, by szukać swego mężczyzny. Nie znalazła go, bo ją oszukał; wcale go tam nie było. Pomyślała też o pradziadku Eliasza, Welatoku, który towarzyszył białym ludziom i dotarł aż na Ziemię Baffina, by w końcu osiedlić się i umrzeć w Etah.

- No dobra, niech będzie historia o przodkach - powiedziała. — Może ty zaczniesz?

- Co? - Taylor spojrział na nią zaskoczony.

- Opowiedz mi o swoim prapradziadku.

- O moim pra... kim? - Andy był zdezorientowany. Wykrzywił twarz w dziwnym skurczu, jakby próbował wycisnąć z niej sok. - No, nie wiem. - Machnął dłonią.

- Mój dziadek ze strony matki pochodził z Irlandii. Ale nie bawiliśmy się w dokumentowanie rodzinnej historii, jeżeli o to ci chodzi.

Edie zaskoczył agresywny, pogardliwy ton jego głosu.

- Jak można żyć, nie wiedząc, skąd się pochodzi?

- Całkiem nieźle, naprawdę całkiem nieźle.

- Mój prapradziadek nie raz towarzyszył białym podróżnikom.

- Super - parsknął Taylor sarkastycznie. - Niezły pomysł na rodzinny biznes. Kolejne pokolenia wciąż zostawiają ludzi samym sobie, by umarli z dala od jakiegokolwiek cywilizacji.

- Nazywał się Welatok - ciągnęła Edie, ignorując jego słowa. - Był przewodnikiem niejakiego Fairfaksa.

Andy Taylor drgnął.

- Jasne. - Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej piersiówkę. Upił kilka łyków i potrząsnął butelką w powietrzu.

- Może stary dobry Feliks też chciałby się trochę napić?

- On śpi.

Mężczyzna schował piersiówkę z powrotem do kieszeni. Wiedziała, dlaczego jej nie poczęstował. Inuici i alkohol to piekielne połączenie. Zresztą i tak by odmówił. Dawno już skończyła z piciem.

- Nasz przyjaciel Feliks wie co nieco o tych dawnych arktycznych odkrywcach. Dla niego to prawdziwi bohaterowie - Peary, Stefansson, Scott, Fairfax, Frobisher. Całkiem to ciekawe - podsumował Taylor.

- Wspominał kiedyś o Welatoku?

Andy wzruszył ramionami.

- Tak sądziłam. Nigdy nie zwracano na nas specjalnej uwagi.

Wagner zaczął cicho jęczeć. Edie pomyślała o swoim pasierbie, który przedzierał się teraz przez skute lodem morze. Zastanawiała się, jaka czeka go przyszłość tutaj, w Arktyce, gdy na dobre zrujnują ją deweloperzy, poszukiwacze ropy i podróżnicy. Wszystkimi kierowała chciwość. Edie wiedziała o tym dobrze, choć sama nigdy jej nie odczuwała. No, może była chciwa miłości, nawet seksu, ale nigdy nie pragnęła majątku. Inuici mieli tylko tyle, ile było trzeba, polowali tyle, ile było trzeba, jedli tyle, ile było trzeba i zostawiali po sobie tyle, ile było trzeba, żeby ich dzieci i wnuki obdarzały ich szacunkiem. Umiar, nie nadmiar.

Znów zapadła cisza. Po jakimś czasie przewodniczka usłyszała, jak Grubogłowy drapie o ściany swojej śnieżnej budy. Andy Taylor zasnął. Wagner się nie poruszał, ale wciąż oddychał. Edie zarzuciła na plecy parkę z foczej skóry i wczołgała się do tunelu. Na zewnątrz powietrze wirowało od wbijających się w skórę kryształków i lodowatego dymu, a wiatr był niczym zraniony niedźwiedź. Edie po omacku obeszała schron, wyjęła nóż i wycięła dziurę w psiej budzie. Grubogłowy wyskoczył na zewnątrz, przywitał ją radosnym szczeknięciem, po czym rzucił się w mrok, by wybiec na spotkanie z chłopcem. Edie patrzyła, jak znika w kłębach śniegu i przez moment marzyła, by zamienić się z nim miejscami, porzucić wszystkie swoje ludzkie ograniczenia i kompleksy.

Wczołgała się z powrotem do schronu i obudziła Taylora. Ryk skutera usłyszeli dopiero, gdy Joe był już bardzo blisko.

- Co się stało? - Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, młody mężczyzna był już przy rannym. Zdjął rękawiczki i położył dwa palce na szyi Wagnera, odmierzając puls na arterii szyjnej. Wyjął z plecaka błękitny, lekarski zeszyt i coś zanotował.

Edie zadała nieme pytanie i podniosła kciuk do góry, ale Joe tylko wzruszył ramionami. Przyglądała mu się, gdy badał ranę. Po raz kolejny poczuła, jak rozpiera ją duma.

- Jak dużo krwi stracił?

- Bardzo dużo, nawet ponad litr.

Joe wyjął z plecaka chusteczki antybakteryjne i zdezynfekował dłonie. Pięć minut później Feliks Wagner miał już założoną kroplówkę z kodeiną, która miała uśmierzyć ból. Joe stwierdził, że jego stan był poważny. Ranny doznał wstrząsu hipowolemicznego. Jego szanse zależały od tego, jak silny był wstrząs, a to można było ustalić tylko w szpitalu. W najgorszym wypadku mogło dojść do niewydolności nerek, a wtedy reszta organów, jeden po drugim, przestanie funkcjonować. Mogło to trwać od kilku godzin do tygodnia, ale to akurat nie miało żadnego znaczenia. Rezultat będzie ten sam. Chyba że Wagner będzie miał dużo szczęścia.

- Potrzebujemy tego samolotu, Sammy. - Edie znów włączyła telefon satelitarny.

- U nas wciąż szaleje burza.

- Może Thule mogłoby pomóc. - Przewodniczka wiedziała, że prosi o wiele. W amerykańskiej bazie lotniczej po drugiej stronie morza, na Grenlandii, znajdowały się większe samoloty, lepiej przystosowane do arktycz-nych warunków niż samoloty transportowe Twin Otter z Autisaq. Zazwyczaj niechętnie interweniowali w sprawach, które uważali za problem Kanadyjczyków, chyba że chodziło o wybuch gruźlicy, odry albo innej zakaźnej choroby, ale Wagner był przecież Amerykaninem.

Po chwili Sammy wrócił do telefonu z odpowiedzią, ale Edie ledwo słyszała jego głos. Gdy poprosiła, żeby powtórzył, straciła połączenie. Po kilku minutach telefon znów zadzwonił. Sygnał był słaby, ale kobieta gdzieś ponad trzaskami słyszała daleki głos mężczyzny, który mówił coś o widoczności.

- Sammy, posłuchaj! — Edie musiała krzyknąć, by zagłuszyć wiatr. — Co z Thule? - W słuchawce znów zapadła cisza.

- Latają? - Joe spojrzał na nią z nadzieją.

Taylor otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć.

- Lepiej nic nie mów - powiedziała Edie, unosząc dłoń. - Proszę.

Skończyli pić herbatę i czekali. Na zewnątrz wciąż szalała śnieżycyca, ale wiatr powoli przynosił się na północny zachód i nieco zelżał. Przewodniczka zaczęła śpiewać jakieś stare pieśni. Joe przyłączył się do niej i nawet Andy Taylor zaczął cicho nucić.

Po jakimś czasie Grubogłowy znów zaczął się rzucać i szczeleć. Edie przycisnęła ucho do ziemi i wyczuła wibracje silnika. Martie. To musiała być ona. Nikt poza jej ciotką nie był na tyle

szalony, żeby lecieć prosto przez ogon burzy śniegowej.

Zanim zdążyli się obejrzeć, pacjent, skutery i sprzęt znajdowały się już na pokładzie Ottera, którym lata Martie Kiglatuk. Martie była dużą kobietą, przynajmniej na inuickie standardy, miała ciemną, szlachetną karnację i gruby głos niczym z kreskówki. Poza tym była najlepszą przyjaciółką Edie.

Samolot leciał nisko nad czapą lodową Południowego Przylądka, po czym skręcił na zachód wzdłuż brzegu Wyspy Ellesmere'a. Wkrótce przejaśniło się na tyle, że Edie mogła patrzeć, jak ziemia pod nimi ucieka w dal. Rzadko kiedy latała. Za każdym razem była zaskoczona, jak bardzo Arktyka się kurczy, kra po krze, lodowiec po lodowcu. Dla Martie, która widziała to każdego dnia, było to niczym patrzeć, jak ukochani, starsi rodzice powoli i nieubłaganie odchodzą do świata duchów. Co roku więcej śmierci i umierania, coraz mniej życia. Za piętnaście lat, kiedy Joe będzie w jej wieku, może już w ogóle nie będzie żadnej Arktyki.

Wzgórza powoli łagodniały, aż w końcu przeszły w płaskie, monotonne wybrzeże. Położona na północy osada Autisaq wyłoniła się zza horyzontu niczym smagane wiatrem i upływem czasu szczęki morskiego zwierza, kurczowo uczezione skalistego brzegu. Joe krzyknął.

— Zapinamy pasy, moi drodzy, będziemy lądować! -zawołała Martie.

Edie poczuła, jak zatykają się jej uszy. Po chwili usłyszała zduszony głos Joe, tym razem pełen przerażenia. Gdy obejrzała się przez ramię, zobaczyła, że z ust Feliksa Wagnera wydostaje się piana. Ranny przewracał oczami na wszystkie strony, a jego ciałem wstrząsały silne drgawki. Joe gorączkowo pokazywał Andy'emu Taylorowi, żeby go przytrzymał, a sam chwycił za strzykawkę. Czas zakrzywił się i wygiął. Edie czuła, jak samolot szybuje ostro w dół; słyszała krzyki i krótkie instrukcje. Próbowała poluzować pas, żeby pomóc, ale nie mogła utrzymać zamka w dłoniach. Tuż za nią Joe robił Wagnerowi masaż serca i sztuczne oddychanie, a samolot schodził do lądowania.

- Zakładać pasy, ale to już! - krzyknęła nagle Martie.

- *Tuarvirit!* Szybko!

Mężczyźni odskoczyli od ciała rannego.

Chwilę później pasażerowie usłyszeli znajome uderzenie i chrzęszczenie żwiru pod kołami. Edie natychmiast obróciła się, by zobaczyć, jak ramię Feliksa Wagnera wysuwa się spod koca. Bezładne palce kołysały się wraz z szarpnięciami hamującego samolotu.

Martie zatrzymała się przy końcu pasa i wyłączyła silnik.

- I co tam z tyłu?

- Mamy problem - powiedział Joe. Zdążył już zeskoczyć z fotela i klęknąć przy ciele Wagnera. Był załamany.

- *Qalunaat* właśnie umarł.

- *Iquq*, cholera. - Martie wyjrzała przez okno. Do samolotu zbliżał się komitet powitalny: Sammy Inukpuk i jego brat, Simeonie, burmistrz Autisaq.

- No to pójde przekazać dobrą nowinę.

Martie otworzyła drzwi pilota i zeszła na pas do lądowania. Po krótkiej rozmowie zaczęła machać do Edie, żeby otworzyła główne drzwi i obniżyła schody, by Sammy i Simeonie mogli wejść na pokład.

- Czy chudy *qalunaat* rozumie inuktitut? - zapytał Simeonie. Był bardziej przebiegły i wyrachowany niż jego brat.

Andy Taylor ani drgnął.

— To chyba najlepsza odpowiedź - mruknęła przewodniczka. Nie lubiła Simeoniego, nawet kiedy był jej szwagrem, i raczej nie zanosilo się na to, że kiedykolwiek zmieni zdanie.

— Ma z tym coś wspólnego? — zapytał burmistrz.

Edie wiedziała, że mężczyzna już zaczął kalkulować, obmyślać oficjalną wersję historii, manipulując faktami tak, by służyły interesom Simeoniego Inukpuka i nikogo innego.

Jeszcze raz przypomniała sobie całe zdarzenie. Andy Taylor miał ze sobą dwie strzelby, Remington 700 i Weatherby Magnum. Feliks Wagner uparł się, żeby zabrać trzy - Remingtona, Springfieldda 30-60 i Winchestera, prawdopodobnie 308. Obaj mężczyźni strzelali z broni rano, podczas krótkiego polowania na zające, ale od tamtego czasu nie mieli powodu ich używać. Przez moment zastanawiała się nad tym, czy Feliks Wagner sam się nie postrzelił, ale rana znajdowała się w takim miejscu, że było to mało prawdopodobne. Poza tym Edie znalazła ślad buta z niedźwiedziem odcisniętym na podeszwie. Do głowy przyszła jej pewna teoria.

- Moim zdaniem ktoś podczas polowania pomylił Wagnera ze zwierzyną i przypadkowo go zastrzelił - powiedziała w inuktitut. Myśliwy pewnie właśnie wracał do Autisaq albo innej osady. Przez kilka dni będzie się ukrywał, aż w końcu nie wytrzyma i się przyzna. To nie byłby pierwszy raz; poza tym *qalunaat* podpisywali specjalny dokument, który zwalniał osadę z odpowiedzialności w razie wypadku. Oczywiście było to przykre wydarzenie, ale jeszcze nie katastrofa. Starszyzna wruszy ramionami i powie: „*ayaynuaq*, nic nie można na to poradzić”, a rodzina Wagnera dostanie okrągłą sumkę z ubezpieczenia. Wkrótce wszyscy zapomną o sprawie. Arktyka jest pełna niebezpieczeństw. Edie dołożyła wszelkich starań, żeby Feliks Wagner to zrozumiał.

Simeonie zakasłał i spojrzał przelotnie na Taylora. Chciał się upewnić, czy chudy *qalunaat* przypadkiem nie rozumiał.

- Gdybanie to choroba białego człowieka - powiedział, wstając. - Zabierz drugiego do hotelu i upewnij się, że ma wszystko, czego potrzebuje.

Edie skinęła głową.

- Jeszcze jedno - chudzielec nie ma telefonu satelitarnego, prawda?

- Nie ma.

- To dobrze, w takim razie nie pozwól mu nigdzie dzwonić. - Odwrócił się do Andy'ego Taylora i przeszedł na angielski. - Bardzo nam przykro z powodu tego wypadku. Niestety, nie będzie pan mógł opuścić Autisaq, dopóki nie zbadamy sprawy. Musimy sprawdzić kilka szczegółów, ale proszę się nie martwić, to nic ważnego.

Andy Taylor mrugnął. Zrozumiał, czego się od niego oczekuje.

Joe pochylił się nad uchem burmistrza.

- Wujku, to nie wina Edie - wyszeptał.

Inukpuk zignorował go i przeszedł z powrotem na inuktitut.

- Jutro odbędzie się spotkanie starszyny. Wtedy zdecydujemy, jakie kroki należy podjąć - powiedział i opuścił samolot. W jego głosie pobrzmiwały niebezpieczne nuty.

Joe pokręcił głową.

- *Aitiathlimaqtisi arit*. Ty też się wal.

Po powrocie do hotelu Taylor nie wyglądał na zainteresowanego dzwonieniem gdziekolwiek. Chciał tylko wziąć prysznic i położyć się spać. „Nie jest oswojony ze śmiercią”, pomyślała Edie, patrząc, jak mężczyzna ciągnie swój plecak wzdłuż korytarza. Czowała dziwny niepokój; miała wrażenie, że ona i Joe wplątali się w jakąś niejasną sytuację. Powinna chyba wrócić do domu i poczekać na niego. Nie potrafiła powiedzieć, o co właściwie chodzi, ale nie podobał jej się ton głosu Inukpuka. Nigdy mu specjalnie nie ufała, nawet gdy był jej krewnym. Teraz ufała mu jeszcze mniej.

Edie wyruszyła do domu dopiero wtedy, kiedy za drzwiami pokoju Taylora rozległo się chrapanie. Gdy dotarła na ganek, wiedziała już, że jej pasierb czeka na nią w środku. Jej dom

zawsze ożywał, gdy przebywał w nim Joe. Otworzyła drzwi werandy, rozebrała się i weszła do salonu.

Joe siedział na kanapie i oglądał na DVD film z Charliem Chaplinem. Aktor odgrywał scenę baletu za pomocą dwóch widelców wbitych w bułki. Edie usiadła obok pasierba i zaczęła gładzić jego włosy.

- Ciągle myślę, że to moja wina, Kigga.

- Żartujesz? Nikt tak przecież nie myśli, rodzina Wagnera też nie będzie mieć pretensji. W przeciwnym razie będą mieć do czynienia ze mną. - Charlie Chaplin wciąż kręcił widelcami piruety i *pas de bourrees*. — To był wypadek. Ktoś z Autisaq albo jakiejś innej osady się pomylił. Może był zbyt daleko, może się trochę napił. Zdarza się.

- Naprawdę tak sądzisz? - zapytał Joe.

- Pewnie - powiedziała. - Zobaczysz, sprawa szybko przycichnie.

Bułkowate baleriny ukloniły się, a Joe wyłączył odtwarzacz. Powietrze zadrżało od żalu.

- Jedyne problem jest taki, że nie żyje człowiek, Kigga.

Edie spojrzała na Joego zawstydzona. Przy nim zawsze stawała się najlepszą wersją siebie. Joe potrafił o to dbać.

- Po prostu cały czas myślę, że to nie powinno tak po prostu przycichnąć — powiedział, kręcąc głową.

ROZDZIAŁ DRUGI

Es-a-de-eł-o. — Edie literowała na głos, zapisując słowo na białej tablicy. Nie spała zbyt dobrze i ciężko jej było się skupić. Cały czas myślała o śmierci Wagnera i zebraniu starszyny, na którym będzie musiała zdać relację z podjętych przez siebie kroków.

Pauloosie Allakarialak podniósł rękę.

- Sadło. - Edie podkreśliła słowo palcem.

Pauloosie zaczął machać.

- Proszę pani, czy tego *qalunaata* ktoś zabił?

Kobieta otarła czoło dłonią. Cholera, jeśli nawet Pauloosie wie, to wiedzą wszyscy. Czasami miała wrażenie, że cała wioska uwieczona jest w jednej, wspólnej głowie.

- Nie teraz, Pauloosie. - Edie wskazała palcem słowo na tablicy. — Wiesz, co tu jest napisane?

Chłopiec spojrział na nią pustym wzrokiem. Biedne dziecko. Czasami Edie zastanawiała się, czy to co robi, ma sens. Całymi dniami wbijała okolicznej młodzieży do głowy słowa, których najprawdopodobniej nigdy nie użyją, rozmawiając po angielsku - fiszbiny, rumowisko, lodowy, sadło - słowa, które znajdowały o wiele lepsze,

precyzyjniejsze odzwierciedlenie w inuktitut; słowa, które wyglądały o wiele ładniej, gdy zapisano je abugidą, a nie alfabetem. Oczywiście rząd federalny w Kanadzie miał nadzieję, że część dzieci ukończy szkołę średnią, a może nawet wyjedzie na studia wyższe na południe, tak jak zamierzał to zrobić Joe, ale mało który Inuk miał takie ambicje. Wyjazd na południe oznaczał rozstanie z rodziną, przyjaciółmi i ze wszystkim tym, co bezpieczne i znajome, na rzecz miasta, gdzie budynki tłoczyły się przy ulicach, samochody wjeżdżały jeden w drugi niczym pstrągi na letnim tarlisku, i przez co najmniej sześć miesięcy w roku było nieznośnie ciepło. Po co mieli się do tego wszystkiego zmuszać? Żeby w końcu wrócić do domu z nadzieją, że uda im się dostać pracę, która dotąd zawsze przypadała *qalunaatom*?

Prawda tymczasem była taka, że większość z tych dzieci, które wpatrywały się w Edie, założy własną rodzinę, jeszcze zanim będą mogli głosować. Wielkim sukcesem będzie, jeżeli uda im się wyjechać do Iqaluit, stolicy prowincji, nie mówiąc już o Południu. Większość z nich nigdy nie będzie miała okazji przeliterować słowa „sadło” po angielsku. A przecież w tym samym czasie, kiedy siedzieli w rzędach i uczyli się, jak po angielsku powiedzieć „fiszbiny”, mogli być na zewnątrz, nabywać tradycyjne umiejętności i poznawać, co to znaczy być Inukiem.

Zadzwoił dzwonek na przerwę. Po drodze do pokoju nauczycielskiego Edie wpadła na pewien pomysł. Dyrektor szkoły, John Tisdale, pewnie uznałby to za karygodny przejaw „pedagogiki alternatywnej”, za który groziła kara dyscyplinarna, ale przecież nie musiał o niczym wiedzieć. Zresztą Edie się nim nie przejmowała. Wiele razy już wzywał ją do swojego gabinetu za łamanie zasad - jego zasad, południowych zasad - więc zdążyła się do tego przyzwyczaić. Poza tym podejrzewała, że Tisdale tak naprawdę po cichu przyklaskuje jej metodom, mimo że oficjalnie udziela jej ciągłych reprimend. Sam zdążył już wiele się nauczyć. Kilka lat temu, gdy przyjechał do Autisq z misją „szerzenia oświaty w Arktyce”, zapytała go, po co, jego zdaniem, edukuje się inuickie dzieci.

- Po to, żeby mogły znaleźć swoje miejsce w świecie - odpowiedział. Niezle był wtedy pompatyczny.

Edie czekała przez chwilę, aż z twarzy nauczyciela zniknie wyraz samozadowolenia.

- Może nie zdaje pan sobie z tego sprawy, ale tutejszy świat to jak najbardziej ich świat.

Tisdale zapamiętał sobie, że kobieta będzie sprawiać kłopoty, ale ona nie przejmowała się jego protekcyjnym nastawieniem. Wiedziała, że wkrótce nadejdzie czas bolesnego zderzenia z rzeczywistością. I nie myliła się - już po kilku tygodniach dyrektor poczuł, że wkroczył na nieznany grunt. I wtedy z podkulonym ogonem zwrócił się do Edie.

Zdarzyło się to nawet wcześniej, niż się spodziewała, tuż po wygłoszonym na zebraniu rodziców kazaniu na temat niebezpieczeństw związanych z pełnymi przemocą gramami komputerowymi. Ależ to była pyszna zabawa! Wszyscy się z niego śmiali. Czyżby dyrektor nie zauważył, gdzie się znajduje? Tutaj, na Północy, przemoc była nieodłączną częścią życia; kryła się w palącym słońcu, w srogim wietrze, w zdradliwym, wszechobecnym lodzie. Inuici żyli dzięki temu, że zabijali żyjące zwierzęta, które w większości przypadków za wszelką cenę próbowały uniknąć śmierci. Aby przetrwać, musieli postawić na przemoc. A ich dzieci też zasługiwały na to, żeby umieć przetrwać.

Poza tym większość uczniów w Autisag nie miała ani czasu, ani pieniędzy, by grać w gry komputerowe. W swoim wolnym czasie musiały zakładać pułapki na pardwy, zające i lisy albo pomagać rodzicom w polowaniu na foki. Inaczej mówiąc, gdy nie przebywały w szkole, zajmowały się głównie przemocą.

Dzień po spotkaniu dyrektor znalazł na swoim ganku truchło lisa. Zamiast jednak natychmiast wsiąść w samolot do domu - jak zrobiłaby większość południowców - zapukał najpierw do drzwi Edie, by zapytać, co zrobił nie tak. I chodził tak od drzwi do drzwi, nie dając za wygraną, aż w końcu, po latach, zdał sobie sprawę, że misja „szerzenia oświaty w Arktyce” dotyczy także i jego.

Dlatego też udawał, że nie pochwała nowoczesnych, alternatywnych metod edukacji, tak samo jak udawał, że zgadza się z poglądami lokalnej ludności. Robił to jednak tylko po to, by nie denerwować swoich przełożonych w Ottawie. Edie zwiesiła głowę, żeby nie musieć z nikim rozmawiać, i szybkim krokiem ruszyła do komórki na tyłach swego domu, gdzie trzymała mięso. Zabrała z niej małą fokę grenlandzką, którą upolowała kilka tygodni temu, przewiązała ją sznurem i zaciągnęła z powrotem pod szkołę. Zaczekała, aż nikogo nie będzie w okolicy, po czym przeszmygowała martwe zwierzę bocznym wejściem do klasy. Bezwładne ciało bezgłośnie sunęło przez linoleum, pozostawiając po sobie tylko nieznaczny ślad, który równie dobrze mógł należeć do jednego z uczniów ciągnącego za sobą obuwie.

Dzieci wpadły do klasy i natychmiast zauważyły leżące na posadzce zwierzę. Ich twarze rozbłysły; wyczuły, że to już koniec abstrakcyjnych rozważań o jakimś dziwnym języku. Edie poprosiła dwóch najstarszych chłopców, by pomogli jej położyć fokę na stół. Dała im dwa noże i pozwoliła im zająć się patroszeniem zwierzęcia. Starsi mieli pokazywać młodszym, jak obchodzić się z nożem, a także zapisywać na tablicy nazwy wszystkich części mięsa, których dotykali, jak również czasowniki opisujące każdą czynność. Po angielsku i w inuktitut.

Zadziałało. Już wkrótce stół zaczął się zapełniać równo pociętymi kawałkami mięsa, a dzieci dopingowały się nawzajem, by wkrawać się głębiej i odcinać cieńsze plastry, przekrzykując się i przepychając do tablicy, by czym prędzej napisać na niej „wątroba”, „wąsy” albo „futro”. Patroszenie foki i wymienianie jej części ciała było dla nich wesołą, bardzo inuicką zabawą. Nawet Pauloosie Allakarialak się w nią włączył. Zapomniał już o tamtym białym człowieku i o tym, że nie potrafił odczytać słowa „sadło”.

W czasie lunchu Edie udała się do Sklepu Północnego, brnąc mozolnie przez śniegi. Chciała kupić trochę plastikowych toreb i folii spożywczej, żeby zapakować posiekane mięso, zanim jeszcze się rozmrozi. Otworzyła drzwi na ganek śnieżny, otrzepała buty ze śniegu, z przyzwyczajenia rzuciła okiem na tablicę ogłoszeniową (nic 0 Wagnerze) i weszła do środka.

Z formalnego punktu widzenia Sklep Północny działał na zasadzie spółdzielczej i należał do ludności Autisaaq. Każdemu więc przysługiwało prawo udziału w zyskach, jeżeli takowe kiedykolwiek miałyby się pojawić. Sklepem zarządzali Mike i Etok Nungaowie.

Mike był życzliwym, spokojnym człowiekiem. Interesował się geologią, w związku z czym zasypywał gradem pytań każdego specjalizującego się w tej dziedzinie naukowca, który choć na chwilę zatrzymał się w Autisaaq. Kilka lat wcześniej pewien amerykański geolog, w podziękowaniu za jakąś drobną przysługę, podarował mu swojego laptopa. Od tego czasu, gdy tylko ktoś miał problem z komputerem, od razu biegł do Mike'a. Nie żeby zdarzało się to zbyt często. Młodszy Inuici mieli czasami konsole do gry, ale poza tym mało kto posiadał własny sprzęt, a w całej osadzie tylko komputery użytku publicznego były podłączone do internetu — jeden w biurze burmistrza, jeden w klinice i jeden w szkolnej bibliotece.

Poza wykopywaniem fragmentów skał i zajmowaniem się komputerami Mike Nunga miał jeszcze jedną pasję - uwielbiał plotkować. Nie było w tym jednak ani krzty złośliwości; po prostu lubił wiedzieć, kto, co, z kim i kiedy robi. Taki już był, nie potrafił się powstrzymać.

Aby dowiedzieć się, co tak naprawdę dzieje się w osadzie, wystarczyło iść do Mike'a.

Zona Mike'a, Etok, nie pochwalała takiego zachowania. W Autisaaq i okolicach mówiono o niej *Uismuitissaliaqungak*, Osoba o Krzywych Zębach Strasznych jak u Niedźwiedzicy. Przy niej ludzie się pilnowali. Wyglądała nieszkodliwie, ale gdy tylko ktoś zaczynał plotkować, jej oczy skuwał lód, a wargi wykrzywiały się w niebezpiecznym grymasie, odsłaniając potężne kły, które niejednego morsa mogłyby wpędzić w kompleksy. Jednak mimo ogromnych wysiłków Etok, plotki i pomówienia miały się dobrze, tryskając wartkim potokiem spomiędzy półek Sklepu Północnego i rozlewając się aż po najodleglejsze krańce osady, często zmieniając się przy tym z niewinnych złośliwości w obrzydliwe oszczerstwa i karygodne bajdurzenie. Niektórzy mieszkańcy Autisaaq regularnie odwiedzali sklep wyłącznie po to, by poznać najnowsze sensacje lub - co sprawiało im jeszcze większą radość - zasiać nowe, soczyste ziarno. Mike był zbyt miły, by zauważyć, że ludzie go wykorzystują, ale Etok bez ceregieli wyrzucała klientów za drzwi, gdy tylko okazywało się, że nie zamierzają wydać ani centa i przyszli do sklepu szukać problemów. Była nieugięta; nie zniechęcało jej nawet to, że następnego dnia i tak wrócą, a cała zabawa zacznie się od nowa.

Zazwyczaj Edie podchodziła najpierw do kasy, żeby przywitać się z Mike'em jeszcze przed zrobieniem zakupów, ale dzisiaj wiedziała, że sprzedawca będzie wypytywał o Wagnera, a wcale nie miała ochoty opowiadać.

Ruszyła więc prosto do znajdującej się na tyłach sklepu półki z wyrobami plastikowymi, pomiędzy środkami czystości a produktami do konserwacji skuterów śnieżnych. W sklepie nie było folii w rozmiarze XL, którą Edie widziała na reklamach, więc wzięła opakowanie zwykłego aluminium i kilka plastikowych toreb. Odwróciła się i zobaczyła matkę Pauloosiego Allakarialaka, Nancy. Choć Nancy Allakarialak była wesołą kobietą, dręczyło ją poczucie winy za to, że obarczyła swojego syna alkoholowym syndromem płodowym. Z całego serca chciała mu zadośćuczynić. Dokładała więc wszelkich starań, żeby jej syn dobrze się uczył i chętnie rozmawiała o jego postępach z Edie. Tego dnia jednak uśmiechnęła się tylko blado i znikła pomiędzy półkami.

To był zły znak. Najwyraźniej już wszyscy wiedzieli, że pod okiem Edie zmarł *qalunaat*.

Kobieta położyła rolkę plastikowych torebek i folię na ladzie. Etok stała zwrócona plecami do kasy, sortując pocztę. Odwróciła się, zobaczyła Edie i znikła za drzwiami magazynu. Mike Nunga popatrzył za nią, po czym podszedł do lady.

— Cześć, Edie. Ładna dzisiaj pogoda. - Napotkał jej wzrok i się uśmiechnął. Gdy podawał jej resztę, przytrzymał jej dłoń nieco dłużej, niż było to konieczne.

— Już zaczynają mnie unikać.

— No coś ty - powiedział Mike. — Chodzi ci o tę sprawę z wczoraj? Ludzie są po prostu nieco zaniepokojeni, to wszystko. Starszyzna się spotka i od razu będzie lepiej.

Edie potaknęła i odwzajemniła uśmiech. Doceniała jego próby pocieszenia. Zastanawiała się jednak, czy rada starszyzny spojrzy na sprawę w ten sam sposób. Mogli przecież odebrać jej licencję przewodnika, a Simeonie zapewne nie cofnąłby się przed zemstą. Kiedy wybuchła sprawa Idy i Samwilliego Brownów, ubiegał się akurat o reelekcję.

Dopóki Edie nie zaczęła węszyć, mieszkańcy Autisaq byli gotowi uznać śmierć Samwilliego za nieszczęśliwy wypadek. Mężczyzna nie był zbyt popularny, poza tym wszyscy wiedzieli, że bije żonę. Edie jednak zainteresowała - „mieszając się w nie swoje sprawy”, jak to ujął Simeonie Inukpuk - a Ida została skazana za zamordowanie męża. Wszyscy byli zgodni, że mężczyzna przegrał wybory z powodu złej prasy, a cała sprawa na długo położyła się cieniem na jego karierze politycznej. Dopiero po czterech latach udało mu się uzyskać fotel burmistrza. Edie często zastanawiała się, czy to nie on wysłał jej pogróżki tuż po tym, jak rozpoczął się proces Idy.

Jej były szwagier miał swoje powody, by jej nie znosić. Obwinił ją za to, że rozpadło się jej małżeństwo z Sammym. „Całe te twoje prawa kobiet zamąciły ci w głowie”, powiedział wtedy. A co z prawem mężczyzny do tego, by jego kobieta była przy nim? Simeonie nie przejmował się tym, że ona i Sammy stanowili dla siebie zagrożenie - razem pili na umór, do upadłego. Pewnie oboje już dawno leżeliby w grobie, gdyby się wtedy nie rozstali. Zresztą kto wie, może Simeoniu Inukpukowi byłoby to na rękę. Nie przejmował się przecież swoją rodziną. Sammy zawsze był wobec niego lojalny, ale Simeonie nigdy mu się za to nie odwdzieczył.

Edie wiedziała, że ma wiele do stracenia. Nie chodziło jednak o samo śledztwo. Joe miał rację. Wagner zmarł tysiące kilometrów od domu. Jego rodzina miała prawo wiedzieć, co tak naprawdę się stało. Edie bała się jednak, że Simeonie wykorzysta śmierć *qalunaata*, by przekonać starszyznę do odebrania jej licencji. Poza Sammym właściwie nikt w radzie nie popierał idei zatrudniania kobiet jako przewodników; część członków starszyzny zapewne od lat szukała jakiejś wymówki, żeby się jej pozbyć. Z jej klęski mogli się tylko cieszyć.

Edie zresztą niespecjalnie się tym przejmowała. Lata picia odebrały jej resztki jakiegokolwiek dumy. Problem polegał na tym, że bez tych dodatkowych pieniędzy nie mogła pomóc Joemu w opłaceniu czesnego za szkołę pielęgniarstwa. Praca w szkole ledwo pozwalała jej się utrzymać. Pasierb tymczasem nie mógł liczyć na swoich rodziców. Minnie, jego matka, systematycznie przepijała swój zasilek, a Sammy miał dość staromodną wizję tego, czym powinien zajmować się prawdziwy inuicki mężczyzna

- i na pewno nie było to pielęgniarstwo. Poza tym nie chciał, żeby jego syn choć na chwilę opuścił Autisaq. Sammy przez wiele lat patrzył, jak wartościowe rzeczy przeciekają mu przez palce - kilka dobrych prac, dwie żony i cała masa pieniędzy. Poza alkoholem, amerykańskimi serialami o policjantach i ukochanymi synami nie zostało mu już zbyt wiele.

Po szkole Edie wróciła do domu, mijając po drodze sklep i mały kościół, w którym ostatni raz była na pogrzebie swojej matki. Na ganku leżały trapezy Sammy'ego, a na kołku przy drzwiach wisiała jego niebieska, rządowa kurtka. Minęły dwa lata, odkąd go wyrzuciła, ale były mąż do tej pory traktował dom Edie jako bezpieczną przystań. Początkowo próbowała go do tego zniechęcić, ale w końcu się poddała - głównie dlatego, że kiedy Sammy był u niej, Joe również częściej ją odwiedzał.

Z salonu dobiegał ją zapach piwa zmieszany z dziwnym, chemicznym aromatem. Edie zdjęła buty, czapkę, szalik i kurtkę, po czym otworzyła drzwi do domu. Sammy i Joe siedzieli na kanapie i oglądali telewizję.

- Cześć *allummiipaa*, kochanie. - Jej słowa skierowane były do Joe, ale Sammy spojrzał na

nią z pełnym nadziei uśmiechem na ustach. Edie nie tęskniła za czasami, gdy i do niego mówiła „kochanie” - w każdym razie nie zdarzało jej się to często - ale Sammy tęsknił. Gdyby miał w tej sprawie coś do powiedzenia, to wciąż byłoby małżeństwem, a ona wciąż byłaby pijaczką.

- Zniosłem rzeczy do pokoju, Kigga - powiedział Joe. Ostatnio wciąż się przemieszczał. Kilka nocy u Sammy'ego, tydzień lub dwa z Minnie, ale od jakiegoś czasu coraz częściej bywał u Edie, co bardzo ją cieszyło.

- Rozstałeś się z Lisą, Sammy? - Przez ostatnie dwa lata Sammy zmieniał kobiety jak rękawiczki. Lisa była jego ostatnią partnerką. Z jakiegoś powodu, gdy tylko któraś z nim zerwała, Sammy biegł lizać rany do swojej byłej żony. Tym razem wzruszył lekko ramionami i spojrzał w bok.

- Przykro mi — powiedziała. Nie chciała być dla niego niemiła, ale czasami wrywała jej się jakaś kąśliwa uwaga, zupełnie bezwiednie. Podejrzewała, że gdzieś, bardzo głęboko i nie wiadomo dlaczego, wciąż jest zła na tę całą sytuację, co oznaczało, że gdzieś, bardzo głęboko i nie wiadomo dlaczego, wciąż coś do niego czuje i usilnie próbuje to ignorować.

- Telewizor mi się zepsuł - powiedział Sammy.

Edie wyjęła z plecaka kawałek foczego mięsa i położyła go na blacie w kuchni, po czym nastawiła czajnik.

- A poza tym rozstałem się z Lisą.

Wszyscy wybuchli śmiechem. Nawet on zaczął traktować swoje życie miłosne jako niezły żart. Oczywiście, dopóki to on żartował.

- I co, masz już nową dziewczynę?

Sammy potaknął, zmieszany.

- Kto to? - zapytała Edie nieco zbyt pośpiesznie.

- Nancy.

- Nancy Allakarialak? Mama Pauloosiego?

- Aha.

Spojrzenia całej trójki skrzyżowały się na moment, po czym wszyscy odwrócili wzrok. W takich chwilach czuli się, jakby znowu byli rodziną. To było dziwne; dziwne i niepokojące. Joe wstał, żeby pójść do pokoju.

- Zawołaj mnie, jak będzie trzeba wychodzić. — Sprawy Sammy'ego i Edie go nie interesowały.

Gdy Joe znikł za drzwiami pokoju, w salonie zapadła krótka cisza.

- Nie miałam jeszcze okazji, żeby ci podziękować. Wiesz, chodzi o Feliksa Wagnera. - Edie zmieniła temat.

Sammy pociągnął łyk piwa i nic nie powiedział.

- Rozmawiałeś z Andym Taylorem? — zapytała.

- Simeonie niedawno od niego wrócił. Wygląda na to, że chce jak najszybciej zapomnieć o całej sprawie i wyjechać na południe. - Upił łyk herbaty, którą postawiła przed nim Edie, po czym wrócił do swojej butelki.

- Pewnie policja przeprowadzi śledztwo, prawda? -zapytała Edie. - Wezwą Dereka Pallisera.

Sammy chrząknął i wbił wzrok w podłogę.

- Raczej nie - powiedział. Słyszał było, że coś wie, ale nie chce się z tym zdradzić. Edie rzuciła mu długie, twarde spojrzenie. - Posłuchaj - westchnął Sammy bezradnie. — To nie ja kontroluję radę.

Wszyscy dobrze wiedzieli, kto kontroluje radę. Był to nie kto inny, jak starszy brat Sammy'ego, Simeonie. Były mąż Edie zawsze stał w cieniu brata i nie zamierzał go teraz

opuszczać. Gdy tylko na horyzoncie pojawiało się choćby widmo konfrontacji, zwłaszcza z Simeonem, Sammy odwracał się w drugą stronę i uciekał. Zajrzał do butelki, żeby upewnić się, że już nic w niej nie zostało. Wstał.

- Edie, staraj się trzymać z dala od kłopotów, proszę cię. Choć ten jeden raz się nie wychylaj.

Kobieta odczekała chwilę, aż mężczyzna znajdzie się poza zasięgiem słuchu.

- Pewnie, jestem świetna w niewychylaniu się - powiedziała w powietrze.

Włożyła na siebie swoją najlepszą parę i nasmarowała warkocze olejem, po czym zawołała Joe. Razem udali się do biura burmistrza. Starszyzna poprosiła ich o stawienie się na spotkaniu, by przedstawili własną wersję wydarzeń. Z góry zapowiedziano im jednak, że nie będą mieli żadnego wpływu na wynik obrad. Edie miała złe przeczucia. Wiedziała, że cała sprawa zostanie wykorzystana do rozgrywek politycznych. Rada ciągle mówiła o otwartości i współpracy, ale jak tylko przychodziło co do czego, jej członkowie zwierali szeregi niczym stado przerażonych piźmowółów. Otworzyli drzwi do sali, w której zebrała się rada i weszli do środka. Sammy był już na miejscu. Po jego lewej siedział dziadek Pauloosiego, Samuelie, a po drugiej kuzyn Sammy'ego, Otok. Edie знаła trzech czy czterech innych członków rady z imienia, ale nie łączyły ją z nimi żadne bliższe kontakty. Stojące u szczytu stołu krzesło z drewna i foczej skóry należało kiedyś do dziadka Edie, Eliasza, ale teraz zajmował je Simeonie Inukpuk. Mężczyzna skinął na Edie i Joego, którzy zajęli miejsca na specjalnie przyniesionych z biura krzesłach. Poprosił o ciszę. Oprócz Edie w pomieszczeniu znajdowała się tylko jedna kobieta, asystentka Simeoniego, Sheila Silliq, która miała robić notatki.

Simeonie podziękował im za przybycie. Starszyzna chciała tylko usłyszeć ich wersję wydarzeń, oczywiście od każdego z osobna. Edie mogła zacząć, bo to ona była na miejscu w chwili wypadku.

Kątem oka Edie spostrzegła, że Sammy przygląda jej się groźnym wzrokiem.

- Dobrze, opowiem o tym „wydarzeniu” - powiedziała, usilnie myśląc o tym, że ma się nie wychylać.

Do momentu, w którym odgłos strzału rozdarł powietrze, nie działo się praktycznie nic. Rano polowali na zające, zresztą bez większego sukcesu. Później zjedli lunch, a wczesnym popołudniem, jakieś dwie godziny przed całym zejściem, Edie zostawiła swych podopiecznych na zawietrznej stronie ozu Uimmatisatsaq na wyspie Craig, w okolicy przerębli. Myśliwi stwierdzili, że chcieliby spróbować coś złowić i obiecali, że rozbiją obóz. Zaczynała im się kończyć woda, a Edie wiedziała, gdzie znaleźć najbliższą górę lodową, zostawiła więc ich i wyruszyła w drogę. Obaj mężczyźni mieli ze sobą broń, w okolicy nie było śladów niedźwiedzi, a pogoda była dobra, więc Edie nie martwiła się o ich bezpieczeństwo. Poza tym stwierdziła, że nie będzie jej co najwyżej godzinę. Z przyzwyczajenia zabrała ze sobą swojego psa. Żaden z jej podopiecznych nie wiedział, jak się z nim obchodzić, więc i tak by im się nie przydał.

Edie przerwała na chwilę i spojrzała na twarze mężczyzn siedzących dookoła stołu, ale Inuici od dziecka uczyli się, jak skrywać emocje. W małych wspólnotach, gdzie wszyscy zależeli od siebie, było to konieczne. Członkowie starszyzny nie okazywali żadnych uczuć. Edie wzięła głęboki oddech i kontynuowała opowieść.

Gdy skończyła, Simeonie pogratulował jej doskonałej pamięci. Kobieta oparła się o krzesło i czekała na pytania. Tymczasem burmistrz podsumował jej historię, dodał kilka komentarzy dla Sheili Silliq i od razu przeszedł do Joego. Edie zrozumiała, że nie będzie żadnych pytań. Ani ona, ani Joe nie mogli w żaden sposób wpłynąć na decyzję rady. Starszyzna odgrywała tylko przedstawienie.

Joe opowiedział, jak wyglądał jego dzień. Był akurat w biurze burmistrza i odbierał

przesyłkę arktycznych kondomów, które przysłano kilka dni wcześniej wraz z innymi zapasami. Prezerwatywy pakowano w urocze pudełka, które przypominały małe foki, piźmowoły i morsy. Południowcy chcieli dobrze, ale niemal z każdej ich akcji przebijał protekcyjny ton. Tym razem chcieli zachęcić Inuitów ze wschodniej Arktyki do bezpiecznego współżycia, a przecież wszyscy wiedzieli, że żeby seks znów był bezpieczny, należałoby zlikwidować okoliczne bazy lotnicze.

Sammy wezwał go do pomieszczenia radiowego. Joe zastał go stojącego przy aparaturze. Ojciec robił wszystko, żeby nie wyglądać na zdenerwowanego. Wyjaśnił, co stało się na Craig, nie wdając się w zbędne spekulacje. Poszedł sprawdzić prognozę pogody, a Joe przejrzał rejestr lotów, licząc na to, że któryś samolot będzie akurat w okolicy i dokona ewakuacji. Jego nadzieje okazały się płonne. Wyszedł na korytarz. Sammy powiedział, że z powodu pogody żaden samolot na Craig nie polecą. To wtedy Joe zaproponował, że sam wsiądzie na skuter i pojedzie do rannego. Wrócił do pokoju i zadzwonił do swojej byłej macochy.

Podróż była trudna, bo wiał silny wiatr. Od czasu do czasu podmuchy uderzały w skuter z taką mocą, że pojazd zjeżdżał z trasy. Na szczęście jednak śnieg był suchy, a Joe jechał tą samą drogą zaledwie tydzień wcześniej, więc wiedział, gdzie mogą znajdować się zasy i przesmyki. Gdy był już blisko, na spotkanie wybiegł mu pies macochy, który zaprowadził go prosto do schronu. Edie była spokojna i dobrze zorganizowana; widać było, że panuje nad sytuacją. Tymczasem Andy Taylor drżał i wyglądał na przestraszonego. Ranny leżał na niewielkim podwyższeniu. Joe opisał jego stan nieco bardziej szczegółowo. Podkreślił, że podjęte przez Edie kroki były odpowiednie - zatamowała odpływ krwi i zakleiła ranę plastikiem, żeby uniemożliwić dostęp powietrza do klatki piersiowej, który mógłby spowodować odemę. Kula roztrzaskała fragment obojczyka i rozdarła przylegające tkanki. Na łopatkę widać było ranę wylotową. Puls był nieregularny i słaby. Widać było, że mężczyzna stracił dużo krwi. Co gorsza, miał wszystkie objawy szoku hipowolemicznego. Mógł mu już tylko założyć kroplówkę i liczyć na to, że szok się nie pogłębi. Podał mu również środki przeciwbólowe. Jego zdaniem Wagner miał niewielkie szanse na przeżycie, ale nic nie powiedział, bo nie chciał przestraszyć Edie ani Andy'ego Taylora, tak jak i zresztą samego Feliksa Wagnera. Wiedział, że to ważne, żeby wszyscy czuli, że mogą jeszcze go uratować.

Simeonie zapytał, czy oczekiwanie na samolot mogło wpłynąć na szanse Wagnera. Joe stwierdził, że na pewno mu to nie pomogło, ale nie był w stanie ocenić, w jakim stopniu czas oczekiwania przyczynił się do śmierci rannego. Być może Feliks Wagner i tak by umarł.

Starszyzna wysłuchiwała dalszych zeznań Joego bez najmniejszego komentarza. Gdy skończył, Sammy Inukpuk poprosił Edie i jej pasierba o opuszczenie sali. Mieli czekać w biurze.

Edie poszła do kuchni i zrobiła herbatę. Joe siedział przy jednym ze stanowisk i skubał paznokcie, a kobieta ogrzewała dłonie o kubek, udając, że pije. Oboje byli zbyt zdenerwowani, by rozmawiać. Dlaczego ich tutaj trzymano? Jako świadków? Podejrzanych? Oskarżonych? Edie pomyślała o Dereku Palliserze. W ciągu ostatniej doby sporo o nim myślała. Wcześniej sądziła, że policjant będzie musiał przeprowadzić śledztwo w sprawie śmierci Wagnera. Teraz jednak nie była tego taka pewna. Zazwyczaj burmistrz zajmował się tylko drobnymi wykroczeniami - pijaństwo, domowe awantury, drobne kradzieże

- tym razem jednak było inaczej. A przecież w przypadku niespodziewanej śmierci automatycznie dzwoniło się po Pallisera. Próbowwała sobie przypomnieć, ile razy coś podobnego zdarzyło się w ciągu ostatnich lat. Tylko dwa, stwierdziła. Pierwszy raz, gdy Johnnie Audlaluk zatłukł swojego małego pasierba na śmierć. Było to jakieś osiem czy dziewięć lat temu. Starszyzna chciała zająć się sprawą na miejscu, ale o śmierci chłopca dowiedziała się jakaś krewna z Yellowknife. Kobieta zadzwoniła na miejscowy komisariat, a policjanci poinformowali

Dereka Pallisera. Audlaluk został zatrzymany i poddany badaniu psychiatrycznemu, a później stanął przed sądem i został skazany za morderstwo w stanie częściowej niepoczytalności. Do dziś siedział w jakimś zamkniętym zakładzie psychiatrycznym.

To właśnie dlatego starszyzna wołała w miarę możliwości nie mieszać policji w sprawy wspólnoty. Prawie wszyscy mieszkańcy Autisaq, łącznie z rodzicami John-niego, uważali, że inuicki sposób wymierzania sprawiedliwości był bardziej humanitarny. Trzeba było zabrać go w góry i niespodziewanie zepchnąć z klifu. Oczywiście nikt nie powiedział tego ówczesnemu posterunkowemu Palliserowi, ale on i tak wszystkiego się domyślił. Jego naleganie, by postawić Audalluka przed sądem, przysporzyło mu wielu wrogów.

Choć Edie nie pochwałała działań Dereka, to wciąż miała dla niego sporo szacunku. Pewnie dlatego wsparła go pięć lat temu, gdy toczyła się sprawa Brownów. Wtedy też próbowano zatuszować aferę. Pod koniec wyjątkowo srogiej zimy przypadkowy myśliwy znalazł ciało Samwilliego Browna. Lisy zrobiły sobie z niego prawdziwą ucztę. Starszyzna uznała, że śmierć nastąpiła w wyniku wypadku lub z przyczyn naturalnych. Gdyby nie to, że jego ciało przywieziono do Autisaq akurat w dniu, w którym Palli-ser miał swój rutynowy patrol, na tym by się skończyło. Policjant zaczął naciskać na wszczęcie śledztwa, co odebrało mu resztki popularności. Samwillie Brown był agresywnym oszustem i większość ludzi odetchnęła z ulgą, gdy zmarł. Jedyną osobą, która wydawała się szczerze rozpaczać po jego śmierci, była jego żona Nancy, która zresztą najczęściej musiała znosić jego ataki wściekłości. Tak to jednak czasem bywało; południowi psychiatrzy pewnie nazwaliby to współzależnieniem. W Autisaq uważano to za lojalność. Nancy poprosiła Edie, żeby towarzyszyła jej przy identyfikacji ciała. W pewnym sensie były przyjaciółkami. Nancy spała u niej kilka razy, gdy Samwillie się upił i zaczynał jej grozić.

Gdy tylko Edie zobaczyła ciało, uderzył ją pergaminowy odcień skóry nieboszczyka. Nancy wyszła, ale ona została w prosektorium, kłamiąc, że musi skorzystać z toalety. Podniosła powiekę Johnniego (tę, która jakimś cudem ocalała przed lisami). Oko przypominało obraz zaćmienia słońca; szarawą, galaretowatą masę okalały żółte języki płomieni. Klasyczny objaw hiperwitaminozy. Edie natychmiast udała się na posterunek, by oznajmić Derekowi, że, jej zdaniem, Samwillie Brown zmarł w wyniku przedawkowania witaminy A, co w warunkach arktycznych mogło oznaczać tylko jedno -mężczyzna zjadł wątrobę niedźwiedzia polarnego.

Derek wysłuchał jej i wzruszył ramionami. Przecież Samwillie Brown był pijakiem i zawsze wyglądał, jakby miał żółtaczkę. Edie zdziwiła jego obojętność. Derek Palliser zawsze wydawał się jej nieco staroświecki - oddany swojej pracy odludek, który zawsze postępuje zgodnie z procedurami. Tym razem jednak wyglądało na to, że chce uniknąć odpowiedzialności. Zastanawiała się, czy na pewno dobrze się czuje, czy może nie pomieszało mu się w głowie. Inuici często powtarzali, że tak właśnie się dzieje, gdy ktoś spędza za dużo czasu w biurze, a za mało na zewnątrz. Powoli, jeden po drugim, traci się zmysły.

W końcu jednak udało jej się przekonać Dereka, żeby poszli razem do prosektorium. Edie uniosła powiekę Samwilliego, a policjant przyznał, że ogniki sugerują zatrucie witaminą A.

Kilka dni później do Autisaq przyleciał patolog sądowy. Po przeprowadzeniu odpowiednich testów potwierdził, że Samwillie Brown zmarł w wyniku hiperwitaminozy, śmiertelnego przedawkowania witaminy A po zjedzeniu wątroby niedźwiedzia polarnego. Derek wiedział, że żaden Inuk, nawet kompletnie pijany, nie byłby tak głupi, żeby z własnej woli zjeść niedźwiedzią wątrobę. Zabrał więc ze sobą psa Edie i udał się do domu Brownów. Edie próbowała sobie przypomnieć, który to był Grubogłowy. Najprawdopodobniej Grubogłowy II.

Derek Palliser kazał Nancy rozmrozić kilka znalezionych w komórce hamburgerów. Czując świeże, niedźwiedzie mięso, Grubogłowy II oszalał. Wkrótce potem Nancy się przyznała. Co

miała robić? Poszlaki zbiegły się z wynikami ekspertyzy sądowej. Kobieta nie mogła już wytrzymać agresywnego zachowania Samwilliego, więc zaczęła go karmić surowymi hamburgerami z dodatkiem niedźwiedziej wątroby. Nikt nie zauważył, że mężczyzna jest coraz bardziej chory, bo nikt się nim na tyle nie przejmował. Derek Palliser został awansowany na sierżanta za swoje „wyjątkowe zdolności śledcze”, ale i on, i Edie szybko zdali sobie sprawę, że wykazali się przede wszystkim wyjątkową naiwnością. Mieszkańcy Autisaq nie dziękowali Palliserowi za to, co zrobił, ale ostatecznie, poza kilkoma zatwardziałymi krzykaczami, którzy nigdy nie wybaczyli mu Johnniego Audlaluka, większość miejscowych zaakceptowała, że policjant wykonuje tylko swoją pracę. Edie jednak nie mogła liczyć na podobną wyrozumiałość.

Edie i Joe w ciszy dopili herbatę. Pauloosie Allakarialak przejechał obok budynku na łyżwach, a za nim szli Mike i Etok Nungaowie. Właśnie zamknęli sklep. Joe zaczął obgryzać paznokcie. Edie z całych sił starała się powstrzymać od skubania warkoczy. Zegar wybił dwudziestą pierwszą, ale słońce wciąż paliło. Z sali obrad dobiegały ich stłumione głosy, ale nie dało się rozróżnić żadnych słów. Wydawało się, że minęła cała wieczność, gdy wreszcie drzwi do sali otworzyły się i pojawił się w nich Sammy Inukpuk. Był zmęczony i miał ponurą minę. Edie pomyślała, że nieco zbyt szybko cofnął się z powrotem do sali, jakby chciał ich już na wstępie uprzedzić, że jego lojalność leży po stronie starszyny.

Edie i Joe weszli do środka. Zebrani w sali mężczyźni przyglądali się im w ciszy. Nikt się nie uśmiechał. Po dłuższej chwili Simeonie Inukpuk przemówił dziwnie formalnym tonem, który Edie utożsamiała z przedstawicielami władz federalnych i nadgorliwymi aktywistami z Południa.

- Starszyna przedyskutowała okoliczności związane ze śmiercią myśliwego Feliksa Wagnera — powiedział Simeonie. - Uznaliśmy, że Wagner wystrzelił z własnej broni, a kula odbiła się od skały i raniła go pod obojczykiem. Tę wersję wydarzeń może potwierdzić dwoje świadków wypadku, Edie Kiglatuk oraz Andy Taylor.

Edie i Joe byli zbyt zaskoczeni, żeby cokolwiek powiedzieć. Po chwili kobieta usłyszała, jak jej pasierb bierze gwałtowny wdech i otwiera usta, żeby coś powiedzieć. Szturchnęła go lekko łokciem i nieznacznie pokręciła głową. Cokolwiek miał do powiedzenia, nie mogło to już niczego zmienić.

Simeonie spojrzał na Edie. Nadeszła chwila, kiedy to ona powinna coś powiedzieć. Zaczerpnęła powietrza, czując na sobie wzrok Sammy'ego. Wystarczyło jedno spojrzenie na jej ukochanego Joego, by zrozumiała. Odwróciła się do Sammy'ego. Mężczyzna niemal niezauważalnie skinął do niej głową.

- Jako że wypadek był wyjątkowo niefortunny - podjął Simeonie - rada starszych uznała, że Edie Kiglatuk może zachować licencję przewodnika.

Czyli tak to miało wyglądać. Tak wyglądał ich niepisany układ. Ona uwiarygodni kłamstwo, a rada nie wyrzuci jej z pracy. Edie przygryzła wargę. Robiła to dla Joego.

Sammy odprowadził ich z powrotem do domu Edie. Po drodze nikt się nie odzywał. Kobieta czuła, że jej były mąż towarzyszy im z polecenia Simeoniego. Może burmistrz kazał mu się upewnić, że nie dzwonią do Dereka Pallisera ani nie będą próbować kontaktować się z Andym Taylorem, zanim rada wyda oficjalne oświadczenie. Nie była o to zła na Sammy'ego. Już gdy wychodziła za niego za mąż, wiedziała, że Sammy zawsze będzie żyć w cieniu brata. Zrozumiała też, po co Simeonie odwiedził Andy'ego Taylora w hotelu. Z nim też zawarł jakiś układ. W pewnym sensie go podziwiała. W przebiegłości nie miał sobie równych.

Gdy dotarli do domu, Joe natychmiast zamknął się w swoim pokoju. Powiedział, że jest zmęczony i nie ma ochoty jeść. Edie domyślała się jednak, że tak naprawdę jest zniesmaczony - procesem, radą starszych, a nawet, czy może przede wszystkim, nią i Sammym. Postawiła zupę z foki na gazie, a Sammy przerzucał kanały, aż natrafił na stary odcinek *Nowojorskich gliniarzy*.

Kolację zjedli w niezręcznej ciszy. Edie nie chciała rozdrapywać starych ran i dręczyć go pytaniami o to, co stało się tego wieczora. Sammy wciąż uważał, że ich rozstanie było z jej strony aktem zdrady, a nie próbą przetrwania. W jego oczach układ z radą wymagał od nich tylko drobnego podkoloryzowania prawdy w imię wyższego celu. I może właśnie tak było.

Wkrótce po kolacji były mąż zasnął na kanapie. Edie posprzątała i położyła się do łóżka. Po kilku bezsennych godzinach wstała, włożyła szlafrok i wróciła do salonu. Była trzecia nad ranem. Słońce wciąż prażyło, a w powietrzu unosiły się błyszczące kryształki lodu. Gdzieś w oddali, niedaleko brzegu, jakieś dzieci grały w piłkę czaszką morsa. Nic dziwnego, że nie szło im za dobrze w szkole. Zastanawiała się, czy nie wyjść i ich nie upomnieć, ale po chwili zrezygnowała. Nie miała prawa nikogo oceniać.

Wsunęła płytę DVD do odtwarzacza. Postawiła wodę na gazie i zrobiła sobie herbatę. Wróciła do salonu i usiadła na podłodze, opierając się o kanapę. Kubek postawiła na dywaniku ze skóry karibu. Sammy spał spokojnie za jej głową, a na ekranie przed nią Harold Lloyd w milczeniu balansował na skraju drapacza chmur, walcząc z podmuchami wiatru, które chciały zepchnąć go w przepaść.

ROZDZIAŁ TRZECI

Derek Palliser przykucnął, żeby lepiej przyjrzeć się pomazanej foczej skórze, która należała do Jona Toolika.

- Nie mówiłem? - Mężczyzna triumfował. - To jest wandalizm.

No cóż, z dowodami nie ma co się spierać. Ktoś nabazgrał słowo *iquq*, gówno, na samym środku skóry tak, że nie dało się go w żaden sposób ukryć. Egzemplarzy było zresztą więcej - dwa *iquq*, trzy *itiq*, dupki, a na dnie sterty leżało *qitiqthlimitisi arit*, czyli pieprz się, a raczej piepsz się, bo artysta najwyraźniej nie znał się na ortografii.

- Posłuchaj - westchnął Derek. - Dlaczego po prostu przez jakiś czas nie zamkniesz swoich skór pod kluczem? - Ach, ta małomiasteczkowa polityka. Policjant poczuł, że musi zapalić, więc wyjął z kieszeni paczkę lucky strike'ów.

- O nie. - Jono Toolik nie zamierzał tak łatwo dać za wygraną. Chwytał skórę opatrzoną napisem *qitiqthli-mitisi*, wyciągnął ją spod sterty pozostałych i pomachał nią przed twarzą policjanta. - To zamach na dorobek mojego życia, a ja dobrze wiem, kto to zrobił i chcę, by go aresztowano.

Derek też wiedział, kto to zrobił, a za mniej więcej godzinę, kiedy wieść obiegnie całe Kuujuaq, wszyscy inni też będą to wiedzieć: winnym był Tom Silliq. Toolikowie i Silliqowie byli śmiertelnymi wrogami od około czterystu pięćdziesięciu lat. Kiedy nie byli zajęci robieniem sobie na złość, opowiadali innym historie o starodawnych krzywdach, które setki lat temu wyrządzili im ci łajdacy po drugiej stronie.

Derek zapalił papierosa i czekał, aż Jono Toolik rozpocznie swą opowieść. Słyszał ją już nie raz. Zazwyczaj przytakiwał i pokrzykiwał, udając, że słucha, a w przerwach rozkoszował się tytoniowym dymem i rozmyślał o lemingach.

Być może zbyt wiele o nich myślał. Ludzie zaczęli mu z tego powodu dokuczać. Z drugiej strony jednak, tylko lemingi powstrzymywały go od ciągłego roztrząsania tego, jak Misha Ludnova zniszczyła mu życie. Przez trzy lata mościła sobie jamę w jego sercu, a teraz, gdy odeszła, została po niej tylko pusta dziura. Po raz pierwszy przyjechała jako opiekunka dzieci przyjeżdżających na letni obóz. Oczywiście kompletnie się do tego nie nadawała. Stale skarżyła się na obozowe warunki, powtarzając, że marnuje swój talent artystyczny na dzieci, które bardziej interesowały się zabijaniem karibu niż malowaniem. Tymczasem Derek, mimo jej widocznych gołym okiem wad - a kto wie, może właśnie z ich powodu - zakochał się w niej po uszy już tydzień po jej przyjeździe.

Jej wygląd oczywiście mocno się do tego przyczynił - dziewczyna miała długie, szczupłe nogi i ręce, jasnobłękitne oczy i włosy koloru słomy. I choć tego pierwszego lata nie wykazała żadnych oznak zainteresowania nim, Derek pielęgnował w sobie nadzieję, że nowy rok przyniesie zmianę. I tak właśnie się stało. Tego drugiego lata syn Marii Kunuk niemal utonął pod okiem Mishy, a ona nawet tego nie zauważyła. We wsi podniosła się wrzawa. Chciano ją wyrzucić z obozu. Tylko Derek się za nią wstawił. Zauważył, że Kuujuaq było po prostu niebezpiecznym miejscem. Wypadek nie wydarzył się z winy Mishy; winić można było tylko Arktykę jako taką. Starszyzna Kuujuaq nałożyła na dziewczynę grzywnę, a gdy Derek ją zapłacił, opiekunka spojrzała na niego bardziej przychylnym okiem. Gdy lato dobiegło końca, policjant był już zupełnie zaślepiiony miłością. Dał się ponieść uczuciu, jakby był jakimś zbyt romantycznym młodzieńcem

— a do tego uwierzył, że i ona go kocha. Idiota. A przecież miał już trzydzieści dziewięć lat.

Trzeciego lata Misha przyjechała tylko po to, by być z nim i by malować. Twierdziła, że jej prawdziwym powołaniem jest sztuka, a jakaś fundacja udzieliła jej stypendium na realizację projektu „negocjującego przestrzeń pomiędzy globalnym ociepleniem a zanikiem indywidualności”, cokolwiek to miało oznaczać. Na miejscu okazało się, że stypendium wiązało się raczej ze wsparciem moralnym niż finansowym, więc Derek zaproponował jej, by zamieszkała u niego. Spędzili razem cudowne lato, jak mu się wydawało, po czym Misha wyjechała do Yellowknife i nie odebrała od niego ani jednego telefonu.

Najgorsze w tym wszystkim było nie to, że go wykorzystwała, ale świadomość, że mimo to dalej ją kochał. „No cóż, po prostu jeżeli chodzi o tę kobietę, to jestem skończonym durniem”, pomyślał Derek. Nawet teraz, pół roku po tym, jak go zostawiła, wciąż nie potrafił sobie wyobrazić siebie w przyszłości inaczej niż jako durnia. Co prawda wstydził się przyznać do tego nawet przed samym sobą, ale zimą prawie przez cały czas rozmyślał o tym, jak mógłby ją nakłonić do powrotu. Doszedł do wniosku, że ma dwie opcje. Pierwsza to rozwikłać jakąś trudną sprawę, dzięki której będzie mógł liczyć na awans i rozgłos. Może nawet uda mu się przekonać przełożonych, żeby tymczasowo przenieśli go do Yellowknife. Był jednym z dwóch policjantów na wyspie wielkości Wielkiej Brytanii i populacji rzędu dwustu osób. Owszem, dawało mu to sporo wolności, ale z drugiej strony, zamiast zajmować się czymś poważnym, musiał poświęcać czas drobnym, codziennym utarczkom pomiędzy zwaśnionymi klanami. Mieszkańcy Kuujuaq i pozostałych, malutkich wiosek na Wyspie Ellesmere’a nie robili nic, co byłoby warte śledztwa. Była co prawda ta sprawa z Autisą sprzed kilku tygodni - jak się nazywał ten facet, Wagoner? - ale ciężko było liczyć na to, że zainteresują się nią media. Ten cały Wagoner bynajmniej nie był żadną gwiazdą filmową czy znanym politykiem. Poza tym starszyzna wyraźnie dała mu do zrozumienia, że wszczynanie śledztwa nie będzie najlepszym pomysłem. Derek zapoznał się z raportem.

Doskonale wiedział, że przytoczona wersja wydarzeń nie mogła być prawdziwa. Szanse, że mężczyzna zginął od odbitej od skały kuli były tak nikłe, jak szanse kawałka lodu na przetrwanie w rozżarzonej garnku. Wiedział jednak też, że Autisą żyło z łowiectwa i przewodnictwa, dlatego postanowił nie interweniować. Żonglowanie faktami stawało się kłamstwem dopiero wtedy, gdy ktoś wtykał nos w nie swoje sprawy.

Derek Palliser dokończył papierosa. Nadszedł czas, by w końcu o siebie zawalczył. Za długo już pozwalał sobą sterować. Był zbyt bierny, nie chciał nikomu nadebrać na odcisk. Los dał mu szansę, by to zmienić. Trzeba było zacząć tu i teraz, zakończyć tę idiotyczną walkę pomiędzy Toolikami i Silliqami. Wyprostował się - a był dużo wyższy, niż Jono Toolik - oznajmił, że bardzo przykro mu z powodu skór, ale następnym razem Tooliko-wie i Silliqowie powinni spróbować rozwiązać swoje problemy we własnym zakresie, nie mieszając w to policji.

Zaskoczony tą nową, twardą postawą Pallisera, Jono cofnął się o krok i zamrugał. Z szeroko otwartymi ustami wyglądał jak wyrzucona na brzeg ryba. Derek przez moment myślał, że Toolik go uderzy. W ciągu ostatnich lat roztrwonił jednak tyle energii na rozwiązywanie lokalnych sporów, że teraz, gdy postanowił z tym skończyć, niemal kręciło mu się w głowie. Mężczyźni przyglądali się sobie przez minutę czy dwie. Na twarzy Jona Toolika malowało się obrzydzenie. W końcu myśliwy splunął przez ramię, odwrócił się i wszedł z powrotem do domu, z hukiem zatrzaskując z sobą drzwi.

Derek włożył ręce do kieszeni i udał się w drogę powrotną do swojego ciasnego biura, trójkątnej konstrukcji, która służyła za komisariat w Kuujuaq. W takich chwilach często żałował, że nie przyjął oferty pracy od pewnego rosyjskiego geologa, który proponował mu posadę sprzątacza na platformie wiertniczej w Nowosybirsku. „Jak ktoś nie boi się zimna, to może u nas

zarobić mnóstwo pieniędzy”, obiecywał naukowiec.

Zasiadł na krześle z kubkiem herbaty w dłoniach i spojrzał gdzieś w przestrzeń. Zazwyczaj niełatwo było go zdenerwować, ale dzisiaj te karłowate problemy małej społeczności wydały mu się nie do zniesienia. Czuł, że utknął w bagnie. Dopił ostatni łyk herbaty i powtórzył sobie, że czas wziąć sprawy w swoje ręce. Nagle drzwi się otworzyły. Wraz z podmuchem lodowatego wiatru do środka wpadł posterunkowy Stevie Killik.

- Ten cholerny Toolik to kawał fiuta - powiedział, przestępując z nogi na nogę, by się ogrzać. Asystent Dereka był człowiekiem łagodnego usposobienia. Jeżeli twierdził, że ktoś jest kawałem fiuta, to tak właśnie musiało być.

- Niech zgadnę, Tom Silliq cię zaczepił.

- Ano. - Stevie zdjął rękawice i nalał wody do czajnika. - Masz ochotę na herbatę?

Derek spojrział na dno kubka. Pustka go niepokoiła.

- Pewnie — powiedział w końcu.

Czekając na zagotowanie wody, wymienili się raportami. Tom Silliq złapał Stewiego na drodze obok cmentarza. Był wyjątkowo roztrzęsiony; twierdził, że Jono Toolik nasłał swoje dwa wygłodzone psy na jego składzik z mięsem. Psy pożarły sporą część udźca karibu i kilka fok, rozdarły worki z psimi chrupkami, które Silliq kupił dla własnych psów, a na koniec nasikały na stos głów morsa, niszcząc w ten sposób mięso i psią karmę wartą setki dolarów.

- Powiedziałeś mi, że w prawie istnieje taka zasada, jak ciężar dowodu.

- Pewnie.

- I co?

- Nie jestem w stanie tego powtórzyć. - Stevie pokręcił głową. — Czasami zastanawiam się, czemu wykonuję tę pracę.

- Może dlatego, że w promieniu jakiegoś tysiąca kilometrów nie ma żadnej innej pracy?

- To nieprawda, Derek - Stevie się ożywił. Spędzili razem wiele godzin, marząc o wspaniałej pracy, która czekała na nich w świecie równoległym, gdzieś na południu.

- Zawsze przecież potrzebują kogoś do prowadzenia nocnego TIR-a z miodem.

- No tak, a poza tym zapomniałem o ofercie babrania się po uszy w gównie Toma Silliq.

- W tej dziedzinie obaj mamy doświadczenie, szefie.

Stevie zniknął w mikroskopijnej kuchni.

Derek podszedł do faksu i przejrzał stertę przesłanych dokumentów. Siły Policyjne Koła Podbiegunowego były najmniejszą rdzenną jednostką porządku publicznego, która działała niezależnie od Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej, ale miała prawo korzystać z części jej zasobów, takich jak zaopatrzenie czy laboratoria. Raz na kwartał komenda główna w Ottawie wysyłała rutynowe fakсы z prośbą o przesłanie przeróżnych formularzy i raportów, a oddział w Kuujuaq je ignorował. Na dole sterty znajdowały się fakсы sprzed trzech lat. W komendzie jednak nikt tego nie zauważył. Derek od czasu do czasu przeglądał papiery, żeby sprawdzić, czy niczego ważnego nie pominął. Przewracając kartki, miał czas, by pomyśleć.

Niezależnie od tego, czyje psy wdarły się do komórki Toma Silliq, sprawa wymagała reakcji. Derek, pełen nowo nabytej energii, czuł się wręcz oburzony. Nie można dopuścić do tego, żeby ludzie pozwalali swoim psom zaprzęgowym hasać w nocy po okolicy. To nie były zwykłe, domowe pupilki. Już nieraz zdarzało się, że banda husky wydostała się z budy i pogryzła dzieci. Za czasów poprzednika Dereka jedno z takich dzieci zmarło. Palliser nie zamierzał na to pozwolić.

Gdy Stevie wrócił z herbatą, Derek kazał mu wywiesić ogłoszenie w biurze burmistrza i na drzwiach sklepu. Od dzisiaj policja miała traktować wszystkie zauważone w nocy, samotne psy jak wilki - czyli miała do nich strzelać.

Stevie pokiwał głową i włączył komputer. Chwilę później spojrzał na Dereka.

- Szefie, możesz mi przypomnieć, jak się tworzy nowy plik?

Derek przewrócił znacząco oczami i podszedł do posterunkowego. Po latach próśb i gróźb w końcu udało mu się przekonać ludzi z centrum dostaw policji konnej, żeby wysłali dwa komputery na koło podbiegunowe. Od razu zakochał się w nich po uszy. O ponad połowę skracały czas, który zabierała mu papierkowa robota, dzięki czemu mógł go spokojnie poświęcać na patrole na świeżym powietrzu, podczas których badał arktyczną florę i faunę. Kiedy Misha go zostawiła, podłączył internet satelitarny i odkrył całe uniwersum badań nad lemingami — fińskie analizy cykli populacyjnych, norweski artykuł na temat drapieżnych sów śnieżnych, trochę amerykańskich materiałów na temat skutków globalnego ocieplenia dla gatunków zimujących na terenach arktycznych. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że nie tylko on interesuje się lemingami. Było mnóstwo takich osób, prawdziwych naukowców, ludzi o wiele wyższych kwalifikacjach niż posiadał on sam. Te niewielkie gryzonie były prawdziwie fascynujące, a poza tym stanowiły rewelacyjny barometr zmian klimatycznych. Miejscowi mogli się z niego śmiać, ale badania nad lemingami były w awangardzie współczesnej nauki.

Derek starał się zarazić Steviego swoją miłością do nowych technologii, ale jego młodszy podopieczny nigdy tak naprawdę się do niej nie przekonał. Jego zdaniem komputery miały w sobie coś złowrogiego, jak złośliwe duchy przodków. Posterunkowy Killik rozumiał, iż będą one już zawsze stanowić część policyjnego krajobrazu, ale nie zamierzał się akurat z tym elementem przyrody zaprzyjaźniać.

Palliser usiadł przy biurku i wyjął pustą kartkę.

- Tak swoją drogą, to jak nazwał cię Tom Silliq?

— Nie spodoba ci się to.

- Co ty nie powiesz.

- Powiedział, że pomiata mną indiański wypierdek leminga.

Derek roześmiał się głucho. Ludzie z Kuujuaq od zawsze śmiali się z jego pochodzenia. W żyłach policjanta mieszała się bowiem krew *qalunaatow*, Inuitów i, co najgorsze, Indian z plemienia Kri. Derek dorastał z myślą, że zawsze będzie obcy. Zdażył się z tym pogodzić, ale wcale nie lubił, gdy mu o tym przypominano. Wyjął paczkę papierosów, ale szybko się rozmyślił i poszedł do pokoju radiowego, by wykonać rutynową serię porannych telefonów. Nie chciał, żeby Stevie zauważył jego zły humor.

W wyniku cięć jednostka w Kuujuaq sprawowała pieczę nie tylko nad Autisaq i Eureka, ale również nad osadami Hell Gate, Jakeman Fiord i stacją naukową na wyspie Devon. Hell Gate i Jakeman Fiord nie były zresztą specjalnie uciążliwe — ot, kilka niewielkich stacji pogodowych, otwartych latem obozów myśliwskich i usytuowana w Jakeman geologiczna jednostka badawcza -ale Derek musiał dzwonić do nich co najmniej co drugi dzień i być przygotowany do natychmiastowego wylotu, gdyby doszło do jakiegoś nieprzewidzianego zdarzenia.

„Nieprzewidziane zdarzenie” było terminem używanym przez komendę główną Policji Aborygeńskiej w Iqaluit na oznaczenie wszelkich incydentów, które zasługiwały na uwagę sił porządkowych. Pojęcie to mogło obejmować w zasadzie wszystko, od wypadku na lodzie po przedwczesny poród. Derek Palliser zajmował się jednostką w Kuujuaq już od sześciu lat i był świadkiem obu tych zdarzeń, przy czym asystowanie przy porodzie było najgorszą rzeczą, z jaką przyszło mu się w życiu zmierzyć.

Poza śmiercią Feliksa Wagnera od dłuższego czasu nie zdarzyło się nic „nieprzewidzianego”. Derek był coraz bardziej zniecierpliwiony. Tak naprawdę wcale nie chciał, żeby którąkolwiek z pięciu arktycznych osad znajdujących się pod jego pieczęą spotkało coś złego, ale przedłużająca się bezczynność jeszcze bardziej podsyciała poczucie niemocy, które wywołało w nim odejście

Mishy. Policjant czuł się zbędny.

Dla rozrywki wymyślał sobie różne systemy, według których będzie dzwonił danego dnia - to w porządku alfabetycznym, to odwrotnie do liczby samogłosek znajdujących się w nazwie osady. Tego dnia zdecydował się dzwonić od końca, czyli zacząć od Jakeman.

Usiadł na krześle ze skóry z karibu i założył słuchawki.

— Cześć, Derek. - Po drugiej stronie słuchawki rozległ się zniekształcony głos. - Znowu marnujesz czas.

Palliser powoli wykonywał telefony jeden po drugim, robiąc przerwę na papierosa przed Eureką. Nigdzie nic się nie działo. W końcu wybrał numer do Autisaq. Po drugiej stronie usłyszał znajomy głos.

— Joe Inukpuk. Dawno cię nie słyszałem. - Derek uśmiechnął się do siebie. Zawsze lubił tego chłopaka. Obaj kibicowali Jordinowi Tootoo, pierwszemu Inukowi, który został profesjonalnym hokeistą. Grał dla Nashville Predators. Kiedyś Derek przywiózł chłopcu z podróży termos z napisem Predators i czapkę z logo drużyny. Chłopiec nosił ją tak długo, że w końcu rozpadła mu się na głowie.

- Byłem zajęty pracą.

- Aha - powiedział Palliser. Wszyscy wiedzieli, że Joe chce się uczyć na pielęgniarza. Dość zaskakujące marzenie jak na Inuka. Należało go jednak podziwiać za ambicję i za oddanie swojej społeczności. Najwyższy czas, żeby prowincja Nunavut wykształciła własną klasę profesjonalistów i przestała polegać wyłącznie na zatrudnionych na kontrakt południowcach.

- Widziałeś mecz Predatorów?

- No, nieźle dali tamtym popalić.

- Tootoo był prawdziwą gwiazdą.

- Strzelał tu, tu i tam. - To był taki ich mały żart, który Joe rzucił po raz pierwszy, gdy miał czternaście lat. Przez ostatnie sześć lat powtarzali go nieustannie. I zawsze wydawał im się tak samo śmieszny.

- Wszystko okej u was? - Derek przypomniał sobie, że to służbowa rozmowa.

Na linii zapadła chwila ciszy.

- Jasne.

Derek usłyszał głosy w tle. Chłopak nie brzmiał zbyt pewnie.

- Serio?

- Jest tylko jedna rzecz. - Na linii słychać było cichy syk. Mogły to być zwykłe zakłócenia. Joe mógł również mówić szeptem. — Moja macocha, Edie Kiglatuk, chciałaby z panem pomówić.

- Jasne, daj mi ją - powiedział Derek. Zawsze lubił rozmawiać z Edie, a poza tym zdawał sobie sprawę, że jest jej coś winien za sprawę Samwilliego Browna.

- Czy mogłaby zadzwonić wieczorem? - Znow usłyszał zakłócenia. Był jakiś problem techniczny po stronie Autisaq; policjant prawie nic nie słyszał.

- Ale wszystko jest w porządku, tak? - zapytał.

- Po staremu - odpowiedział Joe.

Gdy się rozłączyli, policjant wrócił do swoich papierów. Rozmowa z Joem zaniepokoiła go. Był niemal pewien, że Edie poruszy sprawę tego Wagonera. W innym przypadku raczej by do niego nie dzwoniła. Spojrzał na Steviego, który kończył właśnie sporządzać notatkę o psach i ukradkiem spoglądał na najnowsze wydanie policyjnego biuletynu.

- Stevie, jak się nazywał ten *qalunaat*, który zginął niedawno w Autisaq?

- Chyba Wagner.

Derek wszystko sobie przypomniał.

- No tak, Feliks Wagner. Czytałeś raport starszyny?

- Jasne. Facet zginął od własnej kuli. - Stevie pokręcił głową. — W życiu trzeba mieć szczęście, jak to mówią.

- To Szekspir?

- Może. Na pewno Donald Trump.

Derek obrócił się na krzesło, żeby lepiej przyjrzeć się swojemu podwładnemu.

- Myślisz, że ten raport mówi prawdę?

Stevie spojrział na niego zaniepokojony. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Pewnie tak. W sumie tak.

„Co ja wyprawiam?”, pomyślał Derek. Czuł się winien, że wciąga posterunkowego w sprawę, w której nie można było już nic poradzić. Dlaczego w ogóle podążył tą drogą? Na pewno nie prowadziła ona tam, gdzie chcieliby dojść. „Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy i skup się na lemingach”.

Pozostała część poranka minęła im spokojnie. W porze lunchu Derek poszedł do sklepu i kupił trzy paczki zupki chińskiej. Zjadł przy swoim biurku w biurze, a tymczasem Stevie wrócił do domu, by zasiąść do stołu z rodziną. Derek zrobił sobie kawę i zajrzał do internetu, żeby sprawdzić, co nowego u lemingów. Pogoda nieco się poprawiła. Słońce wyjrzało zza cienkich, pierzastych chmur, a temperatura wzrosła aż do -25 stopni, idealna pogoda na wycieczkę. Derek postanowił pospieszyć się z pracą, żeby móc wybrać się na wieczorną przejażdżkę nad płoń w zatoce Inuushuck. Nieopodal zdomowiła się ławica jesiotra, korzystając z okazji, by nieco wypocząć przed dalszą podróżą na tarło. W okolicy widział ślady niedźwiedzia i chciał zobaczyć, czy zwierzę powróciło.

Drzwi na śnieżny ganek otworzyły się z impetem. Derek usłyszał głośnie tupanie. Kilka chwil później w biurze pojawił się Stevie.

- Jak tam lunch, Derek? - Dopiero wtedy zauważył puste opakowania zupki chińskiej.

Szybko zmienił temat. - Wygląda na to, że będziemy dzisiaj mieć piękną pogodę. — Podszedł do okna i spojrział przez żaluzję. — Pomyślałem, że skoro jest tak przyjemnie, to może zrobimy sobie grilla na kolację. Dzieci bardzo by się ucieszyły, gdybyś też wpadł.

— Dzięki. - Derek wiedział, że Stevie zaprasza go z litości. Chciał dobrze, ale skoro nawet jego podwładny mu współczuł... - Mam sporo pracy z moimi badaniami. Następnym razem, dobrze?

- Jasne.

Spędzili popołudnie na dopełnianiu obowiązków administracyjnych. O siedemnastej Stevie wstał od biurka i powiedział, że porozwiesza ogłoszenia o psach i zapuka do paru drzwi, żeby informacja szybciej się rozniosła. Palliser udał się do swojej kwatery w południowej części budynku policyjnego, zdjął mundur, przebrał się w kombinezon z polaru, na który wciągnął drugi kombinezon z foczej skóry, włożył rękawice, kilka czapek i wyszedł na zewnątrz, by wsiąść na skuter.

Był to jeden z tych zapierających dzień w piersiach, krystalicznie przejrzystych, arktycznych wieczorów, gdzie każdy element krajobrazu zdawał się skąpany w słońcu. Niebo mieniło się niczym niezakłóconym błękitem, a na horyzoncie skrzyły się lodowe wzgórza pozbawione jakiegokolwiek skazy. W oddali widać było półokrągłą górę lodową, która tej zimy przyczepiła się do lądu, błyszcząc wściekłym turkusem.

Derek wyprowadził skuter na drogę, którą oczyścił wraz z kilkoma pomocnikami w styczniu, gdy lód w końcu ostatecznie zastygł. Nabierając prędkości, poczuł, jak zamarzają mu najpierw rzęsy, a następnie włosy w nosie. Miał na sobie gogle, ale mikroskopijne drobinki lodu i tak zaczęły mu się zbierać w kąciach oczu. Lubił to uczucie rozmywania się granic między

człowiekiem a naturą, ten powolny, ale uparty atak Arktyki na jego ciało. Na horyzoncie dojrzał przelatującego kruka i po raz pierwszy tego dnia poczuł się zadowolony, może nawet szczęśliwy. Zapomniał o rozmowie z Joem Inukpukiem, o tych wszystkich małomiasteczkowych problemach. Nie pamiętał już szczerego, ale poniżającego współczucia, jakie okazał mu Stevie Killik, zapomniał o Mishy, a przede wszystkim zapomniał, że był kundlem, metysem, człowiekiem ulepionym z niepotrzebnych nikomu ścinków, odrzutów.

Dotarł prawie na skraj kry, która wychodziła na płoń. Łód wydawał się nieco bardziej mokry. Nie był zdradliwy, ale wymagał więcej ostrożności. Derek zsiadł ze skutera i ostrożnie ruszył dalej. Powoli zaczynało się robić niebezpiecznie, ale był na tyle doświadczony, że wiedział, jak się poruszać. Przeprowa wymagała od niego absolutnego skupienia, więc policjant wyzbył się wszelkich dręczących go wcześniej myśli. W końcu dotarł na sam skraj lodu, tam, gdzie zaczynała się przejrzysta, falująca tafla wody, która dzięki głębokim, niespokojnym prądom nigdy nie zamarzała, przyciągając plankton, pstrągi, foki, orki i jesiotry, i tak dalej, w górę łańcucha pokarmowego, aż po niedźwiedzia polarnego i człowieka. Derek jednak chciał tylko rzucić okiem na ryby.

Sam już od dawna nie polował na jesiotry. I miał ku temu dobry powód. Kilka lat temu rozbił obóz na plaży przy fiordzie Jakeman. Gdy rozglądał się po okolicy, natknął się na przerębę, która utworzyła się u stóp fiordu. Ławica młodych, niedoświadczonych jesiotrów pomyliła to miejsce z płonią, gdzie woda nie zamarzała przez cały rok. Gdy woda zaczęła gęstnieć, ryby próbowały jeszcze rozproszyć lód. Jednak gdy pułapka wokół nich zaczynała się powoli zacieśniać, wpadły w panikę. Gorączkowe pluski w końcu przyciągnęły uwagę dużego niedźwiedzia, samca. Za każdym razem, gdy jesiotr wystawiał głowę nad wodę, napotykał na swej drodze ciężką łapę zwierzęcia. Gdy w końcu udało mu się wyciągnąć jedną z ryb na powierzchnię, pozostałe jesiotry zdały ugrzęznąć w ciasnym, skutym krwawym lodem więzieniu. Wiedziały, co je czeka. Mogły już tylko mlaskać i popiskiwać w przerażeniu, podczas gdy niedźwiedź spokojnie pożerał ich towarzysza.

Od tego czasu Derek nie potrafił już spokojnie patrzeć na jesiotry. Współczuł im. I właśnie to uczucie sprowadziło go tego dnia nad płoń, choć istniały marne szanse, że ryby podziela los swoich krewnych uwięzionych w przerębli. Zbiornik był całkowicie otwarty, można było z niego uciec daleko w ocean. Na krótką metę taki układ był dobry dla ryb i morskich ssaków, ale zły dla niedźwiedzi.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w taflę wody. W końcu, z uczuciem ulgi, ale i smutku, zdał sobie sprawę, że jesiotry zdały już odpłynąć. Gdy wracał do Kuujuaq, ogarnęło go uczucie melancholii. Znow żałował, że nie dane mu było studiować zoologii arktycznej na uniwersytecie. Jako biolog byłby zdecydowanie szczęśliwszy niż jako policjant, pomyślał, stawiając czajnik na gazie. Rozejrzał się po swoim ciasnym mieszkaniu. Przypomnił sobie zaproszenie Steviego. Następnym razem nie odmówi.

Gdy był z Mishą, mieszkali w prowizorycznym domu dziesięć minut drogi od posterunku, na skraju osady, z pięknym widokiem na Arktykę. W słoneczne dni dziewczyna często powtarzała, że lód jest jak ocean monet. Często wyobrażała sobie, że zbiera je do wielkiego worka i kupuje w Yellowknife dom z dużą werandą, na której będą mogli oglądać zachody słońca. Latem jeździliby na wakacje na Karaiby. Prosiła Dereka, by wyobraził sobie, że są w miejscu, gdzie lód służy tylko po to, by wrzucać go do drinków z rumem. Derek nie miał serca burzyć jej marzeń, choć tak naprawdę nie lubił rumu, a myśl o miejscu, gdzie kostki lodu brzęczą w wymyślnych koktajlach, mroziła mu duszę.

Gdy Misha wyjechała, wprowadził się do ciasnego mieszkania na posterunku. Przeprowadzki nie żałował, ba, nawet ucieszył się, gdy do jego starego domu wprowadziła się

duża rodzina. Zawsze miał wyrzuty sumienia, że zajmuje za dużo miejsca, i chociaż czasem tęsknił do dawnych czasów, to tak naprawdę chodziło o Miszę, nie o jakikolwiek budynek. Nowe mieszkanie było małe i puste; dziewczynie na pewno by się nie spodobało, ale za to doskonale pasowało do Dereka i jego usposobienia.

Na kolację odgrzał sobie gulasz wołowy z puszki, po czym wrócił do biura i włączył komputer, by popracować nad swoim projektem. W środowisku naukowym panowało przeświadczenie, że czteroletni cykl populacyjny lemingów nie miał żadnego związku z ich głównymi drapieżnikami, takimi jak lis, sowa śnieżna i gronostaj, ale z obserwacji Dereka wynikało, że jest na odwrót.

Podejrzał, że populacja drapieżników kształtowała ten cykl. Wiedział, że w ten sposób całkowicie zmienia dotychczasowe podejście, więc musiał bardzo dokładnie przeanalizować zebrane przez siebie dane, jeżeli chciał mieć szansę na publikację w jakimkolwiek czasopiśmie naukowym. Cichy dźwięk zasygnalizował, że przyszły nowe wiadomości elektroniczne. Derek przejrzał listę. Nie było nic od Mishy. By zwalczyć uczucie rozczarowania, wstał i zrobił sobie herbatę. Gdy wrócił, wpisał do wyszukiwarki hasło „populacja lisa w Arktyce”, po czym nagle, wiedziony jakimś mrocznym impulsem, skasował je i zastąpił nazwiskiem Mishy. Robił to już wiele razy i za każdym razem coraz bardziej się nienawidził, ale nie mógł się powstrzymać. Niektórzy uzależniali się od gier albo pornografii, a Derek googlował Miszę. Pocięszało go tylko to, że zdarzało mu się to coraz rzadziej. Od ostatniego szpiegowania minęły trzy czy cztery miesiące.

Na ekranie zaczęła pojawiać się znajoma już kolekcja miniaturek. Po kilku chwilach Derek natknął się jednak na zdjęcie, którego wcześniej nie widział. Misha była na nim w towarzystwie jakiegoś mężczyzny, wyglądało na to, że się obejmują. Derek nie mógł się powstrzymać. Kliknął „powiększ” i już po chwili wpatrywał się w błękitne oczy wysokiego, dobrze zbudowanego *qalu-naata* o wydatnej szczęce i twarzy pełnej niezachwianej pewnością siebie, której jemu tak brakowało. Z jego postawy i promieniejącej szczęściem twarzy Mishy jednoznacznie wynikało, że są parą. Derek poczuł, że robi mu się niedobrze, a w głowie zaczyna się kręcić, jakby ktoś właśnie wystrzelił go z rakiety. Pod zdjęciem widniał napis „Tomas i Misha w Kopenhadze”.

Wyłączył monitor. Ekran zamigotał i zgasł, ale Derek wciąż widział przed oczami obraz szczęśliwej pary, jakby ktoś wypalił mu go na siatkówce. Przez chwilę miał ochotę coś rozwalić. Wstał, wrócił do swojego mieszkania i położył się na kanapie, czekając, aż się trochę uspokoi.

Z zamyślenia wyrwał go dźwięk otwieranych z impetem drzwi posterunku.

- Palliser? Wychodź, ty *uhuupimango*.

W nozdrza Dereka uderzył zapach taniej wódki. Nieraz nazywano go już grudą spermy, ale jeszcze nigdy na jego własnym terenie. Otworzył drzwi do biura. W stłumionym przez zasunięte żaluzje świetle rysowały się chwiejne sylwetki Jona Toolika i Toma Silliqa.

- Mam nadzieję, że to coś pilnego.

- Pilnego, co? - krzyknął Tom i, zataczając się, bezskutecznie zamachnął się na policjanta. - Jeszcze chwila, a będzie bardzo pilnie. - Mężczyzna był koncertowo wręcz pijany.

- No już, już, panowie, lepiej wracajcie do domu - powiedział Derek, omiatając wzrokiem pomieszczenie, by upewnić się, że ani on, ani Stevie, nie zostawili broni gdzieś na wierzchu.

Silliq i Toolik spojrzeli po sobie. Silliq zaczął chichotać. Korzystając z chwili zamieszania, Toolik znów spróbował wymierzyć mu cios, ale Derek zdążył się uchylić.

Policjant uznał, że bezpieczniej będzie wyjść na zewnątrz, ale przy drzwiach chwycił go Silliq. Derek odepchnął go, ale mężczyzna zamachnął się i przypadkowo uderzył go z całej siły w lewe oko. Palliser cofnął się o kilka kroków, zaskoczony i obolały, a tymczasem Toolik jeszcze raz go zaatakował, tym razem trafiając prosto w nos. Na kurtkę Silliqa trysnęła krew. Na chwilę

wszyscy zamarli, jakby nie wiedzieli, co teraz mają zrobić.

Toolik z trudnością przypomniał sobie, czym tak bardzo zdenerwował go policjant.

- Nie mieszaj się w nasze sprawy - powiedział.

Obrócił się i na chwiejnych nogach ruszył do drzwi.

Beknął, zasmarkał, podniósł głowę dumnie do drzwi i wymaszerował z posterunku, Tom Silliq patrzył jeszcze przez chwilę na policjanta, jakby czekał na jakieś instrukcje, po czym, zataczając się, podążył w ślady swego sąsiada.

Derek rzucił się do drzwi i zaryglował je od środka. Następnego poranka przyjdą do niego, czerwoni na twarzy, wciąż na wpół pijani, i bardzo, bardzo skrzeszeni. Wytarł nos dłonią. Krwi było zaskakująco dużo. Bolało go też oko, a ponieważ nie przez nie nie widział, założył, że musi być całkiem zapuchnięte.

Poszedł do łazienki, żeby obmyć twarz. Z biura dobiegł go dźwięk dzwonka. Z początku myślał, że to Silliq i Toolik, ale później przypomniał sobie, że miała dzwonić Edie. Umył ręce, wziął ze sobą ręcznik i udał się do pokoju.

- Edie?

- Cześć, Derek. Co u ciebie?

Policjant szeroko otworzył zdrowe oko i kilka razy rozdziawił usta, żeby sprawdzić, czy na pewno może mówić.

- Po prostu świetnie. — Nie pytał, dlaczego dzwoni tak późno. Musiała mieć swoje powody.

- Przeszkadzam ci?

Derek przycisnął ręcznik do obolałego oka i poczuł, jak coś pęka.

- Absolutnie nie.

Zaległa cisza. Mężczyzna poczuł, że to on będzie musiał ją przerwać.

- Chyba nie chodzi ci o tego myśliwego, tego co umarł, prawda?

Po drugiej stronie usłyszał pełne zakłopotania westchnienie. Derek czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach. W ustach mu zaschło, a język wydawał się dziwnie sztywny. Zakreśliło mu się w głowie.

- Jesteś chory, Derek?

- Nie - odpowiedział. - Chory nie jestem. - Było mu miło, że pyta.

- Przykro mi — powiedziała Edie. Jej głos stał się nagle poważny. — Chyba będę musiała ci zepsuć wieczór.

- O to się nie martw, Edie, naprawdę. - Ostrożnie dotknął oka. Zaczynało puchnąć. - Czuję się doskonale. A poza tym, jak może zauważyłaś, w zasadzie jest już noc.

- Jeżeli chodzi o Feliksa Wagnera - ciągnęła Edie -to prawda jest taka, Derek, że nie powinnam była podpisywać tego raportu. - Jej głos był zmęczony i ostrożny.

- Tydzień temu wróciłam na miejsce wypadku. Obeszłam je dookoła i spróbowałam to sobie jeszcze raz wyobrazić.

- Edie, jest późno - jęknął Palliser. - A poza tym podpisałaś raport, pamiętasz? - Miał nadzieję, że uda mu się ją zawstydzić, ale kobieta nie dała się zwieść.

— Kula trafiła Feliksa Wagnera z przodu, od góry. Znalazłam wtedy też ślad buta na wzniesieniu nad plażą, tam, gdzie musiał stać morderca. Zygzak i niedźwiedź polarny pośrodku. Poinformowałam o tym radę, ale nie uwzględnili tego w raporcie. Chodzi mi o to, Derek, że Wagner na pewno nie zginął od własnej kuli.

Policjant delikatnie dotknął oka.

- Nikt nie odwołał się od raportu starszyny. Jeżeli o mnie chodzi, to sprawa jest zamknięta. - Gdy tylko wypowiedział te słowa, poczuł się zawstydzony.

— Derek, proszę. — Edie potrafiła budzić w nim szlachetne intencje, przemawiała prosto do

jego sumienia. Nikt inny tak na niego nie działał.

- Edie, posłuchaj mnie - powiedział, resztkami sił próbując usprawiedliwić swoją inercję. — To nic sprawa Samwilliego Browna. Ten cały Wagner i jego asystent to nie są nasi ludzie.

— Z całym szacunkiem, Derek, ale chyba nie rozumiesz, o co chodzi. Feliks Wagner nie żyje. Nikt tak naprawdę nie wierzy w całą tę bajeczkę o zbłąkanej kuli, a jedyna osoba, która była wtedy z nim, nie jest niczemu winna. A przecież wiesz, jak jest. Nikt nie pojawia się w okolicy niezauważony.

O tym akurat Derek wiedział doskonale. Wystarczyło kichnąć w środku nocy w domowym zaciszu, a następnego dnia cała wioska pytała cię o zdrowie. Ironia północnego losu. Tundra musiała być jedynym miejscem na ziemi, gdzie jednocześnie można i nie można było się ukryć.

- Inaczej mówiąc - ciągnęła Edie - ktokolwiek zabił Feliksa Wagnera, musi wciąż przebywać w Autisaq lub w okolicy, zapewne w którejś z osad lub w terenie.

Derek poczuł się wyczerpany. Ludzie i tak nie lubili ich od czasu Nancy Brown. Starszyzna postanowiła wtedy nie drażnić sprawy. A on wciąż się zastanawiał, czy było warto się wychylać.

- Edie, zapominasz o czymś.

-Tak?

Policjant wziął głęboki oddech.

- Wszyscy. Mają. To. W. Dupie. Nic nie zyskasz na rozdmuchiwaniu sprawy, a możesz wiele stracić. - Poczul pogardę do samego siebie, ale ciągnął dalej. - Zacznie się polityka, kolejne awantury, a i tak nic nie wskóramy. Nikt nie będzie chciał współpracować.

Po drugiej stronie zapadła cisza. W końcu Edie odezwała się zrezygnowanym tonem.

- Ty też nie chcesz, jak widać.

Mężczyzna przez chwilę przysłuchiwał się szumowi radia. „Nie brzmiała na zagniewaną”, pomyślał; była tylko rozczarowana, a to o wiele gorsze. W jakimś innym, lepszym świecie miałyby rację, ale tutaj była Arktyka i niezależnie od tego, co wyobrażał sobie on, policja podbiegunowa, agendy rządowe, niezależne organizacje i cała reszta tych pożytecznych idiotów, obowiązywać mogły tu jedynie te zasady, które przyroda narzucała ludziom próbującym ułożyć sobie tutaj życie.

Wrócił do łazienki i spojrział w lustro. Oko było opuchnięte i fioletowe; nie mógł go otworzyć. A niech ta Edie idzie do wszystkich diabłów, przecież nawet nie ma żadnych konkretnych dowodów. Nawet jeżeli to, co mówiła, było prawdą, i Wagner nie zabił się sam ani nie zrobił tego jego partner, to pewnie po prostu jakiś lokalny myśliwy pomylił go z karibiu czy niedźwiedziem i wycelował. A potem zdał sobie sprawę z tego, co zrobił, uciekł i zaszył się gdzieś w głuszy.

Położył się do łóżka i otulił szczelnie kołdrą, ale bolało go oko, a wspomnienie słów przewodniczki nie dawało mu spać. Wstał, włożył polar, ocieplane spodnie, trzy pary skarpet, dwa szaliki, dwie czapki oraz mukluki i udał się do przybudówki. Kiedyś służyła ona za komórkę na węgiel, ale teraz Derek trzymał w niej swoje lemingi. Włączył światło. Zwierzątka spały w akwarium wyposażonym specjalnie tak, aby imitowało ono pod-śnieżne legowiska, w których stworzenia zazwyczaj spędzały zimę. Ostatnie kilka okazało się dla lemingów trudne, bo śniegowa czapa, pod którą zazwyczaj się chowały — nie był to zimowy sen, raczej sposób na zachowanie ciepła - topiła się zbyt wcześnie, zapadając się do środka i miażdżąc zwierzątka w ich legowiskach. Przez dłuższą chwilę patrzył, jak śpią. Były tak spokojne, że równie dobrze mogłyby nie żyć.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Edie usiadła przed telewizorem i próbowała poprawić sobie humor swoim ulubionym daniem złożonym z *maktaq* i mięsa jeżowca. *Maktaq*, gruba, gumowata skóra wieloryba, pod którą skrywała się warstwa kremowego, lekko kwaskowatego tłuszczu, przypominał jej zapach morza latem. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz go jadła.

Wszystkie arktyczne osady zostały poinformowane o zagrożeniach związanych ze spożywaniem tłuszczu morskich ssaków, ale tego wieczora Edie ani trochę nie przerażało zatrucie PCB - polichlorowanymi bifenyłami. PCB nie można było zobaczyć gołym okiem, nie było ich czuć, nie można było ich dotknąć, a naukowcy wciąż spierali się co do tego, skąd tak naprawdę biorą się te związki chemiczne. Może z rosyjskich elektrowni atomowych, może z powojennych stacji radarowych, może z amerykańskich łodzi podwodnych - w każdym razie ostrzeżenia przed PCB wydawały się abstrakcyjne i mgliste. Nie wątpiła w twierdzenia naukowców, że skażenie może powodować deformacje płodu i pochwałała kampanię Roberta Patmy, który zachęcał kobiety w wieku reprodukcyjnym, by ograniczały spożywanie ryb i karibu, ale nie tak jak *maktaq* nie potrafiło wprowadzić jej w stan harmonii ze światem. Poza tym Edie nie zamierzała mieć dzieci. Przepiła większość swoich najbardziej płodnych lat; teraz miała trzydzieści trzy lata i teoretycznie była gotowa na założenie rodziny, tylko że nie miała z kim. Przez siedem lat była macochą Willi i Joego, z którym zresztą do tej pory była bardzo blisko. Żałowała, że nigdy nie czuła się tak samo przywiązana do Willi, ale widocznie tak musiało być.

Rozmowa z Derekiem Palliserem wytrąciła ją z równowagi. Zdawała sobie sprawę, że była zbyt nachalna, że wykazała się nadmiarem *ihumy*, tej porywczosci i ego, dzięki której kiedyś była tak dobrą łowczynią, a później, zdaniem Sammyego, stała się trudną żoną. Rozsądek jej podpowiadał, że policjant ma rację. Przynajmniej raz w życiu mogłaby się nie wychylać. Czy to, jak naprawdę zginął Feliks Wagner, miało jakiegokolwiek znaczenie? Z drugiej strony jednak, Joe zaraził ją jakąś negatywną energią. Wiedziała, że nie spocznie, dopóki nie pozna odpowiedzi. Być może powrót do trzeźwości sprawił, że zbyt przywiązała się do rzeczywistości. Wcześniej jej za wszelką cenę unikała. Siedziała więc na kanapie, jedząc *maktaq*, choć wiedziała, że to niezdrowe. Zajmowanie się sprawą Wagnera też nie wróżyło nic dobrego, ale wciąż czuła, że musi dowiedzieć się prawdy.

Drzwi na ganek śnieżny otworzyły się, a do środka zajął Sammy Inukpuk. Edie wyłączyła DVD. Wiedziała, że będzie próbował zostać u niej pod byle pretekstem.

- Cześć, Edie - powiedział. Gdy zobaczył resztki na jej talerzu, zapytał, czy jeszcze coś zostało.

- Nie masz szczęścia. - Gestem dłoni kazała mu usiąść na krześle po drugiej stronie telewizora, ale Sammy zajął miejsce obok niej, na kanapie. — Znowu ci się zepsuł telewizor?

- Nie. - Mężczyzna się zawahał. - Mam ochotę na piwo. - Sammy przybrał bardziej wesoły ton. - Widziałas, jak Joe podrasował swój skuter? Wygląda jak nowy. Super. Musiało go to słono kosztować. Ciekawe, skąd wziął pieniądze, smarkacz jeden.

Edie spojrzała na niego z ukosa. Jej były mąż doskonale wiedział, skąd jego syn miał pieniądze. Dała mu zaliczkę na poczet tego, co miała dostać za wyprawę z Wagnerem. Po jego śmierci żona odmówiła zapłaty, a Edie nie miała serca prosić pasierba o zwrot. Sammy chciał dać jej do zrozumienia, że wie, że kobieta nie ma pieniędzy, a to mogło oznaczać tylko jedno - przyszedł złożyć jej jakąś propozycję.

- I co z tym piwem?

Edie machnęła warkoczami. Jeżeli Sammy zacznie pić, to i jej trudno będzie się powstrzymać. W jej domu nie miał prawa nawet wspominać o alkoholu.

- Sammy Inukpuku, cokolwiek masz do powiedzenia, powiedz to na trzeźwo.

Mężczyzna przybrał minę zbitego psa.

- Oj, Edie, miałem ciężki dzień. - Zawsze potrafił sprawić, że czuła się źle. Lubił to wykorzystywać.

- No dobrze - powiedziała.

Poszła do kuchni i postawiła czajnik na gazie. Gdy woda się gotowała, wyciągnęła klucz do szafki, w której trzymała alkohol. Aby dostać się do klucza, trzeba było się trochę natrudzić. Tak to sobie obmyśliła. Gdy ktoś ją o to pytał - co zresztą zdarzało się nader rzadko - wyjaśniała, że przechowuje alkohol dla gości. Tak naprawdę jednak trzymała go dla siebie - żeby sprawdzić, czy będzie w stanie wytrzymać. Wiedziała, że nie jest jeszcze na tyle silna, by szafka mogła być otwarta, ale uparcie dążyła do celu. Dopiero wtedy, gdy alkohol w końcu przestanie ją kusić, będzie wiedziała, że jest wolna. Wyjęła z szafki puszkę Budweisera, zamknęła ją na klucz i zrobiła sobie kubek słodkiej herbaty. Sammy pociągnął długi łyk piwa.

- Załatwiłem ci robotę przewodnika.

Były to dobre, choć niespodziewane wieści. Sammy rzadko składał jej tak sensowne propozycje. Edie czuła się winna, że tak źle myśli o swoim byłym mężu. Z jakiegoś powodu zawsze, gdy byli razem, czuła się źle.

- Facet nazywa się Bill Fairfax, to jakiś potomek tego białego podróżnika, jak on się zwał?

- Sir James Fairfax? To ten sam facet co ostatnio?

Kilka lat wcześniej na Ellesmere przyjechał człowiek podający się za potomka Jamesa Fairfaksa. Towarzyszyła mu ekipa filmowa, która miała nakręcić dokument na podstawie przedostatniej wyprawy podróżnika. Edie niewiele z tego pamiętała. Tamte lata były dla niej stracone.

- Tak, ten sam. Chce odnaleźć szczątki swojego przodka. Twierdzi, że muszą być gdzieś na Craig. Tym razem zabiera ze sobą tylko swojego asystenta, ale twierdzi, że może uda im się zainteresować jakąś telewizję, żeby nakręcić kolejny program.

Z pozoru był to świetny interes. Mała grupa, która prawdopodobnie miała już pewne pojęcie o lokalnych warunkach, żadnych łowów, a wyspę Craig Edie знаła jak własną kieszeń. Raczej mało prawdopodobne, że uda im się znaleźć ciało Fairfaksa, ale zawsze można spróbować. Tundra, przykryta grubą warstwą lodu i śniegu, stanowiła tak naprawdę jedną wielką kostnicę na świeżym powietrzu

- kości, poroża, szkielety. Nic się nie rozkładało, niczego nie dało się pochować na dłużej. W Arktyce nie ma miejsca na archeologię. Historię widać tu jak na dłoni.

Południowcy często zachwycali się tym, jak dawna i niedawna historia spotykają się w teraźniejszości, jakby wszystko, absolutnie wszystko, wydarzyło się wczoraj, w ciągu jednego dnia. Parę lat temu grupa antropologów z uniwersytetu w Albercie odkryła nieopodal ciała pierwszego oficera jednej z dawnych ekspedycji. Jego towarzysze pochowali go pod skałami, ale dziesięciolecia wiatru i pogody zdołały wydostać ciało spod głazów. Mężczyzna leżał, odsłonięty, na lodzie, a jego zwłoki zachowały się w niemal nienaruszonym stanie - włosy, zęby, paznokcie.

Z drugiej strony, nie był to najlepszy czas na szukanie zwłok. Lód i śnieg nie zaczęły jeszcze topnieć.

- Mówiłem im o tym. - Sammy pokiwał głową. - Ale jakoś się tym nie przejęli.

- No cóż, jeżeli wiedzą, że raczej nic nie znajdziemy, to ich problem. - *Qalunaaci* często nie zdawali sobie sprawy, dlaczego tak naprawdę chcą wybrać się na północ.

- Może ciało zostawiono w jakiejś jamie czy coś. Nie znam się na tym.

- Ile płacą?

- Zwykłą stawkę.

- Dlaczego ty nie chcesz tej roboty? - Edie zmrużyła oczy, czekając, aż Sammy zdradzi haczyk. Jej były mąż wlepił wzrok w podłogę.

- Mam za dużo roboty w starszyźnie. - Dopił piwo.

- A poza tym ty najlepiej znasz Craig. - To akurat była prawda, chociaż mówił to tylko po to, by ją zmiękczyć.

Edie zamyśliła się na chwilę. Pieniądze były najważniejsze.

- Jasne - powiedziała, wciąż czekając na haczyk.

- Przylatują jutro wraz z zaopatrzeniem. - Mężczyzna się zawahał. — Jest tylko jeden problem.

Kobieta zmarszczyła nos. Cóż. Sammy nigdy się nie zmieni, zawsze będzie przebiegły, skryty; nigdy wszystkiego ci nie powie. Z tym Sammym się rozwiodła. „Że niby ja najlepiej znam Craig, jasne”.

- Problem polega na tym, że asystentem Billa Fairfaksa... - mężczyzna urwał zawleczkę puszki i wrzucił ją do środka - jest Andy Taylor.

Przez chwilę kobieta myślała, że się przesłyszała. Czego ten cholerny chudzielec szuka w Autisaq? I to akurat teraz, kiedy w końcu udało jej się przekonać samą siebie, że musi zostawić sprawę Feliksa Wagnera w spokoju.

- Wiesz dobrze, że nie znoszę tego faceta. Nie mógłbyś sam się tym zająć? Ja wezmę następną grupę. - Edie poczuła, że ogarnia ją złość.

- Mówiłem ci, że mam dużo roboty. - Mężczyzna grzechotał puszką.

Edie nie chciała mieć już nic wspólnego z Andym Taylorem. Z drugiej strony, gdyby teraz odmówiła, musiałaby wrócić na koniec kolejki do prowadzenia następnej wyprawy.

Potrzebowała tych pieniędzy, o czym Sammy dobrze wiedział.

- Nie martw się, załatwiłem to tak, że nie będziesz jego przewodniczką, zajmiesz się tylko tym drugim.

- Dlaczego? Taylor zostanie w osadzie?

- Nie do końca - wyjaśnił Sammy. - Chcą wyruszyć w dwóch osobnych drużynach. Jedna uda się na zachód, nieopodal Uimmatisatsaq, tam gdzie byliście ostatnio, a druga okrąży fiord Fritjof na wschodzie. Powiedziałem im, że zabierzesz Fairfaksa na fiord. Joe zgodził się wyjechać z Taylorem.

To chyba najbardziej zaskoczyło Edie. Sammy musiał sporo główkować nad tą intrygą, a do tego jeszcze udało mu się przekonać do niej Joego. I nawet nie zapytał jej o zdanie.

- Poczekaj chwilę, Sammy Inukpuku — powiedziała.

- Nie możesz wypuścić swojego syna w teren z tym człowiekiem. Andy Taylor to niedoświadczony panikarz, nie można na nim polegać.

Sammy nachmurzył się i zacisnął wargi.

- Nie będziesz mi mówić, jak mam traktować mojego syna. To ty nas porzuciłaś, pamiętasz? - Wstał i ruszył do drzwi.

To nie był pierwszy raz, kiedy próbował udawać moralną wyższość. Zachowywał się wtedy tak, jakby w jego oczach była tylko stukniętą babą, która opuściła swoją rodzinę. Edie zaczęła skubać warkocze, Sammy przygryzł wargi. Wiedział, że to słowo na „p” ją rani.

- Trzy dni, może sześć - powiedział, kręcąc głową. - Trzy dni.

Kobieta ruszyła za nim. Otworzyła drzwi na ganek. Zimno uderzyło w nią jak zły sen.

- Sammy?

Jej były mąż spojrzął na nią znad sznurówek.

- Jeżeli coś pójdzie nie tak, to nigdy ci tego nie wybaczę.

Sammy zawiązał buty, wstał i machnął ręką.

- Nie proszę cię, żebyś mi zaufała, Edie. Wiem, że nie potrafisz. Ale miej trochę wiary w swojego pasierba.

Edie poczuła, jak się rumieni ze wstydu. Jej były mąż miał rację. Joe był doskonałym przewodnikiem i znał Craig niemal tak dobrze, jak ona. Poza tym Andy Taylor nie był złym człowiekiem. Wymagał tylko dużo uwagi.

- Masz rację - powiedziała skruszonym tonem. Mężczyzna się uśmiechnął i puścił do niej oko. Otworzył drzwi i wyszedł za próg, na nocny mróz.

- Sammy?

- Tak?

- Wisisz mi piwo.

* * *

Następnego ranka, w środę czternastego kwietnia, Edie wsiadła na skuter i ruszyła w kierunku pasa lotniczego. Podskakując na lodowych wybojach, rozmyślała o czekającej ją wyprawie. Była już dość późna wiosna, więc lód stawał się coraz mniej stabilny, ale tak naprawdę nie zaczął się jeszcze rozpadać. Na to trzeba było poczekać jeszcze ze dwa miesiące. Przy brzegu pojawiały się już nieliczne pęknięcia, ale wystarczyło zachować odpowiednią ostrożność, by uniknąć problemu. Taylor i Fairfax chcieli spędzić w terenie trzy dni. Gdyby pogoda była zła, czas wyprawy mógł się nieco przeciągnąć, może o dwie doby, ale o tej porze roku śnieżyce trwały raczej krótko.

Wkrótce usłyszała szum zbliżającego się samolotu. Nie widziała go, bo niebo było spowite gęstą kołdrą białych, skłębionych chmur. Na wysokości tysiąca sześciuset kilometrów musiało nieźle trząść. Edie miała nadzieję, że Andy Taylor i Bill Fairfax nie cierpią na chorobę samolotową.

Minęła niewielki, pusty cmentarz, myśląc o ciałach Jamesa Fairfaksa i jego ekipy, leżących gdzieś daleko, daleko w tundrze, tysiące kilometrów od domu. Jej pra-pradziadek, Welatok, spoczywał w grobie nieopodal Etah na Grenlandii, w obcym kraju, gdzie jego samotna dusza nie mogła zapaść korzeni.

Tutaj w Autisaq nagrobki były całkowicie pokryte śniegiem, ale krewni zatknęli sztuczne kwiaty w odpowiednich miejscach, tak że cała przestrzeń wyglądała jak jakiś dziwny, wymyślny projekt artystyczny. Gdy nadejdzie czas, Edie chciała być pochowana porządnie, po inuicku, pod stertą głazów gdzieś w tundrze, z *inuksukiem* lub kamiennym kopcem, by oznaczyć miejsce jej spoczynku.

Nagle uderzyła ją myśl, że być może grób Fairfaksa też został w jakiś sposób oznaczony przez tych, którzy przetrwali dłużej, niż on. Z drugiej strony, Edie na pewno już dawno znalazłaby taką konstrukcję. Chociaż może wcale nie znała Craig tak dobrze, jak jej się wydawało. Może poszukiwania wcale nie okażą się bezowocne.

Samolot wyłonił się spod chmur. Edie sprawdziła wieczorem rozkład lotów. Wiedziała, że u sterów siedzi ciotka Martie. Gdy nie piła, była najlepszym pilotem w całej Arktyce. Była zresztą jednym z niewielu inuickich pilotów i jedyną kobietą wśród nich. Musiała być dwa razy lepsza od wszystkich, żeby dostać licencję. Owszem, była nieco ekscentryczna, może nawet zwariowana, ale setki razy wyciągała Edie z kłopotów i chociaż jej własna walka z alkoholizmem była pasmem porażek, to zawsze starała się robić wszystko, by jej siostrzenica trzymała się z dala od alkoholu. Edie kochała ją i szanowała.

Martie wyprowadziła samolot zza gór, tak żeby uniknąć wirów powietrznych. Wzięła ostry

zakręt, odwróciła maszynę i ustabilizowała jej pozycję. Samolot przez chwilę wisiał nieruchomo nad pasem, po czym powoli zaczął się zniżać, aż w końcu miękko uderzył o ziemię i zaczął jechać po zwirowym podłożu. Martie zatrzymała się idealnie naprzeciw niewielkiego, szkieletowego budynku, który służył jako terminal. Chwilę później w drzwiach ukazał się wysoki, szczupły mężczyzna, który kulił się pod napływem zimnego powietrza. Tuż za nim szedł Andy Taylor. Wyglądał na roztrzęsionego. Gdy tylko postawił stopę na żwirze, zgiął się wpół i zwymiotował. Bill Fairfax odwrócił się na chwilę, zmarszczył nos w obrzydzeniu i ruszył w stronę terminala. „Czyli łączą ich tylko biznesowe relacje”, pomyślała Edie.

Fairfax był eleganckim, zadbanym mężczyzną po pięćdziesiątce. Wiedziony arktyczną nostalgią nosił tradycyjne obuwie ze skóry karibu, mukluki. Gdy się poruszał, włosie jego foczej kurtki odbijało światło, otaczając go niemal mistyczną aurą. Rozmówcy w plotkach klienci Sklepu Północnego będą się z tego stroju śmiać tygodniami. Edie pomyślała, że Fairfax wykazał się urzekającą nadgorliwością.

Podeszła do mężczyzn, przedstawiła się i przeprosiła za nieobecność Joego, który pomagał Robertowi Patmie w obowiązkach w stacji sanitarnej. Z bliska widać było, że jej podopieczny jest uderzająco podobny do swojego wielkiego przodka, którego zdjęcie Edie pamiętała ze szkolnego podręcznika. Było to wręcz niepokojące, jakby duch zmarłego podróżnika powrócił na ziemię, by załatwić swoje niedokończone sprawy.

- Taylor opowiadał mi, że poluje pani na niedźwiedzie. - Bill Fairfax mówił starannym akcentem, precyzyjnie dobierając słowa. Sammy nie wiedział, gdzie mieszka, ale Edie podejrzewała, że w Anglii. Krainie Elżbiety, jak nazywali ją miejscowi.

- Kiedyś tak, ale to było dawno, dawno temu.

- Aha. - W głosie mężczyzny słychać było rozczarowanie.

Oboje byli skrepowani, próbowali nie spoglądać w kierunku Taylora, który starał się zakopać wymiociny pod warstwą żwiru.

- Ale z tego co wiem, doskonale radzi sobie pani w terenie - Bill Fairfax postanowił wrócić do tematu polowań.

Edie zastanawiała się przez moment, czy mężczyzna chce w ten sposób wyrazić swój brak zaufania wobec niej, ale doszła do wniosku, że wręcz przeciwnie. Mimo że sama była w połowie biała, często miała problemy ze zrozumieniem ludzi Południa. Ich intencje nie były dla niej przejrzyste.

- Tamta wyprawa łowiecka musiała być koszmarem

- ciągnął Fairfax.

Edie przełknęła ślinę. Taylor nie był chyba aż tak głupi, żeby opowiedzieć Fairfaksowi o Wagnerze?

- Po prostu mieliśmy wtedy pecha - odpowiedziała wymijająco.

- Jest pani zbyt skromna. Taylor o wszystkim mi mówił; opowiadał, jak zbudowaliście schron. Niezła śnieżycyca was złapała.

- Ach, o to chodzi. — Edie nieco się rozluźniła. Domyślała się, dlaczego Taylor skłamał, i sama zamierzała z tego samego powodu dostosować się do jego wersji. Oboje potrzebowali pracy. Być może chudzielec nie był tak głupi, za jakiego go uważała.

W tej samej chwili Taylor podszedł do nich i wyciągnął do Edie opatuloną w rękawiczkę dłoń. Kciukiem pokazał na Martie, która sprawdzała właśnie stan samolotu.

- Ta kobieta jest naprawdę szalona.

- I tak masz szczęście, przynajmniej dzisiaj jest trzeźwa — odpowiedziała Edie, a Taylor się roześmiał.

Przewodniczka zaprowadziła mężczyzn do hotelu, po czym udała się do kliniki, żeby

poinformować Joego o spotkaniu organizacyjnym w biurze burmistrza. Robert Patma wyjaśnił, że Joe rozmawia akurat z Minnie Toluuk i za chwilę do niej wyjdzie.

Patma mieszkał w Autisaq od trzech lat i Edie coraz bardziej go lubiła. Jak większość *galunaatów* przyjechał tu na dwuletni kontrakt, jednak w przeciwieństwie do reszty postanowił zostać. Był twardym człowiekiem, który rzadko się skarżył i chociaż z pozoru wydawało się, że został w Autisaq z czysto cynicznych pobudek -bonus za trudne warunki pracy i długie urlopy - nierzadko poświęcał się lokalnej społeczności o wiele bardziej, niż wymagała tego od niego umowa. Nie musiał wcale przyjmować Joego jako wolontariusza w klinice, a tymczasem ofiarował mu dużo cierpliwości i zaangażowania, w ciągu kilku miesięcy stając się właściwie jego najlepszym przyjacielem. Joe często odwiedzał Roberta po pracy. Słuchali razem muzyki i jedli wyśmienite curry przyrządzone przez pielęgniarkę.

Edie weszła do kuchni, gdzie Patma robił herbatę, i zapytała go o zdrowie jego ojca.

- Czuje się dobrze - odpowiedział. - Słodzisz?

- Tak. - Patrzyła, jak Robert wrzuca do szklanki jedną kostkę. - Przykro mi, że twoja mama zmarła.

Mężczyzna zamrugnął nerwowo.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

Edie sięgnęła po więcej cukru, ale Robert cofnął naczynie.

- Lepiej uważaj - powiedział. - Cukrzyca to w Arktyce prawdziwa epidemia.

- Jeszcze tylko jedną, proszę.

Pielęgniarka uśmiechnęła się blado.

Joe wszedł do kuchni. Przez chwilę rozmawiał z Robertem o tym, co trzeba będzie zrobić, gdy on będzie na wyprawie, po czym włożył kurtkę, buty i ruszył wraz z Edie w stronę biura burmistrza.

- Joe, jeżeli nie chcesz zajmować się tym całym Taylorem, to nie musisz. Wiesz o tym, prawda? Nie musisz robić nic tylko dlatego, że ojciec tak ci kazał.

Chłopak spojrzał na nią z czułością i wzruszył ramionami.

- Jak dostanę dyplom, będzie inaczej.

- Zostaniesz w Autisaq, prawda?

Joe pokręcił głową.

- Pojadę do Yellowknife albo Iqaluit, do jakiejś większej miejscowości. - Zmrużył oczy i pstryknął Edie w nos. - Pojedziesz ze mną, Kigga?

- Jasne - odpowiedziała. - Pewnie, że tak. - Naprawdę tak myślała.

* * *

W biurze było tak gorąco, że prawie nie dało się oddychać. Fairfax skarżył się na chłód, więc Sammy podkręcił piec. Edie spojrzała na termostat. Szesnaście stopni. Jak w szklarni. Taylor siedział w polarze i wycierał pot zbierający się wokół karku. Wyglądał na spiętego. Fairfax, niczym król życia, rozsiadł się na krześle obok. Jego strój - gruby kardigan i spodnie z owczej wełny - świadczył o tym, że wciąż rozpiera go duma z jego pradziada.

Po rym, jak pierwszy dokument odniósł sukces, Fairfax odebrał telefon od pewnej stacji telewizyjnej, która zaproponowała mu nakręcenie programu o poszukiwaniu jego przodka. Nie podobało mu się jednak to, jak potraktowali temat.

- Pewnie słyszeliście plotki?

Sammy, Joe i Edie pokiwali głową. Tę opowieść znali wszyscy. Gdy uczestnicy ostatniej wyprawy Jamesa Fairfaksa wpadli w tarapaty, nieopodal obozowiska przejeżdżała grupa Inuitów. Z daleka widzieli coś, co wyglądało jak rozciągnięte do wysuszenia ludzkie mięso. Historię opowiedziano białym kupcom, którzy czasami odwiedzali te rejony, a oni ponieśli ją dalej,

okraszając sporą dozą fantazji. Gdy wieść dotarła do Londynu, to wywołała ogromny skandal, kładąc się cieniem na reputacji podróżnika. To właśnie z tego powodu dotychczasowi sponsorzy Fairfaksa odmówili sfinansowania ekspedycji ratowniczej. Zresztą i tak pewnie byłaby bezcelowa. Łódź Fairfaksa, „Odwagę”, znaleziono na północ od półwyspu Cumberland. Statek był opuszczony. Ciało członków wyprawy nigdy nie odnaleziono.

Bill opowiadał, a Joe zerknął na Edie, szukając w niej punktu zaczepienia. Zawsze widział w niej pomost pomiędzy swoim własnym światem a nieznaną krainą, która leżała na południu. Macocha uśmiechnęła się do niego ciepło; później o tym porozmawiają. Wiele czytała o dawnych, białych podróżnikach, wiedziała więc, że widmo kanibalizmu wisiało nad nimi niczym złowroga kłątwa. Tymczasem dla Inuitów spożywanie ludzkiego mięsa było po prostu ostatnią deską ratunku i należało z niej korzystać. Najgorszą rzeczą, jaką mógł zrobić Inuk, było poddać się, wybrać prostą ścieżkę, zamiast walczyć o to, by wrócić do rodziny i zapewnić jej byt. W ten sposób skazywał swych bliskich na śmierć i okrywał hańbą swoich przodków. W świecie *galunaatów* było na odwrót. Sir James Fairfax, który zrobił wszystko, by przetrwać, stracił dobre imię właśnie z tego powodu.

„Ostatni znany dziennik Jamesa Fairfaksa został niedawno odnaleziony u jednej z ciotek Billa”, ciągnął biały mężczyzna. Jego przodek prowadził zapiski bardzo skrupulatnie, skrzętnie notując warunki pogodowe, decyzje nawigacyjne, jak również listy zapasów i codzienne sprawy załogi. Dzienniki z dwóch pierwszych arktycznych ekspedycji z 1840 i 1843 roku już od dawna były częścią kolekcji Scott Polar Institute w Cambridge. Rodzina wiedziała, że zapiski z przedostatniej wyprawy Fairfaksa z 1847 roku muszą znajdować się gdzieś w archiwach, ale dopiero Billowi udało się odnaleźć je w starym pudle pełnym różnych drobiazgów, które ciotka przekazała mu w testamencie. Mężczyzna wątpił, by staruszka znała zawartość skrzyni; zostawiła mu przecież kilkadziesiąt kufrów i kartonów, z których większość zawierała tylko sterty starych rachunków. Mimo to udało mu się odnaleźć niespodziewane trofeum. Dziennik miał szczególną wartość również dlatego, że zawierał szczegółowy plan kolejnej wyprawy, tej właśnie, podczas której sir James Fairfax i jego towarzysze rozpłynęli się w powietrzu.

Bill westchnął. Sir James planował spędzić wrzesień na wyspie Craig, by zapolować na jesiotry, których mięso miało im starczyć na całą zimę. Podczas swej przedostatniej wyprawy znalazł kilka miejsc, które nadawały się na obozowisko - jedno z nich nieopodal Uimmatisatsaq, drugie na wschodzie wyspy przy fiordzie Fritjof. Bill rozłożył mapę na stole i wskazał oba miejsca Edie i Joemu, by mogli się im przyjrzeć.

Nikt nie wie, co poszło nie tak. Może jesiotry obrały inną trasę, może w obozie wybuchła choroba - Bill Fairfax miał jednak przeczucie, że jego przodek dotarł na fiord. W każdym razie wierzył, że jeżeli uda mu się odnaleźć ciało Jamesa, sekcja zwłok na pewno wykaże, że podróżnik zmarł na skutek hiperwitaminozy lub szkorbutu, a nie z głodu. Bill nie wierzył, że jego przodek mógł posunąć się do kanibalizmu.

W pokoju zapadła cisza.

- Nawet uzbrojeni w te wszystkie mapy i dziennik możemy nic nie znaleźć - powiedziała Edie. — To jak szukanie płatka śniegu w górze lodowej. Łatwiej będzie latem, kiedy ziemia jest częściowo odsłonięta.

Fairfax chrząknął.

- Wiem, że to zabrmi dziwnie, ale muszę jak najszybciej sprzedać dziennik. Kiedy to zrobię, rozpocznie się dyskusja. Mamy nadzieję, że uda nam się zebrać wystarczająco dużo materiału, by zainteresować ekipę filmową. I wtedy wrócimy latem, już z kamerami.

„Czyli chodzi o pieniądze i ego”, pomyślała Edie. Nie żeby ją to obchodziło. Nieraz już prowadziła ekspedycje, w których chodziło tylko o poprawienie samopoczucia ich uczestników.

Przypomniała sobie magnata golfowego z Japonii, który koniecznie chciał ubierać się w skórę niedźwiedzia polarnego, francuskiego agenta nieruchomości, który chciał koniecznie udowodnić, że Galowie odkryli Ziemię Baffina tysiąc lat przed wikingami, i amerykańską gwiazdę filmową, która chciała zamieszkać w igloo, by badać „lód w swej duszy”. Była pewna, że jeszcze nieraz przyjdzie jej spotkać się z podobnymi postrzeleńcami. Jej praca polegała na tym, by dostarczyć im „autentycznych” przeżyć i, jak to mówią południowcy, „zarządzać ich oczekiwaniami”.

- Jeżeli o mnie chodzi, to musicie tylko wiedzieć, że najprawdopodobniej nic nie znajdziemy.

Poza tym nie ma problemu.

Bill pochylił się nad stołem i wyciągnął do niej dłoń.

- Zrozumiano.

* * *

Był późny wieczór. Edie sprawdziła stan skutera i spakowała ekwipunek, po czym usiadła przed telewizorem, by obejrzeć *Generała*. To była jej ulubiona niema komedia. W Busterze Keatonie tkwiła nieprzeparta siła życiowa, widoczna w każdym jego ruchu, gdy skakał między wieżowcami, uskakiwał przed nadjeżdżającymi pociągami i wbiegł wprost pod kopyta rozszalałego stada koni, co chwilę unikając niechybnej śmierci, jakby miała ona nad nim tyle władzy co ciepły, wiosenny deszcz. Nieważne, ile razy Edie oglądała ten film - zawsze, gdy zbliżała się jedna z jej ulubionych scen, czuła w ciele przyjemne mrowienie.

Film pochłoniął ją tak, że nie czuła upływu czasu. Ktoś nagle zapukał do drzwi. Wiedziała, że musi to być jeden z *galunaatów* - Inuici uważali pukanie za obrazę, bo sugerowało ono, że wizyta może być niemile widziana. „Wchodź!” krzyknęła. Chwilę później w drzwiach pojawił się Andy Taylor, przynosząc z sobą woń whisky i puszkę Budweisera.

- Mogę na słówko?

- Pewnie - powiedziała, nie spuszczać oczu z ekranu. Miała nadzieję, że mężczyzna zrozumie aluzję. - Wejź.

Stał przed nią z niewyraźną miną. W jego prawym uchu migotał diamentowy kolczyk.

Chciał się z nią pogodzić, ale nie wiedział, jak zacząć.

- Pewnie się mnie nie spodziewałaś.

- Nie - odpowiedziała kobieta. Prawdę mówiąc, była wręcz zniesmaczona. - Czego tu znowu szukasz?

Mężczyzna wziął łyk piwa i odłożył puszkę na stół. Chwiał się na nogach.

- Tak jak mówi Fairfax, chcemy nakręcić dokument.

- Gówno prawda.

- No dobra, po prostu jestem splukany. — Wzruszył przepaszająco ramionami. - Ta zdzira, wdowa po Wagnerze, nie zapłaciła mi. - Edie spostrzegła, że paznokcie Andy'ego są pogryzione do krwi. Utknął w pułapce bez wyjścia. - Myślisz pewnie, że jestem sprzedajną dziwką, ale nie ma co się tak puszyć. Popatrz na siebie, sama udajesz dla pieniędzy prawdziwą Eskimoskę. Jedziemy na tym samym wózku.

- Być może - odpowiedziała Edie. - Posłuchaj mnie, mój drogi, twoje motywacje mnie nie obchodzą, ale jeżeli będziesz się zachowywać z Joem tak, jak kilka tygodni temu ze mną, to możesz być pewien, że będzie to koniec twojej kariery, czy jak to nazwać.

- Trzy dni - powiedział. - Trzy dni i znikam ci z oczu.

Edie wstała i podeszła do drzwi.

- Do zobaczenia jutro.

Tym razem mężczyzna pojął aluzję, uśmiechnął się do Edie w przejściu i wyszedł na werandę, by założyć buty.

Gdy wyszedł, przewodniczka podniosła pustą puszkę Budweisera i potrząsnęła nią. Spód

puszki był wciąż ciężki. Zawartość zachlupotała cicho. Kobieta poszła do kuchni i wylała resztkę piwa do zlewu. W tej samej chwili usłyszała, jak drzwi ganku się otwierają. Do środka wszedł Joe. Edie pospiesznie wrzuciła puszkę do kosza i przykryła ją innymi śmieciami.

- Byłeś z ojcem?

Joe wszedł do kuchni i zajrzał do lodówki.

- Ano. Sprawdziliśmy skutery i zebraliśmy sprzęt. Pożyczyłem Andy'emu jeden z moich harpunów, żeby mógł doświadczyć polowania na ryby w Arktyce.

Po raz pierwszy od śmierci Wagnera Joe wydawał się zadowolony i zrelaksowany. Nie pytał o ślady butów prowadzące do domu Edie, a ona o niczym mu nie powiedziała. Chłopiec tego potrzebuje, pomyślała, potrzebuje łatwej, przyjemnej wyprawy. Przecież nikt nie umrze.

- Jadłeś już?

- W sumie tak - odpowiedział. Zawsze tak mówił, gdy w domu swojego ojca najadł się jakichś świństw.

- Posłuchaj - powiedziała. — Jeżeli chodzi o tego chudego *qalunaata*, to musisz na niego uważać. Jest oślizgły.

- Kigga - mruknął Joe, dając jej pstryczka w nos. — Ja już jestem dorosły, wiesz?

Wyruszyli wcześniej rano, przejeżdżając skuterami przez wzgórza zbitego lodu na płaski, nadmorski teren. Z każdą kolejną godziną chmury znikwały, aż w końcu, późnym porankiem, powietrze stało się suche i przejrzyste. Warunki pogodowe były wprost idealne.

Podróżnicy podzielili się na dwie ekipy - Joe poprowadził swojego podopiecznego w kierunku zachodniego wybrzeża Craig, a Edie ruszyła na wschód starymi, myśliwskimi ścieżkami przez wydmy, by dotrzeć na Fritjof. Dwa razy zatrzymywali się na krótki posiłek i łyk gorącej herbaty, po czym znów jechali przez lodową pustynię. Widoczność była doskonała aż do późnego wieczora, a słońce opromieniało długi, poszarpany zarys położonej na południu wyspy Taluritut, którą południowcy zwali Devon. Edie jechała z przodu, od czasu do czasu słysząc pełne dziecinne podniecenia okrzyki Fairfaksa.

Rozbili obóz na zbitym, przybrzeżnym lodzie i zjedli gulasz z kaczki z plackami owsianymi. Nad nimi unosiło się pełne blasku, chłodne słońce arktycznej wiosny. Przez jakiś czas wpatrywali się w horyzonty.

- Opowiedz mi coś, Edie - powiedział Fairfax.

- O czym?

- Och, nie wiem, coś o Arktyce.

Kobieta zamyśliła się na chwilę. Od czego zacząć? W myślach przewertowała katalog arktycznych ciekawostek.

- W Arktyce tęcza zatacza pełen okrąg.

- Naprawdę? - Fairfax roześmiał się pełną piersią. Był szczęśliwy i zrelaksowany; zupełnie inny człowiek niż ten, którego Edie spotkała zaledwie poprzedniego ranka.

- Czyli na końcu nie ma garnka ze złotem.

- Raczej nie.

Po niebie szybowała para edredonów. Może się zgubiły, a może po prostu przyleciały zbyt wcześnie. Wszystkie wędrowne ptaki pojawiały się teraz wcześniej. Edie patrzyła na nie, aż znikły gdzieś w błyszczącym zamgleniu horyzontu. O tej porze roku tak właśnie wyglądał i zmierzch, i świt.

- Dopóki nie przyjechałem tu pierwszy raz, nigdy nie rozumiałam, dlaczego, u licha, mój prapradziadek wciąż wracał na Północ. Wiesz, odmrożenia, ślepoty śnieżna, a wszystko to o sucharach i zamarznętej krwi wieloryba.

Edie udawała, że go słucha, ale tak naprawdę myślała o Joe. Zapewne rozbili już obóz na

Craig. Wyobrażała sobie, jak jej pasierb przygotowuje białemu mężczyźnie posiłek. Być może nieco zbyt ostro potraktowała wczoraj Taylora, ale taka już była, gdy chodziło o Joego - niczym niedźwiedzica, która broni swoich młodych. Po prostu nie potrafiła zaufać chudzielcowi. Z drugiej strony, Sammy i Joe mieli rację - jej pasierb naprawdę był już dorosły. Miał dwadzieścia lat, nawet jeżeli jej samej wydawało się, że ledwie wczoraj pomagała mu w lekcjach. Był już wystarczająco dojrzały, żeby umieć o siebie zadbać.

- Skoro czytałeś dzienniki swojego przodka, to pewnie wiesz, że jego przewodnikiem był niejaki Welatok.

- Pewnie, tylko potem się pokłócili. Sir James wspomina o tym w przedostatnim dzienniku. Píše, że przy następnej wyprawie będzie musiał chyba wynająć innego przewodnika.

- Tak - powiedziała Edie. — Tak było.

- Skąd wiesz? — Fairfax wyglądał na zaskoczonego.

- Welatok był moim prapradziadkiem.

- Haha, naprawdę? To świetnie, mogłabyś wystąpić w naszym dokumencie. - Fairfax się rozpromienił. - Potomkini przewodnika wielkiego eksploratora, Jamesa Fairfaksa, zostaje przewodniczką praprawnuka samego podróżnika.

- Trochę to pompatyczne. - Edie pokręciła głową.

- Zapłacilibyśmy ci - obruszył się Fairfax.

Edie uśmiechnęła się słabo. *Qalunaaci* nic nie rozumieli. Nie wystarczy, że sprzedaje samą siebie? Ma niby jeszcze sprzedawać swoich przodków?

Fairfax zazgrzytał zębami.

- Simeonie mówił mi, że rząd kanadyjski przesiedlił was tutaj z Quebecu w latach pięćdziesiątych?

- Tak było - odpowiedziała.

Wydarzenia te wciąż były zbyt bolesne, by o nich rozmawiać. Amerykanie zbyt dużo węszyli w tej okolicy, więc rząd podjął decyzję o przesiedleniu inuickich plemion na północ. Chcieli, by mieszkali tam Kanadyjczycy, a doszli do wniosku, że w takich warunkach przetrwać mogą tylko Eskimosi. Politycy przekonali więc dziewiętnaście rodzin, że dzięki przeprowadzce o dwa tysiące kilometrów od domu będą mogły polować, na co tylko zechcą, bez żadnych ograniczeń. Dopiero na miejscu zdali sobie sprawę, jak bardzo ich oszukano - musieli znaleźć sposób, by przetrwać na tej nagiej skale, by przeżyć zimę, gdzie temperatury dochodziły do -50 stopni i przez całą dobę panowała ciemność. Większość osadników nigdy już nie spotkała się z rodziną, którą zostawiła w domu. Wielu z nich twierdziło, że wszystkie problemy z alkoholem, samobójstwa i depresje mają swoje źródło w tamtej traumie.

Edie wyjaśniła, że jej babka ze strony matki, Anna, była jednym z wysiedleńców, ale jej dziadek był potomkiem Welatoka. Urodził się na Grenlandii i przyjechał na Wyspę Ellesmerea, żeby handlować z nowo przybyłymi osadnikami.

Następnego ranka wyruszyli wcześniej, by dotrzeć na Fritjof w porze obiadowej. Fiord wciąż był skuty lodem, więc musieli wyrąbać sobie kilofami ścieżkę przez nowo powstałe wzgórza ciśnieniowe. Na drugą stronę przedostali się dopiero po dwóch godzinach.

- Mój Boże - westchnął Fairfax, gdy zobaczył malujący się przed nimi widok.

Krajobraz faktycznie zapierał dech w piersiach. Przed nimi rozciągało się wnętrze fiordu; białe, magiczne, ukryte przed wiatrem. Śnieg padający podczas długiej zimy układał się w gęste, kremowe kłębiska, tu i ówdzie poprzecinane śladami niedźwiedzia, piźmowołu czy człowieka.

Na podstawie dziennika Fairfax uznał, że jego wielki przodek najprawdopodobniej zamierzał zimować na przestronnej, żwirowej plaży, ukrytej między granitowymi klifami mniej więcej pół kilometra w głąb fiordu, z dala od najgorszych pływów. Gdy dotarli na miejsce, Edie zaczęła

rozbijać obóz, a Bill udał się na pieszy rekonesans. Wrócił kilka godzin później ze zdjęciami i pomiarami.

- Miałaś rację co do tego ciała - powiedział przy kolacji złożonej ze steków z mięsa karibu. — Mam świetną wymówkę, żeby wrócić tu latem z ekipą filmową.

Resztę wieczoru spędzili w osobnych namiotach. Edie przypominała sobie różne opowieści, a Fairfax siedział w śpiworze i z zapalem notował coś w swoim dzienniku.

Następnego dnia zjedli owsiankę z mięsem foki, zwinęli obóz i udali się z powrotem w kierunku Autisaq. Podróż była spokojna. Do osady dotarli późnym wieczorem. Bill wrócił do hotelu, by się przebrać, a Edie poszła do domu. Po gorącym prysznicu pojechała do Sammy'ego, żeby zapytać o jego syna. Liczyła na to, że zastanie skuter Joego zaparkowany pod swoim domem, jednak wokoło nie widać było żadnych śladów; nikt nawet tamtędy nie przechodził. Po drodze zajrzała więc jeszcze na wszelki wypadek do Minnie, matki Joego, ale przed jej domem też nie było widać nawet śladu skutera. W mieszkaniu Sammy'ego jak zwykle unosił się słodki zapach starego alkoholu i śmieciowego jedzenia.

- Widziałeś się już z Joem?

- Nie - odpowiedział jej były mąż. Siedział na kanapie i oglądał odcinek *Columbo*. Nawet na nią nie spojrzął. - I raczej nie spodziewałbym się go dzisiaj, może wróci za dzień, dwa.

- Trafili na złą pogodę?

Sammy pokiwał głową. Nie wyglądał na specjalnie zmartwionego.

- Jak złą? - Głos Edie brzmiał spokojnie. I tak musiało zostać.

- Na tyle, że nie możemy się z nimi porozumieć przez satelitę.

- Wysłano już samolot rozpoznawczy?

Żałowała, że dała się przekonać Sammy'emu i zgodziła się, by Joe wziął pod opiekę Andy'ego Taylora. To była po części jej wina. Nie powinna była dać się wpędzić w poczucie winy, które zagłuszało jej naturalną chęć chronienia swego przybranego syna. Nikt tak dobrze jak ona nie wiedział, jakie chudzielec potrafi sprawiać problemy. Dobrze pamiętała, jak zachowywał się, gdy Feliks Wagner został postrzelony. Pamiętała zapach whisky w jego oddechu dzień przed wyruszeniem na kolejną wyprawę.

- Nie jestem pewien. - Sammy wzruszył ramionami, wciąż spoglądając na ekran. - Widoczność jest kiepska, ale wkrótce się przejaśni, jak to na Craig o tej porze roku. Nie musisz się tak martwić.

Edie zazdrościła byłemu mężowi jego opanowania. Tak zresztą wychowywano Inuitów - mieli się martwić tylko tym, na co mogli coś poradzić, a cała reszta kryła się gdzieś głęboko pod powierzchnią. Joe był taki sam. Przewodniczka nie wiedziała, dlaczego ona nie posiadała tej umiejętności — może to ta biała krew płynąca w jej żyłach, a może po prostu była kobietą.

Pojechała do hotelu, żeby przekazać wieści Fairfak-sowi. Zastała go w lobby. Popijał duży kubek gorącej czekolady i robił notatki w imponującym, oprawnym w skórę dzienniku. Był tak pochłonięty własnymi odkryciami, że nieszczególnie przejął się sytuacją - co najwyżej martwił się, że przez to opóźni się jego powrót do domu, a miał kilka spraw rodzinnych do załatwienia. W najgorszym przypadku będzie musiał wrócić bez Taylora.

- Zresztą to i tak był jego pomysł.

- To Andy Taylor wymyślił tę wyprawę?

Fairfax wyglądał na zaskoczonego.

- Andy skontaktował się ze mną, powiedział, że jakaś telewizja interesuje się tematem, ale trzeba czym prędzej pojechać na rekonesans.

Edie przypomniała sobie, że Taylor podobno był sflukany. Może pracował dla telewizji.

- Bez obrazy, ale do czego ty byłeś mu potrzebny?

Fairfax spojrział na nią, mimo wszystko nieco urażony.

- Nazwisko - wyjaśnił. — Ja mam nazwisko.

Tej nocy Edie nie mogła spać. Wciąż powtarzała w myślach całą litanię racjonalnych przyczyn nieobecności Joego. Podróżnicy bardzo często musieli zmagać się ze złą pogodą. Lód zmieniał pozycję, szczeliny pojawiały się w niespodziewanych miejscach, wiał porywisty wiatr, powietrze spowijało się mleczną zasłoną. Dwa, trzy czy nawet cztery dni spóźnienia to nic, naprawdę nic, nawet w przypadku krótkiej ekspedycji. Powtarzała to sobie w kółko, aż wreszcie, gdy nastał świt, poczuła się całkowicie wyczerpana. O trzeciej wstała z kanapy i weszła do pokoju Joego, próbując znaleźć jakiś dowód na to, że od początku planowali z Taylorem zostać dłużej w terenie. W pomieszczeniu nie było jednak nic poza pustymi puszkami coli i brudnymi ubraniami. Nad ranem stwierdziła, że i tak już nie zaśnie, więc ubrała się, włączyła DVD i czekała, aż zaczną się lekcje.

Tego dnia ciężko było jej skoncentrować się na uczeniu i dzieci dobrze o tym wiedziały. Już po dziesięciu minutach zaczęły się nudzić i rozrabiać. Edie czuła się winna, ale i tak nie potrafiła się pozbierać. Gdy tylko zadzwonił dzwonek, natychmiast włożyła obuwie i udała się do biura burmistrza. Nie było jednak żadnych wieści o losie wyprawy na Craig.

O szesnastej przyleciał samolot dostawczy. Po rozładowaniu zapasów obsługa umieściła w luku pocztę i kilka wymagających naprawy maszyn z elektrowni. Fairfax usiadł obok pilota i odleciał w dal.

Po drodze do domu Edie poczuła nagłą pokusę, by przeszukać pokój Andy'ego Taylora. Wiedziała, że to nieetyczne, ale niespecjalnie się tym przejmowała. Wróciła do hotelu. Taylor nie przywiózł ze sobą zbyt dużo bagażu - dwie gazety, pusty notatnik, dyktafon i iPod. Kobieta założyła słuchawki. Guns N'Roses. Znalazła też zapasowe okulary w skórzanym pokrowcu oraz odrobinę marihuany szczelnie zawiniętej w folię, prawdopodobnie po to, by zmylić szukające narkotyków psy policyjne. Na komodzie stała na wpół opróżniona butelka whisky.

Posępna atmosfera hotelu napełniła ją niepokojem. Wiedziała jednak, że nie ma co rozmawiać z Sammym czy Simeonem, bo każą jej się tylko uspokoić. Nie chciała już dłużej tego słuchać. Wiedziała, że Joe spóźnił się zaledwie o jeden dzień, ale według niej było to o jeden dzień za długo. Wyszła z hotelu i ruszyła prosto do domu Minnie i Willi. Willa siedział przed telewizorem i grał w GTA.

- Musisz jutro pojechać ze mną na Craig i znaleźć Joego.

Willa spojrział na nią, ale nic nie powiedział. Odkąd rozstała się z Sammym, w jej obecności zawsze był ponury i nieprzystępny. Edie podeszła do niego i wyrwała mu joystick z dłoni. - To nie jest prośba, Willa.

Chłopiec wyciągnął rękę po joystick, ale kobieta schowała go za plecy.

- Joe po prostu trafił na złą pogodę, też mi problem. - Głos Willi był rozdrażniony i pełen niechęci.

- Przestań go wreszcie traktować jak dziecko, i to swoje dziecko. To nie jest twój syn, tylko syn Minnie i Sammego. I w dodatku nie jest już dzieckiem.

Edie podała mu joystick. Z telewizora rozległ się cichy odgłos zderzających się aut.

- Dlaczego nie zapłacisz też za moją edukację?

Kobieta wzięła głęboki oddech. Dobrze wiedziała, co się święci; wiedziała też, że rozmowa na nic się nie zda. Przez jakiś czas uczyła Willę w szkole średniej. Był leniwym uczniem, wiecznie zaczepiał kolegów i zdawał się uważać, że nauka nie jest mu do niczego potrzebna. Ostatecznie nie skończył szkoły.

- *Huvamiasq* - powiedział w końcu Willa. Wszystko jedno. - Ale robię to dla mojego brata, nie dla ciebie. A teraz daj mi spokój.

- Wyruszamy wczesnym rankiem. - Głos Edie zmiękł. - Pamiętaj, żeby sprawdzić skuter.

Willę pokiwał głową i wlepił wzrok w telewizor. Edie przez chwilę próbowała wydusić z siebie jakieś czułe słowo, ale chłopiec wydawał się całkowicie pochłonięty grą.

Edie spędziła resztę wieczoru na rozmyślaniach. Nie była pewna, co robić. Leżała bezsennie w łóżku, w jasnym świetle wiosennej nocy. Musiała jednak w końcu zasnąć, bo obudził ją głos Sammy'ego.

- Edie, wstawaj! No już! - Mężczyzna stał pośrodku pokoju w pełnym rynsztunku. - Joe wrócił! Jest w klinice.

Kobieta zrzuciła kołdrę i stanęła na równe nogi. Wiedziała, że jest naga, ale się tym nie przejmowała. Zaczęła pospiesznie wciągać na siebie ubranie.

Gdy szli w kierunku kliniki, Sammy wyjaśnił, że Joe pojawił się u niego w domu godzinę wcześniej. Zgubił Taylora pośród śnieżyca, a potem zepsuł mu się skuter, więc wrócił do osady na nartach. Podróż zajęła mu dwa dni i jedną noc. Był osłabiony i wstrząśnięty, a jego organizm uległ znacznemu wychłodzeniu, więc ciężko było się z nim porozumieć.

Z tego, co udało się dowiedzieć Sammyemu, wynikało, że Joe i Taylor rozdzielili się, by zbadać dwa różne kopce. *Qalunaat* udał się na nieco niżej położony teren. Joemu udało się przedrzeć przez śnieżycę z powrotem na plażę, gdzie mieli się spotkać. Widoczność była fatalna. Śnieg niemal natychmiast zasypywał odciski butów Joego, więc nie było sensu szukać śladów. Próbował zadzwonić do bazy, ale telefon satelitarny nie działał.

„Chłopak bredzi i ciągle się powtarza”, wyjaśnił Sammy. Twierdził, że widział swego przodka, *Welatoka*, jak zdąża ku niemu przez śniegi, ale gdy tylko się zbliżył, *Welatok* zmienił się w niedźwiedzia i uciekł. Opowiadał też, że wiatr rozpedził na chwilę chmury, a wtedy Joe zobaczył zielony samolot. Machał i krzyczał, aż w końcu samolot zaczął obniżać lot, jednak po chwili nagle poderwał się do góry. Wrócił z powrotem do prowizorycznego schronu, który wcześniej przygotował, przekonany, że samolot wróci, że pilot szuka tylko lądowiska, ale gdy wyszedł, zdał sobie sprawę, że to nie był żaden samolot, tylko wisząca skała pobliskiego klifu. Wcale nie słyszał ryku silnika, tylko rechot szalejącego wiatru. Zrozumiał, że zaczyna powoli tracić rozum, więc zdecydował się wrócić do *Autisaq*, zanim hipotermia całkowicie pozbawi go zmysłów. To wtedy okazało się, że jego skuter się zepsuł. Podróż na nartach zajęła mu tyle czasu, że obawiał się, iż Taylor mógł nie przeżyć. Co chwilę wyrzucał sobie, że trzeba było wypalić racę, tak aby pilot mógł go łatwiej zlokalizować, ale potem przypominał sobie, że przecież nie było żadnego samolotu. Sammy napił go gorącą herbatą i zawiózł do kliniki.

Dotarli na miejsce i weszli po schodach do środka. Robert Patma już na nich czekał.

- Byłem właśnie u burmistrza - powiedział. - Simeonie zdążył już porozmawiać z sierżantem *Palliserem*. Wyślą samolot ratowniczy.

- Chcę go zobaczyć - powiedziała Edie.

Przedmiot całego zamieszania spał na pryczy w klinice, oświetlony blaskiem jarzeniówki. Miał rozchylone usta, a czarna grzywka spadała mu na czoło. Nos miał lekko sinawy od odmrożenia, ale nie było to nic poważnego.

- Sammy już pewnie ci mówił, że na razie chłopak bredzi - odezwał się Robert. - Ale będzie dobrze. Dałem mu coś na sen. Umieścimy go na obserwacji.

- Nie. Chcę, żeby obudził się we własnym łóżku. U mnie w domu - powiedziała Edie spokojnie. Rano miała lekcje, ale po południu będzie już z powrotem, żeby się nim zaopiekować. Robert spojrzął na Sam my'ego. Mężczyzna wzruszył ramionami. Pielęgniarka uniósł brew.

- To nie jest dobry pomysł. Musi być pod obserwacją.

Edie spojrzała na Patmę błagalnym wzrokiem.

- Będzie dobrze — powiedział w końcu Sammy. — Zostanę z nim, jak Edie będzie w szkole.

Kobieta spojrzała na niego z podziękowaniem w oczach. Pielęgniarka uśmiechnęła się blado.
- No dobrze, skoro musi tak być.

Przewodniczka dopiero po lekcjach zorientowała się, że zapomniała sprawdzić listę obecności. Dzieci zresztą też były rozkojarzone. Starsze cały czas szeptały o Joem i zaginionym *galunaciu*, a młodsze wyczuwały podniecenie swych braci i siostr. Po kilkunastu minutach Edie poddała się; nie była w stanie utrzymać porządku. Zabrała więc uczniów na dwór, na wzgórze, gdzie mogli polować na pardwy.

W porze lunchu zastanawiała się przez chwilę, czy nie zajrzeć do Joego, ale postanowiła odłożyć to na koniec dnia. Nie chciała go budzić, a jeżeli nie spał, to lepiej, żeby nie widział jej w takim stanie. Wiedziała, że ich pierwsze spotkanie będzie trudne. On będzie obwiniał się o to, że zgubił Taylora, a ona, że wypuściła ich samych w teren.

Popołudniowe zajęcia ciągnęły się niemiłosiernie. Pod koniec dnia wydarzenia sprzed dwunastu godzin wydawały się Edie niejasne, niemal nierealne. Wyszła z klasy, spakowała się i poszła do sklepu, żeby kupić dla Joego jego ulubione hamburgery z karibu i mandarynkowy napój.

Gdy dotarła na werandę, zawołała cicho pasierba. Nikt jej jednak nie odpowiedział. Zdjęła obuwie, zastanawiając się, czy nie powinna była wydać te kilka dolarów więcej i kupić zeberka zamiast hamburgera.

Obok kanapy leżały puste puszki. Powietrze było gęste i nienaturalnie spokojne. Edie była zła. Sammy'ego nie było w domu.

Drzwi pokoju Joego były zamknięte; pewnie jeszcze spał. Edie stanęła na progu i wyteżyła słuch, ale słyszała tylko łopotanie plastikowej powłoki werandy i skrzeczenie torby, którą trzymała w ręku.

Odłożyła zakupy na blat w kuchni. W jej nozdrza uderzył zapach krwi. Szybko wstawiła hamburgery do lodówki i wróciła do salonu. Zapach podążał za nią. Nagle Edie poczuła, jak serce wali jej jak oszalałe. Przerazenie ścisnęło jej żołądek. Woń wcale nie dobiegała z kuchni.

Edie popchnęła lekko drzwi do pokoju Joego. Zasłony były zaciągnięte, więc początkowo niewiele widziała. Gdy wzrok przyzwyczaił się do ciemności, dojrzała leżącą na podłodze konsolę i puszkę coli. Z przyzwyczajenia podniosła puszkę. Chciała jak zwykle postawić ją na stoliku nocnym, żeby Joe nie przewrócił jej, gdy będzie wstawał. Tym razem czuła jednak, że coś jest nie tak.

Joe Inukpuk leżał na łóżku z lekko ugiętymi kolanami. Twarz zasłaniała mu kołdra. Edie podeszła do niego. Po drodze nadepnęła na coś. Odłożyła puszkę na stolik, schyliła się i wyskrobała ze skarpety resztki pokruszonej tabletki. Uniosła głowę i wyciągnęła rękę, by odłożyć fragmenty pigułki na stolik. Czas stanął w miejscu.

Spojrzała na leżące w łóżku pasierba. Wiedziała, że nie ma już miejsca na wymówki. Wzięła głęboki oddech i odsunęła kołdrę, powtarzając sobie, że musi obudzić Joego na kolację, choć wiedziała, że jej pasierb nie będzie jadł.

Na poduszce widać było resztki jakiejś piany, może wymiocin. Joe miał zamknięte oczy i lekko rozchylone usta. Mogłaby pomyśleć, że śpi, gdyby nie to, że na jego ustach i podbródku widać było zastygającą krew, a tam, gdzie twarz dotykała poduszki, skóra zaczynała powoli czernieć.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Derek Palliser starał się ze wszystkich sił zignorować targające jego żołądkiem mdłości. Nie znosił samolotów, zwłaszcza takich małych. Zawsze przypominał mu się los jego przyjaciela z dawnych lat, Lotta Palmera. Przez dwadzieścia trzy lata latał samolotami transportowymi powyżej sześćdziesiątego równoleżnika. Dwa razy spadł i przeżył. Za trzecim razem leciał tuż pod linią chmur, nieopodal Wyspy Cornwallisa, gdy złapał go nagły, kataba-tyczny wiatr. Podmuch powietrza porwał samolot i rzucił nim tysiąc trzysta metrów w dół, prosto o skutą lodem ziemię. Po krótkiej walce Lott odzyskał w końcu kontrolę nad maszyną i wylądował. Zadzwoił po pomoc. Wyposażony w narty samolot z osady Resolute dotarł na miejsce akurat w chwili, gdy przez chmury przedarł się piorun, który posłał Lotta Palmera i jego maszynę prosto do nieba. Gdy ratownicy wylądowali, znaleźli już tylko niewielką płataninę szerniałej blachy, pod którą powoli topniał lód.

Jeżeli zaraz po wylądowaniu nie miał nic ważnego do załatwienia, często brał środki uspokajające, żeby lepiej radzić sobie ze wstrząsami i turbulencjami, które stanowiły nieodłączną część latania małymi samolotami w skrajnie niepewnych, arktycznych warunkach. Tym razem połączenie radiowe obudziło go gdzieś po siódmej rano. Dzwonił Simeonie Inukpuk. Nad wyspą Craig przeszła niespodziewana śnieżycyca. Zaginał człowiek. Do tego *qalunaat*. Był w terenie z Joem Inukpukiem, ale rozdzieliła ich nawałnica. W Autisaq był, co prawda, jeden wolny samolot, ale jego pilotka, Martie Kiglatuk, była zbyt pijana, żeby sięść za sterami. Derek miał poprowadzić ekspedycję ratunkową z Kuujuaq wraz z policyjnym pilotem, Polem Tilluqiem. Wciąż jeszcze istniała nadzieja, że *qalunaat* znalazł schronienie i udało mu się przeżyć.

Przygotowanie maszyny i sprawdzenie pogody zajęło Polowi około dwóch godzin, ale już o 9.30 obaj mężczyźni znajdowali się wysoko nad ziemią i zmierzali na wschód, w kierunku Craig. Widoczność była dobra, a Derek, mimo swego strachu przed lataniem, wiedział, że jest w dobrych rękach. Pol Tilluq był jednym z najsprawniejszych pilotów w regionie, i chyba najślawniejszym. Po występie w telewizyjnym teleturnieju stał się w Arktyce prawdziwą gwiazdą. Podczas jednego z zadań Pola umieszczono w wannie pełnej szczurów. Poza kąpielówkami był całkiem nagi. Chodziło o to, by wytrzymał towarzystwo sześciu szczurów przez pół godziny. Gdy ekipa wróciła, okazało się, że Pol siedzi w pustej wannie. Był przekonany, że ma po prostu złapać i zjeść wszystkie zwierzęta. Derek wiedział, że gdyby przyszło mu znaleźć się w spadającym na ziemię samolocie, chciałby obok siebie mieć Pola.

Simeonie przefaksował mu kwestionariusz, który Joe i Edie wypełnili, zanim wyruszyli w teren. Polegał on głównie na odhaczaniu kolejnych pól i podaniu szczegółowej trasy, posiadanego sprzętu i przewidywanej długości wyprawy. Derek wyjął dokumenty z teczki. Czytanie przyprawiało go o jeszcze większe mdłości, ale policjant zacisnął szczęki. Im więcej się dowie o ekspedycji, tym większe szanse, że uda im się znaleźć zaginionego. Z kwestionariusza wynikało, że był to dość rutynowy wypad turystyczny. Joe Inukpuk miał spore doświadczenie w podróżowaniu po kole podbiegunowym, więc wyspa Craig nie stanowiła dla niego żadnego wyzwania. Przewodnicy często zabierali tam swoich podopiecznych. Pak lodowy pełen był solidnych ścieżek, a teren był stosunkowo łatwy - żadnych ostrych klifów czy urwistych moren. Z drugiej strony, dla nieprzyzwyczajonego do arktycznych warunków amatora, wyspa stanowiła śmiertelną pułapkę. Przewodnicy do znudzenia powtarzali więc swoim klientom, że gdyby się zgubili, mają nie ruszać się z miejsca i czekać na pomoc. Ekipie ratunkowej pozostawało więc

liczyć na to, że Taylor skrył się w jakimś bezpiecznym miejscu i spokojnie czekał. Jeżeli jednak był na tyle głupi, by spróbować samodzielnej ucieczki z wyspy, to na pewno już nie żył, a szanse na odnalezienie ciała były mniej więcej tak wysokie, jak na odkrycie siedliska krasnali w Kuujuaq.

Ruszyli na wschód w kierunku południowego przylądka. Wkrótce przed ich oczami pojawiły się uliczki i budynki Autisaq, niczym niewielkie piksele na pustym, białym ekranie. Pol zaproponował, że po drodze zabiorą Roberta Patmę - na wypadek, gdyby udało im się znaleźć zaginionego. Taylor mógł przecież potrzebować szybkiej pomocy medycznej. Prognoza pogody zapowiadała obniżenie się pułapu chmur, więc burmistrz stwierdził, że ratownicy nie mają czasu do stracenia. Jeżeli uda im się znaleźć zaginionego, to przecież łatwo będzie wrócić z powrotem do osady i przetransportować go do kliniki.

Pol skierował samolot na południe, w kierunku niskiego wybrzeża przylądka Sparbo. Przed nimi, w oddali, majaczył fioletowy zarys wyspy Craig wyrastającej ze skutej lodem Cieśniny Jonesa. Z tej wysokości wyspa zdawała się być zaledwie niewielką śliwką w misce śmietany, ale w rzeczywistości złożona była z dwóch połaci spadzistych klifów połączonych około dwudziestokilometrowym płaskowyżem. Zachodnie wybrzeże było nieco łagodniejsze i spokojniejsze; skalisty wschód miał charakterystyczną, poszarpaną linię, pełną wąskich fiordów i niewielkich lodowców, które wystawiały swe języki daleko w morze. Na obu wybrzeżach panowały też zupełnie inne warunki pogodowe. Podczas gdy na zachodzie było słonecznie i przyjemnie, na wschodzie mogła szaleć śnieżycą. Na północnowschodnich fiordach panował jeszcze inny klimat, i to właśnie dlatego Joe i Taylor musieli zmagać się z pędzącym z prędkością dwustu kilometrów na godzinę wiatrem, podczas gdy Edie i Fairfax spokojnie wrócili do Autisaq, ciesząc się doskonałymi warunkami pogodowymi.

Derek i Pol zamierzali dokładnie przeszukać wyspę, krążąc ze wschodu na zachód i z powrotem, aż dotrą do jej południowego krańca. Uzgodnili, że jeżeli tylko któryś z nich zauważy jakiegokolwiek oznaki życia na Craig, pilot spróbuje wylądować na płaskowyżu nad klifami, a Derek wyruszy w teren. Mieli ze sobą skuter śnieżny, sanie oraz apteczkę, a Palliser zabrał policyjny telefon satelitarny.

Przez ponad godzinę krążyli w długich liniach na wysokości około pięciuset metrów. Widzieli kilka ptaków i niedźwiedzia wędrującego gdzieś po zachodnim wybrzeżu. Nie było jednak żadnego śladu człowieka ani dwóch skuterów śnieżnych. Udało im się przeszukać większą część wyspy, gdy zapowiadane niskie chmury nagle zasłoniły im widok. Pol pokręcił głową.

- Nie ma szans, żebyśmy zeszli niżej, Derek - powiedział pilot.

Dalsze poszukiwania nie miały sensu. Derek, ociągając się, zadzwonił do Autisaq. Poinformował bazę, że muszą chwilowo zawiesić poszukiwania. Pol miał polecieć na południe, na Taluritut. Planował postój w bazie naukowej na wyspie Devon, gdzie mogli spokojnie przeczekać zachmurzenie.

Na północnym wybrzeżu Taluritut kilka lat temu założono jednostkę NASA, która testowała między innymi prototypy pojazdów, które miały być wykorzystane podczas przyszłych wypraw na Marsa. Naukowców wspierali ekscentryczni pasjonaci z organizacji non profit o nazwie Space Intelligences Research. Jako najstarszy stopniem funkcjonariusz policji na Ellesmere, Derek odpowiadał za bezpieczeństwo również na Devon. Ekipa zazwyczaj przyjeżdżała w marcu, więc Palliser próbował wyrobić w sobie nawyk odwiedzania wyspy tuż po ich przybyciu, jednak w tym roku był zbyt zajęty. Postanowił więc skorzystać z okazji, by porozmawiać z dyrektorem stacji, profesorem Jimem DeSouzą, obejrzeć kilka ciekawych, kosmicznych sprzętów i zjeść coś przed powrotem na Craig.

Gdy wylądowali, DeSouza wyszedł im na powitanie. Był to serdeczny, niezwykle inteligentny i, jak podejrzewał Derek, ambitny człowiek, który dwa lata temu przejął nadzór nad stacją. Policjant nie miał z nim, co prawda, zbyt wiele do czynienia, ale raczej go lubił. Nie był tak zarozumiały, jak inni biali, którzy poprzednio pracowali w jednostce, i wydawał się zainteresowany poznaniem lokalnej społeczności i jej poglądów. Z drugiej strony, nie był też zbyt nadgorliwy, jak to się zdarzało liberalnie nastawionym *qalunaatom*: nie udawał nadmiernego zainteresowania nawet wtedy, gdy wymieniano się z nim uwagi o pogodzie. Po prostu zachowywał się naturalnie i był pewny siebie.

Profesor sprawdził zegarek.

— Nie myślcie sobie, że nie zauważyłem, że zawsze przybywacie w porze posiłku - powiedział, poklepując Dereka i Pola po plecach.

Weszli do przytulnego, ciepłego pomieszczenia. Na stole pojawiły się burgery i frytki. DeSouza wyglądał na spiętego; nie był tak przyjacielski, jak zazwyczaj. Dopiero przy deserze Derek zrozumiał, co się stało. „Środki finansowe płynące z grantu skończyły się”, wyjaśnił dyrektor. Pracownicy stacji zostali poproszeni o przygotowanie się na kontrolę z NASA, a to zazwyczaj oznaczało, że czeka ich bezrobocie.

- Obecnie w nauce kładzie się nacisk na biozróżnicowanie i pozyskiwanie energii odnawialnej, nie na wyłączone poszerzanie wiedzy. Jeżeli nie wymyślimy jakiegoś nowego programu dla stacji, możemy się pożegnać z pracą.

- Przez biozróżnicowanie rozumiesz po prostu florę i faunę, tak? - zapytał Derek. Traktował DeSouzę jako potencjalnego sprzymierzeńca w swoich własnych planach naukowych.

Naukowiec skinął głową.

- Oczekują od nas, że znajdziemy im planetę, na którą ludzkość będzie mogła uciec, kiedy tę już całkowicie wykończy. I jak ich tu nie kochać. - Zaśmiał się krótkim, ostrym śmiechem.

- To aż takie szalone? - zapytał Derek.

Profesor odłożył resztę deseru.

- Niekoniecznie - przyznał. - Ale chyba mnie nie zrozumiałeś.

- No cóż, mamy tu trochę swoich spraw na głowie - powiedział Derek. Profesor zazwyczaj nie był taki cięty.

DeSouza zmieszał się i zaproponował gościom kawę. Policjant poprosił o herbatę.

- No tak, zapomniałem - mruknął profesor. - Brytyjczycy dali nam się we znaki, co? - Pokiwał głową i wyprostował mały palec. - Czyli herbata? - powiedział udawanym, brytyjskim akcentem.

Wyszedł na chwilę, po czym wrócił z filiżankami.

- Skoro jesteście z policji, to pewnie zajmujecie się policyjną robotą.

Derek i Pol wymienili spojrzenia. Profesor naprawdę był dzisiaj nie w humorze.

- Kiedy mamy szansę — westchnął Palliser.

Oczy DeSouzy rozbliły.

- Właśnie o to mi chodzi, widzicie. Ja jestem naukowcem. I to cholernie dobrym. Gdybym chciał być politykiem albo innym strategiem, to bym nim został. Tylko że ja przez całe życie, już od małego, chciałem zajmować się nauką. Ale ci pieprzeni politycy, te instytucje grantowe, think-tanki, [*Z ang. dosłownie: zbiornik myśli - komitet doradczy, ośrodek zajmujący się badaniami i analizami dotyczącymi spraw publicznych (przyp. red.)*] i wszystkie te cholerne darmozjady, sprawiają, że to niemożliwe. Gdyby tylko zostawili nas w spokoju, moglibyśmy zrobić tyle rzeczy, o tylu sprawach się dowiedzieć.

- Rozumiem. - Derek pokiwał głową. Spojrzał na Pola. Musieli się stąd wynosić jak najszybciej.

Nie minęło półtorej godziny od wylądowania, gdy znów wznosili się w powietrze, by wrócić na Craig, jednak wyspa wciąż była spowita ciężkimi, niskimi chmurami. Derek postanowił więc wrócić do Autisaq i tam poczekać na przejaśnienie. Doświadczenie i wychowanie, jakie odebrał w rodzinnym domu, nauczyły go nie denerwować się kapryсами pogody. Po prostu jest, jak jest. Zresztą i tak nikt nie widział Taylora od trzech dni, co oznaczało, że prawdopodobnie już nie żył. Kolejna godzina czy kolejny miesiąc niewiele mogły tu zmienić.

Gdy zaczęły zniżać się nad osadą, Derek zauważył niewielki napis, który ktoś wydrapał na szybie przy siedzeniu pasażera. Nigdy wcześniej go nie widział.

„D Palacer to pieprzony lachociąg”.

Starał się rym nie przejmować. Każdy policjant miał wrogów. Zresztą większość Inuitów nie rozumiała, po co istnieje policja. Uważali to za południowy wymysł.

I nawet nie zdawali sobie sprawy, że przez większą część swojego czasu Derek robił wszystko, żeby południowy system prawny trzymał się od nich z dala. Niektórzy dalej uważali go za swego rodzaju kolaboranta, wręcz zdrajcę.

Poślinił palec i przetaił napis. Wilgotne litery rozmyły się na chwilę, by stopniowo powrócić do swej poprzedniej formy. Derek sięgnął do kieszeni po szczyryk i pieczołowicie zamazał napis.

Przez chwilę przyglądał się swojemu dziełu, po czym odłożył nożyk, zamknął oczy i przygotował się na lądowanie.

W niewielkim budynku terminala czekał na nich Simeonie Inukpuk. Wyglądał jak zając, który zdał sobie sprawę, że przez przypadek wskoczył do lisiej nory. W jego spojrzeniu jednak tlił się płomyk nadziei. Derek pokiwał głową. Wyjął paczkę Lucky Strike'ów i poczęstował burmistrza.

- Zanim pułap chmur się obniżył, udało nam się okrążyć większą część wyspy, ale nie znaleźliśmy żadnych śladów, żadnego znaku życia. Dopóki mgła się nie podniesie, nie ma co tam wracać.

- *Ajurnamat*, niedobrze się składa - mruknął Simeonie, odpalając papierosa.

- Chciałbym porozmawiać z Joem, może on będzie mógł nam jakoś pomóc w poszukiwaniach.

Simeonie chrząknął.

- Wszyscy chcielibyśmy z nim porozmawiać.

Gdy Derek usłyszał nowinę o śmierci chłopca, poczuł, jakby rozpędzony piżmowół uderzył go prosto w żołądek. Przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć; kręcił tylko głową i zaciskał dłonie. „Nie, Panie Boże, to niemożliwe”, mamrotał pod nosem bezradnie, oszołomiony. Wśród wszystkich młodych mężczyzn z Wyspy Ellesmere'a Joe był jedyną osobą, w której można było pokładać jakiegokolwiek nadzieję; otaczała go tylko chmura pijaństwa, nudy, niechcianych ciąż, niskich oczekiwań i fatalnych wyników w nauce. Wyjął kolejnego papierosa, zapalił go, wciągnął dym w płuca i postarał się pozbiierać myśli.

- Jak radzi sobie jego rodzina?

Simeonie wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „A jak ci się wydaje?”.

- Ciało przetransportowano do kliniki.

Derek przydeptał niedopałek i poprosił Pola, by zadzwonił do Kuujuaq i poinformował Steviego. Burmistrz zabrał go do kliniki.

Liczba samobójstw w dwóch największych prowincjach inuickich we wschodniej Kanadzie, Nunavut i Nunavik, wzrosła ponaddwukrotnie w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Inuici odbierali sobie życie o jedenaście razy częściej, niż żyjący na południu Kanadyjczycy. Osiemdziesiąt trzy procent samobójstw popełniały osoby, które nie ukończyły jeszcze trzydziestego roku życia, a osiemdziesiąt pięć procent z nich stanowili mężczyźni. Na południu uważano, że większość

samobójstw powyżej sześćdziesiątego równoleżnika związanych jest z alkoholem. Po raz kolejny władze umywały ręce od odpowiedzialności za los ludów północnych. Oczywiście w Arktyce było sporo alkoholików, ale samobójstwa nie miały z tym nic wspólnego -w każdym razie o wiele mniej, niż wydawało się socjologom, politykom, lekarzom i pracownikom socjalnym. Wystarczyło spojrzeć na przypadek Joego. Derek znał go na tyle dobrze, by wiedzieć, że chłopiec pił rzadko i niewiele. Widział, co alkohol zrobił z jego rodzicami. Dzieci, takie jak Joe, miały po co żyć, ale by zrealizować swoje marzenia, musiały zmagać się z wieloma przeciwnościami losu, takimi jak kulturowo nieadekwatny sposób kształcenia, wysokie bezrobocie, brak szans rozwoju. Wystarczy dodać do tego cały ten historyczny balast, wykorzystywanie Inuitów przez rybaków polujących na wieloryby i przez wielkie firmy futrzarskie, śmiertelne epidemie chorób przywleczonych przez białego człowieka, wysiedlenie rodzin z Quebecu na Wyspę Ellesmerea. Całe zło tego świata sprzysięgało się przeciwko młodym Inuitom już od samego początku ich życia.

Derek podążył za Simeonem aż do kliniki. Na werandzie zostawił buty i wszedł do środka. Po drugiej stronie poczekalni siedziała Edie Kiglatuk. Spojrzała na niego i skinęła lekko głową, ale w jej oczach zabrakło charakterystycznego dla niej uśmiechu. Naprzeciw niej siedziała rodzina chłopca. Matka Joego, Minnie, zasnęła z głową opartą o ramię Willi. Derek podszedł do nich, by złożyć im kondolencje. Gdy się zbliżał, zauważył, że Minnie odsypia ciężki alkoholowy ciąg, a Sammy ma nienaturalnie otepiały wyraz twarzy. W powietrzu czuć było marihuanę. Derek powiedział, jak bardzo mu przykro i dodał, że choć nie znał dobrze Joego, to zawsze bardzo go lubił.

- Siedziałem z nim. - Głos Sammy'ego był cichy, ale pod pozorami spokoju słychać było nuty hysterii. - Siedziałem z nim cały czas i wyszedłem tylko na chwilę, żeby powiedzieć jego matce, że jest bezpieczny. Bezpieczny! Możesz w to uwierzyć? Kiedy wychodziłem, spał. Nie miałem pojęcia, co zamierza zrobić. Nie miałem zielonego pojęcia! - Mężczyzna pochylił się do przodu, a jego głos się załamał.

Derek odwrócił się do Willi, ale brat Joego wciąż miał wzrok wbity w podłogę. Szok czy rozpacz - tego policjant nie wiedział. W każdym razie niewiele mógł teraz dla niego zrobić.

Podszedł do Edie i usiadł obok niej. Dopiero teraz zauważył, że kobieta cała się trzęsie.

Robert Patma zaprowadził go do kostnicy. Ciało Joego leżało w worku. Pielęgniarski otworzył zamek na tyle, żeby Derek mógł zobaczyć twarz chłopca.

- Kto go znalazł?

- Edie. I jest załamana. Właśnie sprawdziłem apteczkę. Brakuje piętnastu blistrów vicodinu. Musiał wykraść leki, gdy byliśmy w pokoju obok. - Pielęgniarski westchnął.

- Miał klucze do szafek. Cholera, może nie powinienem był mu ich dawać, ale przecież tak bardzo im pomagał, zaufałem mu. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak się czuję.

Palliser kiwnął głową.

- Pobrałeś próbki do badania?

Patma pokazał mu leżące na ladzie fiolki i saszetki.

- Wyślę je do laboratorium policyjnego w Ottawie — oświadczył Derek. Patma zapiął worek z ciałem.

- Jakaś szansa na to, że ten drugi facet, Andy Taylor, znajdzie się żywy?

- Nie ma nawet zbyt wielkich szans na to, że w ogóle się znajdzie. Jeżeli nie żyje albo umiera, to powinniśmy byli zobaczyć w okolicy jakieś wilki, może lisy. Jeżeli żyje, to nie daje żadnego znaku. Tak czy siak po prostu nic nie wiemy. - Derek spojrzął na drzwi, żeby upewnić się, że są zamknięte. - Dobrze znałeś Joego, prawda?

- Całkiem dobrze.

- Zauważyłeś u niego ostatnio jakieś dziwne zachowania? Wiesz, jakieś zmiany, coś podejrzanego.

Patma podał mu torebkę z opatrzonymi etykietą próbkami i poprosił o podpis.

- Joe był dość skryty i nie dzielił się swoimi uczuciami, ale na pewno wstrząsnęła nim śmierć tego myśliwego, Wagnera. Zniknięcie Taylora tylko pogorszyło sprawę. Kiedy dotarł tu wczoraj, był w kompletnej rozsypce - hipotermia, szok, dezorientacja. Ciągle powtarzał, że zostawił człowieka na pewną śmierć.

- Myślisz, że na Craig doszło do jakiegoś incydentu? Że mogli się pokłócić i sprawy wymknęły się spod kontroli?

Patma spojrzał na Dereka.

- Nie, nie... Co ty mówisz... — Spojrzał na worek z ciałem, zastanowił się chwilę, po czym sprawdził, czy nikt nie podsłuchuje pod drzwiami. - No cóż, w sumie mogło tak się zdarzyć - westchnął. - Jest jeszcze coś - dodał. - Nie chciałem o tym wspominać przy rodzinie. Kilka dni temu skorzystałem z komputera. Oprócz mnie korzystał z niego tylko Joe. W historii przeglądarki znalazłem pewną stronę, na którą Joe wchodził chyba dość często. Z ciekawości kliknąłem i okazało się, że to serwis pokerowy. Strona żądała hasła, więc nie mogłem się zalogować. Joe chętnie pomagał mi z komputerem, więc po prostu zostawiałem obsługę tego typu spraw w jego rękach...

Nagle z poczekalni dobiegły ich odgłosy krzyków. Derek podbiegł do drzwi, otworzył je i zobaczył stojącą przy wyjściu Edie. Sammy stał tuż obok niej. Z tego, co udało się zobaczyć policjantowi, próbował powstrzymać Minnie, która krzyczała na Edie, wymachując pięściami.

- Zabierzcie ją ode mnie - powiedziała przewodniczka.

Minnie znów rzuciła się do przodu, ale Sammy ją zatrzymał. Derek rozejrzał się po pomieszczeniu i zobaczył, że Willa dalej siedzi pod ścianą z wyrazem pogardy na twarzy.

- Ta dziwka ukradła mi męża, a teraz odebrała mi syna — krzyczała Minnie. - Dziwka! Dziwka! - Zachwiała się na nogach i upadła prosto w ramiona Sammy'ego.

- Cholera, Sammy, trzymaj swoją byłą żonę z dala ode mnie - syknęła Edie.

Derek stanął między nimi.

- Chodź, Edie. Zabiorę cię do domu - powiedział.

W milczeniu dotarli do mieszkania przewodniczki.

Weszli na ganek i zdjęli wierzchnie okrycie.

- Masz ochotę na herbatę? - zapytał Palliser.

- N-nie.

- Słuchaj, Edie, muszę zajrzeć do pokoju Joego. Mogłabyś zostać tutaj?

- Nie sądzę, Derek.

Nie miał ochoty się z nią kłócić. Powiedział więc, że może patrzeć, ale nie wolno wchodzić jej do pokoju. Była to typowa sypialnia dwudziestoparolatka, pełna przedmiotów codziennego użytku i śladów dopiero co rozpoczynającego się życia. Świadomość, że ze wszystkich młodych mężczyzn, których znał Derek, to właśnie Joe Inukpuk stwierdził, że nie ma po co żyć, była nie do zniesienia. Zauważył, że ktoś zabrał pościel.

- To Sammy - wyjaśniła Edie. - Była brudna.

- Przykro mi - powiedział Derek. - To musi być dla ciebie bardzo trudne.

Kobieta nie odpowiedziała. Palliser pomyślał, że próbuje panować nad sobą.

- Znalazłaś jakieś opakowania, na przykład po tabletkach?

- Nie przyszło mi do głowy, żeby czegokolwiek szukać - odpowiedziała cicho.

Podszedł do łóżka i otworzył szufladę szafki nocnej. Między ścianką szuflady a zeszytem leżało piętnaście blistrów vicodinu, skrupulatnie ułożonych w niewielki sto-sik. Derek wyjął parę

winyłowych rękawiczek i wziął do ręki zeszyt. Przejrzał go, licząc na to, że znajdzie w nim jakąś wskazówkę. Strony zapelnione były jednak notatkami dotyczącymi różnych rodzajów opatrunków i kroplówek. Wyjął z kieszeni torebkę i spakował do niej puste opakowania, starając się ich nie dotykać. Następnie podał saszetkę Edie.

- Dasz radę o tym porozmawiać? - zapytał.

Usiedli na kanapie z kubkami gorącej herbaty.

- Tak się zastanawiam, czy Joe mówił o czymś wczoraj o czymś szczególnym? Jak się czuł?

Edie milczała przez chwilę. Derek sądził, że pewnie próbuje sobie wszystko przypomnieć.

Zauważył, że jej warkocze się poluzowały, jakby je skubała. Z jakiegoś powodu wzruszyło go to. Poczul się pobudzony, może nawet podniecony. Musiał się opanować.

- Niespecjalnie. Kiedy dotarłam do kliniki, był już po xanaxie. Niemal nieśliśmy go tutaj z Sammym, bo ledwie powłóczył nogami. Był kompletnie nieprzytomny. Wiesz, kiedy Sammy i ja... Kiedy byliśmy razem, Joe i Willa mieli tutaj łóżko piętrowe. Praktycznie wychowali się w tym pokoju. — Edie spojrzała przed siebie, próbując wziąć się w garść. Po twarzy spływały jej łzy.

- Robert powiedział, że Joe był wstrząśnięty sprawą Wagnera.

- Tak, ale...

- Myślisz, że...?

- Nie, pewnie, że nie. Był tylko zły na to, że nikt...

— Edie rzuciła Derekowi ponure spojrzenie - ...że nikt nie chciał wszcząć śledztwa. -

Kobieta uderzyła się lekko w pierś. - Cholera. - Zakryła usta i nos dłonią, jakby liczyła na to, że uda jej się przestać oddychać. - Widzisz, to moja wina. Nie powinnam była wysyłać Joego w teren z tym dupkiem.

Derek poczekał, aż kobieta przestanie szlochać.

- Edie, wiesz coś o hazardzie?

- Że niby Joe? - prychnęła. - Nie bądź śmieszny. - Jej głos stał się ostry, groźny. — Kto ci nagadał takich bzdur?

- Miał konto w jakimś serwisie.

- To niemożliwe, przecież oszczędzał na czesne. - Przewodniczka wyglądała na wyczerpaną. - Nie, nigdy w to nie uwierzę.

Przez chwilę chciał zapytać, czy to możliwe, żeby między Joem a Andym Taylorem wybuchła kłótnia, ale wiedział, że zadałby w ten sposób Edie jeszcze większe cierpienie. Zresztą i tak nic by mu to nie dało. Dopóki Taylor się nie znajdzie, mogli tylko spekulować.

- Jadłś coś?

Kobieta machnęła dłonią.

- Nie jestem głodna.

- Musisz jeść — Palliser wyszedł do kuchni i zajrzał do lodówki.

Kiedy w końcu udało mu się znaleźć kilka krakersów, Edie zdążyła już zasnąć na kanapie. Policjant wziął ją na ręce i ułożył na łóżku. Było późno. Nie chciał, żeby kobieta była sama po przebudzeniu, więc położył się na kanapie i zamknął oczy. Po bezsennej godzinie wstał, włączył lampę i rozejrzał się po pokoju. Musiał się czymś zająć. W końcu jego wzrok natrafił na leżącą przy telewizorze płytę DVD. Derek wziął ją do ręki i spojrzał na okładkę. Charlie Chaplin w *Gorączce złota*. Wsunął dysk do odtwarzacza i oparł się o kanapę. Po chwili usłyszał cichy odgłos kroków. Edie usiadła obok niego. Derek wziął ją za rękę. Kobieta w milczeniu oparła głowę o jego ramię. Siedzieli tak w ciszy, patrząc, jak Charlie siedzi w domku kołyszącym się nad skrajem przepaści.

O ósmej rano znów siedział w samolocie z Polem, lecąc na Craig. Jednak po kilku godzinach

poszukiwań pułap chmur znów obniżył się niebezpiecznie, a oni nic nie znaleźli.

Po powrocie do Autisaq Derek odwiedził rodzinę Joego i zebrał formalne oświadczenia osób, które widziały chłopca po tym, jak wrócił z wyspy. Wczesnym wieczorem zaszedł do Edie, by spisać jej zeznania. Kobieta siedziała wpatrzona w miskę zupy z karibu.

- Czuję się, jakbym była uwięziona pod lodem -powiedziała. - Widzę, co się dzieje po drugiej stronie, ale nie mogę się tam przedostać. - Odepcnęła naczynie.

— Po prostu nie mogę się z tym pogodzić.

Derek ujął jej dłoń w swoją i ścisnął ją mocno. Gdy Misha go zostawiła, znalazł w internecie stronę, na której wymieniono pięć etapów żałoby według Kibler-Ross: zaprzeczenie i odizolowanie się, gniew, negocjacja, depresja i akceptacja. On sam przepracował już pierwsze trzy fazy, ale wciąż nie potrafił poradzić sobie z depresją. Dla Edie ta podróż dopiero się rozpoczęła. Współczuł jej. Minie wiele czasu, nim dotrze do domu.

O dwudziestej pierwszej znów był na lotnisku. Burmistrz przekazywał im ostatnie wytyczne.

- W raporcie napiszecie, że *qalunaat* został uznany za zaginionego, prawdopodobnie nie żyje - wyjaśnił Dere-kowi. - Zgubił się w śnieżycy.

- Chyba że znajdziemy jakieś dowody, że mogło być inaczej.

- Nie powinien był sam się nigdzie zapuszczać.

Palliser próbował ukryć zaskoczenie.

- Jesteś pewien, że tak właśnie było?

Simeonie prychnął, jakby pytanie wydało mu się absurdalne.

- Dzieciaki takie jak Joe, młodzi Inuici i młode Inu-itki, zasługują na normalną pracę. - W głosie Simeoniego pojawiły się mentorskie nuty. Derekowi zrobiło się niedobrze. - Ta tragedia mówi nam o tym, że Auti-saq musi w końcu znaleźć się w dwudziestym pierwszym wieku. Miejsca pracy, technologia, przedsiębiorczość, rozwój własnych zasobów. Nasza młodzież musi zacząć marzyć o czymś więcej, niż tylko o poprawianiu samopoczucia jakimś tam *qalunaatom*.

Lecieli nisko, mijając stary dom Dereka i Mishy. Zniżyli się nad pasem startowym. Pol założył słuchawki, przez chwilę rozmawiał z osobą, która akurat dyżurowała w stacji kontroli lotów, wyjął gumę i przykleił ją tuż nad wysokościomierzem, gotowy na kolejny lot. Światła osady błyszczały jak oświetlone latarką kryształowy lodu.

- Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej - powiedział pilot.

- O tak — potwierdził Derek.

Samolot wylądował na zwirowym pasie i zatrzymał się tuż przy budynku kontroli i ładunku. W terminalu wypełnili niezbędne dokumenty i wyszli na zewnątrz, by wsiąść na skutery. Derek zauważył, że Pol do niego macha dopiero wtedy, gdy pilot był już w połowie drogi kierującej do biura burmistrza. Ukłonił się lekko.

- Widzimy się jutro wieczorem?! — krzyknął Pol.

Derek teatralnie wzruszył ramionami.

- Na imprezie u Joadamiego Allaka?

Palliser zawahał się, próbując sobie przypomnieć, kiedy go zaproszono, po czym zdał sobie sprawę, że wcale nie był zaproszony. Udał, że dopiero zrozumiał, o co chodzi i podniósł kciuki w górę. Przez chwilę patrzył, jak pilot znika w oddali, po czym sam udał się w przeciwną stronę, na komisariat.

Gdy dotarł do grani prowadzącej do policyjnego budynku, zauważył wężącego wokół szkoły husky'ego. Pies miał jednolitą, ciemną sierść i wystające zębra. Żadnych znaków szczególnych. Po chwili Derek dostrzegł kolejnego psa, który biegł drogą w stronę wysypiska śmieci, beztrudnie mijając słup telegraficzny z ogłoszeniem, że zwierzęta zaprzęgowe powinny być cały czas uwiązane. Policjant był zaniepokojony. Był w Kuujuaq zaledwie od dziesięciu

minut, a już czuł się jak przywiązana do krzesła elektrycznego mała doświadczalna.

Zdjął buty, otworzył drzwi do biura i poszedł do swojego mieszkania. Na kolację zjadł zupkę chińską. Położył się do łóżka.

Gdy rano wszedł do biura, Stevie siedział już przy swoim stanowisku. Z głośników płynęło znajome pikanie World of Warcraft. Mężczyzna zauważył szefa i szybko wyłączył grę.

- Może herbaty, Derek? - powiedział nazbyt wesołym tonem.

Palliser postanowił odpuścić chwilowo temat napotkanych w nocy psów i gry. Miał ważniejsze sprawy na głowie. Zamierzał poświęcić dzień na napisanie wstępnego raportu dotyczącego zniknięcia Taylora i domniemanego samobójstwa Joego. Próbkę trzeba było wysłać do laboratorium, a poza tym musiał jeszcze zadzwonić do Ottawy, żeby ustalić, czy Taylor miał jakąś rodzinę.

Simeonie Inukpuk zgodził się wysłać jeszcze jedną ekipę ratunkową, ale dopóki nie znaleźli ciała, Andy Taylor wciąż figurował na liście zaginionych. Derek wysłał krótką wiadomość do stolicy, informując komendę o postępach w śledztwie, po czym usiadł nad raportem.

Ani przez moment nie miał wątpliwości, że Joe sam odebrał sobie życie. Derek dobrze wiedział, skąd bierze się takie postanowienie i jak długo ono kiełkuje. Zrozumiał to wszystko jako nastolatek, kiedy uczył się na Południu w szkole z internatem, gdzie karmiono go ziemniakami z sosem, a koledzy najpierw bili go za to, że był Indianinem, a jak to im się znudziło, to zaczęło się wybijanie mu z głowy inuickich przekonań. Z perspektywy czasu widział, że tylko zdrowy zapał do masturbacji powstrzymał go od tego, by związać ze sobą prześcieradła, wykraść się w nocy na boisko i powiesić na bramce. Pamiętał, jak inni uczniowie, mniej obeznani z zasadą wyrównywania przyjemności, padali jak kaczki. W ciągu jednego, wyjątkowo mrocznego lata, odeszło ich aż troje - Ben Fleetfoot, którego wyłowiono z jeziora z kieszeniami pełnymi wykradzionych z sali gimnastycznej krążków hokejowych; Holbrook Brown, wyciągnięty z wanny pełnej czerwonej wody tryskającej z jego nadgarstków niczym odmarzniete źródło; Katryn Great Elk, która włamała się do gabinetu pielęgniarki i połknęła wszystkie dostępne tam pigułki.

Nie był jednak pewien, dlaczego Joe to zrobił. Palliser wyjął paczkę Lucky Strike ów, odwrócił do ściany nieco zbyt optymistyczną tabliczkę z napisem „Witaj w wolnym od dymu biurze”, przypalił papierosa i próbował postawić się w sytuacji Joego. Z jednej strony historia rodzinna i ostatnie wydarzenia robiły z niego istną bombę zegarową - poczucie winy, że nie udało mu się uratować Feliksa Wagnera, wzmocnione zaginięciem Andy'ego Taylora; uwikłanie w trudną lojalność wobec skonfliktowanych członków swojej rodziny; prawdopodobne uzależnienie od hazardu. Mieszanka wstydu, poczucia winy i hipotermii, w połączeniu z łatwym dostępem do dużej ilości leków, mogła w chwili słabości pchnąć chłopca do odebrania sobie życia.

Z drugiej strony, w układance znalazły się elementy, które zupełnie do niej nie pasowały. Po pierwsze Andy Taylor - dlaczego, mimo śmierci Wagnera, wrócił do Autisaq tak szybko? Edie wyjaśniała, że potrzebował pieniędzy i może była to prawda, ale dlaczego w takim razie zachowywał się aż tak nerwowo? Edie wspomniała mu też, że mężczyzna sporo wypił wieczorem przed wyruszeniem w trasę. Poza tym Joe przyjechał na nartach aż z Craig, żeby wezwać pomoc. Tymczasem przeciętny Inuk wolałby przeczekać burzę, nawet jeżeli ktoś faktycznie zginął. Jeżeli Joe zabił Taylora, przypadkiem czy z premedytacją, to czy pojechałby po pomoc? Może to była tylko przykrywka?

Może Joe pochował ciało? To wyjaśniałoby, dlaczego do tej pory nie udało im się znaleźć żadnego śladu Taylora. Z drugiej strony, Robert Patma powiedział, że Joe majaczył i bredził. Gdyby miał coś na sumieniu, to w takim stanie na pewno by się wygadał.

Z rozmyślań wyrwał Dereka dzwonek telefonu. Nie za bardzo miał ochotę rozmawiać, ale i tak odebrał. Po drugiej stronie słuchawki usłyszał głos burmistrza.

- Cześć, Derek. Mieliście bezpieczny lot wczoraj wieczorem?

Palliser odgarnął papiery z biurka.

- Domyślałam się, że dalej nie znaleziono ciała.

W słuchawce na chwilę zapadła cisza. Coś zabrzęczało. Zakłócenia na linii - bardzo częste na tej wysokości geograficznej - czy pełne irytacji chrząknięcie?

- Martie i Sammy polecą na Craig, jak tylko pogoda się poprawi.

Simeonie potrafił sprawić, że jego rozmówcy czuli się jak psy zaprzęgowe, którymi on sam powoził.

- Poinformowałeś już rodzinę? - zapytał burmistrz.

- Jeszcze nie. Czekam na informację zwrotną z Ottawy.

- Tylko nie dawaj im złudnej nadziei. - W słuchawce znów rozległo się ciche, powstrzymywane chrząknięcie, jakby Simeonie chciał udowodnić, że kieruje się wyłącznie zdrowym rozsądkiem. - Szczerłość jeszcze nikomu nie zaszkodziła, prawda? Faceta nie ma od pięciu dni. Zresztą ten *qalunaat* nie potrafił się nawet sam wysikać. Już po nim, to *inuvinig*, martwy człowiek, nie ma żadnej wątpliwości. Myślę, że rodzinie bardzo by pomogło, gdybyś powiedział, że widzieliście ciało z samolotu, ale nie mogliście wylądować, żeby je zabrać ze sobą. W ten sposób będą mogli jakoś pogodzić się ze stratą, a my nie będziemy mieć tej całej papierkowej roboty.

Czyli o to mu chodziło. Simeonie miał rację - szanse na odnalezienie Taylora żywego były mniej więcej takie, jak na otwarciu McDonalda w Kuujuaq. Nieważne, czy znajdą ciało, czy nie, burmistrz chciał już tę sprawę zamknąć. Zaginieni bardziej rzucali się w oczy w nagłówkach niż martwi. Niepewność mogła ściągnąć im na kark lawinę wścibskich południowców. Mimo to w świetle prawa Andy Taylor nie mógł zostać oficjalnie uznany za martwego, dopóki nie znajdzie się ciało lub nie upłynie dużo więcej czasu.

Linia trzeszczała. Derek słyszał jedynie ciche zawroźnienie jakiejś chińskiej opery. W końcu w słuchawce znów rozległ się wysoki, natarczywy głos Simeoniego. Burmistrz mówił akurat o swoim bratanek.

- Na to są fundusze. Specjalne pieniądze na zapobieganie samobójstwom. Myślę, że dobrze by dla nas było, gdybyśmy mieli tu więcej policji. Trzeba stworzyć osobny komisariat tu u nas, w Autisaq, rozwinąć istniejącą już jednostkę, zainstalować najnowszy sprzęt, wygospodarować budżet na podróże służbowe. Zorganizować grupę kadetów, taki klub dla chłopców, wypromować to w regionie, po prostu zrobić coś, żeby poradzić sobie z tymi samobójstwami.

- Prawdę mówiąc — odezwał się Derek - to najpierw musimy tu sprowadzić patologa, żeby zbadał ciało Joego Inukpuka.

Burmistrz wyszczekał kilka poleceń dla kogoś, kto znajdował się akurat w jego biurze, po czym wrócił na linię.

- Zrozum Derek, to był mój bratanek. - Simeonie przybrał pełen rozpaczony ton. — Ja po prostu nie chcę, żeby inne rodziny musiały przechodzić przez to, z czym my się teraz borykamy. Myślę, że gdybyśmy mieli odpowiednie fundusze, to ty mógłbyś takim programem zarządzać.

Burmistrz próbował za wszelką cenę przywrócić normalny bieg spraw. Choćby miał przebić głową mur.

Derek musiał mu przyznać, że jest skuteczny.

Po drugiej stronie słuchawki rozległy się jakieś ciche głosy.

- Muszę lecieć - powiedział pospiesznie Simeonie. — Przyszli doradcy do spraw rozwoju. Derek, pamiętaj, że gramy w jednej drużynie. Napisz w raporcie, że to była przypadkowa śmierć

i samobójstwo. Tak trzeba. Pozwól rodzinie Joego w spokoju pochować jego ciało.

Linia ucichła. Derek gwałtownie odwrócił się na obrotowym krześle. Miał ochotę kogoś uderzyć. Zamiast tego zapalił papierosa. Ledwo udało mu się zaciągnąć pierwszy raz, gdy telefon zadzwonił ponownie.

— Daj mi tego drugiego. - Derek od razu rozpoznał ten głos. Tom Silliq. — Odpieprz się. — Rzucił słuchawkę z powrotem na widełki. Przypomniało mu się znalezione w samolocie graffiti. Dupek.

Stevie odczekał chwilę, zanim zaproponował mu kolejną herbatę.

Jakiś czas później cichy dźwięk w głośnikach oznajmił nadejście e-maila. Było to niecodzienne wydarzenie, gdyż pomimo wielu obietnic, że łącze zostanie naprawione, internet na komisariacie działał tak wolno, że ledwo dało się z niego korzystać. Biuro w Ottawie nie znalazło żadnych bliskich Andy'ego Taylora. W rejestrach nie było nawet wzmianki o potencjalnym małżeństwie czy dzieciach. Jego najbliższym krewnym był czterdziestosześcioletni mężczyzna z Kolumbii Brytyjskiej, kuzyn w trzeciej linii. Derek wybrał numer. Po kilku chwilach jakiś kobiecy głos poinformował go, że mężczyzna już dawno wyjechał i nie wie, jak się z nim skontaktować.

Derek wybrał numer do biura burmistrza w Autisaq, po czym się rozmyślił. Poszukał danych kontaktowych Mike'a Nungaqa ze Sklepu Północnego. Sprzedawca odebrał już po pierwszym sygnale.

Głos po drugiej stronie słuchawki zdawał się podniecony. Derek przygryzł wargę. Intuicja podpowiadała mu, że lepiej się jeszcze specjalnie nie wychylać, bo ludzie mogą pomyśleć, że wszczął kolejne śledztwo. Przybrał więc ton chłodnego profesjonalizmu.

- Mógłbyś poprosić Edie, żeby do mnie zadzwoniła? Pracuję nad raportem dotyczącym śmierci Joego. Muszę potwierdzić kilka punktów.

Minęło sporo czasu, zanim telefon w końcu zadzwonił.

- Jak się masz? - zapytał Derek, po czym kopnął się w kostkę. Kobieta dopiero co straciła pasierba. Jak niby miała się mieć?

- Domyślam się, że to nie jest towarzyski telefon?

- powiedziała kobieta po dłuższym wahaniu. Mówiła bardzo cicho, jakby zmuszała się do składania warg w kolejne dźwięki, nie rozumiejąc, co one tak naprawdę oznaczają, jakby nie znała własnego języka.

Derek podniósł niedopałek z popielniczki i zaczął go obracać w palcach. Czuł się nieco urażony jej tonem. Zastanawiał się, co takiego jej zrobił.

- Edie, możesz mi powiedzieć, co wiesz o Andym Taylorze?

- No cóż, to kompletny *nutaraqpaluktuq*, niezrównoważony, skłonny do histeryzowania.

- Chodzi mi o konkrety. Mówił ci, skąd pochodzi? Wspominał o jakiejś dziewczynie, rodzinie?

- Nie i nie. Wiem tyle, że był fanem Guns N'Roses. Nie możesz wziąć tych danych z jakiejś policyjnej bazy?

- Być może. Myślisz, że ten cały Fairfax będzie o nim wiedział coś więcej?

- Mam gdzieś do niego numer, możesz zadzwonić.

- Wydawało się, że kobieta jest zadowolona, że Derek prowadzi dochodzenie. Najwyraźniej jeszcze nie zdawała sobie sprawy, że jej pasierb mógł być zamieszany w śmierć Taylora. Policjant słyszał, jak przekłada jakieś rzeczy w pokoju. Chwilę później wróciła do telefonu i podała mu dziwną kombinację cyfr.

- To w Kanadzie?

- Nie... Za granicą gdzieś, chyba w Londynie - zawahała się. - Derek, jak myślisz, czy Joe

naprawdę się zabił?

Policjant czuł, że Edie chciałyby mieć go po swojej stronie. Przez chwilę milczał.

- Tak, chyba tak. Tak myślę.

- Muszę lecieć - powiedziała oschle. Słysząc było, że wciąż nie może poradzić sobie z tym, co się stało. Nie obwinił jej o to. Sam miał z tym problemy.

Popołudnie zeszło policjantowi na próbach stworzenia raportu. Jego myśli jednak wciąż wracały do rozmowy z Simeonem. To była całkiem dobra oferta. Odłożyć sprawę Joego i Andy'ego Taylora na półkę przy zachowaniu minimum niezbędnych formalności, a w zamian dostać zupełnie nowy komisariat i odpowiednie wsparcie. Ciało Taylora i tak najprawdopodobniej miało nigdy się nie znaleźć, a nawet jeżeli się znajdzie, niszczycielskie działanie śniegu lub zwierząt prawdopodobnie i tak uniemożliwi określenie przyczyny śmierci.

Gdy Stevie udał się już do domu, Derek wyszedł na spacer, żeby przemyśleć sprawę. Gdy skręcił w główną ulicę, zobaczył tego samego wychudzonego psa, którego widział poprzedniego dnia wieczorem. Tym razem towarzyszył mu jeszcze jeden, większy husky z brązową plamą nad jednym okiem i uszami poszarpanymi od dawno już zapomnianych przez psa walk. Zwierzęta były przygarbione, miały zjeżoną sierść. Przypatrywały się sobie z obrzydliwym uśmiechem. W końcu większy pies rzucił się na drugiego i chwycił go szczękami za kark. Rozpoczęła się walka na śmierć i życie.

Derek sięgnął po pistolet, ale się zawahał. Trzydzieści lat temu oddział policji konnej odstrzelił wszystkie psy zaprzęgowe w Kuujuaq po tym, jak jakieś rozwścieczone zwierzę zagryzło jedno z miejscowych dzieci. Ta decyzja przyniosła ze sobą ogromne cierpienie, wściekłe ataki na policję, konflikty między klanami. To właśnie dlatego założono tu oddział rdzennych sił porządkowych. Sierżant schował pistolet, podszedł do psiej kotłowniny, złapał mniejsze zwierzę za kark i odsunął je. Drugi pies odskoczył nieco do tyłu. Derek wypuścił szorstkie futro z garści, a mniejszy husky pokuśtykał gdzieś w dal, wlokąc za sobą zakrwawioną łapę.

Przez jakiś czas spacerował wzdłuż brzegu, po czym wrócił do domu i przygotował swoją codzienną kolację złożoną z zupki chińskiej i steku z puszki. Postawił jedzenie na stole, żeby nieco przestygło, włożył trapersy i poszedł odwiedzić lemingi. Wciąż wracał myślami do rozmowy z Edie. Nie wiedział, dlaczego jej wspomnienie wciąż go tak dręczy. Lemingi czasami potrafiły mu rozjaśnić umysł, a w każdym razie zawsze sprawiały, że czuł się lepiej.

Gdy dotarł do komórki, okazało się, że jej drzwi są uchylone. Dziwne. Nie było powodu, żeby ktoś tam wchodził, gdy jego nie było. W środku było ciemno, ale nie musiał nawet wysilać wzroku, by zobaczyć, co się stało. Na podłodze leżały porozrzucane ciała tuzina lemingów. Ktoś połamał im karki. Ich małych ciałek nie zdążyło jeszcze ogarnąć zdrętwienie pośmiertne, ale powoli zaczynały już zamarzać.

Zapomniał o stygnącym jedzeniu. Pobiegł na ganek, chwycił siatkę do łapania psów i wyruszył w noc. Wszystkie trzy ulice Kuujuaq były puste. Ci, którzy po pracy polowali, zdążyli już wyruszyć. Reszta siedziała w domach, jedząc lub oglądając telewizję. Wychudzony pies dał się złapać jako pierwszy. Powoli, jeden po drugim, chwycił następne. Po czterech godzinach w schronisku było już dwanaście zwierząt. Derek poszedł do szopy, wyjął worki z karmą i rozdzielił ją między klatki, tak żeby psy nie czekały co najmniej do rana. Był wyczerpany, ale poczuł się odrobinę lepiej. Nadszedł czas, by uprzątnąć komórkę.

„To dopiero pierwszy akt”, pomyślał. To wszystko była jego wina. Był zbyt bierny. Teraz musiał znaleźć jakiś sposób na to, by odzyskać władzę. W innym przypadku Silliq i Toolik będą się na nim mścić tak długo, aż w końcu go wypłoszą. Pomyślał jeszcze raz o ofercie Simeoniego. To, o co prosił go burmistrz, było złe. Jego obowiązkiem było zbadanie wszelkich okoliczności związanych ze zniknięciem Andy'ego Taylora. Z drugiej strony, wizja przeprowadzki do Autisaq

jeszcze nigdy nie wydawała się tak atrakcyjna.

Podgrzał zupę w mikrofalówce, po czym wziął długi, gorący prysznic. Gdy wyszedł z łazienki, było już wpół do trzeciej, a na dworze świeciło jasne słońce. Wiedział, że nie zaśnie, więc od razu dał za wygraną. Wrócił do biura, zaparzył herbatę, włączył komputer i wpisał w wyszukiwarce nazwisko Mishy. Wydawało mu się, że strona wyników ładuje się przez całą wieczność. Nagle schylił się i nacisnął przycisk reset.

Osunął się na oparcie krzesła i czuł, jak wraca do niego dawno zapomniany szacunek do samego siebie. Była prawie trzecia nad ranem, czyli gdzieś około ósmej czasu londyńskiego. Derek wziął głęboki oddech i wybrał numer Billa Fairfaksa. Po chwili usłyszał w słuchawce głos. Otworzył usta, ale nie potrafił wydobyć z siebie ani słowa. „Halo? Halo?“, powtarzał głos.

Derek Palliser jeszcze raz spróbował przypomnieć sobie, co tak naprawdę może osiągnąć, badając sprawę Andy’ego Taylora. Odłożył słuchawkę na widelki, podarł kartkę z numerem na drobne kawałeczki i wyrzucił ją do kosza na śmieci.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tydzień po tym, jak z laboratorium przysłyły wyniki potwierdzające, że Joe Inukpuk zmarł w wyniku przedawkowania vicodinu, jego rodzina zabrała ciało na wyspę Craig i pochowała je na klifie z widokiem na Cieśninę Jonesa.

W ostatnich latach dla Inuitów niemal każdy pogrzeb wiązał się z walką pomiędzy tymi, którzy stawiali na nowoczesność, a tymi, którzy woleli podtrzymywać tradycję. Minnie chciała, by Joego pochowano na cmentarzu nieopodal lądowiska, w stylu chrześcijańskim, ale ostatecznie wygrał głos Sammy'ego: ciało jego syna miało zostać oddane ziemi, złożone pod kurhanem, tak jak robiono to za dawnych czasów. Edie bardzo się z tego cieszyła. Często rozmawiała z pasierbem o jego przekonaniach i choć chłopiec przyznawał, że niektóre elementy chrześcijaństwa mu odpowiadają, to nigdy nie był do niego w pełni przekonany.

Joe wierzył w to, co widział wokół siebie: w Naturę, duchy i przestrzeń. W chrześcijańskiego boga najzjarliwiej wierzyło starsze pokolenie; ci, którzy urodzili się na wschodnim wybrzeżu Zatoki Hudsona, niemal trzy tysiące kilometrów na południe. To ich przesiedlono w latach pięćdziesiątych na Wyspę Ellesmere'a, by potwierdzić zwierzchność Kanady nad tym terenem. Edie wcale nie dziwiło, że osadnicy szukali pocieszenia w starych, biblijnych opowieściach o wygnaniu i tułaczce. Sami przeszli podobną drogę. Tymczasem Joe był Inukiem z północy, mieszkańcem Wyspy Ellesmere'a, obywatelem Umingmak Nuna, czyli Ziemi Piżmowołu. Opowieści o wygnaniu, rozchodzących się po morzach i ziemiach obiecanych nie robiły na nim żadnego wrażenia. Edie nie mogła uwierzyć, że odebrał sobie życie w miejscu, które tak kochał.

Mężczyźni z rodziny pojechali na Craig, aby wznieść kopiec i ułożyć pod nim ciało, zostawiając dla kobiet żałobną mszę. Rankiem, w dniu nabożeństwa, pogoda była niezdecydowana. Słońce co chwilę to świeciło, to chowało się za wysokimi cirrusami. Gdy z radia rozległy się pierwsze dźwięki audycji śniadaniowej, Edie już od dawna była na nogach. Wzięła prysznic, nasmarowała włosy olejem, zaplotła je w warkocze i związała na karku tasiemką i wstążką uplecioną z futra arktycznego zająca. Nie miała apetytu, ale zmusiła się do wypicia szklanki herbaty zagęszczonej foczym sadłem. Włożyła swoje najlepsze ubranie - sukienkę uplecioną z sierści piżmowołu i ozdobioną haftami, parkę z foczej skóry i mukluki - po czym stanęła przed lustrem. Jej twarz była ogorziała od wiatru; nie wyglądała już na dwadzieścia pięć lat. Gdyby przyjrzeć jej się uważniej, w jej oczach widać było ból wydarzeń ostatnich kilku tygodni. Ale przynajmniej zdała egzamin.

Gdy miała na sobie tradycyjny strój, nikt nie mógłby się domyślić, że jej ojcem był *qalunaat*. Niska, dumna kobieta, która spoglądała na nią z lustra, wyglądała na stuprocentową Inuitkę, a Edie bardzo się to podobało.

Późnym rankiem samotnie udała się do kościoła. Ani Minnie, ani Willa nie życzyli sobie, by brała udział w nabożeństwie, ale postanowiła i tak pójść na mszę i stanąć gdzieś z tyłu, gdzie nikt jej nie zauważy. Nie mogli jej tego zabronić.

Na placu przed kościołem zebrał się tłum znajomych twarzy. Większość ciotek, wujków i kuzynów odwzajemniło jej pozdrowienie. Niektórzy się jednak wstrzymali. Część osób wciąż uważała, że gdyby Edie nie wysłała Joego w trasę z Andym Taylorem, chłopiec wciąż by żył. Kobieta to rozumiała; sama łapała się czasem na takich myślach. Ludzie zapomnieli już, że to Sammy zdecydował, że Joe pojedzie w trasę z Andym. Oczywiście jej były mąż dotąd nie wyjaśnił tego nieporozumienia; zresztą i tak nic by to nie zmieniło.

Sammy stał z przodu z Minnie i Willą. Z całych sił starali się stworzyć jednolity front, co tak kiepsko im wychodziło, gdy Joe jeszcze żył. Edie jednak nie miała prawa moralizować, gdy chodziło o solidarność rodzinną. Czyż sama nie porzuciła Willi i Joego, gdy rozstała się z mężem? Willa tak właśnie myślała.

Ksiądz opowiadał jakieś bzdury. Kraina Śniegu, bla, bla, bla. Przyjechał na Ellesmere z Iqaluit przed trzema laty i jeszcze nie zauważył, że powyżej siedemdziesiątego szóstego równoleżnika śnieg się specjalnie nie liczył.

Tutaj chodziło tylko o lód. Ludzie powiadali, że różnica między Inuitami a południowcami jest taka, że dla tych ostatnich lód to zamrożona woda, podczas gdy Inuici wiedzą, że woda to nic więcej, jak stopniały lód. Edie postanowiła, że przy najbliższej okazji przeprowadzi z księdzem poważną rozmowę.

Gdy rozpoczęło się kazanie, Edie wymknęła się z kościoła. Była już niemal na stopniach swojego domu, gdy do głowy przyszła jej pewna myśl. Odwróciła się na pięcie i udała prosto do ratusza. Biura były puste. Pracownicy dostali wolne, żeby móc wziąć udział w nabożeństwie. Kobieta wyjęła klucze Joego i otworzyła pomieszczenie radiowe. Zadzwoiła na komisariat w Kuujuaq. Po drugiej stronie usłyszała zmęczony głos.

- Och, to ty, Edie. - Derek poweselał. - Simeonie pozwolił ci skorzystać z radia?

- Joe tu dyżurował, pamiętasz? Przyczepiłam jego klucz do swoich. Na czarną godzinę.

Derek, tak się zastanawiam, rozmawiałeś już z Fairfaxem?

Usłyszała, jak policjant bierze głęboki oddech i wierci się na krześle.

- Facet nie miał nic do dodania - odpowiedział wymijająco. Zastanawiała się, czy kłamie, a jeżeli tak, to dlaczego.

- Pytałeś go o Feliksa Wagnera?

- A skąd niby Fairfax miałby go znać?

- Nie wiem. Takie mam tylko przeczucie.

- Wyniki ekspertyzy były niezaprzeczalne. Joe popełnił samobójstwo. Burmistrz chce jak najszybciej zamknąć tę sprawę.

- Jasne. Chce rozpocząć kolejną kampanię wyborczą z czystą kartą.

Derek westchnął.

- Słuchaj, dwa razy oblecieliśmy Craig. - Zaczynał się bronić. - Gdyby Taylor żył, zobaczylibyśmy go z powietrza.

W głosie policjanta znów zaczęło pobrzmiwać zmęczenie. Czasami miała ochotę nim potrząsnąć. Nie mogła znieść jego cynizmu, jego obojętności wobec świata, wobec samego siebie.

- Czemu właściwie tak się nim interesujesz? - zapytał. - Myślałem, że go nie znosisz.

Kobieta zignorowała ten przytyk.

- Czyli nie łądowaliście?

- Nie było takiej potrzeby.

- Przecież mówiłeś, że pułap chmur się obniżył.

Czy naprawdę wydawało mu się, że zapomniała,

o czym rozmawiali tuż po śmierci Joego? Nie doceniał jej, a to było do niego niepodobne. I tym bardziej ją to niepokoiło.

- Ty to masz tupet, wiesz? Poza tym Simeonie wysłał na Craig jeszcze Martie, pamiętasz?

Kobieta poczuła, jak dostaje gęsiej skórki, po czym na jej policzkach wykwitł rumieniec. Łzy zaczęły spływać jej po twarzy. Przygryzła wargę, żeby Palliser nie zorientował się, że płacze. Odkąd znalazła ciało Joego w jego pokoju, ciężko było jej kontrolować emocje.

- Edie, wiem, że to dla ciebie trudne - powiedział. Jego głos był ciepły, miękki. - Czy nie

najlepiej będzie, jak zostawimy to wszystko za sobą, wrócimy do normalności?

Kobieta syknęła z odpowiednią, miała nadzieję, dozą zniecierpliwienia.

- No tak, zapomniałam, trzeba przecież kochać naszą wspólną społeczność i udawać, że nie ma w niej popaprańców, pijaków i nieuków. - Odetchnęła głęboko i wzięła się w garść. — Derek, czy ty kiedykolwiek zastanowiłeś się, dokąd prowadzi cię ten twój lemingowaty mózg? - powiedziała i rzuciła słuchawką.

Była zbyt poruszona, by się uspokoić. Poszła więc do swoich psów, uciszyła je, założyła im uprząże i wsiadła na sanie. Grubogłowy biegł swobodnie tuż u jej boku. Tak jak większość ludzi, Edie wciąż trzymała psy zaprzęgowe na wypadek, gdyby przyszło jej wybrać się w głąb łądu, przez góry, gdzie teren był zbyt wyboisty, by dało się jechać skuterem. Czasem też po prostu chciała się czuć bliżej natury.

A poza tym w ten sposób mogła się niepostrzeżenie wymknąć.

Miała wrażenie, że coś jest nie tak. Nie wiedziała co, ale mimo to niepokoiła się; coś podpowiadało jej, że musi być bardzo ostrożna. Nie chodziło tylko o to, jak szybko starano się zamknąć sprawę śmierci dwóch *qalunaatów* - Edie nie podobało się również to, jak wszyscy spokojnie przyjęli, że Joe odebrał sobie życie. Ona tymczasem czuła w kościach, że między śmiercią Wagnera, zniknięciem Taylora i samobójstwem Joego istnieje jakiś związek. To był po prostu zbyt duży zbieg okoliczności.

„Simeonie też to wyczuł”, pomyślała. Dlatego tak bardzo zależy mu na tym, żeby wyciszyć sprawę.

Zdążyło się już przejaśnić, a słońce zawędrowało na tyle wysoko, na ile pozwalało mu południowe niebo

- czyli, niezależnie od pory roku, dość nisko. Typowa mirażowa pogoda. Edie uwiązała psy, pomyślała, że musi uważać w drodze powrotnej, i weszła na ganek domu Martie.

Jej ciotka nigdy do końca nie zadomowiła się w postawionych przez rząd domkach. Gdyby chciała mieć centralne ogrzewanie, powtarzała, zamieszkałaby we wnętrzu wulkanu. Wybudowała więc sobie własną chatę z materiałów po budowie ratusza. Postanowiła wznieść podwójne ściany, a Edie pomogła jej wypełnić przestrzeń między nimi mieszanką mchu i włosia pizmo-wołu. W jednym kącie salonu stał prymus, w drugim stary piec węglowy. Podłogi i ściany pokryte były skórą karibu, dzięki czemu wewnątrz sprawiało przytulne wrażenie. Wbrew zwyczajom innych Inuitów, Martie mieszkała sama. Bardzo dobrze czuła się we własnym towarzystwie i często powtarzała, że z wyjątkiem paru osób, zdecydowanie lepiej czuje się wśród zwierząt niż wśród ludzi.

Niewielkie pomieszczenie wypełniał gęsty smród taniej whisky, a na stoliku leżał cały zestaw kubków. Zbyt czystych, by podejrzewać, że Martie piła w nich herbatę. Edie zawołała ciotkę. Kobieta wysunęła się zza kotary, którą odgradzała łóżko od reszty pokoju, wyglądając jak zły pizmowół.

- Ach, to tylko ty, ty moja Mała Niedźwiedzico. — Wskazała swojej ulubionej siostrzenicy krzesło i podeszła do kuchenki. - Cholera, napiłabym się herbaty, nie powiem - powiedziała, zapalając gaz i kładąc garnuszek z wodą nad płomieniem. - Co ty tutaj właściwie robisz? Nie przegapisz nabożeństwa?

Martie nie pojawiła się w kościele, co zresztą nie było dziwne, bo nie pochwałała chrześcijaństwa — kolejna cecha, która łączyła ją z Edie. Gdy przewodniczka dorastała, ciotka często pocieszała ją, że nie ma nic złego w tym, że ktoś myśli inaczej.

Woda zaczęła się gotować. Martie wzięła ze stolika dwa kubki i pokuśtykała do kuchenki. Po chwili jednak sięgnęła na półkę i zdjęła z niej dużą butelkę Canadian Mist. Gdy ciotka nalewała hojną porcję whisky do jednego z kubków, Edie poczuła nagle przerażające, dobrze jej znane

pragnienie. Od sześciu lat nie wypła ani kropli alkoholu, ale każdego dnia za nim tęskniła. Teraz jednak była absolutnie przekonana, że nie da rady dłużej wytrzymać bez odrobiny whisky, tylko na spróbowanie. Martie dostrzegła jej spojrzenie.

- Cholera, Edie, nie.

- Martie, oni chowają Joego.

Ciotka spojrzała na nią, po czym nalała porcję whisky do drugiego kubka. Alkohol miał przyjemny, łagodny smak, niczym czysta, prosta piessczota.

- Przyszłam zapytać cię o poszukiwania na Craig.

- Niczego nie znaleźliśmy. - Martie zapaliła papierosa.

- Chciałam wylądować, ale mieliśmy wyraźne instrukcje.

Edie spojrzała na nią zaskoczona.

- Nie wiedziałas? Simeonie powiedział, że mamy tylko okrążyć wyspę.

Edie wzięła spory łyk wymieszanej z alkoholem herbaty. Sześć lat trzeźwości poszło na marne. Na razie jednak nie żałowała.

- Nie uważasz, że to co najmniej dziwne, Martie? Wysłano cię na poszukiwanie kogoś, kto być może ukrywał się w jaskini albo wpadł w jakąś szczelinę. Jak miałas go znaleźć bez lądowania?

Ciotka wzruszyła ramionami i dołała jej whisky.

- Posłuchaj mnie, moja Mała Niedźwiedzico, ja tylko wykonuję swoją robotę.

Edie wypła dolewkę z nadmiernym pośpiechem. Sama to zauważyła. Tym razem alkohol smakował po prostu normalnie. Jej ciotka strzepnęła popiół na podłogę i przydeptała go stopą. Zapadła cisza.

Przypomniała sobie ten dzień wiele lat temu, gdy zrobiła to samo, co dziś: pojawiła się u swojej ciotki bez zapowiedzi. Wtedy jednak miała zupełnie inne powody. Przepła z Sammym cały dzień i cały wieczór. Willa i Joe byli już w łóżku. Wybuchła kłótnia; Edie nie pamiętała już, o co chodziło, poza tym, że tak naprawdę chodziło o to, co zawsze - czyli o alkohol. Tym razem jednak było wyjątkowo źle. Edie złapała za swoją broń, a Sammy wyjął swoją. Stali naprzeciw siebie, mierząc do siebie z pistoletów. Z perspektywy czasu wydawało jej się to niemal groteskowe, jak scena z filmu z Busterem Keatonem. Akurat w chwili, gdy zastanawiała się, co się zaraz wydarzy, drzwi do pokoju otworzyły się i wyrzeli zza nich Joe z Willą. Wciąż trudno jej było myśleć o tym, co wtedy zobaczyli. Edie chwyciła swoją parkę i wybiegła na zewnątrz. Pojechała prosto do chaty swojej ciotki. Martie zrobiła jej duży rondel herbaty i garniec zupy z karibu, zamknęła ją w chacie i zostawiła tam na trzy dni, żeby wytrzeźwiała i się uspokoiła. Edie przewróciła wtedy całe mieszkanie do góry nogami w poszukiwaniu alkoholu, ale nic nie znalazła. Po trzech dniach ciotka wróciła. Jej ukochana chatka była niemalże w ruinie, ale nawet nie zareagowała. Wkrótce potem Edie wróciła do Sammy'ego.

Gdy wyszła na zewnątrz, Grubogłowy podbiegł do niej wesoło, po czym zatrzymał się i zaczął warczeć.

- Wiem, wiem. - Pies cofnął się niezadowolony. - Napiłam się trochę i nie podoba ci się mój zapach. - Złapała go za obrozę i pociągnęła z powrotem do sań. - Mam dla ciebie nowinę, mój drogi. Ty też nie pachniesz różami.

Podróż powrotna do Autisaq poszła gładko. Edie zdążyła na popołudniowe zajęcia w szkole. Stwierdziła jednak, że nie będzie opowiadać o wyprawach krzyżowych, tak jak było w planie, tylko o Czasie Porwań. Lubiła pisać tę nazwę wielkimi literami, nadając w ten sposób wydarzeniom wagę, której odmawiano im w podręcznikach po historii.

Polowania na Inuitów zaczęły się w 1571 roku, gdy Martin Frobisher, biały poszukiwacz przygód, zabrał ze sobą pewnego pozbawionego szczęścia Inuka do Londynu. Mężczyzna zmarł

wkrótce potem, ale to nie zniechęciło innych podróżników, którzy zaczęli masowo porywać Inuitów i zabierać ich ze sobą najpierw do Europy, a później do Ameryki Północnej - aby chwalić się nimi na wystawach lub oddać ich w prezencie sponsorom wypraw i innym grubym rybom. W ciągu kilku miesięcy większość Inuitów umierała na zachodne choroby, a pozostawiane na pastwę losu rodziny czekała zazwyczaj śmierć głodowa. Po pewnym czasie zjawisko przybrało taką skalę, że kilka europejskich krajów zakazało wwożenia Inuitów na swój teren. Gdy Edie skończyła opowiadać, Pauloosie Allakarialak od razu wyrwał się z pytaniem.

- Dlaczego zabierali ludzi ich rodzinom?

- A jak myślisz?

Pauloosie zastanowił się przez chwilę.

- Bo tak?

Edie się uśmiechnęła. Pauloosie już osiem lat chodził do szkoły i w końcu udało jej się do niego dotrzeć. „Bo tak”.

Po szkole wstąpiła do Sklepu Północnego, by wybrać sobie coś dobrego do jedzenia. Od śmierci Joego jakoś nie miała apetytu. Teraz jednak, po wizycie u Martie, coś się zmieniło. Może chodziło po prostu o alkohol, ale po raz pierwszy od kilku tygodni nie czuła się ani winna, ani pokonana. Wręcz przeciwnie - była wściekła.

Przy kasie spotkała Sammy'ego. Wymienili zmieszane spojrzenia. Spojrzał na zawartość jej koszyka, a przez jego twarz przebiegi błady uśmiech. Wiedział, co kupi. Znali się tak dobrze, że potrafili przewidzieć, co druga osoba wybierze w supermarkecie, a mimo to zupełnie do siebie nie pasowali. Zastanawiała się, czy zauważył butelkę Canadian Mist, którą tak pieczołowicie ukryła pod paczką żeberek i słoikiem masła orzechowego. Miała nadzieję, że nie.

- Masz ochotę na towarzystwo?

Pomyślała o tym, jak dobrze byłoby siedzieć obok niego na kanapie, i jak dobrze byłoby im później, w łóżku. Wiedziała, że on myśli o tym samym. Przez chwilę stali tak razem, jakby znów znajdowali się zaledwie u początku swej wspólnej, wyboistej ścieżki, a niepewne rumowiska, które dzieliły ich przez lata, nagle rozpląły się w powietrzu. Jutro jednak nastanie ranek. Zawsze nadchodził ranek.

- Może kiedy indziej - powiedziała, kładąc dłoń na jego ramieniu.

Przez jego twarz przebiegł wyraz bólu. Cofnął się odrobinę, tak że jej ręka opadła. Edie przypomniała sobie, kogo ludzie obwiniają za to, że Joe wyjechał w trasę z Andym Taylorem i poczuła się nieco lepiej.

- Pewnie, Edie - powiedział z udawaną nonszalancją.

— Nie ma sprawy.

Do domu poszła sama. Rozpakowując zakupy, przypomniała sobie, że zawsze wypominała pasierbowi, że je zbyt dużo fast foodów. Teraz wydawało jej się to śmieszne. Otworzyła butelkę Canadian Mist i pociągnęła spory łyk.

Kiedy poczuła się już wystarczająco pijana, podeszła do drzwi pokoju Joego. Przez chwilę stała przed tymi prostymi, zwyczajnymi drzwiami, prowadzącymi do prostego, zwyczajnego pokoju. Przekręciła gałkę i weszła do środka. Serce waliło jej jak oszałałe. Wydawało jej się, że czuje ten straszliwy zapach, ten szczególny, pikantny smród martwego ciała, ale to było tylko wspomnienie. Zamknęła za sobą drzwi i usiadła na krześle przy łóżku.

- Joe, *alumrniipaa*, kochanie? — Zaskoczył ją dźwięk jej własnego głosu.

Przez chwilę czekała na odpowiedź, ale wszechogarniająca cisza i duchota zamkniętego od wielu dni pokoju sprawiała, że kręciło jej się w głowie. To, co chciała odnaleźć, czego się bała i do czego tęskniła zarazem, było zupełnie gdzie indziej.

Wrzuciła zakupy do kosza na śmieci. Czekwała, aż nocny wiatr zejdzie z gór. Gdy w końcu

zaczął wyć i krzyczeć, wyszła na zewnątrz.

W niedzielę postanowiła odwiedzić Minnie i Willę. Do tej pory udawało jej się ich unikać. Dopiero teraz zdawała sobie sprawę, że była na nich zła za to, że po części obwiniają ją za śmierć Joego. Była też zła na siebie, bo sama w głębi duszy uważała, że w pewnym sensie mają rację. Ale kto tak naprawdę był odpowiedzialny? Czy to jej wina, że pozwoliła Sammyemu wysłać go w trasę ze znerwicowanym, niekompetentnym, przebiegłym dupkiem? A może Andy'emu Taylorowi udało się wplątać Joego w coś, z czego jedyną ucieczką było, jak mu się wydawało, samobójstwo? W każdym razie Edie chodziło o jedno - potrzebowała ich wybaczenia i sama pragnęła poczuć, że na nie zasługuje.

Minnie siedziała na kanapie i oglądała telewizję. Obok niej stała zawinięta w brązowy papier butelka. „Czyli jest już tak źle”, pomyślała Edie, pragnienie stało się zbyt naglące, by czekać na szklanke. Dobrze знаła to uczucie.

Minnie spojrzała na nią przelotnie i natychmiast przeniosła uwagę z powrotem na telewizor.

- Tylko tego było nam trzeba. - Chrząknęła i splunęła na zielonkawę płytki. - Królowa przysłała z wizytą.

Edie przelknęła złość i wzięła głęboki oddech. Minnie była po prostu wściekła. I co z tego? Łatwo było być wściekłą, sama zresztą czuła gniew, ale jak do tej pory nikomu nie udało się ustalić, na kogo tak naprawdę powinni się złościć. Być może wcale nie było takiej osoby, a cały ten gniew związany z samobójstwem Joego - z każdym samobójstwem - był niczym spadająca z lodowca lawina, gdy jedyne, co mogli zrobić, to poddać się jej monstrialnej energii i modlić się, że uda im się wyjść z niej cało.

- Minnie - odezwała się Edie. - Naprawdę bardzo mi przykro.

W tamtej chwili nie wiedziała nawet do końca, z jakiego powodu jest jej przykro. Może chodziło o wszystko po trochu. Minnie odwróciła się i spojrzała na nią z taką nienawiścią, że Edie poczuła, jakby ktoś wymierzył jej policzek.

— Lepiej z nim porozmawiaj, Willa jest u siebie - powiedziała, wskazując drzwi pokoju. Splunęła sobie w dłoń i wtarła ślinę w twarz. — Nie marnuj na mnie czasu.

Willa siedział na łóżku przy otwartym oknie i palił marihuanę.

- Twoja matka jest na mnie zła.

Młody mężczyzna pokręcił głową.

— Nie, ona cię po prostu nienawidzi.

— A wiesz może dlaczego? Poza tym, co zawsze.

Willa zaciągnął się głęboko, przymykając oczy.

- Od czego by tu zacząć?

Zapadła cisza.

- Pamiętasz, jak pojechaliśmy na Craig łowić ryby harpunem? Ty, ja i Joe. - Próbowała go jakoś odzyskać. - Teraz masz chyba dwadzieścia dwa lata, prawda? Więc to musiało być jakieś osiem, dziewięć lat temu.

Polowali na pstrągi. Znała takie miejsce na wybrzeżu Craig, gdzie woda była bardzo głęboka. To był wyjątkowo dobry rok, ryby podpływały tak blisko brzegu, że można było wejść do wody i niemal wyciągać je rękami.

Willa i Joe byli wtedy jeszcze dziećmi. Joe wszedł do wody pierwszy. Zawsze tak się wszystkim cieszył, ale polowanie z harpunem było jego ulubioną rozrywką. Ćwiczył tak długo, aż stał się mistrzem. Tymczasem Willa, jak zwykle, podszedł do wycieczki z większą rezerwą. Sam nigdy się do niczego nie przykładał, ale zawsze też zazdrościł bratu jego umiejętności. Pamiętała, jak Joe krzyczał z radości, gdy udało mu się przebić harpunem rybę. Zawołał wtedy do brata, żeby przytrzymał zdobycz, a on pobiegł po siatkę. Willa spojrzał na niego i przez

chwile wyglądał, jakby zastanawiał się, co zrobić. W końcu wstał i powoli podszedł do brata. Wziął od niego harpun. Joe szybko przedostał się z powrotem na plażę, tryskając podnieceniem. Ciągłe pokazywał rękami rozmiar zdobyczy i krzyczał, że to największa ryba, jaką kiedykolwiek złowił. Tymczasem Edie zobaczyła, jak Willa podnosi harpun i wyciąga pstrąga tuż nad wodę. Joe miał rację. Ryba była piękna, ogromna, mogli posilić się nią wszyscy we troje i nawet zaprosić gości. I wtedy stało się coś, czego nikt się nie spodziewał. Gdy Joe odwrócił się, by podnieść siatkę, Willa nagle jednym, mocnym uderzeniem dłoni zrzucił rybę z haka i wcisnął pusty harpun głęboko pod wodę. Joe odwrócił się i zaczął w podskokach biec z powrotem do morza. Woda rozpryskiwała się wokół niego wesołą pianą. „Trzymaj ją mocno, Willa!”, krzyczał. Jego brat stał nieruchomo niczym posąg, jakby przez cały czas w ogóle się nie ruszył. Joe zdał sobie sprawę z tego, że ryba uciekła, dopiero gdy włożył siatkę do wody i złapał za pusty harpun. Podniósł się ze zrozpaczoną miną, jakby morze zabrało mu wszystko, co miał. Spojrzał na Willę. Edie, która ich obserwowała, rozumiała, że Joe domyślił się, co się stało, ale i tak postanowił wybaczyć swojemu bratu.

- Nie przypominam sobie żadnej wycieczki - oznajmił Willa twardym głosem. - Słuchaj, Edie, to ty nalegałaś, żeby Joe wyjechał w trasę z tym *qalunaatem*. Po prostu musisz się z tym pogodzić i tyle.

Kobieta rozumiała, że była naiwna, myśląc, że Inukpukowie kiedykolwiek zdołają jej wybaczyć. Ani Minnie, ani Willa nigdy nie rozumieją, dlaczego Joe wybrał śmierć, bo oboje już zdecydowali, że to jej wina. Sammy wymyślił już swoją wersję historii, a oni ją kupili. Gdyby był to ktokolwiek inny, odebrałaby to jako akt zdrady. Ale Sammy nie był złym człowiekiem, po prostu był słaby. Wiedziała o tym już wtedy, gdy zdecydowała się wyjść za niego za męża, a od tego czasu nic się nie zmieniło. Być może któregoś dnia Willa pozna prawdę, ale to nie ona mu ją wyjawia.

Odwrociła się, włożyła wierzchnie ubranie i wyszła z ich domu. Spora część wieczoru zeszła jej na patrzeniu, jak Buster Keaton ucieka z zasadzki waląc, bijąc i skacząc. Nie wiedziała, czy po prostu ogarnęło ją zubożenie, czy też zaczyna powoli tracić zmysły. W końcu wstała, wyjęła stółek ze schowka, wspięła się aż do zamontowanej przy suficie szafki w kuchni i wyjęła z niej butelkę Canadian Mist.

Film leciał już piąty raz, a Edie właśnie dopijała trzecią podwójną whisky, gdy Sammy wychylił głowę zza drzwi.

— Wszystko w porządku, Edie? - zapytał, siadając obok niej.

- Wiesz, jaki jest dzisiaj dzień? — odpowiedziała mu pytaniem.

Sammy wyglądał na zbitego z tropu.

— Niedziela?

- Miesiąc.

Sammy nalał sobie szklanek whisky. Pokój pogrążył się w ciemnej, dusznej energii. Żadne z nich się nie odzywało. Nagle w głowie Edie pojawiła się pewna myśl, pewna straszliwa, bolesna myśl, której nie potrafiła się pozbyć.

- Sam my - powiedziała - myślisz, że Willa mógł mieć coś na Joego?

Jej były mąż zerwał się na równe nogi, odłożył szklanek i podszedł do drzwi. Jego głos łamał się i drżał.

- Wiesz co, Edie? Czasami nie mogę zrozumieć, jak kiedykolwiek mogłem cię kochać.

Kilka godzin później, gdy wciąż nie mogła zasnąć, pojawiła się pod drzwiami Sammy'ego. W środku paliło się światło, więc weszła bez pukania.

Siedział na swojej taniej kanapie, która śmierdziała starym piwem i zjełczałym tłuszczem foki, i popijał drinka. Na stoliku obok stało kilka pustych puszek po piwie i pół butelki Wild

Turkey. Podeszła do niego i przez chwilę przytulali się w ciszy. Potem Sammy nalał jej whisky do brudnego kubka. Podniosła naczynie do ust; alkohol palił jej przelyk. Jej były mąż przyglądał się jej uważnie.

- Przepraszam — powiedziała.

Machnął ręką, jakby wszystko już było w porządku, jakby do osiągnięcia idealnego porozumienia wystarczyło im tylko napić się razem whisky.

- Przyszedłem do ciebie, żeby ci coś powiedzieć - westchnął Sammy. - O Andym Taylorze.

Wieczór przed wyprawą Taylor chciał pójść do biura burmistrza, żeby wykonać pilny telefon.

- Wiesz, dokąd dzwonił?

— Nie. Jakaś sprawa rodzinna. Ale numer powinien być w rejestrze.

Edie przyjrzała mu się uważnie. Nawet teraz, po tych wszystkich latach, wciąż był dla niej zagadką.

— Dlaczego mi o tym mówisz, Sammy?

Mężczyzna uśmiechnął się blado.

— Ja nie jestem odważny, Edie. Wiem, że chciałabyś, żeby tak było, ale nie jestem. Nie tak jak ty.

* * *

Któryś z pracowników ratusza zapomniał zgasić swoją lampkę. Nikłe światło wyostrzało kształty pustych biur i krzeseł. Minęła salę konferencyjną, w której wieki temu starszyzna ustaliła, że nie będzie badać sprawy śmierci Feliksa Wagnera, podczas gdy ona i Joe czekali na zewnątrz, jak para niegrzecznych uczniów.

Minęła pokój radiowy i skrzyła w prawo, idąc prosto w kierunku dużych, szarych drzwi na końcu korytarza, który prowadził do gabinetu burmistrza. Jego pokój był jednak zamknięty. Edie przez chwilę siedziała za biurkiem asystentki Simeoniego, Sheili Silliq. Była ona jedną z tych kobiet, które bez wahania odrzuciły swą inuicką tożsamość w zamian za ciepłą posadkę w biurze i wycieczki na południe, ku jasnym światłom Ottawy, dwa razy do roku. Uprzejma, wydajna, otoczona nieuchwytną aurą poczucia wyższości.

Za jej biurkiem stała metalowa szafka, pełna opatrzonych schludnymi etykietami teczek. Edie wyjęła „rejestr połączeń telefonicznych” i przerzuciła kilka stron w poszukiwaniu kwietnia. Ludzie dzwonili głównie do okolicznych osad, do Iqaluit i od czasu do czasu do Ottawy. Kierunkowy do Stanów od razu rzucał się w oczy. Edie zanotowała numer, zamknęła teczkę i właśnie miała ją odłożyć na półkę, gdy drzwi do biura otworzyły się, a w korytarzu pojawiła się Sheila. Jej policzki były zaróżowione od wiatru.

Najlepszą obroną musiał być atak.

- Nie mogłam spać — oznajmiła Edie, jakby to, że siedzi w środku nocy za cudzym biurkiem, było zupełnie normalne. - A ty jaką masz wymówkę?

Sheila przyglądała się jej z otwartymi ustami. Na jej twarzy malował się wyraz bezbrzeżnego zdziwienia.

Przewodniczka zdecydowała się sprawdzić numer, pod który dzwonił Andy Taylor, dopiero następnego dnia po szkole. Ciekawił ją ten kierunkowy. Taylor powiedział Sammyemu, że chce wykonać prywatny telefon do rodziny, ale według Dereka chudy *qalunaat* nie miał żadnych bliskich krewnych.

Włożyła wierzchnie ubranie i pospiesznym krokiem udała się do Sklepu Północnego, żeby zapytać Mike'a, czy może skorzystać z jego telefonu na zapleczu. Chodziło o połączenie międzynarodowe. Ktoś odebrał już po drugim sygnale.

- Zemmer? - zapytał głos, charakterystycznie przeciągając samogłoski.

Nazwisko brzmiało znajomo, ale Edie nie mogła sobie przypomnieć, gdzie je wcześniej

słyszała.

- Czy zastałam Andy'ego Taylora?

Cisza na linii.

- Nie pracuje tu żaden Andy Taylor. - W głosie pojawiła się nutka ostrożności. - Kto mówi?

- Przepraszam - powiedziała Edie. - Może mam zły numer... Czy to sklep komputerowy w... -
Próbowała sobie przypomnieć jakieś amerykańskie miasto. -W Waszyngtonie?

- Nie, proszę pani, to pizzeria w Houston.

Edie odwiesiła słuchawkę i wróciła do sklepu.

- Nikt nie odebrał? - Mike uśmiechnął się współczująco.

Kobieta pokręciła głową. Kiedy miało się coś do ukrycia, najlepiej było się nie odzywać.

Nauczyła się tego z niemych filmów.

Właśnie odkryła coś, czego znaczenia jeszcze nie potrafiła zrozumieć. Wiedziała jednak, że to bardzo ważne. Nawet Andy Taylor nie był tak szurnięty, żeby zamawiać dostawę z oddalonej o sześć tysięcy kilometrów pizzerii.

ROZDZIAŁ SIÓDMY Tydzień później, w czasie ferii, Edie spakowała sprzęt i zapasy żywności, po czym poszła na plażę - tam, gdzie stały jej sanie. Pomijając krótką wycieczkę do ciotki Martie, nie wsiadała na swój *komatik* od śmierci Joego, więc sanie potrzebowały rutynowego przeglądu i konserwacji. Nie była pewna, czy będą nadawać się do podróży przez wciąż zbity, ale już powoli mięknący, majowy lód.

Większość ludzi używała obecnie plastikowych płóz. Edie jednak zawsze czuła, że sztuczne tworzywa tylko odgradzają ją od ziemi. Nie lubiła tego. Musiała więc zeszkrobać starą warstwę tłuszczowo-błotnej pasty z wykonanych z kłów morsa płóz, po czym na nowo je naoliwić. Gdy chodziło o sanie, preferowała jazdę w starym stylu.

Gdy pasta powoli zastygała i zamarzała, Edie wzmocniła listwy sań liną z foczej skóry i sprawdziła uprząż.

Wciąż powtarzała sobie, że jedzie tylko na ryby na Craig. Była to zresztą prawda, ale niecała - dobrze o tym wiedziała. Gdyby chodziło tylko o połów, wybrałaby bardziej dogodne miejsce. W pewnym sensie już teraz szukała odpowiedzi, choć jeszcze nie do końca była pewna pytań.

Poszukiwania Andy'ego zakończyły się fiaskiem. Wyglądało na to, że rodzina Joego, Simeonie, a nawet Derek Palliser chcą mieć sprawę zniknięcia Taylora i samobójstwa jej pasierba jak najszybciej za sobą. Gdyby Edie miała nieco więcej rozsądku, pewnie zachowałyby się tak samo. Śmierć Joego jednak obudziła w niej jakiś wewnętrzny imperatyw, którego nie potrafiła zignorować. Ludzie mogli to nazywać instynktem łowcy, intuicją, matczyną miłością - Edie jednak rzadko przejmowała się tego typu etykietami. Po prostu czuła, że to wszystko jakoś się ze sobą łączy. Gdyby nie śmierć pasierba, być może zrobiłaby to, o co prosił ją Sammy; być może nie wrywałaby się przed szereg i trzymała buzię na kłódkę. Była jednak pewna, że rozwikłanie zagadki losu dwóch *qalunaatów* pomoże jej znaleźć klucz do samobójstwa jej pasierba. Z drugiej strony, gdyby rzuciła Simeoniu otwarte wyzwanie, burmistrz zrobiłby wszystko, by utrudnić jej - ba, by uniemożliwić - przeprowadzenie śledztwa. Dlatego też trzymała swoje plany w tajemnicy nawet przed samą sobą. Wiedziała jednak, że jeżeli nie uda jej się zrozumieć, co stało się z Joem, to nie będzie miała po co żyć.

Komatik był już gotowy do drogi. Zaciągnęła go więc przez morski lód do miejsca, w którym trzymała uwiązane psy. Nakarmiła je poprzedniego ranka i zamierzała im dać kolejną porcję karmy dopiero wieczorem, gdy rozbije obóz. Psy zaprzęgowe trzeba było trzymać na skrajach głodu. Gdy były najedzone, to nie chciały biec.

Od kilku lat przewodniczką zaprzęgu była szara suka, którą Edie nazwała Takurnqunagtuq, Szczęście. To imię zdawało jej się teraz nieco ironiczne. Joe zawsze droczył się z nią, że jest zbyt

przywiązana do swoich psów. Myślała o tym teraz, badając ich żebra i łapy, żeby sprawdzić, czy są wystarczająco silne i nie mają żadnych otarć. Kończyny i płuca często wysiadały jako pierwsze. Świecowy lód potrafił nieźle poharatać poduszki łap, a gdy robiło się bardzo mroźno, niektóre psy kaszlały krwią. Parę razy zdarzyło jej się, że któremuś z psów z zaprzęgu po prostu pękły płuca. W większości jednak były to silne zwierzęta, potomkowie nieugiętych, pięknych suk z Nuna-vik, przywiezionych tu przez jej dziadków, i większego, bardziej spokojnego psa grenlandzkiego o bujnej sierści i niewielkich uszach, które ograniczały utratę ciepła.

Wybrała czternaście psów i przywiązała je do uprzęży. Dwa miały biec swobodnie u jej boku jako rezerwa. Jeszcze raz sprawdziła sprzęt i swoje ubranie, obłożyła sanie skórami karibu, przywołała Grubogłowego do nogi i wskoczyła na pokład z gromkim „ha, ha”.

Pogoda była idealna. Chmury stały wysoko na niebie, więc temperatura wzrosła aż do -20 stopni, dzięki czemu lód pozostawał odpowiednio twardy, ale płozy na nim nie podskakiwały. Wiatr był lekki, nie podrywał do góry chmur zmrożonego śniegu. W takich warunkach psy gnały do przodu z taką energią, że Edie musiała je przytrzymywać, żeby zbyt szybko się nie zmęczyły.

Komatik pędził przez przybrzeżny lód w kierunku ciśnieniowych pagórków, za którymi znajdował się dryfujący pak. Nagle Edie przypomniała sobie scenę z jednego z filmów z Keatonem. Zachichotała. Wydawało się, że minęła cała wieczność, odkąd śmiała się po raz ostatni. Tymczasem w jej głowie Buster Keaton rozpaczliwie próbował zaprząć do sani swoją drużynę absurdalnie słabych psin.

Jak większość Inuitów, Edie śmiała się w duchu z *qalunaackiego* przywiązania do psów domowych. Sama trzymała co prawda Grubogłowego, ale od każdego kolejnego potomka oczekiwała przede wszystkim tego, że zasłuży na swoją karmę. Z drugiej strony, *qalunaaci* sami byli przecież w połowie psami - rasa ta powstała z mariażu porzuconej dziewczyny i jej białego psa zaprzęgowego, więc może to stąd brała się ich naturalna przyjaźń. Według legendy dziewczyna załadowała swoje potomstwo na łódź i wypchnęła je w morze, daleko na południe. Dzieci rosły i rosły, aż w końcu jedyną rzeczą, jaka odróżniała je od innych ludzi, był blady odcień ich skóry, dziedzictwo ich ojca. Wraz z upływem wieków ci psi ludzie ewoluowali w różne formy i kolory, ale tak naprawdę byli po prostu wyrzutkami, wygnańcami, nieudolną kopią o brudnej krwi mieszańca.

Ale jeżeli to prawda, myślała Edie, to dlaczego tak imponują Inuitom?

W oddali dostrzegła ogromną płataninę lodu ciśnieniowego. Natychmiast wróciła do rzeczywistości. Właśnie za to tak bardzo kochała podróżowanie po morskim lodzie - wystarczyło w pełni się poddać, aby jazda stawała się całym uniwersum myśli. Wszystko inne przestawało się liczyć, aż w końcu człowiek całkowicie zanurzał się w podróży, a ruch zdawał się być jedyną rzeczą, jaka kiedykolwiek miała znaczenie. Czy lepiej jechać przez pak czy wzdłuż wydm? Z której strony wieje wiatr? Czy już wjechała na ziemie niedźwiedzi? Czy przyływ będzie na tyle wysoki, by wdrzeć się na lód?

Zatrzymała psy przy pierwszym wzniesieniu, wepchnęła kotwicę w lód i ruszyła przed siebie, by znaleźć najlepszą drogę przez lodowe wzniesienia prosto na znajdujący się za nimi pak. Wróciła i ostrożnie przeprowadziła Takurnqunagtuq na drugą stronę, od czasu do czasu cofając się nieco, gdy sanie zaczynały się chwiać na płozach. Była to ciężka praca, więc gdy tylko udało jej się przeprowadzić, postanowiła odpocząć. Zarzuciła kotwicę, kazała psom leżeć, po czym wspięła się na pobliską górę lodową i rozejrzała wokoło.

W oddali widziała wyrastające z morskiego lodu klify Taluritut. W inuktitut słowo to znaczyło „tatuaz”. Pokryte zagłębieniami i pofałdowaniami klify z dystansu przypominały kocie wąsy, które Inuitki tatuowały sobie niegdyś na policzkach. Prawdziwa nazwa wyspy była o wiele bardziej ekspresyjna od bezpłciowego Devon *qalunaatów*. Kilka kilometrów na północ

znajdowała się Craig, której smagane wiatrem brzegi wyrastały mieniącym się fioletem z morskiego lodu.

Edie zdjęła gogle, zamknęła oczy i wystawiła twarz do słońca. Czowała pełzające po policzkach ciepło. Piękno otoczenia zapierało jej dech w piersiach. Na Craig, gdzieś pod pagórkami śniegu, matki niedźwiedzice budziły się wraz ze swymi małymi, a wkrótce już miały pojawić się edredony, alczyki i morsy. Gdy przywędrują tu pierwsze kamuszniki, gęsi śnieżne, biegusy, śnieguły i mewy, nadejdzie lato.

Edie podarowała Joemu na jego trzynaste urodziny używane sanie i kilkanaście szczeniąt. Chłopiec włożył wiele serca w wychowanie i trenowanie psów. Gdy skończył piętnaście lat, mógł konkurować z nawet najbardziej doświadczonymi jeźdźcami z Autisaq. Często też ścigali się na tym terenie. Już na początku lipca, zanim lód zaczął się rozpadać, błagał ją, by zaprzęga psy i pojechała z nim na skraj paku, gdzie niedźwiedzice wyczekiwały na foki. Często zsiadał z sań i sprawdzał lód, czasem ledwo uskakując z kry na krę. Było to niezwykle niebezpieczne, ale Joe miał doskonałą intuicję — wyczuwał, które kry się rozpadną, a które będą zablokowane; wiedział, jak ustawić ciało, kiedy rzucić się do przodu, jak daleko skoczyć, a kiedy się zatrzymać. Często droczył się z nią i żartował, że nauczył się tego od „wielkiej piątki”, czyli Lloyda, Chaplina, Keatona, Laurela i Hardy’ego.

Ruszyła w dalszą drogę. Zrobiło się dziwnie spokojnie; wiatr prawie zupełnie przycichł. Słońce odbijało się od morskiego lodu, wprawiając powietrze w drżenie. W takim blasku trzeba było uważać - wystarczyło pół godziny beztroski, by człowieka dopadła ślepotą śnieżna. Utrata wzroku nie była oczywiście niebezpieczna sama w sobie, ale trzeba było wtedy zdać się całkowicie na psy. Edie potrafiła wymienić czterech czy nawet pięciu łowczych, którzy już by nie żyli, gdyby nie ich zaprzęg. To między innymi dlatego w przypadku dłuższych wypraw w teren wołała podróżować w tradycyjny sposób.

W każdym razie w sprzyjających warunkach droga na Craig nie była aż tak uciążliwa. Wystarczyło przeprawić się przez wzgórza ciśnieniowe; reszta trasy była zupełnie płaska. Plaże w Autisaq i Tikiutijawilik dzieliło nie więcej niż sześćdziesiąt kilometrów. W trudnych warunkach sprawy wyglądały jednak zupełnie inaczej. Teraz, gdy patrzyła na ogromną, monotonną przestrzeń, zrozumiała, jakim cudem było to, że Joe dotarł do domu we mgle, mimo hipotermii, odmrożeń i zamętu w głowie. Później poczuła złość. Oboje chcieli wtedy zabrać ze sobą psy. Wiedzieli, że w ten sposób łatwiej będzie odszukać stare kopce i kurhany, ale Taylor nalegał, by wzięli maszyny. Używał ich na Alasce i był absolutnie przekonany, że są lepsze niż zwierzęta. Edie powiedziała mu wtedy, że Alaska jest dokładnie w połowie drogi na południe do Kalifornii, ale chudzielec nie dał się przekonać. Coś go poganiało.

Zbyt dużo myśli. Kobieta popędziła psy i starała się na powrót skupić na drodze.

Na horyzoncie, kilka kilometrów od brzegu Craig, dojrzała jakieś drżenie, *puikaktuq*, miraż, w języku inuktitut dosłownie „zjawa nad morzem”. Początkowo była to błyszcząca, srebrna chmura, jednak po chwili duch zaczął trząść się i powoli stapiać się w jedną całość. Edie nagle zdała sobie sprawę, że chmura zaczyna przypominać sylwetkę człowieka. Powoli cząsteczki zbiegały się i nabierały kształtów, aż w końcu kobieta nie miała już żadnych wątpliwości, że widzi zarys młodego mężczyzny. Chmura poruszała się płynnie, z wdziękiem... Patrzyła na *puikaktuq* Joego - nie Joego z krwi i kości, lecz Joego ze świata duchów, Joego *atiq*, w postaci delikatnej, wszechogarniającej obecności. Nie było ani cienia wątpliwości - to był on, to jego sylwetka błyszcząca na horyzoncie niczym zorza. Psy też zdawały się coś wyczuwać; zaczęły wyć w podnieceniu i rwać się do przodu. *Komatik* spieszył się przez pak, a Edie czuła, jak drobne kryształki lodu zbijają się w grudki w kąciach jej oczu, wilgoć między wargami zamarza, a włosy w nosie zbierają krople powietrza. W końcu zanurzyła się w tej obecności, w tych

drobnych cząstkach Joego, które zbliżały się ku niej, szalejąc nad morskim lodem.

Puikaktuq rozpierzchnęło się równie nagle, co pojawiło

- psy zwolniły, a z chmury wyłoniła się postać mężczyzny z niewielkim *komatikiem* i sześcioma psami. Edie zdała sobie sprawę, że to właśnie ten człowiek, a nie miraż, spowodował takie podniecenie w jej zaprzęgu.

Wołała i machała, zbliżając się do mężczyzny, ale on nie odpowiadał. Po chwili dostrzegła, że to stary Koperkuj. Musiał łowić w przerębli już od dłuższego czasu. Obok niego leżało sześć pstrągów.

- Wystraszyłaś ryby - warknął, gdy uwiązała psy i podeszła do niego.

Przewodniczka przeprosiła. Miał prawo być zły. Powinna była dochować obyczaju, uwiązać psy gdzieś dalej i czekać, aż pozwoli jej się zbliżyć. Miraż sprawił jednak, że zapomniała o manierach, dlatego też najprawdopodobniej mężczyzna stracił ładnych parę ryb.

Znała go całe życie, ale nigdy nie miała z nim zbyt wiele do czynienia. Mieszkał w chacie nieopodal Mar-tie i przyjeżdżał do osady tylko po to, żeby odebrać zasilek albo sprzedać kilka futer. Był jednym z wygnańców z Nunavit i, jak mówiono, lubił zaglądać do kieliszka. Inuici plotkowali, że często odwiedza Martie, ale Edie uważała, że to wyłącznie ich sprawa. Poza tym niezły był z niego piźmowół - wiecznie ponury i rozdrażniony. Zbyt dużo czasu spędzał sam ze sobą, odzwyczaił się od towarzystwa. Wciąż tylko prychał i przeżył rogi. Nie mogła zrozumieć, co jej ciotka w nim widzi.

- Pewnie przyjechałaś odwiedzić chłopca - mruknął.

Edie drgnęła. Przez chwilę myślała, że być może stary Koperkuj też widział *puikaktuq*, ale potem zdała sobie sprawę, że chodziło mu o grób.

- Szkoda chłopaka - wymamrotał. - Nie był to jeszcze jego czas.

Kilka razy, gdy wiatr poruszył śniegi, wzbijając w powietrze tumany mroźnego kurzu, Edie i Joe schronili się w chacie Koperkuj, a on poczęstował ich słodką herbatą i prząsnym chlebem. Później jej pasierb sam odwiedzał starszego mężczyznę, a z czasem zrodziło się między nimi coś na kształt przyjaźni. Joe śmiał się, że Koperkuj, stary mors, wciąż nie ma kobiety, a on opowiadał mu o syrenie, która przypląwa do niego aż z Wyspy Axela Heiberga. Joe pytał wtedy, dlaczego nigdy nie ma jej wtedy, gdy on go odwiedza. Stary Koperkuj wyjaśniał, że syreny są takie same, jak inne kobiety - musisz zapracować na ich towarzystwo, bo często po prostu mają coś lepszego do roboty.

- Lubilem go. - Koperkuj wskazał Edie miejsce obok siebie. - Miał dobrą *ihumę*. Rzadko się teraz takich spotyka. Może było ich więcej za czasów Welatoka, ale teraz już nie.

- To prawda - powiedziała. Cieszyła się, że w przeciwieństwie do wielu innych osób, Koperkuj nie uważał Joego za niestabilnego młokosa z problemami.

Pokazał ręką na stos pstrągów, obok których leżał trójząb. Najwyraźniej polował też na zające. Z sań zwisały dwa samce i jedna samica.

- Jesteś głodna?

Edie przytaknęła. Wcześniej nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo ssie ją w żołądku.

Przyglądała się Koperkujowi, który pewnym ruchem rozciął i wypatroszył pstrąga, kładąc jadalne części na lodzie i chowając do torby wnętrzości, zapewne po to, by dobrze wymoczyć je w domu. Jelita pstrąga doskonale sprawdzały się jako izolacja w skarpetkach. Starszy mężczyzna podawał jej najsmaczniejsze, błyszczące i krwawe kaski, a ona zajadała z wdzięcznością, smakując aromat morza.

Koperkuj nastawił też prymus, więc po jedzeniu napili się gorącej, słodkiej herbaty. Edie wyjęła z sań termos z whisky i dołała po kieliszku do kubków. Starszy mężczyzna kiwał głową z zadowoleniem. Dołała nieco więcej.

Gdy po pierwszej rybie pozostało już tylko wspomnienie, Koperkuj poprosił ją, by przyniosła następną. Mijając przerębę, spojrzęła na trójząb. Kij ozdobiony był niebieską obwódką i nalepką z zębem tygrysa. Edie widziała ją już wcześniej, więc postanowiła nieco bliżej przyjrzeć się znakowi. Było to logo drużyny hokejowej, Nashville Predators. Joe i Derek Palliser im kibicowali. Trójząb należał do jej pasierba; kilka lat temu podarował mu go ojciec. Jak znalazł się u starego Koperkuj? Edie nagle przypomniała sobie, że Joe mówił coś o tym, że da swój zapasowy trójząb Andy'emu Taylorowi. Chciał mu pokazać, jak powinno się łowić. *Qalunaat* miał go w swoim bagażu, a to oznaczało, że Koperkuj znalazł go gdzieś na Craig. Edie wstała i spokojnie, z kamienną twarzą podała starcowi rybę.

- Łowiłeś tu jeszcze przed wiosną? — zapytała.

- Jeden raz, w kwietniu. — Mężczyzna otarł usta i spojrzął na nią ostrożnie, jak wygłodniały lis, któremu poda się mięso.

- Udany połów?

- Nic nadzwyczajnego. — Wzruszył ramionami.

Podawała mu whisky. Koperkuj upił kilka sporych łyków i wydał z siebie zadowolone mruknięcie. Edie знаła go na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że nie wolno zadawać mu bezpośrednich pytań. Wtedy nie piśnie ani słówkiem. Wymienili więc kilka historii z polowań, a ona wciąż dolewała mu alkoholu. Musiała wziąć go na sposób, powoli, tak żeby nawet nie zorientował się, że został złapany.

- Całkiem ładne te zające. - Edie spojrzęła z ukosa na zwisające z sań ciała.

- Prawda, prawda - powiedział Koperkuj. - O zające to tutaj łatwo. - Odwrócił się i pokazał na południowy cypel. - Upolowałem je niedaleko Tikiutijavvik. Ale w sumie wszędzie na południe stamtąd jest w porządku. Wiatr odkrywa ich nory. — Wymienił kilka miejsc i opisał je w inuktitut.

- Mogę spojrzeć? — Podeszła do sań. Udawała, że przygląda się zdobyczy Koperkuj, ale dużo bardziej interesował ją jego sprzęt.

Z tyłu *komatika* leżała strzelba mys'liwska, całkiem nowy Remington 700. Identyczny jak ten, który miał ze sobą Andy Taylor, gdy zabrała go wraz z Feliksem Wagnerem na polowanie na ptaki.

- Ustrzeliłeś je tym remingtonem? - zapytała.

Pokiwał głową. Zaczął się rozluźniać.

- Nieźle — powiedziała.

Tak naprawdę niemal kręciło jej się w głowie. Ktoś taki jak stary Koperkuj nie mógł sobie pozwolić na nowego Remingtona. Może natknął się na porzucony gdzieś skuter Andy'ego Taylora? Było to możliwe, choć może mało prawdopodobne. Nawet ten chudy *qalunaat* nie był tak głupi, żeby zostawić pojazd, nie zabierając ze sobą broni. Edie postanowiła na chwilę zmienić temat, żeby pozbierać myśli. Trzeba było ostrożnie podejść do sprawy, nalać Koperkujowi jeszcze trochę whisky.

- Upolowałeś ostatnio coś większego?

Mężczyzna zakołysał się i sięgnął po flaszkę.

- Ostatnio to wilka. Ale nie na Craig.

Pochyliła się nad nim i uśmiechnęła najładniej, jak potrafiła. Koperkuj przysunął się bliżej, otworzył usta i zaprezentował jej całą ich gnijącą zawartość.

- Najlepsze jest to, że jak go rozciąłem, to znalazłem w jego żołądku to.

Wyjął zza kurtki złoty łańcuch, na którym wisiał cęť-kowany kamień wielkości czaszki kruka. Edie wzięła go do ręki, zważyła go w dłoni i opuściła na parkę mężczyzny. Kamień był dziwnie ciężki; jeszcze nigdy nie miała nic takiego w rękach.

Koperkuj zachichotał.

- Jak są wystarczająco głodne, to wszystko pożrą.

- Niesamowite. - Edie udawała, że jest pod wrażeniem.

Starszy mężczyzna zakasłał wesoło. Był tak pijany, że w ogóle nie przejmował się tym, że właśnie powiedział najbardziej nieprzekonywujące kłamstwo świata. Żaden wilk nie zjadłby kamienia, niezależnie od tego, jak bardzo byłby głodny. W takim razie skąd Koperkuj wziął ten złoty łańcuch? Czy kamień należał do Andy'ego Taylora? Nigdy nie widziała u niego nic takiego, ale przecież nosił diamentowy sztyft w uchu. Edie zamyśliła się na chwilę. Czy Koperkuj mógł zabić Taylora? Raczej nie. Był oportunistą, ale nie mordercą. Coraz bardziej pewne jednak stawało się to, że starszy mężczyzna znalazł *qalunaata* i przyjął kilka jego rzeczy pod swój dach. Wiedziała jednak, że ten stary koń do niczego się nie przyzna. Może był pijany, ale na pewno nie był głupi.

Rozległo się ciche zawodzenie. Koperkuj zaczął nucić stare melodie, wystukując rytm na pobliskiej skale. Jego głos przypominał popiskiwanie lisicy w czasie rui. W myślach Edie kielkował plan. Złapała za butelkę, uśmiechnęła się uprzejmie do Koperkuj, podziękowała mu za jego szczodrość i, życząc mu owocnej podróży, wróciła do swojego zaprzęgu.

Zatrzymała się na Ulli, kamienistej plaży w kształcie księżyca, którą odwiedziła kiedyś z Willą i Joem, by łowić ryby i szukać jajek edredona. Uwiązała psy i dała im trochę pemikanu. Później wspięła się po grani na szczyt klifu, z którego *inuksuk* Joego spoglądał na lodowe morze zatoki. Przecięta pokryty zbitym, gładkim śniegiem płaskowyż i podeszła do ułożonego z niewielkich kamieni kopca, pod którym, w niewielkim zagłębieniu, złożone było ciało Joego. Z pobliskiej wychodni przyglądał się jej kruk.

— Joe, to ja, Kigga - powiedziała.

Wiatr zawiął nieco mocniej, a kruk poderwał się do lotu. Edie przykucnęła przy kopcu i próbowała sobie wyobrazić wszystkie miejsca, w które Joe mógł zabrać Andy'ego Taylora, wszystkie te ukryte zakamarki, które badał wraz z Edie, gdy był jeszcze chłopcem; miejsca, które mógł znać również stary Koperkuj. Jeżeli natknął się na ciało Taylora, to najprawdopodobniej stało się to podczas jednego z jego regularnych polowań.

Postanowiła rozbić obóz kilka kilometrów na północ od Tikiutijawilik, nieopodal Uimmatisatsaq. Plaża była nisko położona, a przypyływ stosunkowo niewielki, poza tym skały osłaniały ją od północno-zachodnich wiatrów. Bill Fairfax i Andy Taylor spodziewali się znaleźć ślady po obozowisku Jamesa Fairfaksa właśnie na tym zachodnim wybrzeżu wyspy. I to właśnie tam Koperkuj często polował na zające. Później zamierzała udać się na południe i przeszukać wszystkie znane jej kryjówki. Być może Joe pokazał je Taylorowi, albo *qalunaat* sam trafił na jedną z nich. Wiedziała, że szanse na znalezienie czegokolwiek są nikłe, ale nikłe szanse powoli stawały się jej specjalnością.

Gdy rozbiła obóz, wyjęła termos i napiła się herbaty. Światło zataczało kręgi od południa po północ, a jasne spojrzenie nocnego słońca rzucało cienie wokół jej ogniska. Wznoszące się wokół plaży ziemie, choć niskie, przechodziły miękko w płaską przestrzeń wybrzeża, by znów wyrosnąć w okolicy Uimmatisatsaq. Klify zaczynały się dopiero na Ulli. Stamtąd za pomocą lornetki można było zobaczyć wszystkie zwyczajowe miejsca obozowania aż po północny kraniec wyspy.

Śnieg miejscami stawał się już miękki i mokry. Skutery nie radziły sobie z takim podłożem; nawet psy miały problem. Dziesięć lat temu nie musiałyby się o to martwić, ale od jakiegoś czasu śnieg zaczynał topnieć wcześniej, a lód był dużo mniej przewidywalny. Pewnie za dwa tygodnie przyjdzie zupełna odwilż i nie będzie można podróżować w terenie. Później, pod koniec lipca, w morskim lodzie pojawią się szczeliny, a przemieszczanie się na dużych dystansach, tak jak

między Wyspą Ellesmere'a a Craig, stanie się bardzo niebezpieczne, aż do czasu, gdy kra rozpadnie się całkowicie na przelomie sierpnia i września. Wtedy będzie można podróżować łodzią. Jeżeli teraz nie uda jej się znaleźć śladów Andy'ego Taylora, to następną okazję będzie miała dopiero za dwa czy trzy miesiące.

Dała psom trochę słabej, schłodzonej herbaty i odkroiła dla nich kilka kawałków zamrożonego foczego mięsa, po czym weszła do śpiwora. Przez jakiś czas har-mider ptasich odgłosów nie pozwalał jej zasnąć, ale nie trwało to zbyt długo. Gdy się obudziła, promienie południowego słońca opadały miękko na płótno namiotu, ogrzewając powietrze w środku. Wyszła na zewnątrz i przeciągnęła się na delikatnym wietrze późnej wiosny. Na śniadanie zjadła ryby, które kupiła od Koper-kuja w zamian za pemikan i słodką herbatę. Postanowiła przeszukać teren wokół Tikiutijawilik i udać się na południe, gdzie zaczynały się poszarpane, zielonkawe od piargów klify, których łagodne, pokryte lodem podnóża chroniły lód brzegowy przed niszczycielskim działaniem przyływów, dzięki czemu był on bezpieczny do podróżowania. Nie miała żadnej mapy przystosowanej do tego typu poszukiwań. Jeżeli uda jej się znaleźć Andy'ego Taylora, to nie będzie to na przecięciu linii nawigacyjnych. Odnaleźć go mogła tylko tu, na ziemi.

Poddała się dopiero późnym wieczorem. Poszukiwania napełniły ją frustracją. Po południu Grubo-głowy zaczął ujadać, co oznaczało, że w pobliżu grasuje niedźwiedź. Było to zresztą dość dziwne, bo o tej porze roku niedźwiedzie zazwyczaj polowały na wschodnim wybrzeżu Ellesmere, wykorzystując obfitość zbierających się u *siny*, czyli brzegu kry jesiotrów i fok, lub nieco na zachód, przy Hell Gate. Jednak odkąd lód zaczął szybciej topnieć, ich ścieżki stały się mniej przewidywalne. Musiała na kilka godzin nieco zwolnić bieg zaprzęgu i rozglądać się wokół z lornetką. Wołała nie ryzykować.

W końcu, gdy nie znalazła ani niedźwiedzia, ani jego śladów, zdecydowała się popędzić swoją drużynę. Przez opóźnienie nie udało jej się przeszukać zakładanej na ten dzień części terenu. Nie znalazła też żadnych wskazówek co do tego, gdzie mógł znajdować się Andy Taylor lub jego skuter. Mimo wszystko incydent ten dał jej do myślenia. Jeżeli w okolicy znajdował się niedźwiedź, to istniało prawdopodobieństwo, że zabił i zjadł *qalunaata*. Siedziała na polanie obok namiotu, popijając herbatę. Jutro trzeba będzie zwracać uwagę na ślady niedźwiedzi i lisów, które często podążały za nimi w nadziei na odrobinę padliny.

Na kolację zjadła znalezione w porzuconym gnieź-dzie jajka nurzyka. Rozbiła skorupki i wypiła ich zawartość na surowo, po czym owinęła się w śpiwór z karibu i nastawiła budzik na wczesną godzinę. W nocy znów przysnił jej się *puikaktuq*. Gdy się obudziła, pamiętała już tylko jego cień.

Edie ruszyła na południe przez unoszącą się nad brzegiem poranną mgłę, zanim jeszcze ptaki morskie zdążyły się podnieść ze swych siedlisk. Zazwyczaj o tej porze roku mgła zmieniała się w niską, zapowiadającą mżawkę chmurę, ale tego ranka promienie słoneczne zdołały ją rozpędzić. Niebo pokrywały już tylko wysokie, pierzaste chmury.

Gdy objechała już cypel na południe od Uimmatisatsaq, postanowiła zjechać na dół na samą plażę. To właśnie tam Joe i Andy Taylor musieli spędzić choć część czasu, więc chciała być pewna, że niczego nie przeoczyła.

Przeprawiała się właśnie przez pokrytą żwirem i muszlami plażę, gdy jakieś pięćdziesiąt metrów dalej dojrzała wyjątkowo intensywny błysk. Lód błyszczał, śnieg błyszczał, w odpowiednich warunkach nawet kamienie mogły błyszczeć; błyszczały łuski ryb, kopyta pizmowołu i karibu, a także metalowe elementy skuterów i *komatików*, ale Edie nie pamiętała, żeby kiedykolwiek widziała coś o tak intensywnym blasku.

Zatrzymała zaprzęg i zakotwiczyła sanie. Miejscami plażę pokrywała cienka, stwardniała warstwa śniegu, która utrudniała jej dokładną lokalizację źródła blasku. Kobieta nie była pewna,

czy jej się po prostu coś nie przywidziało; zaczęła jednak zataczać powoli rozchodzące się kręgi, na inuicki sposób dokładnie, centymetr po centymetrze, przeszukując podłoże.

I w końcu go znalazła. Promień słońca w odpowiednim momencie przebił się przez chmury. Blask powrócił. Edie schyliła się i wzięła do ręki złoty pierścionek z przepięknym diamentem. Taki sam Andy Taylor nosił w prawym uchu. Zamknęła go w dłoni, podziękowała cicho słońcu i nagle poczuła, jakby ktoś zdjął jej wielki ciężar z ramion, jakby mogła ulecieć z wiatrem. Pewna myśl sprowadziła ją jednak na ziemię. Była to jedna z tych trudnych, bolesnych chwil, które przypominały jej o utraconym już życiu. Joe nie znosił jej nawyku ciągłego dziękowania. „Wdzięczność to zwyczaj białych”, powtarzał. Inuitom po prostu należała się wzajemna pomoc. Wdzięczność nie miała z tym nic wspólnego.

Zdjęła kamiki i skarpetki z goreteksu, które zawsze nosiła, po czym pozbyła się też zewnętrznych skarpet ze zmiękczonej skóry karibu. Miała na sobie już tylko wewnętrzne skarpetki wykonane ze skóry zająca. Zaczęła rozgarniać stopą kamyki i muszle, poruszając się w ciasnych, stopniowo rozchodzących się kręgach. Jej umysł i ciało były całkowicie skupione na odczuciach jej miękkich, wrażliwych stóp.

Wkrótce natknęła się na coś, co nie przypominało ani kamienia, ani muszli, ani lodu; coś cienkiego i lekko kruchego, z twardym rdzeniem w środku, prawdopodobnie pozostałość po kwiecie wełnianki lub kawałek wyschłego porostu. Schyliła się i odgarnęła cienką warstwę lodu. Z początku nic nie dostrzegła, ale była doświadczonym myśliwym - wiedziała, że trzeba zważyć dowody podsunęte przez wszystkie zmysły. Stwierdziła więc, że jej stopy mają rację, a oczy się mylą. Uklękła i położyła się na ziemi, by być jak najbliżej tego, co wyczuła. Udało jej się to raz, więc musi spróbować ponownie. Dokładnie to samo zrobiłaby, gdyby próbowała wykryć fokę pod warstwą lodu. Doszła do wniosku, że to, co znalazło się pod jej stopą, było jak foka - nie zamierzało poddać się bez walki.

Zdjęła mitenki, zewnętrzne i wewnętrzne rękawiczki, a w końcu także cienką wyściółkę, po czym zaczęła przykładac dłonie do śnieżnego podłoża, bardzo delikatnie, żeby nie wepchnąć tego, czego szukała, głębiej pod warstwę muszli i kamieni. Była już co prawda późna wiosna, ale wciąż panował siarczysty mróz. Drobne, niemal niewidoczne włosy na jej palcach zaczęły zamarzać, a wilgoć na opuszkach stwardniała w lód. Wystarczyła zaledwie minuta, by paznokcie zeszywniały niczym twarde łuski i zaczęły boleśnie ciągnąć znajdujące się pod nimi ciało. Nagle kciukiem wyczuła to, czego szukała. Delikatnie wydobyła zdobycz ze śniegu. Najpierw wyczuła twarde guzek, a później otaczającą go kruchą warstwę. Znalazła kawałek podartej tkaniny, która kiedyś najprawdopodobniej była żółta, ale teraz stała się poplamiona i brązowawa. Twardą część stanowił pęknięty guzik, który ledwo trzymał się na fragmencie materiału. Widniała na nim zastygła plama; pewnie krew. Edie zerwała się na równe nogi i znów zaczęła krążyć, a jej serce zabiło mocniej. Nadeszła ta triumfalna chwila, gdy ścieżki łowcy i łowionego przecięły się po raz pierwszy.

Tuż nieopodal jej stopy wykryły coś większego -męski zegarek z tak porysowaną tarczą, że Edie nie wiedziała, czy jeszcze chodzi. Nie miało to zresztą większego znaczenia. Inuici rzadko kiedy nosili zegarki i na pewno nie wyjechaliby z czymś takim na nadgarstku w teren, nie mówiąc już o tym, że czasomierz na nic by się im nie zdał. Zegarek musiał więc należeć do jakiegoś *qalumaata*.

Edie krążyła tak przez kilka godzin, stopniowo i skrupulatnie zbierając fragmenty ludzkiego szkieletu. Ciało w większości rozszarpały zwierzęta i wiatr. Znalazła kość udową, kawałek czaszki, kości śródstopia, trzy paliczki. Gdy chłód stał się zbyt dokuczliwy, zabrała znaleziska do namiotu, by lepiej im się przyjrzeć.

Dość dobrze znała się na kościach. Była Inuitką. Przez całe życie odkrawała od nich mięso,

siekała je, by dostać się do szpiku na zupę lub na karmę dla psów. Z wygotowanych i oczyszczonych wycinała figurki fok i ptaków albo zwykłe igły. Z kości zrobiła pałki do bębnow, przyrząd do zdejmowania butów, pałeczki do uszu, drapaki do głowy. Jeżeli policzyć poroża, to kości służyły jej również za wieszak. Jednak jej doświadczenie nie ograniczało się tylko do szkieletów zwierząt. Cofający się śnieg latem odkrywał też szczątki ludzi. W tundrze rzadko co gniło. Gdy chowało się ciało pod kopcem usypanym z kamieni, trzeba było liczyć się z tym, że lód i wiatr w końcu je uwolni, o ile wcześniej nie zrobią tego lisy, wilki lub niedźwiedzie. W tundrze, pod ogromnym, północnym niebem, jak na gołej dłoni widać było całą historię ludzkiego osadnictwa. Tutaj nie mogły ukryć się żadne kości.

Zwłokami zajęły się zwierzęta, dlatego kości były tak porzrucane. Wydawały się nienaturalnie wręcz czyste, ale być może wynikało to z tego, że w kwietniu i maju trudno było o pożywienie, więc do szczątków zapewne dobrał się niejeden padlinożerca. Kilka było pękniętych, a na jednej czy dwóch większych widać było ślady przypominające zęby lisa. Edie nie znalazła żadnych drobnych kości, co potwierdzało jej teorię. Niedźwiedzie i wilki rzadko się do nich dobierały, zostawiając je lisom. Wzięła do ręki fragment czaszki, prawdopodobnie z tylnej części głowy. Przez środek przechodziła niewielka, niemal idealnie okrągła dziura. Nie było żadnej wątpliwości, że to ślad po kuli.

Edie trzymała w ręku dowód na to, że Andy Taylor wcale nie zgubił się we mgle i nie umarł z powodu hipotermii. Ktoś go zabił.

Tylko kto? Pomyślała o starym Koperkuj, ale odrzuciła tę hipotezę. Koperkuj, gdy tylko mógł, trzymał się z dala od ludzi. Po raz pierwszy przyszła jej do głowy myśl, że być może między Joem a Taylorem doszło do jakiejś sprzeczki. Od razu jednak ją odrzuciła, ogarnięta wstydem. Jej pasierb nie byłby zdolny nikogo zastrzelić. Już prędzej poradziłby sobie z tym Grubogłowy.

Podniosła kawałek kości udowej i obróciła go w dłoniach. Na jego powierzchni już widać było delikatny poblask glonów. Choć sezon jeszcze się nie zaczął, pokrywa śnieżna odizolowała kości od najgorszego mrozu, tak jak robiła to w przypadku lemingów, młodych niedźwiedzi i innych zwierząt, które spędzały zimne miesiące pod śniegiem. Algi rosły nieco gęściej w lekkich pęknięciach i wgłębieniach. Różnice były bardzo subtelne, ale razem sprawiały wrażenie, jakby kość była ozdobiona delikatnym rysunkiem. Edie z ciekawości zeskrobała trochę glonów. Jej oczom ukazały się ślady zębatego. Kilka miesięcy pod smaganym wiatrem śniegiem zdążyło je nieco wygładzić, ale dla doświadczonego łowcy sprawa była jasna. Ktoś przeciął kość ząbkowanym nożem myśliwskim.

Dostrzegła teraz, że ten sam wzór był nieco widoczny na algach pokrywających inne fragmenty kości. Przykucnęła nieco niżej, zbита z tropu. Morderca musiał poćwiartować ciało, zanim jeszcze zamarzło na kość. Ale dlaczego? Prawdopodobnie liczył na to, że jeżeli ciało zostanie kiedyś odnalezione, to będzie wyglądało tak, jakby Taylor zginął we mgle, a jego kości zostały rozniesione przez zwierzęta.

Edie wyjęła prymus, zaparzyła herbatę i próbowała jeszcze raz przemyśleć sytuację. Nie miała wątpliwości, że będzie musiała oddać przynajmniej część kości władzom. Gdyby ktoś znalazł inne fragmenty, a później wydało się, że Edie niczego nie zgłosiła, mogłoby się to dla niej źle skończyć. Lepiej będzie porozmawiać z władzami, zanim jeszcze śnieg stopnieje i ktoś inny wyruszy na poszukiwania ciała. Musi być tylko bardzo ostrożna. Plotkarski młyn w Autisaq był potężniejszy od siły faktów. Jeżeli ktokolwiek dowie się o śladach po nożu i kuli, od razu zaczną pojawiać się niestworzone historie. A Edie nie chciała, żeby ktoś wykorzystał jej znalezisko, by obciążyć winą Joego.

Bardziej sensowne wydawało jej się oddać tylko te kości, na których nie widać było śladu po

kuli czy noża. Zostaną zidentyfikowane jako szczątki Andy ego Taylora, a władze uznają, że *galunaat* zmarł w wyniku wychłodzenia podczas zamieci. Simeonie dołoży wszelkich starań, żeby nikt inny nie wyruszył na poszukiwania innych pozostałości szkieletu, a ona w ten sposób kupi sobie trochę czasu, żeby odkryć, kto zabił Taylora, i dzięki temu zrozumieć nieco lepiej, co doprowadziło Joego do samobójstwa.

Teraz musiała znaleźć skuter Taylora i sprawdzić, czy nie zawiera on jakichś wskazówek, a potem usunąć ewentualne dowody, które zaprzeczałyby wersji o naturalnej śmierci. Pojazd musiał znajdować się gdzieś nieopodal. Łatwiej było przeoczyć ciało niż skuter, a to sugerowało, że musiał on być ukryty przed wzrokiem wysłanych tu wcześniej ekip ratowniczych - czyli zasypał go śnieg lub ktoś zadbał o porządny kamuflaż. Edie raczej wątpiła w tę pierwszą możliwość. Śniegu w kwietniu i maju było niewiele, a wiatr zazwyczaj kierował go na wschodnią część zbocza.

W myślach przebiegła południowe wybrzeże Craig ze wschodu na zachód, jakby okrążała je kajakiem - wzdłuż skalistych wychodni, plaż, klifów i spadków, schodząc wszędzie tam, gdzie można byłoby zaparkować skuter. Była już w połowie Plaży Kości, jak ją teraz nazywała, gdy nagle przypomniała sobie o pewnej jaskini.

Joe odkrył ją jakieś trzy czy cztery lata temu - sklepienie z *sikutuqaqu*, wieloletniego lodu, które osłaniało wąskie przejście między klifami. Jaskinię niełatwo było dojrzeć z ziemi, a z powietrza była całkowicie niewidoczna. Trzeba było znać Craig tak dobrze, jak jej pasierb, żeby wiedzieć o jej istnieniu. Zimą wejście do jaskini blokował śnieg, latem często przykrywały je gałęzie wierzby i turzycy, ale Joe często chronił się w niej przed złą pogodą. Edie nakarmiła psy i zrobiła sobie mocno słodzoną herbatę. Planowała chwilę odpocząć i wyruszyć w trasę po północy, kiedy słońce przesunie się na drugą stronę nieba, a lód będzie sprzyjający. Trzy godziny drzemki, a potem w drogę.

Unosząca się od wejścia woń metalu sprawiła, że serce zaczęło jej mocniej bić. Włączyła latarkę. Śnieżna sowa poderwała się do lotu i uciekła z jaskini. Na jej tyłach połyskiwał jakiś duży kształt. Skuter Taylora miał otwarty bagażnik, a jego boki pokrywało sówie guano. Najwyraźniej ptak próbował sobie tam uwić gniazdo. Tuż obok, na ziemi leżał namiot, wodoszczelne pokrowce i sprzęt do nurkowania. Rzeczy nie były pogryzione ani poszarpane; ktoś po prostu rzucił je na ziemię. I chyba się spieszył. Być może zresztą był to stary Koperkuj.

Nad jej głową trzeszczał stary, szary lód. Pokrywający pojazd szron zaczął topnieć w miejscach, gdzie gnieździła się sowa. Edie oświetliła ściany jaskini latarką, ale nie znalazła żadnych pęknięć. Na razie.

Już miała skierować latarkę z powrotem na skuter, gdy jej wzrok przyciągnął ślad na lodzie. Pochyliła się i zobaczyła odcisk dłoni w twardym śniegu.

Wyjęła swój *ulu* i zaczęła lekko podważać śnieg, aż odpadło od niego kilka fragmentów. W końcu udało jej się odsłonić styropianowy kubek, w którym znalazła foliową torebkę. W środku znajdowały się trzy, spięte zardzewiałym już spinaczem, kartki papieru. Brzegi kartek były wytarte po jednej stronie, a ostre niczym brzytwa po drugiej, jakby ktoś wyciął je z książki. Sam papier był gruby, chropowaty, a strony pokryte były drobnym, precyzyjnym pismem. Atrament, kiedyś zapewne czarny, z biegiem czasu wypłówał na brąz. Wilgoć i rdza zamazały większość słów; w świetle latarki Edie odcyfrowała tylko kilka fragmentów, ale nie miały one żadnego sensu. U góry przyczepiona była kartka z notesu, na której ktoś długopisem napisał słowo „sól”. Zwinęła papier i włożyła go do kieszeni, sprawdziła skuter i natychmiast postanowiła wrócić do domu.

Po drodze do Autisaq znów ukazał się jej *puikaktuq*. Przez krótką chwilę widać było, że to na pewno Joe. Coś w jego twarzy wstrząsnęło Edie do głębi.

Po powrocie zrobiła sobie mocnego drinka, potem drugiego. Jeżeli schronił się w jaskini, to dlaczego jego ciało znalazła tak daleko od niej? Czy znał mordercę? Czy to on próbował ukryć kilka starych kartek i notatkę ze słowem „sól”? Im dłużej o tym myślała, tym bardziej czuła, że wplątała się w coś bardzo śliskiego; w coś, czego nie rozumiała.

W snach dręczył ją *puikaktuq*. Obudziła się przestraszona, z twarzą zalaną łzami.

Gdy zadzwonił dzwonek ogłaszający koniec szkolnego dnia, była już porządnie zmartwiona. Nie zdążyła jeszcze zrobić nic z tym, czego dowiedziała się na Craig i czuła, że zaraz oszaleje. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie odwiedzić Koperkuja, którego powszechnie uważano za szamana. Ostatecznie stwierdziła, że jeszcze nie czas.

Minęły dwa dni. Rankiem trzeciego dnia obudziła się jeszcze pijana. Pościel była tak skotłowana, że zastanawiała się, czy w nocy nie zaatakował jej jakiś duch. Zadzwoniła do szkoły i powiedziała, że przyjdzie nieco później, po czym udała się do kliniki. W poczekalni było tylko kilka osób.

Robert zaprosił ją do gabinetu. Wyglądał na zaskoczonego jej widokiem. Nigdy nie przepadała za lekarzami i w ciągu ostatnich trzech lat była u niego tylko raz. Spojrzał na nią współczująco i zapytał, co jej dolega.

- Nie wiem - odparła. - Ale nie mogę spać.

- W ostatnich tygodniach wiele przeszedłaś. Daj sobie czas.

- Mam zwidy.

Robert wyglądał na zaskoczonego. Po chwili jednak uspokoił się i pochylił nad Edie z wyrazem troski na twarzy.

- Jakie zwidy?

- *Puikaktuq*. - Nagle Edie zrozumiała, jak głupio to brzmi. Rozpaczliwie próbowała znaleźć jakiś sposób, by cofnąć to, co powiedziała.

Spojrzała za siebie, żeby upewnić się, czy drzwi do gabinetu są zamknięte. Ludzie myśleliby, że opętał ją jakiś zły duch albo że zwariowała. Zniżyła głos do szeptu.

- Zobaczyłam miraż w terenie. Gdy wracałam do domu, zaczął za mną podążać. Teraz jest ze mną cały czas.

Patma zamyślił się na chwilę.

- Czy ten *puikaktuq* wygląda jak Joe?

Pokiwała głową. Ulżyło jej, że sama nie musi tego mówić.

- Czasami, czasami nie. - Zadrzała. - Czy ja jestem chora?

Patma pokręcił głową. Sam nie wyglądał najlepiej. Przydałoby mu się trochę snu.

- Nie, Edie, nie jesteś chora i nie jesteś szalona. To, co opisujesz, to najprawdopodobniej halucynacje związane z żalobą. Są bardzo częste.

- Ty też je miałeś? - zapytała.

Robert oparł się o krzesło.

- Gdy zmarł twój ojciec? - Na pewno ojciec? Nie pamiętała. Od tego czasu tyle się wydarzyło.

Patma zmarszczył brwi.

- Moja matka - powiedział.

- Tak, faktycznie — powiedziała. - Bardzo cię przepraszam.

Pielegniarz lekko skinął głową.

- Musisz po prostu trochę odpocząć, Edie. To był dla ciebie ogromny szok.

- To prawda - powiedziała.

Robert milczał przez chwilę.

- Słuchaj, pewnie wiesz, że Joe miał problemy. - Spojrzał na nią. - Chodzi mi o hazard.

Nagła zmiana tematu zbiła ją z tropu.

- Kompletnie tego nie rozumiem - westchnęła.

- Ja też nie - powiedział. - Byliśmy ze sobą blisko. - Wyciągnął do niej rękę, ale nieco ją cofnął. - Ale wiesz, Edie, czasami trzeba po prostu zaakceptować to, co się stało. To była ogromna tragedia i nie pozostaje nam nic innego, jak nauczyć się z nią żyć.

Zauważyła, że jego palce drżą.

- Halucynacje skończą się, gdy tylko poradzisz sobie ze smutkiem.

Nagle poczuła się dziwnie; chciała jak najszybciej stamtąd uciec. Wstała.

Gdy była już przy drzwiach, Patma odezwał się bardziej surowym tonem.

- Mógłbym dać ci coś na sen, ale musiałabyś skończyć z piciem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Derek Palliser od tygodni obserwował poruszenie wśród lemingów. W połowie czerwca był już całkowicie przekonany, że zaczyna się migracja. Żaden z ekspertów tego nie przewidział, ale zdaniem policjanta wynikało to z tego, że naukowa koncepcja dynamiki populacji była odwrócona do góry nogami.

Wszystko zaczęło się, gdy któregoś dnia wyprowadzał Ciasteczko na spacer. Był początek maja; o tej porze roku gryzonie rzadko kiedy opuszczały swoje podziemne legowiska. Derek jednak odkrył świeże odchody leminga pośród wierzb, które karibu dokładnie oskrobały z lodu. Następnego dnia wyruszył w drogę uzbrojony w zeszyt. Skrętnie odnotował pozycję ścieżek i gniazd - można je było poznać po żdźbłach wysuszonej trawy, którymi lemingi ocieplały swoje zimowe nory, po niewielkich, włóknistych bobkach, a czasami tylko po pełnym podekscytowania szczekaniu Ciasteczka.

Sezon rozrodczy leminga dopiero się zaczął, ale już widać było, że populacja lemingów rośnie w zawrotnym tempie. Na brzegach rzeki widać było zdecydowanie więcej tropów lisa, a dwa razy, podczas spaceru po klifach Półwyspu Simmonsa, znalazł kilkanaście stosów wypluwek złożonych w całości z sierści i kości lemingów. W widocznym spod topniejącego śniegu torfie znajdowały się bobki, a pąki wierzb były obgryzione aż po samą gałązkę.

Palliser spodziewał się, że za kilka tygodni jedzenia będzie tak mało, że lemingi zaczną pożerać swoje młode. Potem zaczną się zbierać w ogromne skupiska setek tysięcy gryzoni. Rozpocznie się bieg przed siebie, wciąż do przodu, by znaleźć nowe siedlisko. Ciśnienie będzie tak wysokie, że znajdujące się na obrzeżach pogoni zwierzęta będą spadać z klifów i występów, a potoki topniejącego lodu staną się kipiącymi pomostami żywych i tonących gryzoni. Każda kolejna fala migracji będzie biegła po grzbietach poprzedniej w niezmordowanej pogoni za jedzeniem i wodą.

W świecie swych fantazji tak często wyobrażał sobie ten gorączkowy exodus na zieleńsze pastwiska, to masowe zadeptywanie, tonięcie, spadanie z klifów i skał, to podniecenie okolicznych drapieżników, że czasami miał wrażenie, że to on sam stworzył ten chaos. Często myślał o sobie jak o odważnym, bezinteresownym reporterze, który wysyła korespondencję wojenną z samego serca konfliktu, bo nie ulegało wątpliwości, że pęd lemingów był jak wojna, darwiniczna walka o przetrwanie rozgrywana na zapierającą dech w piersiach skalę.

Derek dobrze wiedział, że musi się maksymalnie skoncentrować; że musi poświęcić każdą wolną chwilę na skrupulatne, systematyczne zbieranie danych. Kiedy w końcu przedstawi wyniki badań czasopismu „Nature”, albo „Scientific American”, muszą być one absolutnie pewne. Myśl o tym, że tylko on przewidział pęd lemingów, podczas gdy cała rzesza naukowców z doktoratami sądziła, że populacja nie osiągnie szczytu jeszcze co najmniej przez rok, przyprawiała go o drżenie. Zbyt długo czaił się za kulisami, żeby zmarnować swoje pięć minut.

Tragiczne wydarzenia, do których doszło na początku wiosny, kosztowały go sporo czasu, mimo iż nie wszczęto żadnego oficjalnego śledztwa. Zazwyczaj rozpoczynał wiosenne patrole wraz ze Steviem pod koniec kwietnia. Dzięki temu mogli zbadać teren, sprawdzić kryjówki, przeprowadzić kilka prostych eksperymentów, ocenić stan flory i fauny na rok do przodu i złożyć kurtuazyjną wizytę w jednej z bardziej odległych stacji pogodowych.

Teraz jednak śnieg na niżej położonych partiach tundry zdążył już stopnieć, i chociaż wciąż miejscami zalegał w zaspach po zawietrznej stronie klifów i ozów, było już za późno na

jakiegokolwiek dłuższe wyprawy. Z drugiej strony, morski lód był wciąż wystarczająco mocny, a słońce świeciło przez całą dobę, więc spokojnie mogli podróżować po dwanaście, nawet piętnaście godzin dziennie. W ten sposób Derek mógłby zebrać więcej dowodów na zbliżającą się migrację lemingów. Zamierzał zgłosić swoje badania zaraz po powrocie.

Mieli podróżować podczas chłodniejszych godzin po dwudziestej drugiej. Przy sprzyjających warunkach dawało to dwieście kilometrów na dzień, chociaż miejscami podróż była dużo trudniejsza, tak jak na przykład w wąskiej cieśninie, gdzie Półwysep Colina Archera na północnym zachodzie Devon zbiegał się z południowo-zachodnim krańcem Wyspy Ellesmere'a. Cieśninę częściowo blokowała wyspa North Kent, która przypominała nieco luźny korek w butelce. Morze nie zamarzało tam przez cały rok, a ogromne, lodowe skały wdzierały się do cieśniny mocą nieprzewidywalnych prądów. Derek stwierdził, że lepiej będzie nadłożyć kilka dni drogi.

Zamierzał też zrobić po drodze trzy przystanki na badania. Pierwszy zamierzał poświęcić na swój własny projekt, licząc populację lemingów z Półwyspu Simmons'a; drugi przystanek pozwoli mu wykonać badania na wilkach z wyspy Bjorne na zlecenie kanadyjskiego wydziału do sprawy flory i fauny. Zadanie było niełatwe - wiedział o tym każdy, kto kiedykolwiek spróbował zbliżyć się do wilka z Bjorne.

Następnie mieli przeciąć Fiord Baumanna i zatrzymać w zatoce, w tamtejszej stacji pogodowej, na trzeci i ostatni przystanek. Tym razem ich zadania były w przeważającej części towarzyskie.

* * *

Wyruszyli w lekkiej mżawce. Po kilku godzinach spokojnej podróży przez lodowy pak, rozbili obóz na zielonej plaży u skraju półwyspu Lindstrom, po czym wspięli się na płaskowyż. Od ostatniego wiosennego patrolu na zboczach pojawiły się topniejące wgłębienia. Stevie zrobił im zdjęcia, sporządził krótką notatkę o występujących między skałami żyłach lodowych i o stosunkowo dużej ilości szczawiom porastającego poszerzające się wyrwy. Gdy skończyli, zajrzeli do policyjnej kryjówki, którą przygotowali kilka lat wcześniej na czarną godzinę.

Szło im tak dobrze, że postanowili zrobić sobie wolne popołudnie. Zatrzymali się nieopodal Hell Gate, żeby odpocząć i złowić trochę ryb. Na kolację przygotowali sobie ucztę złożoną z pstrągów i praśnego chleba, po czym przygotowali się na kolejną nocną wędrówkę. Przestało mżyć, a powietrze nabrało elektrycznego aromatu suchych, zachodnich krain.

Wyruszyli około dwudziestej drugiej. Nie ujechali jednak zbyt daleko, gdy Derek przypomniał sobie, że nie skontaktowali się z komisariatem, który pod ich nieobecność obsługiwał Pol. Patrole w terenie miały to do siebie, że szybko traciło się poczucie czasu, zwłaszcza teraz, gdy dzień trwał całą dobę. Chwilowo jednak nie mieli jak się zatrzymać. Czekala ich trudna przeprawa wokół wyspy North Kent. Zajmowanie się drobnymi problemami małego miasteczka było im teraz nie na rękę. Poza tym podczas ich nieobecności w Kuujuaq jeszcze nigdy nie wydarzyło się nic godnego uwagi. Kontakt był tylko formalnością; w ten sposób dawali znać, że wszystko z nimi w porządku. Derek postanowił więc zadzwonić następnym razem, gdy rozbiją obóz.

Jak się okazało, wydma lodowa była wciąż dość gładka i wystarczająco rozległa, by dwa skutery mogły jechać obok siebie. Pod koniec trzeciej nocnej podróży zdążyli już minąć North Kent i znajdowali się na lodowym paku w Zatoce Norweskiej.

Około szóstej rano dotarli do przeciwległego końca otoczonej lodową ścianą plaży, z której widać było wybrzeże Wyspy Grahama. Odkąd Derek pamiętał, obozowali tutaj przynajmniej raz w roku. Na zachód od plaży znajdowała się przyływowa góra lodowa otoczona stromymi morenami, skąd zawsze można było odrąbać trochę lodu na herbatę, dobrze łowiło się tutaj ryby

w przereźbli, a latem nurzyki, traczyki i mewy wily gniazda na niskich, tępych klifach, edredony składały jaja w gałęziach wierzb, a karibu przybywały tu, by napić się z powstałych z topniejącego lodu potoków.

Był to też początek krainy niedźwiedzi. Często zapuszczały się aż na brzegi, polując na foki, choć w ostatnich latach topniejący pak sprawił, że wcześniej uciekały w głąb łądu. Powietrze jednak było raczej czyste, a okolica płaska, przestronna i nisko położona, więc człowiek i niedźwiedź mieli raczej małe szanse, by przypadkowo na siebie wpaść. Mimo to trzeba było zachować dalece posuniętą ostrożność. Jeszcze dziesięć lat temu często widywał niedźwiedzie bawiące się z psami zaprzęgowymi. Teraz jednak wszystko się zmieniło; niedźwiedzie traktowały psy jako łatwy łup na szybką przekąskę. Nastaly trudne czasy.

Gdy rozstawili już namiot, Stevie włączył prymus i zaczął podgrzewać chleb. Żaden z nich nie lubił zbyt dużo mówić, więc w oczekiwaniu na posiłek siedzieli w ciszy. Czasami tylko pytali się o coś nawzajem, gdy sami nie potrafili znaleźć odpowiedzi na nurtujące ich tematy.

- Widziałeś ten artykuł w „Circular” — zapytał Stevie. - O niedźwiedziach obojnakach.

- Ano. - Długa cisza. - A nie, wcale nie. Co to niby jest niedźwiedź obojnak?

— Taki, który jest jednocześnie samcem i samicą. Tak napisali.

Znowu zapadła cisza, podczas której mężczyźni próbowali jakoś to sobie wyobrazić.

Pierwszy odezwał się Stevie.

— No cóż, to na pewno zaoszczędziłoby nam mnóstwo kłopotów.

Jakiś czas później, gdy Derek palił papierosa, Stevie włączył telefon satelitarny i zadzwonił do żony, która właśnie wyprawiała dzieci do szkoły.

— Chyba powinniśmy zadzwonić na posterunek - westchnął, rozłączając się.

— Pewnie tak - mruknął Palliser.

Tylko podczas patrolu Derek potrafił zapomnieć o komisariacie. Wyszedł na zewnątrz.

Kilka minut później Stevie podbiegł do niego pospiesznie.

— Mamy problem.

— Jaki? — zapytał Palliser.

— Ta cała łowczyni z Autisaq, Edie Kiglatuk.

Dzwoniła już trzy razy, o dziwnych porach, i mówiła,

że musi jak najszybciej skontaktować się z sierżantem Palliserem.

— Nie chciała powiedzieć Polowi, o co chodzi. Chce rozmawiać tylko i wyłącznie z tobą.

— Ech, utrapienie z nią.

Co mogło być aż tak pilne? Derek wiedział, że jeżeli chce być pierwszy, będzie musiał wysłać swój artykuł do „Circular”, zanim jeszcze zacznie się migracja.

Praca naukowa mogła chwilę poczekać, ale też niezbyt długo. Nie chciał przecież, żeby na Ellesmere zleciała się banda zoologów i ekologów, nim on zdąży wbić swoją flagę w ziemię. Potrzebował jednak dodatkowych statystyk z badania, które zamierzał przeprowadzić na Półwyspie Simmonsa. Wyobrażał sobie, jak Misha czyta o nim w gazecie, albo nawet - chociaż rzadko pozwalał sobie na tak śmiałe marzenia - włącza wiadomości i widzi jego twarz w telewizji. „Hej, to Derek! Wow, jest teraz sławny, może powinnam była się go trzymać”.

Przemyślał kilka scenariuszy i doszedł do wniosku, że żaden z nich nie obejmuje sceny, w której wraca do Kuujuaq, żeby zająć się Edie Kiglatuk. Zresztą w ciągu tygodnia powinni dotrzeć do Eureka. Nic nie było przecież tak pilne, żeby nie mogło poczekać tygodnia.

- Zadzwonię do niej z Eureka - powiedział.

Kilka kolejnych dni tylko utwierdziło go w tej decyzji. Badanie wilków okazało się co prawda porażką, ale z lemingami poszło mu wprost rewelacyjnie. Poszukiwał śladów i nerek aż od południowo-wschodniego wybrzeża. Każdego dnia notatniki i foliowe torebki wypełniały się

materiałem dowodowym, który miał odmienić jego życie.

Tydzień później, gdy policyjne skutery zajęły przed kompleks budynków arktycznej stacji pogodowej Eureka, Derek Palliser był już mocno podekscytowany. Zaparkował pojazd. Miał za sobą długą podróż, a kręgosłup bolał go od spędzonych na skuterze godzin, ale myślał tylko o tym, że zaraz się rozgrzeje i będzie mógł opowiedzieć szefowi stacji, Howiemu O'Harze -swemu staremu sprzymierzeńcowi - o ostatnich odkryciach w sprawie lemingów. Nawet nie czekał na Steviego. Skierował się prosto do drzwi głównego budynku stacji, nacisnął klamkę i pociągnął za nią.

Z osłoniętej ciężkimi kotarami werandy słysząc było dźwięki hawajskiej muzyki dobiegającej z wnętrza budynku. Po chwili na ganek wszedł Stevie. Derek spojrzął na zegarek i zdał sobie sprawę, że zupełnie stracił poczucie czasu. Była pierwsza w nocy.

— Dwa i pół tygodnia w drodze, a oni nawet nie poczekali na nas z przyjęciem?

Nie ma co liczyć na to, że o tej porze uda mu się złapać Howiego.

— Wiesz, Derek, może to nie dla nas wydali to przyjęcie - westchnął Stevie.

— Myślisz?

Zdjęli kurtki, czapki, rękawice i buty, otworzyli drzwi i rozkoszowali się scenarią. Kilkadziesiąt mężczyzn i kobiet przebranych w zielone spódniczki z plastiku, z kwiatowymi girlandami zawieszonymi u szyi, tańczyło hawajski taniec. Tuż za nimi ciągnął się długi stół, na którym stały rzędy największych mai tai, jakie Derek w życiu widział. Naczynia przypominały zresztą słoiki laboratoryjne.

Policjanci wciąż stali w drzwiach. Stevie spojrzął na Dereka z ukosa.

— Powodzenia, stary. Miło było cię poznać.

W tej samej chwili Dereka minęła kolorowa błyskawica. Poczuł, jak na jego szyi lądują girlandy ze sztucznych kwiatów. Ktoś wepchnął mu do ręki zbyt dużego drinka, a jakaś kobieta w trawiastej spódnicy obsypywała jego policzki mokrymi pocałunkami. Zanim zdążył się zorientować, co się dzieje, wciągnęła go w dziki taniec, z którego nie było ucieczki.

- Co świętujemy?

Dziewczyna wyciągnęła rękę i pokazała mu siedzących przy stoliku dwóch mężczyzn i kobietę, między którymi stała dwulitrowa butelka wódki.

- Nasi przyjaciele z Rosji. - Dziewczyna musiała krzyknąć, żeby jej głos przebił się przez dudniącą muzykę.

- Wracają do Władywostoku czy skąd tam przyjechali.

Zacząła podskakiwać w górę i w dół, zupełnie nie do rytmu. Palliser przyjrzał jej się uważnie i zrozumiał, że dziewczyna jest tak pijana, że dawno już powinna leżeć nieprzytomna na podłodze.

Później zaczęło się tańczenie hopaka. Palliser siedział przy stole z jednym z Rosjan. Butelka Stolicznej była już pusta.

- Jedziecie jutro do domu?

Rosjanin uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Tylko na dwa tygodnie. - Wyciągnął trzy palce. - Wymiana naukowa.

Derek dopił resztkę wódki. Kolega jego nowego znajomego święcił triumfy na parkiecie. Hopak, ukraiński taniec ludowy, przywodził na myśl inuickie sporty zespołowe.

„Ja też tak potrafię”, pomyślał policjant. Czuł się niepokonany. Pokazał Rosjaninowi paski sierżanta na pagonach, po czym dźgnął go palcem w ramię.

- Jestem naukowcem - powiedział. Skrzywił się, słysząc własne słowa, ale skoro już zaczął, to musiał teraz skończyć.

Rosjanin się roześmiał.

- Policjant jesteś - powiedział.

Derek bezładnie wymachiwał palcem.

- To dokładnie to samo. — Pstryknął się palcem w nos. - Prowadzimy badania.

Rosjanin pochylił się nad nim, nie przestając się śmiać.

- A ty co badasz, panie policjancie-naukowcu?

Derek spojrział na swego nowego znajomego. Mężczyzna był duży i miał czerwoną twarz.

Nie wyglądał na takiego, co chciałby słuchać o lemingach.

- Przystępstwa - powiedział. - Podejrzane śmierci.

Rosjanin nie uwierzył mu.

- Ach tak? A jaką śmierć teraz badasz, panie policjancie naukowcu?

- Teraz? - Derekowi kręciło się w głowie. Uniósł dwa palce do góry. Przynajmniej nie był na tyle pijany, żeby nie umieć liczyć. - Dwie śmierci - powiedział. - Na Craig.

- Serio?

Policjant odsunął się i poklepał po pagonach. Tańczący Rosjanin wołał kolegę na parkiet.

Palliser jeszcze raz pstryknął się w nos.

- Nie mogę o tym mówić - powiedział.

Rosjanin zachwiał się nieco. Oczy mu się zwięzły.

- Ale możesz być pewien jednego - ciągnął Derek. Wiedział, że robi z siebie idiotę, ale nie mógł się powstrzymać. - Przeszukamy każdą szczelinę.

Gdy Palliser się obudził, w głowie mu dudniło, bolały go plecy, a jego język przykleił się jak truchło fokii do gnijącego podniebienia. W dodatku leżała obok niego jakaś kobieta.

- Cześć - powiedziała, wsuwając dłoń pod kołdrę, by pogłaskać niewielki puch na jego klatce piersiowej. Spojrzała na niego nieśmiało. Była biała, miała brązowe włosy i około trzydziestu pięciu lat. Derek nic więcej nie wiedział.

- Dobrze się bawiłeś?

- Świetnie.

To zresztą mogło być prawdą. Prawie nic nie pamiętał z poprzedniej nocy, a już na pewno nie wiedział, jak doszło do tego, że wylądował w łóżku z tą kobietą. Nie znał nawet jej imienia. „Jak mam się z tego wyplątać?”, pomyślał. I wtedy przypomniał sobie o Edie Kiglatuk.

- O cholera, muszę ten, no, zadzwonić na posterunek.

- Teraz? - Kobieta wyglądała na niezadowoloną.

Derek wzruszył ramionami i zrobił tajemniczą minę.

- Pilna sprawa policyjna. - „A co niby miałbym powiedzieć?”

Wygramolił się z łóżka i udał się korytarzem do pokoju radiowego. Nalał sobie kawy i natychmiast wlał płyn do gardła, żeby pozbyć się obrzydliwego smaku taniego, ledwo przetrwanego alkoholu. Miejsce wyglądało na zupełnie opuszczone. Zdał sobie sprawę, że jest mu niedobrze. Chyba ciągle był pijany. I wciąż nic nie pamiętał.

Pomyślał, że może dobrze będzie dać znać Howiemu lub innemu członkowi stałej ekipy, że zamierza skorzystać z radia. Na stacji panowała dość gęsta atmosfera; ludzie potrafili być bardzo zaborczy. Biorąc pod uwagę ciasnotę, w jakiej żyli, było to dość zrozumiałe. W takich warunkach drobne urazy mnożyły się jak grzyby po deszczu. Nie było tu miejsca, żeby ochłonać. Zamarznąć -pewnie, ale nie ochłonać.

Wyszedł z pokoju, szukając kogoś, kogo mógłby zapytać o pozwolenie, ale stacja była wyludniona. Skacowani hawajscy hulacy udali się na spoczynek. Spojrział na zegarek. Była 5.32 rano, a Derek Palliser czuł się fatalnie.

Co robić? Przecież nie może po prostu wrócić do pokoju i zapytać tej zupełnie obcej mu kobiety, czy może odespać kaca w jej łóżku. Nawet gdyby potrafił sobie przypomnieć jej imię,

albo chociażby wiedział, jak wrócić do jej pokoju. Poza tym kobieta patrzyła na niego z nadzieją, a on, jak teraz zdawał sobie sprawę, był dla niej niemiły i oschły. Kto, u licha, wykonuje pilny telefon o 5.30 nad ranem po nocy spędzonej na picciu? Wystarczy, że będzie musiał spotkać ją w stołówce; teraz na pewno nie może do niej wrócić.

Postanowił znaleźć jakieś krzesło, na którym będzie mógł się zdrzemnąć. Wrócił więc do budynku, w którym znajdowało się radio. Nagle usłyszał za sobą odgłos stąpania. Ciasteczko dreptał tuż za nim. Cholera, znowu o czymś zapomniał - jest jeszcze pies. W kuchni znalazł puszkę ciasteczek. Otworzył ją i rzucił kilka na podłogę.

Kilka godzin później obudziło go delikatne szarpnięcie za ramię. Otworzył oczy. Zasnął na krześle obok radia. Pies wciąż mocno spał z pyszczkiem wetkniętym w ucho Dereka. Policjant zdrapał z policzka warstwę zaschniętej psiej śliny.

- Nie możemy się ciągle spotykać w takich okolicznościach - powiedziała kobieta, z którą spał lub nie spał.

Uśmiechnął się blado, rozpaczliwie próbując sobie przypomnieć jej imię. I nagle go oświeciło. Na Hawajach nazywano by ją Palakakiką, a jego Jamekiem, czy jakoś tak.

- Radio jest zabezpieczone hasłem — powiedziała Palakakika.

- Wiem - skłamał. — Zauważyłem.

- A to oznacza, że musisz o nie poprosić głównego oficera komunikacyjnego.

- Czyli...?

Kobieta wyciągnęła do niego dłoń.

- Agentka Palakakika. - Spojrzała na Dereka konspiracyjnie. Cholera, w jaką żalostną, pijacką gierkę bawili się poprzedniej nocy? - Jeżeli to się wyda, będę oczywiście musiała cię zlikwidować.

- W takim razie - Derekowi znowu zrobiło się niedobrze - czy mógłbym wykonać telefon, agentko Palakakiko?

Gdy nocna zmiana z Autisą odebrała, połączenie natychmiast zostało przerwane, co na tej szerokości geograficznej zdarzało się dość często. Derek usłyszał urywek jakiejś innej transmisji, chyba solówkę z *Time* Pink Floyd.

Zakłócenia dały mu chwilę na zastanowienie. Co on właściwie wyprawiał? Nie mógł przecież tak po prostu zadzwonić do Autisą i poprosić o rozmowę z Edie; wkrótce dowiedziałoby się o tym przecież całe miasteczko. W dodatku przewodniczka nie cieszyła się obecnie zbyt dużą sympatią. Wzywając ją do telefonu we wczesnych godzinach rannych, zapewne jej nie pomoże. Poza tym Edie mówiła, że chodzi o prywatną rozmowę. Kiedy zgłosił się operator, Derek powiedział mu, że wszystko u niego w porządku i jutro będzie już z powrotem w Kuujuaq. Mężczyzna po drugiej stronie potwierdził informację i zakończył połączenie. Derek odsunął krzesło i oddał słuchawki agentce Palakakice, która zanotowała godzinę rozmowy w dużym, granatowym dzienniku.

- To całkiem zabawne - powiedziała, rzucając mu zachęcające spojrzenie. — Dla każdego z nas słowo „pilne” znaczy zupełnie co innego. — Rozpięła mu rozporek. — Teraz już wiem, co oznacza ono dla ciebie. Może pokażę ci, jak ja je rozumiem?

„Lepiej nie”, pomyślał Derek. Dwie dziesiąte milisekundy później zmienił jednak zdanie. Uśmiechnął się do agentki Palakakiki.

— Nazywam się Bond - powiedział. - James Bond.

Następnego dnia Pol, zgodnie z umową, przyleciał po nich samolotem. Podróż do Kuujuaq była krótka,

a w dodatku Derek czuł się zdecydowanie lepiej niż zwykle dzięki krążącym w jego żyłach hormonom seksu. Gdy tylko wylądowali, szybko udał się na posterunek, zwymiotował, a potem

zadzwoił do Mike'a Nungaqa w Autisaq. Sprzedawca powitał go wesoło.

- Jakaś paczka? - Derek nadzorował działanie poczty w regionie, więc od czasu do czasu rozmawiał z Mike'em o dziwnych, cennych lub niebezpiecznych paczkach, takich jak trofea i skóry, które opuszczały lub przylatywały do Autisaq w samolocie dostawczym.

- Tym razem nie.

Mike wydawał się rozczarowany.

- Po prostu myślałem, że może przysły plakaty wyborcze.

- Wybory... Że co?!

Mike wyjaśnił, że Simeonie Inukpuk czekał na paczkę z plakatami, które zamówił i sprowadził aż z Ottawy.

- Czekaj, ja chyba czegoś nie rozumiem - powiedział Derek. - Nasze dzieci biorą narkotyki i odbierają sobie życie, bo nie widzą przed sobą przyszłości, a Simeonie robi sobie plakaty?

- On ich nie robi, tylko je zamówił.

Derek zdał sobie sprawę, że ta dyskusja i tak jest bezcelowa. Nastąpiła chwila ciszy.

- Ale nie po to dzwoniłeś, prawda? — zapytał Mike.

- Nie.

Palliser właśnie miał zamiar wysłać raport o śmierci Joego Inukpuka, ale chciał jeszcze potwierdzić kilka szczegółów z jego matką.

— Takie tam rutynowe pytania. Niech to zostanie między nami, dobrze? Nie chcę, żeby ta jego cholerna rodzina się w to mieszała.

Po rozłączeniu się Derek sprawdził faks i e-mail, ale przez ostatnie dwa i pół tygodnia nic się nie wydarzyło. Dopiero kiedy wracał do kuchni, żeby zaparzyć sobie herbatę, zauważył leżącą na podłodze kartkę. Była to kopia jego oficjalnego raportu w sprawie zniknięcia Andy'ego Taylora. Koroner podpisał ją i przesłał z powrotem do archiwizacji, poprawiając przy okazji błędy w angielskiej pisowni. Derek rzucił papier na stół i pomyślał sobie, że koroner powinien spróbować swoich sił w inuktitut.

Usiadł przy biurku z kubkiem herbaty. W zamyśleniu przeglądał najnowszy numer „Circular”. Zanotował numer do redakcji. Może powinien do nich zadzwonić i zaproponować wywiad albo napisać krótką notatkę i przesłać im faksem? Doszedł do wniosku, że prześpi się z tym kilka dni, żeby złapać oddech po podróży. Dopił herbatę, wyszedł na zewnątrz i zabrał Ciasteczko na krótki spacer po Kuujuaq. Szukał spuszczonej ze smyczy psów, ale żadnego nie spotkał. Poszedł do sklepu i kupił jedzenie.

Dopiero po powrocie zdał sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczony. Zrezygnował z kolacji i położył się spać. Obudziło go głośne pukanie. Był późny poranek; zaspał o ładnych parę godzin. Pukanie nie ustawało. Ktokolwiek stał u drzwi, nie zamierzał dać za wygraną. Derek poczuł lekkie ukłucie irytacji. Dlaczego Stevie się tym nie zajmie? Potem przypomniał sobie jednak, że przecież dał posterunkowemu wolne.

Wyskoczył z łóżka, włożył mundur, ochlapał twarz zimną wodą i przez chwilę próbował wygładzić włosy. „Proszę chwilę zaczekać”, krzyknął w kierunku drzwi. Był przekonany, że to tylko jakiś cholernie wścibski sąsiad, który chce wiedzieć, dlaczego tak długo nie otwiera.

Jednym susem przesadził biuro i otworzył drzwi na ganek. Z początku myślał, że ma jakieś déjà vu, może efekt zbyt dużej ilości wypitych ostatnio mai tai. Ale nie - to działa się naprawdę. Stała pod jego drzwiami i uśmiechała się do niego.

Misha.

Miała na sobie parkę z kołnierzem z lisa. Rozpięta u góry kurtka odsłaniała miękkie łuk jej piersi. Przez chwilę bał się, że zaraz ugną się pod nim kolana, wybuchnie płaczem albo zrobi coś równie poniżającego. Nie widział jej od dwóch lat, a ona stała się jeszcze piękniejsza. Jej twarz

przypominała wiosenne słońce; w swej doskonałości była niemal nieziemską. Po prostu nie dało się w nią nie wpatrywać z otwartymi ustami - i to właśnie robił Derek - a jej rysy, tak dobrze mu znane, wydawały mu się jeszcze bardziej urokliwe.

- Przychodzę nie w porę? - Jej głos, pełen nut, które przypominały mu kilkanaście akcentów naraz, otulił go niczym wiosenna, mroźna bryza. Musiał oderwać od niej wzrok, czując narastające, żalodne podniecenie.

Wróciła do niego cała ta okropna, przyprawiająca go o mdłości sprawa z agentką Palakakiką. Przełknął ślinę, by pozbyć się zalegającego w ustach niesmaku. Misha podeszła do niego, a on przytrzymał drzwi, gdy wchodziła do środka. Przez chwilę tylko na siebie patrzyli. Był zaskoczony siłą ogarniającego go uczucia. Wiedział, że powinien być na nią zły, ale po prostu nie potrafił odnaleźć w sobie gniewu. Czuł się jak jakiś nastolatek.

Podawała mu dłoń, a on ujął ją bez zastanowienia. Gdy przyciągała go do siebie, czuł jej oddech na swoich ustach, a serce podeszło mu do gardła. Nagle zrozumiał, że te wszystkie miesiące, gdy torturował się zdjęciem tamtego Duńczyka, nie miały już żadnego znaczenia. Teraz była z nim, tutaj.

- Mieszkaś teraz na posterunku?

Pokiwał głową, czując, że na jego policzki wypływa rumieniec. Gdy byli ze sobą drugiego lata, wyprowadzili się z mieszkania na zapleczu do bardziej przestronnego domu. Derek wrócił jednak na posterunek tuż po tym, jak go zostawiła.

- Przynieś mi walizkę — powiedziała Misha, kierując się do drzwi jego mieszkania.

I w ten sposób Derek Palliser zapomniał o samobójczym pędzie lemingów na długie godziny i dni. Kazał Steviemu wziąć tydzień urlopu. Zapomniał o Duńczyku i o Kopenhadze. Zapomniał o agentce Jakjejtam i o tym, że musi jak najszybciej powiadomić „Arctic Circular” o wynikach swoich badań. Zapomniał nawet zapytać samego siebie, czy moment przyjazdu Mishy nie był zbyt dużym zbiegiem okoliczności. A te trzy czy cztery razy, gdy dzwonił telefon, nie pamiętał nawet, że ktoś miał do niego jakąś sprawę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Edie zajrzała do schowka na mięso, żeby sprawdzić, czy kości Andy'ego Taylora wciąż znajdują się w dwóch starych puszkach po pemikanie. Odkroiła też kilka płatów lodu. Do domu zabrała te kości, na których widać było ślady po nożu. Nalała sobie dużą whisky z lodem. Wyjęła fragment czaszki i wsunęła mały palec w dziurę po kuli. Zrobiła sobie kolejnego drinka, wzięła do ręki leżące na stole pióro i bezwiednie wcisnęła je w dziurę w kości. Palcem wyznaczyła tor lotu kuli. Przyszło jej do głowy kilka refleksji. Znaleziony przez nią fragment czaszki pochodził z kości ciemieniowej, a to oznaczało, że zabójca strzelał z góry. Kąt, pod którym ustawione było pióro, był niemal prostopadły do samej czaszki. Przywołała w pamięci obraz nisko położonego terenu wokół Plaży Kości i kilkakrotnie obróciła fragment czaszki w dłoniach. Jak ktoś mógł strzelać pod takim kątem? Czy to możliwe, że zabójca znajdował się w samolocie?

Gdy wróciła do komórki, by odłożyć kości Andy'ego Taylora, była już północ. Godzina nie miała jednak znaczenia; o tej porze roku słońce świeciło przez całą dobę. Obok niej przeleciał kruk. Edie obejrzała się za ptakiem,

zastanawiając się, dlaczego Derek Palliser nie odpowiedział na jej telefony. Nie miał powodu jej unikać, ale robił to już wcześniej, podczas sprawy Nancy Brown. Z jakiejś przyczyny ten człowiek opierał się przed podjęciem jakichkolwiek działań, dopóki wydarzenia same nie przyparły go do muru. Jak nazywało się to zwierzę, które w razie zagrożenia chowa głowę w piasek? A, struś. Derek Palliser był strusiem.

Ona tymczasem musiała z całych sił powstrzymać się, by nie działać impulsywnie. Kiedyś pojechała na kilka dni łowić ryby w przerebli ze swoim ojcem Petem i matką Maggie. Musiała być bardzo mała; miała może cztery czy pięć lat, ale pamiętała wszystko tak, jakby to było tydzień temu. Pogoda była spokojna, słońce świeciło, ale było tak zimno, że kanaliki łzowe miała pełne kryształków lodu. Złapali trzy pstrągi, a potem jej mama poszła do namiotu, żeby na chwilę się położyć. Edie nie pamiętała, gdzie był jej ojciec. Może poszedł po wodę. Bawiła się na lodzie, gdy jej uwagę przyciągnął jakiś błysk. Młoda nerpa, prawdopodobnie zwabiona wonią pstrąga, podpłynęła do przerebli i wystawiła pyszczek nad wodę, opierając się o skraj lodu. Słońce załamywało się w kroplach wody na jej futrze. Edie nie myślała zbyt wiele - chwyciła harpun ojca i wbiła go w zwierzę. Foka zanurkowała, wciągając pod wodę przywiązaną sznurem dłoń. Pamiętała, że chwyciła wtedy za linę i zaczęła sunąć po lodzie z taką prędkością, że nie miała nawet czasu krzyknąć. Wpadła prosto do wody, pod lód. Dryfowała tak przez dłuższy czas, a krew dudniła jej w skroniach. W końcu usłyszała dalekie okrzyki matki.

- Jesteś dobrą łowczynią - powiedziała jej potem Maggie. - Ale dopóki nie nauczysz się *anqsusaarniq*, cierpliwości, nie uda ci się osiągnąć perfekcji.

Kruk przysiadł na suszarce i zaczął dziobać foczą skórę. Przypomniła jej się kruk na odwrocie dwudzie-stodolarówki, Kruk Oszust z legendy Haidów, siedzący w indiańskim kanoe ze skrzydłem opartym o ster. To właśnie ten Kruk Oszust kierował ją z powrotem na jej dawne tory niepohamowanego, zachłannego picia. Kiedyś myślała, że już dawno porzuciła tamtą siebie; teraz jednak odkryła, że ta druga znów zamieszkała w jej ciele. A czy dawna Edie przyniosła jej kiedykolwiek coś dobrego? Gdy miała około dwudziestu pięciu lat, zdażyła już przepić swoją karierę myśliwej i była na dobrej drodze, by zapisać się na śmierć. Uratował ją Joe; chłopiec zabrał ster Krukowi i oddał go w jej własne ręce. „Nie znoszę alkoholu, bo jak jesteś pijana, to nie chodzisz ze mną na łowy”, powiedział. Ta prosta prawda przeszła jej serce niczym włócznia.

Wtedy przestała pić.

Joe zwrócił jej życie, a ona jak mu się odwdzięczyła? Zastanawiała się, czy to dręczące ją pragnienie śmierci nie było zaraźliwe; czy nie zmieniło się w jakieś złowieszcze dziedzictwo, które bezwiednie przekazała swemu pasierbowi.

Ptaka wzbił się do lotu i skierował na południe. Kobieta odeszła od okna i usiadła na kanapie. Nalała sobie kolejną podwójną whisky, przejrzała DVD i wybrała film, w którym Harold Lloyd wspina się po fasadzie domu towarowego. Którego raz oglądała już tę scenę, odkąd jej ojciec po raz pierwszy posadził ją przed wyświetlaczem? Widok aktora w kapeluszu i okularach wspinającego się po pionowej ścianie wciąż przyprawiał ją o drżenie. Świat pod jego stopami powoli kurczył się i znikał. Miała ochotę krzyknąć z czystej, kruchej radości tego, że żyje.

Dolała whisky do kubka i zamknęła oczy. Niech ta chwila trwa wiecznie. Gdy znów je otworzyła, wydawało jej się, że w oknie stoi *puikaktuq*.

Gdy po jakimś czasie obudziła się na kanapie, Harold Lloyd wciąż wspinał się po ścianach. Sięgnęła po pilota i wyłączyła odtwarzacz. Jej język był jak rozszoszczony mors, a w głowie jej dudniło. Poszła do łazienki i zwymiotowała.

Wieczorem, po szkole, wróciła prosto do domu, nalała sobie whisky i spuściła żaluzję. Z komórki przyniosła dwie puszki z kośćmi Andy ego Taylora.

„Jeżeli masz mi coś do powiedzenia”, zwróciła się do kości, „to lepiej powiedz mi to teraz”. Czekala przez chwilę, ale szczątki milczały. Te kilka rzeczy, których dowiedziała się na temat śmierci *qalunaata*, przypominało jej formujący się pak lodowy, wciąż fragmentaryczny, słaby, kruchy. Pamiętała też jednak nauczkę, jaką dała jej foka z przerębli. *Anuqsusaarniq*. Cierpliwość.

Następnego dnia ledwo dała sobie radę z zajęciami. Miała kaca. Po lekcjach wróciła do domu i smażyła *tunusitaq*, jelita karibu, na kolację, gdy nagle dosłownie przywiał Sammy'ego. Z nosa buchały mu kryształki lodu.

- Ładnie pachnie.

- Zawsze miałeś doskonałe wyczucie czasu, Sammy Inukpuku.

Uchwycił dwuznaczność w jej tonie i się roześmiał.

- Przyszedłem ci oddać browara — powiedział, stawiając piwo na stole. Chciał się z nią pogodzić.

- W porządku - mruknęła Edie.

Siedzieli na sofie, oglądając telewizję i popijając piwo, jak w dawnych czasach.

- Przyszedłem, bo...

- No tak - westchnęła, nawet nie próbując ukryć swego rozczarowania. - A ja, naiwna, myślałam, że po prostu lubisz moje towarzystwo.

Spojrzał na nią złowrogo, jakby chciał powiedzieć „lepiej daj sobie spokój, siostrze, przecież to ty mnie porzuciłaś, pamiętasz?”.

- Chciałem ci to powiedzieć sam, żebyś nie usłyszała tego od kogoś innego. Dwóch *qalunaatów*, turystów, wynajęło mnie na przewodnika.

- Tak? - mruknęła.

- Chcą polować na edredony.

- Zabierasz ich na gęsi fiord? - Było to najlepsze miejsce do łowienia edredonów na całej Wyspie Ellesmere'a.

- Może. — Sammy zarumienił się i utkwiał wzrok w telewizorze. Miał jedną zaletę - kiepsko kłamał.

- Rozumiem - powiedziała. - Jedzcie na Craig.

Pokiwał głową z nieco zawstydzoną miną. Przewodniczka poczuła, jak coś podchodzi jej do gardła. Miała ogromną ochotę poskubać swój warkocz, ale udało jej się powstrzymać. Teraz

rozumiała już, dlaczego przyszedł. To starszyzna przydzielała turystów. Do tej pory, gdy chodziło o wyjazd na Craig, zawsze w pierwszej kolejności zgłaszano się do Edie. Ona i Joe znali wyspę lepiej, niż jakikolwiek inny mieszkaniec Autisaq, może poza starym Koperkujem, ale Simeonie wyciął jej numer i oddał zlecenie jej byłemu mężowi. Sammy przyszedł prosić o błogosławieństwo, może wybaczenie. Poklepała go po udzie.

- Dzięki, że mnie poinformowałaś - powiedziała. - Ale dlaczego Craig? Przecież o tej porze roku nie ma co liczyć, że pojawią się tam edredony.

Wzruszył ramionami.

- To oni chcieli tam jechać.

Niesamowicie jak bardzo popularna zrobiła się Craig wśród białych.

Tej nocy Edie spała niespokojnie. Gdy się przebudziła, *puikaktuq* stał w milczeniu u stóp jej łóżka.

- Wydaje mi się, że wiem, czego chcesz - powiedziała. - Ale na razie jestem z tym sama i trudno mi to wszystko poskładać.

Następnego ranka, gdy szła do sklepu, nad jej głową przeleciał samolot - zapewne ci biali, o których mówił Sammy. Barwy maszyny nie należały do żadnej z firm czarterowych latających z Iqaluit czy Resolute. Była ciekawa, czy na rynku pojawił się ktoś inny i czy przypadkiem nie wykończy to Martie.

W czasie lekcji wyjrzała przez okno i zobaczyła pilota, Inuka, który szedł do sklepu wraz z dwoma wysokimi *qalunaatami*. Jeden z nich był chudy jak Taylor, a drugi miał tak jasne włosy, że wyglądało to tak, jakby czaszkę porastała mu bawełna.

Dwa dni później samolot zabrał ich w drogę powrotną. Podczas przerwy na lunch Edie poszła do Sammyego, żeby zapytać go, jak udała się wycieczka - brakowało jej go, nie lubiła pić sama - ale jej były mąż najwyraźniej zdążył już gdzieś wyjść, więc zostawiła mu tylko kartkę z zaproszeniem na kolację. Zauważyła, że odwrócił swoją Biblię okładką do dołu. To mogło oznaczać tylko jedno - znów dużo pił i nie chciał, żeby Bóg to widział. Poczula przyływ współczucia. Niby wobec jakiego boga próbował być lojalny? Wobec boga potępiającego człowieka, który dopiero co stracił syna i próbował się jakoś pocieszyć?

Kiedy nie było jej w szkole, ktoś powiesił na korytarzach plakaty wspierające kandydaturę Simeoniego Inukpuka na burmistrza. Jak dotąd jeszcze nikt nie miał tak bogatej kampanii. Było to niepokojące i dziwne. Inuici nie zachowywali się w ten sposób; nie wychwalali jednego kandydata kosztem drugiego. Oczywiście odbywało się głosowanie, ale wszyscy wiedzieli, że prawdziwą decyzję podejmuje się w drodze długiej dyskusji wewnątrz społeczności. Wyniki wyborów ogłaszano dopiero wtedy, gdy wypracowano akceptowalny przez wszystkich kompromis. A poza tym, jeżeli w budżecie znalazły się jakieś niezagospodarowane środki, to naprawdę było sporo lepszych rzeczy, na które można było je wydać.

Wróciła do klasy, wytłumaczyła zadanie, poprosiła Pauloosiego o przypilnowanie porządku i udała się do gabinetu dyrektora. Otworzyła drzwi bez pukania. John Tisdale spojrział na nią znad biurka i podniósł ręce do góry.

- Nie strzelaj!

Nawet się nie uśmiechnęła. Dyrektor pobladł. Wiedział, dlaczego do niego przyszła.

- Posłuchaj, Edie, to nie moja wina, po prostu Simeonie chce, żeby tak to teraz wyglądało.

Kobieta prychnęła.

- Simeonie chce chyba, żeby ktoś był dla niego tak miły i powiedział mu, jaki z niego cholerny dupek.

- Naprawdę? — Tisdale zmarszczył brwi.

Przewodniczka odwróciła się na pięcie i zamknęła drzwi z nieco zbyt dużym impetem.

Plakaty przyklejono jakąś plasteliną i łatwo było je zdjąć, zwłaszcza gdy poprosiła klasę o pomoc. Kiedy ściany były już czyste, Edie rozdała każdemu z uczniów po plakacie i wyjaśniła, co mają zrobić i dlaczego. Nazwała to protestem. Obywatelskim nieposłuszeństwem.

Dziesięć minut później dwanaścioro dzieci czekało pod gabinetem burmistrza z podekscytowanym, pełnym napięcia wyrazem twarzy. Siedząca przy biurku sekretarki Sheila Silliq prychała i wzdychała.

- Edie, ja wiem o tym, że ty masz swój własny styl działania, ale wolałabym, żebyś nie mieszała w to moich dzieci.

- To się nazywa pozew grupowy - wyjaśniła Edie. Pogłaskała dwójkę małych Silliów po głowie, żeby dodać im otuchy. - Powinnaś być dumna.

Simeonie Inukpuk wystawił głowę zza drzwi i podniósł wzrok pod niebiosa.

- Masz pięć minut - powiedział.

Edie zaczęła popychać drzwi w kierunku jego biura, ale Simeonie podniósł rękę, by ją zatrzymać.

- Co to, to nie - powiedział, pokazując na przewodniczkę. - Wchodzisz tylko ty.

Zamknął za nią drzwi i usiadł za biurkiem. Nie zaproponował jej krzesła.

- Jesteś żałosna, Edie. Nie wykorzystuj dzieci do swoich gier.

- Ja jestem żałosna? - Jego hipokryzja przekraczała wszelkie granice. - Wcale nie chodzi mi o Craig, jeżeli tak ci się wydaje, chodzi o to, że wykorzystujesz szkołę do uprawiania polityki.

- Nie obchodzi mnie to, o co „chodzi”. Po prostu próbujesz coś ugrać. - Pokręcił głową z taką wyższością i dezaprobatą, że miała ochotę się na niego rzucić i wytargać go za włosy. - Zawsze byłaś w gorącej wodzie kapana, Edie Kiglatuk, a z jakiegoś powodu postanowiłaś jeszcze zacząć robić problemy.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- *Ai*, szwagrze - powiedziała, licząc na to, że odwołanie do rodziny może go nieco zmiękczyć. - Plakaty wyborcze? To Autisaq, prowincja Nunavut, nie Atlanta, Georgia.

Sheila zajrzała do pokoju. Dzwonił ktoś z Londynu.

Simeonie oparł się o fotel i przybrał niedostępny wyraz twarzy.

- Jakaś kobieta, która próbuje sprzedać dzienniki jednego z podróżników.

Simeonie liczył na to, że sprawa będzie poważniejsza. Pokręcił głową i machnął ręką.

- Ja z nią porozmawiam - zaoferowała Edie. Równie dobrze i teraz mogła przerwać swoją audiencję u burmistrza.

Odebrała telefon przy biurku Sheili i podała swoje nazwisko. Kobieta po drugiej stronie linii mówiła z akcentem, ale Edie go nie rozpoznawała. Wyjaśniła, że jest analitykiem w domu aukcyjnym Sothebys. Sprzedają właśnie dziennik z przedostatniej podróży sir Jamesa Fairfaksa i potrzebna im jest, jak to ujęła, „perspektywa rdzennego mieszkańca”.

- Gdyby poświęcił więcej czasu polowaniu i łowieniu ryb, tak jak to robią Inuici, a mniej skupiał się na prowadzeniu dziennika, to jego kariera mogłaby potrwać o wiele dłużej — powiedziała Edie. Czula się całkiem zadowolona z siebie. - Podobają się pani takie „perspektywa rdzennego mieszkańca”?

Kobieta uprzejmie zakasłała. Edie zdała sobie sprawę, że jej głos brzmiał młodo i brakowało mu pewności siebie.

- Przepraszam - powiedziała dziewczyna. - Nie przeczytałam jeszcze całości. Dziennik dotarł do nas niedawno, a jego właściciel...

Edie jej przerwała.

- Bill Fairfax?

- Pan Fairfax, tak. Zna go pani? - Dziewczyna wydawała się zaskoczona.

Przewodniczka wyjaśniła, jak poznała Fairfaksa. Kobieta po drugiej stronie wysłuchała jej i nieco zniżyła głos.

- Zależy mu na szybkiej sprzedaży. - Znów zakasłała.

- Mieliśmy nadzieję, że ktoś u was będzie potrafił wyjaśnić pewną zagadkę. Dziennik jest, hm, niekompletny. Kiedy pan Fairfax znalazł go wśród rzeczy należących do jego ciotki, okazało się, że brakuje w nim trzech stron. Nasz rzeczoznawca twierdzi, że kartki te wyrwano całkiem niedawno, ale ciotka nie żyje, więc nie można się dowiedzieć, dlaczego tak się stało i kiedy. Gdybyśmy mogli je odnaleźć...

„Trzy strony”? Umysł Edie zaczął pracować na zwiększonych obrotach.

- Mój szef twierdzi, że Inuici nigdy niczego nie zapominają - powiedziała dziewczyna, po czym się zawahała.

- Tak naprawdę powiedział Eskimosi, ale wiem, że już nie używacie tego określenia.

Przewodniczka czuła, że szumi jej w uszach, a neurony są rozgrzane do czerwoności.

- Wie pani co - przerwała jej. - Może prześle nam pani kilka stron dziennika? Chodzi mi o te tuż przed tą dziurą. Może to odświeży nam pamięć.

- Naprawdę? - Dziewczyna poweselała. - Fantastycznie.

- Proszę je od razu przesłać. Czekam przy faksie - powiedziała. - A tak swoją drogą, to właściwie powinno się mówić Inuit, nie Inuici. Ale to drobiazg - dodała, ściszej głos.

Po chwili faks zaczął trzeszczeć. Edie zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Fairfaksa, ale szybko się rozmyśliła. Musiała dowiedzieć się więcej, by zadać odpowiednie pytania.

W podajniku pojawiła się pierwsza kartka. Pismo wyglądało uderzająco podobnie do tego, które pamiętała ze stron znalezionych w jaskini na Craig: długie, wysokie zawijasy i poziome kreski z jednym końcem grubym, drugim cienkim, jak ogon piżmowołu, całość pochylona na wschód, jakby zmagająca się z silnym wiatrem.

Zadzwoił telefon. Odebrała Sheila.

- Ta sama kobieta, co wcześniej. Chciałaby z tobą rozmawiać.

Kiglatuk wzięła kartki z podajnika i podeszła do drzwi.

- Powiedz jej, że właśnie wyszłam.

Po powrocie do domu zasiadła na kanapie ze znalezionymi w jaskini stronami i dużą szklanką Canadian Mist. Choć mróz i wilgoć zamazały pismo, od razu widać było, że kartki pochodzą z dziennika Fairfaksa. Przewodniczka zrobiła sobie herbatę, doprawiła ją whisky i zaczęła uważnie przyglądać się stronom. To, co było na nich napisane, musiało być z jakiegoś powodu ważne

- dla samego autora zapisków, jak sądziła - skoro zabrał te kartki ze sobą aż do Autisq. I skoro Andy Taylor ukrył je w jaskini. Ale dlaczego?

W rozproszonym świetle salonu ciężko było jej cokolwiek odczytać. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Weszła do pralni, w której trzymała swój sprzęt myśliwski, wzięła celownik optyczny, włożyła nieprzemakalne ubranie, kamiki, czapkę z psiej skóry i parę drogich gogli śnieżnych - jakiś *galunaat* dał jej w ramach napiwku. Wyszła na ganek. Na zewnątrz słońce świeciło jak oszalałe, a na południu widać było klify Taluritut, odległej o trzy dni drogi. Powietrze było wyjątkowo suche i przejrzyste - dobry dzień na to, by coś odkryć.

Podeszła do komórki, w której suszyła skóry focze i przykucnęła pod jej ścianą, by nie było jej widać ani z ratusza, ani ze sklepu, ani ze szkoły. Z kieszeni wyjęła kartki i rozłożyła je na kolanach. Przyłożyła celownik do papieru. Chociaż słowa wciąż były trudne do odczytania, atrament nabral nieco wyrazistości. Edie postanowiła podejść do sprawy jak myśliwy - zaczęła powoli zataczać coraz większe kręgi wokół liter, aż w końcu natrafiła na coś, co wyglądało jak „g” lub „q”. Bardzo powoli, by się nie zgubić, przesunęła celownik w lewo i zobaczyła nikły ślad

litera „u”. Nieco dalej po lewej widać było tylko niewielką smugę, być może pozostałość po „l”, czyli razem „lug” albo „luq”. Obok zobaczyła coś, co musiało kiedyś być literką „i” — linia była wyraźnie przerwana u góry - więc dalej po lewej na pewno znajdowało się „l”, po którym dojrzała kolejne „i”. Pierwszy znak był nieco większy, „V”, z lekkim kleksem. *Vililug*, słowo, które nie znaczyło nic ani w inuktitut, ani po angielsku.

Spróbowała oddzielić pierwszą stronę od drugiej, ale udało jej się tylko lekko ją podrzeć. Zrozumiała, że nic nie działo. Ostatnia strona była luźna, bo od wilgoci izolowały ją dwie pierwsze. Na kartce zapisany był tylko jeden akapit, a pod spodem znajdował się jakiś rysunek, może mapa. Układ linii nie przypominał żadnego znanego jej terenu, ale z drugiej strony rzadko posługiwała się mapami białych. Poza tym potrafiła odczytać tylko kilka słów: „czekałem”, „powiedziałem”, „psy” i jedno zdanie: „wymieniłem się za scyzoryk”.

Strony opisywały jakiś rodzaj wymiany. Co też sir James Fairfax dostał za swój scyzoryk? Spojrzała jeszcze raz na akapit. Psy? To miało sens. Edie przeniosła uwagę na notatkę, która dołączona była do kartek. Charakter pisma był zupełnie inny. Papier wyglądał na nowy, a piszący posługiwał się długopisem. Pewnie był to sam Andy Taylor. I tylko jedno słowo: „sól”.

Wróciła do domu. Zdała sobie sprawę z tego, że jest nieco pijana. Nic nie rozumiała. Musi bardziej o siebie zadbać. Może powinna coś przekazać? Szperała właśnie po szafkach, gdy pojawił się Sammy. Usiadł na kanapie. Przez chwilę zastanawiała się, czy go nie wyprosić, ale się rozmyśliła. Po utarczce z Simeonem miała ochotę na towarzystwo.

- Przyniosłem whisky - powiedział. Przewodniczka wyjęła dwie szklanki, wypila pierwszego drinka i czekała, aż poczuje alkohol w żołądku. Nic nie ogrzewało jej tak dobrze, jak whisky.

- Wypijmy za *qalunaatów* — powiedział Sammy. — Ci ludzie naprawdę płacą.

- A dobrze się zachowywali?

Mężczyzna machnął ręką.

- Takie tam szczeniaki. Chcieli zobaczyć Uimmati-satsaq.

- I polować na edredony, tak?

- Tak mówili, ale jak dotarliśmy na Craig, to w ogóle o tym zapomnieli. Tylko grzebali między kamieniami. Pewnie szukali jakichś drogocennych kruszców. - Sammy uzupełnił szklankę. - Nieważne zresztą. - Poklepał miejsce obok siebie. - Zapłacili i się zwinęli. - Objął Edie w talii i przyciągnął ją do siebie. Zapach jego oddechu był równie dobry jak miłość. — Chodź tu, kobieto. Będziemy świętować.

Dopiero dużo później, już w łóżku, Edie poczuła swąd spalonego jedzenia. Zataczając się, pobiegła do kuchni i zdjęła rondel z ognia. Były mąż włożył na siebie ubranie termiczne, podszedł do niej i mocno ścisnął ją od tyłu w pasie.

- Ale mam apetyt. Jest coś do jedzenia? - zapytał.

Usiedli na kanapie, zjedli jakieś resztki z lodówki i znów zajęli się sobą. Gdy byli już wyczerpani, Edie zaparzyła herbatę i wsunęła *Gorączkę złota* do odtwarzacza DVD. Przykryli się kocem z karibu i w ciszy patrzyli, jak Big Jim McKay i Black Larsen biją się o znalezione przez Jima złoto, a potem Larsen ginie, zostawiając pozbawionego pamięci Big Jima samemu sobie, by błąkał się po mroźnej Północy, próbując sobie przypomnieć, gdzie ukrył skarb.

- No cóż, taka historia ku przestrodze - westchnęła kobieta.

Spojrzała na Sammy’ego. Jej były mąż spał twardo. Sięgnęła po butelkę whisky i z przyzwyczajenia pomachała nią, chociaż wiedziała, że jest pusta.

Wyszła spod koca i odstawiła butelkę na stół. Spod sterty papierów wypadł biały długopis. Edie od razu go poznała - taki sam wyjęła z kieszeni Wagnera kilka miesięcy temu. Wzięła go do ręki i odczytała widniejący na nim napis. Zemmer. Czcionka była gustowna, ciemnozielona.

Serce podeszło jej do gardła. Ta cała pizza na telefon. Nagle poczuła się boleśnie trzeźwa.

Czymkolwiek zajmowała się firma Zemmer, obaj zmarli *qalunaaci* musieli być z nią jakoś związani.

Obudziła Sammy'ego i dała mu herbaty.

- Musisz już iść.

Gdy zobaczył jej wyraz twarzy, nie protestował. Odprowadziła go na ganek, ale cofnęła się do środka, wzięła butelkę Canadian Mist i poprosiła, żeby ją zabrać.

- Pusta jest - mruknął, ale i tak ją wziął.

Patrzyła, jak się oddala, powłócząc nogami. Poczula żal, ale jednocześnie zrobiło jej się jakoś lepiej.

Niebo było spowite wysokimi chmurami. Promienie słoneczne tylko od czasu do czasu przebijały się przez ich pułap. Edie zawiązała kamiki, włożyła czapkę, kurtkę i poszła nakarmić psy. W drodze powrotnej pomyślała, że sir James Fairfax na pewno nie wymienił się z Welatokiem na psy, bo jak większość białych podróżników nie chciał z nich korzystać.

Postanowiła jeszcze raz przyjrzeć się kartkom. Wyszła z nimi na opuszczonej ulicę. Tym razem znalazła to, czego szukała - na drugiej stronie, tam, gdzie papier był lekko naddarty. Litery były wąskie, pisane ciasno jedna przy drugiej, jakby Fairfax starał się oszczędzać miejsce. U dołu strony widniało zapisane - fonetycznie, ale poprawnie - słowo *uyaraut*. drogocenny kamień. Zaraz obok zauważyła nazwę „Craig”. Dziwne, że nie dostrzegła jej wcześniej.

W tej samej chwili poczuła, jak jej twarz kłują kryształki lodu, które po chwili spływały w dół kojącym, wodnistym chłodem. Jeden z nich opadł na pierwszą kartkę i lekko się stopił, zmywając kleksa obok „v” w słowie *vililuq*. Jak się okazało, Fairfax miał na myśli *Wilituq*. Edie oparła się o ścianę.

Sir James Fairfax oddał Welatokowi swój scyzoryk za coś, co Inuk nazwał drogocennym kamieniem. Od razu przypomniała sobie spotkanie z Saomikiem Koperkujem na Craig. Twierdził wtedy, że z brzucha wilka wyjął złoty łańcuch z dziwnie ciężkim kamieniem.

Następnego wieczora, po zajęciach, kupiła pół skrzynki piwa, spakowała torbę i pojechała skuterem na wschód. Zostawiła pojazd w niewielkiej zatoczce, w której czasem zbierały się traczyki, po czym ruszyła w górę klifu, krótką ścieżką przez płaskowyż, prosto do chaty Saomika Koperkują.

Otworzyła drzwi i zajrzała do środka. Nikogo nie było. Weszła do chaty, zobaczyła leżący na stole nóż myśliwski i wzięła go do ręki. Podeszła do kotary, za którą sypiał Koperkuj, odchyliła ją nieco i zajrzała do środka. Nagle zza jej pleców dobiegło skrzypnięcie. Edie odwróciła się zaskoczona i wyciągnęła nóż. Starszy mężczyzna stał w drzwiach i celował w nią z remingtona Andy'ego Taylora.

- Spadaj - powiedział.

W pierwszej chwili jej nie poznał. Zaraz jednak opuścił strzelbę. Wciąż miał ten sam wyraz twarzy.

- Chyba nie masz ochoty na wizyty, co? - Edie wrzuciła nóż do torby, sięgnęła do środka i wyjęła piwo. Na szyi Koperkują wciąż wisiał łańcuch. - Może to trochę pomoże.

Twarz starca złagodniała na chwilę; wkrótce jednak znów zrobił srogą minę.

- Czego chcesz?

Pociągnęła za zawleczkę i podała mu puszkę.

- Latem będę polować z kilkoma *qalunaatami* - skłamała. Spojrzał na nią i zmrużył oczy. - Chciałam cię poprosić o parę wskazówek.

Pokiwał głową, najwyraźniej zadowolony z jej wyjaśnień, i upił łyk piwa. Przewodniczka podała mu kolejną puszkę.

- Słuchaj - powiedział stary Koperkuj niechętnie. - Nic do ciebie nie mam, ale nie lubię ludzi.

Przez dłuższy czas siedzieli w ciszy. Starszy mężczyzna powoli pił piwo.

- Może uda mi się znaleźć taki naszyjnik jak twój — rzuciła Edie.

Koperkuj wyjął kamień spod koszuli i spojrzał na niego.

- Ten naszyjnik przynosi szczęście. - Wziął do ręki kolejną puszkę i otworzył ją nożem z rękojeścią z kłów morsa. Alkohol rozwiązał mu język. — Tak naprawdę nie znalazłem go w żołądku wilka.

- Jak to? - Kobieta starała się zachować spokój.

Koperkuj zachichotał. Dobrze się bawił.

- Naprawdę sądziłaś, że jakkolwiek wilk zjadłby kamień? Kobiety, też mi coś. Znalazłem go na Craig, na plaży, nieopodal Tikiutijawilik.

- Serio?

- Mówię ci - powiedział. - Po prostu leżał na plaży.

- Niesamowite, jakie rzeczy potrafi wyrzucić tam morze - powiedziała Edie. - Też by mi się przydało trochę szczęścia - dodała, jakby dopiero przyszło jej to do głowy. - Może pożyczę od ciebie ten naszyjnik.

Koperkuj spojrzał na nią. Kobieta wyjęła własnoręcznie wykonany woreczek ze skóry fokki i podała go starszemu mężczyźnie.

- W zamian dam ci to.

Koperkuj spojrzał na saszetkę.

- Otwórz.

Jego stare, artretyczne palce długo mocowały się z węzłem. W końcu zajrzał do środka, odwrócił woreczek do góry dnem i spojrzał na diamentowy kolczyk Andy'ego Taylora. Edie przypatrywała mu się uważnie - rozpozna, nie rozpozna? - ale mężczyzna nie zmienił wyrazu twarzy.

- Co to jest?

- A jak myślisz?

- *Uyaraut*— powiedział.

- To coś więcej, niż *uyaraut* - wyjaśniła. — To *qaksungaut*, diament.

Mężczyzna uważniej przyjrzał się kamieniowi. W jego oczach pojawił się błysk.

- Skąd wiesz, że jest prawdziwy?

- Zapytaj Mike'a Nungaqa.

Mike był miejscowym poszukiwaczem kamieni szlachetnych. W innym świecie, w innym życiu mógłby być geologiem, ale w Autisaq nie było zapotrzebowania na inuickich geologów. Jednak gdy tylko ktoś znalazł coś, co wyglądało na kosztowny przedmiot, od razu biegł z tym do Mike'a.

- Jeżeli się okaże, że to fałszywka, to możesz mi połamać nogi.

Starzec dotknął kamienia. Wahał się.

- Możesz zatrzymać złoty łańcuch - dodała.

- Dlaczego aż tak zależy ci na tym kamieniu? - Starszy mężczyzna chrząknął i przebiegł palcami po łańcuchu.

Edie wzruszyła ramionami.

- Tak po prostu wpadł mi w oko. Wiesz, my kobiety zawsze czegoś chcemy.

Koperkuj pokiwał głową w obliczu tej głębokiej prawdy.

- Okej. Niech ci będzie - powiedział w końcu. — Ale złoto i *qaksungaut* są moje.

Zdjął kamień z łańcucha i podał jej go. Był nieduży, rozmiarami i kształtem przypominał serce lisa. Sinawą powierzchnię przecinały połyskujące iskry. Był zaskakująco ciężki. Nigdy wcześniej niczego takiego nie widziała, ale teraz, gdy kamień znajdował się w jej posiadaniu,

czuła dziwną moc i lekki strach, jakby w końcu, po miesiącach spędzonych na kręceniu się w kółko, znalazła nowy, świeży trop. Spoczywający w jej dłoni przedmiot nie był dla niej zwykłym kamieniem; był kluczem.

Znalazła Mike'a Nungaqa w głębi sklepu. Akurat metkował ciastka z wiśnią. Przywitał się z nią i zapytał co u niej. Wkrótce jednak spochmurniał — po minie Edie widać było, że nie przyszła do niego tylko po zakupy.

- Etok poszła na lotnisko po zapasy - westchnął. -Jeżeli cię to interesuje.

Przewodniczka zmarszczyła nos. Wiedziała, że nadużywa jego przyjaźni.

- Możemy porozmawiać?

- Liczyłem na to, że tego nie powiesz — powiedział Mike. - Okej, chodź.

Minęli półkę z promocjami. Nungaq otworzył ladę i wpuścił przewodniczkę na zaplecze.

Usiedli przy odrapanym stoliku z formiki.

— Chodzi ci o te plakaty? — Plotki szybko się roznosiły. - Czy o to, że Elias startuje przeciwko Simeoniu?

Edie zamrugwała. Brat Mike'a był notorycznym próżniakiem; nawet Pauloosie Allakarialak był przy nim bardziej sensownym kandydatem. Sprzedawca zarumienił się nieco.

— Simeonie sam go namówił, wiesz.

Kobieta prychnęła mimowolnie.

— Przeciwnik bez szans. To sprytne z jego strony. -Nagle zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała. - Przepraszam.

Mike spuścił wzrok i wzruszył ramionami.

— To mój brat.

Wstał i nalał herbaty do dwóch kubków. Nasypał sobie sześć dużych łyżeczek cukru i wrócił do stolika z niepewnym uśmiechem. Edie czuła, że stąpa po niepewnym gruncie. Sprawa Eliasza musiała nim nieźle wstrząsnąć, a ona zachowała się niedelikatnie.

— Znalazłam kamień - powiedziała, wyjmując z kieszeni zawiniątko. - Chciałam cię poprosić, żebyś rzucił na niego okiem.

Mike wyjął kamień z opakowania, zważył go w dłoni i przyjrzał mu się z bliska. Edie wiedziała, że zauważył dziurę po złotym łańcuchu, ale sprzedawca przygryzł tylko wargę.

— Ciężki - mruknął.

Wstał i podszedł do znajdującej się po drugiej stronie pomieszczenia komody. Z szuflady wyjął szkło powiększające. Przyłożył je do oka i zaczął przyglądać się kamieniowi, obracając go na wszystkie strony. Edie piła herbatę i rozglądała się po pomieszczeniu. Od razu widać było, gdzie pracuje Etok - po drugiej stronie zaplecza znajdowała się niewielka bańka porządku ze schludnym stolikiem i półką pełną eleganckich pudełek. Na biurku stał komputer i stojak na dokumenty. Każda teczka była wyraźnie opisana. Na wysokości oczu żona Mike'a przypięła plakat z zachodem słońca w tropikach i sentencją „Gdy jedne drzwi się zamykają, otwiera się dwoje innych”. Przy drzwiach, na haku, wisiała przepiękna parka z foczej skóry i obramowaniem z lisa.

Mike odłożył kamień na stół.

- Chcesz poznać opinię eksperta czy moją własną?

- Na razie wystarczy mi twoja.

- Zwróciłaś uwagę na ciężar kamienia? I jego ciemnobrązowe ubarwienie? - Mike pokazał niewielką, czarną plamę na powierzchni klejnotu. - Popatrz, to fragment skorupy obtopieniowej. Pozostałość po zderzeniu z ziemską atmosferą. - Mężczyzna wyglądał na zadowolonego z siebie. - To meteoryt, jedyne arktyczne źródło metalu przed pojawieniem się Europejczyków. -Dotknął dziury po łańcuchu. - Widzisz tę jasną, kredową macierz? Z inuickiego punktu widzenia

najlepsze meteoryty to te z żelaznego niklu, ale to rzadko się zdarza. Większość jest taka jak ten tutaj - kamienie poprze-tykane metalem.

Sklepikarz podszedł do lodówki i zdjął z niej magnes przedstawiający plażę z palmami i kobietą w bikini całującą jakiegoś skąpo odzianego mężczyznę. Zawahał się na chwilę.

- Jedna z koleżanek Etok z Iqaluit przywiozła jej to z pielgrzymki do Ziemi Świętej.

Sprzedawca przyłożył magnes do kamienia i podniósł go. Meteoryt przez chwilę trzymał się obrazka, po czym upadł z powrotem na stół z głuchym stukotem.

- Skąła magnetyczna, widzisz? Żelazo z niklem. Ponieważ w Arktyce niklu jest tak mało, to jeżeli choć trochę znasz się na lokalnej geologii, możesz niemal z całkowitą pewnością określić, gdzie spadł dany meteoryt.

- Jak GPS.

- Lepiej niż GPS. Nie musisz się martwić, że zamarznie ci ekran.

Usłyszeli głos Etok. Wróciła właśnie z lotniska i tłumaczyła komuś, gdzie postawić pudła.

- Mogę wysłać to do mojego kolegi. Ma świra na punkcie kamieni kosmicznych. Mógłby ci go wycenić,

i to pewnie za darmo.

- Wycenić?

- Pewnie, może nie jest to diament, ale takie kamienie są zazwyczaj wartę kilka stówek.

Edie kiwnęła głową w kierunku, z którego dobiegał głos Etok.

- Jeżeli nie jest to dla ciebie problemem.

Mike ostrożnie zawinął kamień w materiał, schował go do kieszeni i mrugnął.

- Czego oczy nie widzą.

- Szkoda, że Etok mnie tak nie znosi. Moglibyśmy być przyjaciółmi.

- Temu właśnie próbuje zapobiec — westchnął Mike.

Przewodniczka zatrzymała się przy drzwiach i spojrzała na parkę z foczej skóry. Chciała jakoś rozluźnić atmosferę.

- To prawie dzieło sztuki.

- To prawda - powiedział Mike, wychodząc za nią do sklepu. - Robota Minnie Inukpuk. — Ściszył głos. - Miała wtedy lepszy okres. Niestety, w końcu jej nie zapłacili. Zamówienie złożył ten myśliwy, Wagner. — Wzruszył ramionami. - Liczymy na to, że może kurtka wpadnie w oko latem któremuś z naukowców, ale Minnie wykonała ją zgodnie z wytycznymi tego *qalunaata*. Taka szkoda

- westchnął. Oczywiście żal mu było parki, nie człowieka.

Edie podeszła do kurtki i przebiegła palcami po miękkim materiale. Nagle zauważyła przypiętą do niej metkę. Pismo należało do tego samego człowieka, który przypiął notatkę do kartek z dziennika Fairfaksa. Czyli to Wagner, a nie Taylor napisał słowo „sól”. Tylko dlaczego w takim razie to Andy znalazł się w posiadaniu stron dziennika?

- Wagner podał dokładne miary, nalegał, żeby nie odbiegać od jego projektu. Upierdliwy facet.

- Mogłabym to wziąć?

- Kurtkę? - Mike wyglądał na zdziwionego. — No, nie wiem, Edie, parka jest dość cenna.

Kobieta odpięła metkę, pokazała mu ją i wsunęła do kieszeni. Przypomniała sobie dłonie Taylora przeszukujące parkę Wagera tuż po tym, jak myśliwy został postrzelony. Mógł zabrać swojemu szefowi kartki, gdy ten umierał. Robiło się coraz ciekawiej. Na kartkach z dziennika i w kamieniu było coś, co sprawiło, że Wagner został zamordowany. I może też Andy Taylor. Kamień i papier. Przewodniczka przypomniała sobie pewną dziecięcą grę. Brakowało jej tylko nożyc.

Nagle pojawiła się Etok. Mike uśmiechnął się do żony uspokajająco.

- Edie, co ty knujesz? - zapytał szeptem.

- Jak zawsze szukam dziury w całym. - Uśmiechnęła się uprzejmie do żony sklepikarza, która minęła ją bez słowa.

Mike westchnął.

- Ten cały Wagner. Kupował od ciebie jakąś sól?

- Dlaczego miałby kupować sól? - Sprzedawca spojrział w dal w zamyśleniu. - Nie, chyba nie. To byłoby dziwne. Dlaczego pytasz?

Edie przycisnęła palec do nosa. „Nie pytaj”.

- Mike, jestem ci dłużna. Eliasza ma mój głos.

Gdy wróciła do domu, na stopniach czekał na nią John Tisdale. Edie nagle poczuła, że ścisną jej się żołądek.

- Mogę na chwilę wejść?

- Pewnie - powiedziała, zapraszając go do salonu. Rozwiązanie butów i zdjęcie parki zajęło jej trochę czasu. Czego mógł od niej chcieć Tisdale? Nigdy jeszcze jej nie odwiedzał.

- Masz ochotę na herbatę? - zapytała z niepewnym uśmiechem.

Pokiwał głową. Wydawał się zdenerwowany.

Gdy wróciła do pokoju z herbatą, dyrektor szkoły patrzył przed siebie i gryzł opuszki palców. Podziękował jej nieco zbyt wylewnie.

- Edie, mam złe wieści.

- To dlatego wyglądasz, jakby stratowało cię stado rozszalałych karibu.

Dyrektor szkoły podniósł ręce do góry.

- Ja uważam, że jesteś świetna.

-Ale?

- Ale mamy cięcia budżetowe i... - Mężczyzna wycofał się, ale Edie wiedziała, jaka jest dalsza część zdania. Tisdale przyszedł tu, żeby ją zwolnić. Współczuła mu. Nagle obudził się w kieszeni Simeoniego. Bardzo nieprzyjemne miejsce.

- Wiesz - westchnął - to picie ci nie pomaga.

Nie było sensu tłumaczyć mu, że postanowiła z tym skończyć.

- Zawsze wspierałem twoje szalone pomysły, no, przynajmniej przymykałem na nie oko, ale żeby zabrać dzieci, by protestowały pod biurem burmistrza? - Tisdale zachichotał. - Czy ty oszalałaś?

Edie pochyliła się nad nim i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Skoro już o tym mówisz...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Derek Palliser obudził się i spojrzął na budzik. Było tuż po szóstej rano, a on leżał w plamie własnego, szybko stygnącego potu. Zazwyczaj o tej porze pił już pierwszą herbatę i przygotowywał się do porannego patrolu, ale ostatnio spał dłużej, bo w nocy przeszkadzało mu włączone ogrzewanie. Misha skarżyła się na chłód, a tymczasem on w gorących pomieszczeniach po prostu źle spał. Wysunął się z pościeli ostrożnie, by jej nie obudzić, i pomyślał, że muszą się inaczej zorganizować. Dłużej tak nie pociągnie.

Dzisiejszy dzień zapowiadał się na wymagający koncentracji i kiedy jak kiedy, ale dziś naprawdę musiał być w formie. Miał go odwiedzić Jim DeSouza ze stacji naukowej na Devon. Według profesora była to wizyta towarzyska, ale Derek w to nie wierzył. DeSouza czegoś od niego chciał. Mimo to policjant lubił go i chętnie z nim współpracował. Szanowali się wzajemnie. Jim był dyrektorem stacji od trzech czy czterech lat i zawsze konsultował się z Derekiem w sprawach, które zahaczały o terytorium działań policji. Zawsze też wspierał go w badaniach nad lemingami - choć sam się na tym nie znał - i obiecywał mu pomoc w kontaktach z mediami, jeżeli kiedyś zajdzie taka potrzeba.

Policjant przyjął sobie jednak za punkt honoru, że zarówno posterunek, jak i osada muszą się nienagannie prezentować. Szczególnie martwił się psami. I tak było już lepiej, ale kilka rodzin wciąż odmawiało współpracy i puszczało zwierzęta samopas. Któryś z policjantów musiał więc im dzisiaj przemówić do rozsądku.

Spojrzał jeszcze raz na Miszę. Ledwo powstrzymał się, by nie wrócić pod kołdrę. Był w niej jakiś magnetyzm. Policjant pogłaskał jej długie włosy w kolorze miodu.

- Nie denerwuj mnie, Derek. - Odepchnęła jego dłoń, a on poczuł się podniecony i odrzucony zarazem.

Umył się, ogolił i ubrał, po czym wyszedł do biura. Nastawił kawę (Misha nie przepadała za herbatą)

i wyszedł na krótki obchód Kuujuaq, by sprawdzić, czy w osadzie nie wałęsają się psy.

Gdy wrócił do biura, Stevie siedział ze wzrokiem wlepionym w komputer. Wyglądał na zdenerwowanego.

- Poszedłeś szukać psów?

Derek kiwnął głową.

- I co?

Nic.

- Swoją drogą, Derek, dzieci uwielbiają Ciasteczko. Wpadnij do nas na zeberka w tygodniu, to zobaczysz swojego starego druha.

Palliser uśmiechnął się blade do Steviego. Misha skarżyła się na szczekanie, więc Derek poprosił swego podwładnego, by zaopiekował się jego psem. I wciąż powtarzał sobie, że to głupie, ale mimo to tęsknił za Ciasteczkiem. Nie zamierzał jednak go odwiedzać. Nie chciał, by jego dawny najlepszy przyjaciel, po histerycznym przywitaniu, znów musiał się z nim rozstawać. Mimo to cieszył się, że Stevie mu to zaproponował. Dobry był z niego człowiek.

Derek wykonał rutynowe telefony, tym razem w kolejności alfabetycznej według ostatniej litery. Nie wydarzyło się jednak nic, co wymagałoby jego uwagi. Wyglądało na to, że sprawy sprzed kilku tygodni odeszły w zapomnienie. Laboratorium zwróciło wyniki, raporty zostały wysłane, dokumenty wypełnione. Oficjalne środki były więc na wyczerpaniu. Wagner zginął w

wypadku podczas polowania, Taylor zgubił się w śnieżycy, a Joe Inukpuk odebrał sobie życie pod wpływem hipotermii i emocji związanych z niepowodzeniem wyprawy, którą dowodził.

W drzwiach pojawiła się Misha ubrana w patchworkową koszulę i obcisłe dżinsy. Przepłynęła obok nich i znikła w kuchni, by pojawić się po chwili z kubkiem kawy w dłoniach. Obdarzyła uśmiechem Steviego. Posterunkowy wykrzywił usta i wlepił wzrok w ekran. Łączyła ich wzajemna wrogość. Jak dotąd Derek nie zgłębił jej przyczyn i wcale nie zamierzał tego robić. Nie miał na to siły.

Nagle do środka wpadł Jono Toolik. Oficjalnie komisariat był jeszcze zamknięty, ale mężczyzna nic sobie z tego nie robił. Jego twarz była pełna złości, a prawa ręka wymachiwała plastikową torbą. Wyrzucił jej zawartość na biurko Pallisera. Prezerwatywy rozsypały się po blacie. Na kartonowych opakowaniach widniało logo z łbem pizmowołu. Policjant wziął do ręki jedną z paczek i udawał, że uważnie jej się przygląda.

- Ojej, Jono, nie wiedziałem, że przejmujesz się takimi sprawami.

Po ich ostatniej konfrontacji Derek stwierdził, że nie ma powodu być uprzejmym. Podejrzał, że to Toolik pozwolił swoim psom zabić jego lemingi. Nie miał, oczywiście, na to żadnych dowodów, ale nie zamierzał w najbliższym czasie umieszczać Jona na liście osób, do których należy wysłać świąteczną kartkę.

Toolik zaczerwienił się i nadał.

- *Aitiathlimaqtisi arit*, Palliser. Ty też się wal. Prędej włożę swojego fiuta w dupę jesiotra. Sęk w tym, że to gówno do niczego się nie nadaje.

Derek wzruszył ramionami.

- Może pizmowół to nie twój rozmiar. - Zawiesił głos, by jego słowa mogły lepiej zabrzmieć. - Próbowaleś pardwy?

Toolik zacisnął dłonie w dwie groźne petardy i już miał rzucić się na policjanta, gdy nagle Misha stanęła między nimi. Jono natychmiast się zreflektował. Dziewczyna podeszła do biurka i wzięła do ręki kondom.

- O, jak miło, ktoś zrobił nam prezent - powiedziała, przeglądając stertę prezerwatyw. — Ale to nam nawet na tydzień nie wystarczy.

Toolik się zakołysał. Nie wiedział, jak zareagować. Czy to miał być jakiś żart?

— Potrzebuję nieco cywilizacji - ciągnęła Misha. -Będę w mojej pracowni. —

Wdzięcznym krokiem podeszła do tylnych drzwi, odwróciła się na chwilę, by pomachać mu z gracją na pożegnanie, po czym wyszła na podwórze. Jej pracownia znajdowała się w komórce, w której Derek trzymał wcześniej lemingi.

Gdy tylko znikła, napięcie w pomieszczeniu opadło, jakby burza właśnie miała się ku końcowi.

- Wiesz co? - Jono Toolik zdążył się już cofnąć do drzwi i podnieść ręce w geście kapitulacji. - Po prostu, zapomnijmy o tym.

Wkrótce po jego wyjściu Derek usłyszał, jak nad jednostką przelatuje samolot. Włożył kurtkę, wsunął policyjną czapkę na głowę i wsiadł na quada, by szybciej dotrzeć na pas startowy.

DeSouza uśmiechnął się szeroko i wylewnie się z nim przywitał.

— Całkiem ładna ta wasza osada.

Derek pokiwał głową. Profesor chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, że zabrzmiał jak niezły bufon.

- Zawsze staramy się dogodzić naszym gościom.

Profesor roześmiał się serdecznie.

Zona Steviego specjalnie na tę okazję przygotowała steki z karibu. Mężczyźni usiedli przy stole w niewielkiej jadalni na posterunku. DeSouza przedstawił im pokrótce plany stacji na

nadchodzące lato. W trakcie rozmowy stawał się coraz bardziej pochmurny. Jego opowieść sprowadzała się głównie do cięć budżetowych i zamkniętych programów. NASA postanowiła nie wysyłać ludzi na Marsa, a to oznaczało, że niełatwo będzie im otrzymać dotację na kolejny rok działalności.

- Włożyliśmy w to długie lata ciężkiej pracy; jesteśmy już o krok od ważnego przełomu - mruknął.

Stevie spojrział na Dereka. „Ta wizyta wcale nie jest tak miła, jak się spodziewaliśmy”.

Skończyli jeść, a Palliser zapalił papierosa.

- Domyślam się, że nie udało wam się znaleźć tego myśliwego - powiedział DeSouza. Było to na w pół pytanie, na w pół stwierdzenie.

Derek pokręcił głową.

- Oficjalnie został uznany za zaginionego, prawdopodobnie nie żyje.

- Jakież powiązania z tym drugim — jak mu tam -Wagnerem?

- Andy Taylor pracował dla niego jakiś czas, ale moim zdaniem te śmierci nie są ze sobą powiązane. Co najwyżej mogę powiedzieć, że żółtodzioby nie mają w Arktyce lekko.

DeSouza spojrział na paczkę papierosów.

- Mogę się poczęstować?

Derek popchnął papierosy przez stół i wyjął zapalniczkę. Miał niejasne przeczucie, że profesor właśnie zamierza im wyjawić prawdziwy powód swojej wizyty.

- Przyjechałem do was, żeby... - Naukowiec zaciągnął się papierosem.

Palliser starał się zachować neutralny ton.

— A ja myślałem, że chodzi tylko o stymulację intelektualną.

Profesor uśmiechnął się, ale od razu przeszedł do rzeczy.

— Nic takiego się nie dzieje, nie ma się co martwić, ale musimy coś ustalić. Między sobą.

Derek i Stevie wymienili spojrzenia. Sierżant po raz ostatni zaciągnął się papierosem i go zgasił. Przybrał poważną, skupioną minę.

— Chodzi o szklarnię.

Wybudowano ją kilka lat wcześniej, zanim nastały czasy DeSouzy, żeby zbadać, czy powyżej siedemdziesiątego równoleżnika można uprawiać zboże przy wykorzystaniu wyłącznie energii słonecznej i prostego systemu wymiany wody. Eksperyment poniósł spektakularną porażkę i wkrótce zaniechano kontynuowania projektu, choć oficjalnie wciąż figurował on w programie stacji.

— Domyślam się, że najlepiej byłoby ją rozebrać. Myślałem już o tym, ale z logistycznego punktu widzenia jest to niezwykle skomplikowane.

Szklarnia stała na trudno dostępnym urwisku na Półwyspie Colina Archera. Przywodziła na myśl jakiś dziwaczny przeszczep z innego świata; do tego była ona oddalona od stacji o ładnych kilka kilometrów. Ktokolwiek sądził, że urwisko będzie doskonałym miejscem na uprawę zboża, na pewno dziś nie przyznałby się już do tego pomysłu.

— Faktycznie nie wygląda to pięknie, ale budynek nie zagraża środowisku, więc mnie jest wszystko jedno -powiedział Derek.

- Kiedy ostatni raz tam byłeś?

- Na półwyspie? - Palliser próbował sobie przypomnieć. Pewnie kilka lat temu. - Jakiś czas temu — przyznał.

- To wiele wyjaśnia - westchnął DeSouza.

Derek nie do końca rozumiał.

- Co masz na myśli?

- Chodzi o to, że ktoś założył tam hodowlę trawki.

- Masz na myśli marihuanę? - zdziwił się Stevie. Palliser miał nadzieję, że nie wygląda równie głupio,

jak się czuje. Nie miał pojęcia o hodowli. Marihuana nie stanowiła dużego problemu na Wyspie Ellesmere'a

- nie była przyczyną zakłócania porządku publicznego

- ale z drugiej strony to przez nią młodych ludzi ogarniała apatia. Zamiast podróżować i polować, woleli siedzieć w domach. Dlatego Derek uważał, że należy odradzać jej stosowania.

DeSouza pokiwał głową.

- To kultura wodna.

Policjant przez chwilę obawiał się, że profesor podważa jego kompetencje, ale przypomniał sobie, że z oficjalnego punktu widzenia szklarnia należała do stacji. Nielegalna hodowla obciążała DeSouzę tak samo, jak Pallisera.

- Wiesz może, kto za to odpowiada?

Profesor wzruszył ramionami.

- Na pewno dwóch naszych. Przeszukaliśmy stację. Zdążyliśmy już odesłać ich do domu i rozwiązać z nimi umowę. Ale bez pomocy miejscowych nie udało by im się zająć tak daleko. - Zacisnął usta. Sprawiał wrażenie rozżalonego. — Usunęliśmy rośliny i sprzęt. Dość prymitywnej zresztą, ale to pewnie żadna niespodzianka.

- Znaleźliście jakieś wskazówki? - zapytał Derek.

DeSouza sięgnął do torby i wyjął z niej dużą, sfatygowaną, metalową butelkę.

- Znalazłem to między roślinami. Ktoś naprawiał szelki za pomocą sznurków z foczej skóry. Trochę się wsypał, nie sądzisz? - Podał naczynie policjantowi.

Derek obrócił butelkę w dłoniach i poczuł, jak ktoś wbija mu nóż w serce. Nie było nawet cienia wątpliwości. Był to termos z logo Nashville Predators, który podarował kilka lat temu Joemu Inukpukowi. Nie zamierzał jednak mówić o tym DeSouzie. Lubił go, ale profesor był jednak biały.

- Zobaczmy, co da się zrobić - oznajmił. - Dwóch ludzi to twoi pracownicy. Powiadomiłeś policję na Południu?

Naukowiec pokręcił głową.

- Nie ma takiej potrzeby. Po naszej stronie sprawa jest zamknięta. Chcę tylko, żebyś wiedział jedno - nie życzę sobie narkotyków na terenie stacji. Psują motywację, niweczą wysiłki. Nie mogą na to pozwolić.

Palliser nie był pewien, czy ma to odebrać jako rozkaz. Nie podobało mu się zachowanie DeSouzy. Nie powinien był pouczać policjanta, jak ma wykonywać swój zawód. Nie po tym, co działo się ostatnio; i tych jego podszytych agresją wywodach o tym, że chciałby, by wszyscy dali mu spokój i przestali się wtrącać w jego pracę. Zachowanie DeSouzy tłumaczył jednak stres. Profesor miał sporo na głowie.

- Aha - mruknął niezobowiązująco. - Rozumiem.

Poczekał, aż naukowiec wyjdzie, po czym sam poszedł na spacer, żeby chwilę pomyśleć. Czuł się rozdrażniony i poirytowany. Ściganie drobnych dealerów było poniżej jego kompetencji. A poza tym żaden *qalunaat* nie będzie go pouczać, jak powinna wyglądać praca rdzennego policjanta. Nie mógł po prostu aresztować kogo popadnie i odsyłać wszystkich na południe. To tak nie działało. Derek miał zresztą dość solidne dowody na to, kto był odpowiedzialny za szklarnię. I ta osoba na pewno nie będzie już sprawiać problemów.

Teraz, kiedy Joe Inukpuk nie żył, Derek dowiadywał się o nim wielu rzeczy, które wcześniej nie przyszłyby mu nawet do głowy. Ale tak to już w życiu bywa; nie każdy jest tym, za kogo go uważamy.

Postanowił sprawdzić stan moren na skraju niewielkiego lodowca, który wdzierał się w morze na wschód od Kuujuaq. Śniegi stopniały lub rozwiął je wiatr, a skuwający powierzchnię wody lód dawno rozpadł się już na kry. Lodowiec skurczył się tak bardzo, że na jego zboczach leżały luźne, niebezpieczne składy. Większość Inuitów unikała zapuszczania się w takie rejony aż do sierpnia, gdy po lodzie zostawało już tylko wspomnienie. Czasami jednak ktoś musiał udać się w głąb lądu

- i wtedy często wybierano podróż przez lodowce aż do jednego z większych pól lodowych lub przesmyków między wyspami. Jednak ten lodowiec był wyjątkowo zdradliwy, choć na razie Derek nie mógł zrobić zbyt wiele poza rozwieszeniem ogłoszeń informujących, że tę okolicę należy omijać szerokim łukiem, dopóki morena się nie ustabilizuje.

Policjant postanowił wspiąć się na płaskowyż, by sprawdzić, co dzieje się z populacją lemingów. Misha pochłaniała tyle jego czasu i energii, że musiał na razie odłożyć na półkę plan napisania artykułu dla jednego z południowych czasopism. Jego ukochana nie lubiła zostawać sama w osadzie i nie chciała też wyjeżdżać w teren, więc był po prostu uziemiony.

Ostatnio zastanawiał się, czy dobrze zrobił, przyjmując ją z powrotem pod swój dach. Powoli zaczął dochodzić do wniosku, że przez ostatnie lata w jego głowie ukształtowała się wizja ich romansu, która nie do końca odpowiadała faktom. Z drugiej strony, Misha wciąż była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. Wystarczyło, by ją zobaczył, by znów czuć nieodparte pragnienie posiadania jej na wyłączność.

Gdy dotarł na szczyt, spojrzął na wierzbę. Kilka zbłąkanych pardw poderwało się do lotu i zatoczyło krąg nad zatoką. Gałęzie wydawały się niespokojne, ciągle drżały, a ziemia pod krzewami pokryta była odchodami lemingów i charakterystycznymi resztkami liści turzycy, którymi karmiły się gryzonie. Derek poczuł, jak znów odżywa w nim fascynacja migracją lemingów. Postanowił, że już więcej nie da się rozproszyć. Musi wyprzedzić innych badaczy.

W drodze powrotnej do Kuujuaq postanowił nie podejmować żadnych kroków w sprawie szklarni. Co prawda, na miejscu znaleziono termos Joego, ale Derek wątpił, by to właśnie on był pomysłodawcą hodowli. Jego brat, Willa, prawdopodobnie maczał w tym palce. Ale czy miało to teraz jakiegokolwiek znaczenie? Joe nie żył, szklarnia została opróżniona, a dystrybutorzy odesłani tam, skąd przyszli. Porozmawia z Willą, kiedy będzie w Autisaq, ale to wszystko. Za tydzień zadzwoni do DeSouzy i powie mu, że rozwiązał problem.

Otworzył drzwi posterunku i wszedł do środka. Stevie siedział ze wzrokiem wlepionym w komputer.

- O, cześć Derek. Ta cholerna maszyna się zepsuła. Mógłbyś rzucić okiem?

Palliser podszedł do biurka i od razu zauważył, w czym problem. Kiedy był tu Jono Toolik, ktoś - zapewne zresztą był to sam awanturnik — przypadkowo kopnął kabel zasilacza, tak że wtyczka wypadła z gniazdka.

- Idź zobaczyć, co z psami, Stevie, a ja się tym zajmę.

Posterunkowy wstał, a Derek zajął jego miejsce i udawał, że sprawdza stan komputera. Gdy Stevie w końcu wyszedł, włożył wtyczkę z powrotem do gniazdka. Maszyna rozbłysła i zaczęła się włączać. Palliser postanowił dokończyć raport z wiosennego patrolu.

- O, udało ci się zmusić tę piekielną maszynę do współpracy - powiedział Stevie po powrocie. - Nawet monitor działa.

- Wystarczyło tylko zrestartować - wyjaśnił Derek.

Stevie usiadł.

- Pewnie, najlepiej mocnym kopnięciem. — Nagle coś mu się przypomniało. - Słuchaj Derek, jak cię nie było, przyszła tu ta dziwna kobieta.

Palliser pomyślał o całej liście prawdopodobnych kandydatek. Znajdowały się na niej Jessie

Toolik (wbrew pozorom nie była ona krewną Jona), która od czasu do czasu skarżyła się mu, że śledzi ją CIA, płacząca z byle powodu Susan Kalqiq, i Ellie Tarnaq, kierowniczka miejscowego kółka plotkarskiego. No i oczywiście...

- Edie Kiglatuk?
- Tak, to właśnie ona.
- Czego chciała?

Stevie wzruszył ramionami.

- Mówiła, że zignorowaliśmy jej wiadomości. Była wściekła, ale powiedziała, że wybiera się na dwie noce na ryby nad Inuak i że masz do niej przyjechać albo... -Urwał nagle.

- Albo co?

Stevie spojrział znacząco na tylne drzwi. Misha wróciła z pracowni i miała ponury wyraz twarzy.

- Hej - powiedział.
- Gdzie ty się podziewasz? Potrzebowałam pomocy przy rzeźbie. Teraz już po wszystkim. - Przecięła powietrze dłonią.

Derek pamiętał ten gest z poprzedniego razu. Pamiętał też, że za nim nie przepadał. Mimowolnie westchnął i poczuł, jak ściska mu się żołądek. Stevie spojrział na niego ze współczuciem. Misha specjalizowała się w trójwymiarowych modelach chmur, które najpierw rzeźbiła w glinie, a następnie odlewała w brązie. Według niej jej praca stanowiła postmodernistyczną eksplorację nieznośnej lekkości bytu, cokolwiek by to miało znaczyć. Ostatnio zaczęła eksperymentować z modelowaniem chmur za pomocą futra lisa rozciągniętego na drutach, ale było to zadanie dla dwóch osób, więc musiała mieć pomocnika - w tym przypadku Dereka - który przytrzymałby szkielet.

- No cóż, chyba pójdę do domu - powiedział Stevie, wkładając wierzchnie okrycie. — Miłego wieczoru.

- Dzięki - powiedział Derek, siłąc się na uśmiech.

Wcale nie był to miły wieczór. Misha zamknęła się w mieszkaniu, więc Derek spędził noc na krześle w biurze. Obudził się wczesnym rankiem, zeszytywniały jak zamrożona focza tusza i w równie żywotnym nastroju. Zaczął masować łydki, by przywrócić w nich krążenie, i przypomniał sobie, że Edie czeka na niego nad Inuak, a poza tym dzwoniła do niego kilkakrotnie, gdy był na patrolu. Domyślał się, że dowiedziała się o ogrodniczej działalności Joego i chciała się upewnić, że Derek nie podejmie w tej sprawie żadnych kroków. W każdym razie dobrze mu zrobi, jeżeli wyrwie się z Kuujuaq na dzień czy dwa.

Załadował sprzęt kempingowy i apteczkę na policyjny skif, nalał gorącej herbaty do termosu Nashville Predators i wyruszył na zachód. Zostawił też Steviemu wiadomość, że nie będzie go przez parę dni. Chciał w końcu porozumieć się z Edie, spędzić trochę czasu sam ze sobą, z dała od Mishy, ale nie chodziło tylko o to. Po obu stronach rzeki rozciągały się łąki pełne turzyc. Skaliste wychodnie chroniły je przed wschodnimi wiatrami, a wśród poszycia gnieździły się duże stada lemingów. Jeżeli faktycznie wkrótce miało dojść do pędu, to z pewnością zaczniesz się on właśnie w okolicach Inuak.

Wyruszył w łagodnej mgłę. Po raz pierwszy od wiosennego patrolu czuł dawną determinację. Widoczność była ograniczona, ale Derek dobrze znał wybrzeże Ellesmere, więc nie musiał się niczego obawiać. Gdy dotarł do fiordu Jakeman, chłód bijący od lodowców rozwiął mgłę. Policjant przyspieszył.

Wkrótce dotarł nad Inuak. Na wschód od ujścia rzeki stał biały, płócienny namiot, a na szczycie klifu widać było drobną sylwetkę Edie Kiglatuk. Derek pomachał w jej kierunku. Kobieta przystanąła na chwilę, po czym dała mu znak ręką. Policjant poczuł, jak ogarnia go

radość. Nie spodziewał się, że jej widok tak go ucieszy.

Zatrzymał się w miejscu, w którym rzeka wpadała do morza. Słodkowodny lód stopniał już prawie całkowicie, a przy brzegu tłoczyły się fragmenty kry. Derek wskoczył do wody i zaczął ciągnąć skif na drugą stronę. Edie Kiglatuk schodziła z klifu, by go powitać. Poruszała się z gracją, jakby gładka, stroma skała była łagodna niczym alpejskie łąki. Mężczyzna pomyślał, że ładnie wygląda. Wiosenne powietrze rozświetlało jej twarz.

- A ja już chciałam postawić na tobie krzyżyk i znaleźć bardziej inteligentnego kompana do rozmowy - powiedziała.

Policjant uniósł dłoń w geście kapitulacji. Naprawdę nie miał jak usprawiedliwić swojego zachowania; roztargnienie nie było żadną wymówką. W końcu wciąż miał u niej dług.

- Przepraszam Edie, byłem bardzo zajęty - wyjąkał.

- No, ale teraz tu jesteś - powiedziała pogodnie. — Miałam iść łowić pstrągi. Kotłują się w gorze nurtu, tam gdzie rzeka rozchodzi się w niewielkie jezioro, ale skoro przyjechałeś, to może zapolujemy na fokii?

- Wystarczą ryby - odparł. Cieszył się, że Edie się nie spieszy. Musiał trochę odpocząć.

Kobieta zaprowadziła go do rozbitego przez nią obozowiska i poczęstowała herbatą. Jeszcze nigdy nie pił tak słodkiego i ciepłego napoju.

- Właśnie zdałem sobie sprawę, że nie mam ani trójzębu, ani jigów.

Edie znikła na chwilę w namiocie. Gdy wyszła, dała mu stary trójzęb i przynętę wykonaną z czegoś, co przypominało starą puszkę po kawie.

- A ty czym będziesz łowić?

- Oj, ja tylko zabiorę się z tobą i będę się ładnie prezentować - odparła.

Derek roześmiał się głośno. Ruszyli w górę klifu. Niełatwo było dotrzymać jej kroku.

Wkrótce dotarli na szczyt wzniesienia. Przed nimi rozciągała się płaska nizina, pokryta dywanem drobnych kwiatów i bawełny, przez którą gdzieniegdzie przedzierały się niskie, smagane wiatrem ozy. „Człowiek nie zdążył się jeszcze tutaj przedrzeć pod ziemię”, pomyślał Derek. Teren przypominał antytezę Południa, gdzie trzeba było kopać wciąż głębiej i głębiej, by znaleźć bogactwo, by odkryć ludzką historię przysypaną wiekami dziejów. Na Północy wszystko było prostsze. Pod ziemią był tylko lód.

Derek westchnął, a Edie odwróciła się i uśmiechnęła się do niego.

- Nieźle, prawda?

Dotarli nad jezioro i przedostali się na oświetlony promieniami słońca brzeg. W ciepłej wodzie było więcej planktonu i drobnych bezkręgowców, które stanowiły pokarm dla ryb. Derek przespacerował się wokół jeziora, by ocenić, czy uda im się cokolwiek złowić. Po jakimś czasie wrócił do siedzącej na macie Edie i powiedział jej, że zamierza zarzucić przynętę przy znajdującej się nieopodal dużej skale. Promienie słoneczne padały prosto na nią, więc woda w okolicy kamienia powinna być najcieplejsza. Różnica była minimalna, ale ryby na pewno ją wyczuwały.

Świat, w którym palenie marihuany i zero tolerancji miały jakiegokolwiek znaczenie, wydawał się tak odległy, że tracił realność. Derek na długie godziny zapomniał, że Edie czegoś od niego chciała. Był po prostu rybakiem.

Ryby w tej części rzeki były przyzwyczajone do ludzi, więc zachowywały się bardzo ostrożnie. Derek nie wiedział, ile czasu upłynęło, zanim dorodny samiec podpłynął pod przynętę. Policjant złapał za trójzęb i wbił go w bok ryby. Wyjął ją, dobił i ułożył ustami tuż przy wodzie, by jej dusza mogła wrócić do domu. Wracając do miejsca, w którym zostawił przewodniczkę, zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna, jest po prostu szczęśliwy.

- Zawsze miałem cię za jednego z tych ludzi, którzy nie mogą usiedzieć na miejscu -

powiedział.

- Wreszcie masz rację - odparła i poklepała leżącą obok niej torbę. - Zebrałam chrust na ognisko. W obozie mam *igunaq*. Czeka nas niezła uczta.

Spojrzeni na siebie.

- Słuchaj, Edie, wiem, o czym chciałaś porozmawiać
- westchnął Derek.

Nagle poczuł, że nie mogą już dłużej grać w tę grę. Nie mogą tak po prostu udawać, że wybrali się razem na biwak. Kobieta pokręciła głową.

- Nie, Derek, nie masz o tym najmniejszego pojęcia.

— Przyłożyła palec do ust. Czas na rozmowę jeszcze nie nadszedł.

Po powrocie do obozu rozpalili ogień. W oczekiwaniu na rybę skubali mięso morsa. Gdy pstrąg był gotowy, podzielili między siebie głowę - najsmaczniejszy kąsek - z zadowoleniem chrupiąc kości i wysysając oczy.

- Teraz mogę ci powiedzieć, o co mi chodziło - powiedziała Edie po posiłku.

Pokrótkie zrelacjonowała mu historię znalezienia kości Andy'ego Taylora. Opowiedziała mu o śladach noża i o dziurze po kuli, która sugerowała, że *qalunaat* został postrzelony z góry. Wspomniała też o Feliksie Wagnerze i o tym, że Taylor telefonował do pizzerii o nazwie Zemmer, z którą obaj biali myśliwi byli najwyraźniej powiązani.

Na Craig musiało coś być, coś tak cennego, że warto było nawet zabić. Edie nie wiedziała jeszcze, o co chodzi, ale rozwiązanie zagadki musiało być ukryte na trzech stronach wyrwanych z dziennika Jamesa Fairfaksa i niewielkim fragmencie meteorytu, na który sir James wymienił się z jej prapradziadkiem ponad sto lat temu. Była pewna, że Wagner i Taylor przyjechali na Craig, by zdobyć tajemniczy skarb, ale ktoś — a może jakaś korporacja - postanowił im w tym za wszelką cenę przeszkodzić. Osoba, która strzelała do Wagnera, najwyraźniej nie wiedziała, że jego asystent też o wszystkim wie. Gdyby było inaczej, on też pewnie by zginął. Zresztą i tak dorwali go za drugim razem. Przypomniała sobie, że Joe opowiadał, jak tuż po zaginięciu Taylora widział samolot, chociaż wtedy zaczynał już wątpić we własne zmysły. Jej zdaniem całkiem prawdopodobne było, że Taylor został zastrzelony z powietrza, a ktoś poćwiartował jego ciało, żeby upozorować śmierć z przyczyn naturalnych.

Derek podniósł dłoń. Nie nadążał.

- Edie, przecież była śnieżycą, zerowa widoczność. W takich warunkach nikt nie mógłby wylądować.

— Wiem, wiem - powiedziała pośpiesznie. - Wychodzę na wariatkę.

Derek pomyślał o *Kuujuaq*. Perspektywa opuszczenia osady i przeprowadzki do nowego budynku policji w *Autisaq* oddalała się z sekundy na sekundę. To,

o czym mówiła Edie, było jak tykająca bomba. Nie mógł tego zignorować, niezależnie od tego, co sobie wyobraża Simeonie.

- Nie rozumiem, co to ma wspólnego z samobójstwem Joego.

- Ja też na razie tego nie wiem, Derek. Ale założmy, że Joe coś widział, że widział osobę, która zabiła Andy'ego Taylora. Sama nie wiem, może zaczął się sam obwiniać, a może ktoś mu groził.

- Edie, czy kiedykolwiek pomyślałaś, że Joe mógł sam zastrzelić Taylora?

Jej twarz stężała. Kobieta wzięła głęboki oddech.

- Zakładam, że mówisz to jako policjant, nie jako przyjaciel.

Ogień powoli przygasał.

- Ludzie mogą tak mówić, Edie.

- Posłuchaj mnie. - Kobieta zignorowała jego uwagę.

- Chcę, żebyś na razie powstrzymał się od jakichkolwiek działań.
- To po co mi to mówisz?

Opowieść przewodniczki była jak okno na przeszłość. W porównaniu z jej historią, hodowla marihuany w szklarni była naprawdę błahostką. Derek nawet nie chciał myśleć o tym, co to wszystko może oznaczać — dla policji, dla osad, dla rodzin. Miał ochotę wrócić nad rzekę i znów być prostym rybakiem.

- Musiałam się z kimś tym podzielić. - Wzruszyła ramionami.
- Dzięki - odpowiedział oschle.

Edie wczłogała się do namiotu, żeby pościelić. Wyszła z niewielkim ręcznikiem ze skóry zająca.

- Domyślam się, że nie rozbijasz namiotu, bo zamierzasz skorzystać z mojego. Idę nad rzekę, żeby się umyć.

- Pomachała mu przed oczami ręcznikiem i szczoteczką do zębów. - I tobie też radzę.

Derek wygasił ogień kamieniami. Musiał pomyśleć. Gdy skończył pracę, kobieta minęła go bez słowa i znikła w namiocie.

Policjant poszedł nad rzekę i umył się w zimnej, czarnej wodzie. Położył się obok Edie i niemal natychmiast dostał tak silnego wzvodu, że musiał odwrócić się do niej tyłem.

Po jakimś czasie obudził się i wyszedł na zewnątrz, żeby się załatwić. Wiatr był lodowaty, ale promienie słoneczne niosły z sobą nieco ciepła. Czuł się zawstydzony, więc zszedł wzdłuż torfowiska nad rzekę i dopiero tam rozpiął spodnie. Po wszystkim otrząsnął się i zapiął zamek. Nagle zobaczył stojącą po drugiej stronie rzeki wilczycę. Obok niej kręciło się małe szczenię. Derek znieruchomiał. Wilczyca, nie spuszczać z niego wzroku, podeszła do wody i napiła się, po czym odwróciła się, warknięciem przywołała małego do swojego boku i ruszyła w górę.

Gdy Derek wrócił, Edie gotowała akurat herbatę. Policjant podszedł do skifa, odpiął płachtę i wyjął termos Joego. Kobieta natychmiast go rozpoznała, a z jej miny domyślił się, że nie wiedziała nic o szklarni. Przez chwilę się wahał; nie był pewien, czy powinien powiedzieć jej o hodowli. Stwierdził jednak, że ma prawo wiedzieć.

Na twarzy przewodniczki pojawiło się cierpienie. Gdy skończył mówić, wydawało się, że kobieta skurczyła się o kilka rozmiarów. Policjant położył jej rękę na ramieniu.

- Edie, twój pasierb był w niezłych tarapatach.

Natychmiast pożałował swoich słów. Chciał, by były one pocieszeniem, ale nie wypadły zbyt dobrze. Kobieta wzruszyła ramionami i spojrzała na niego przeciągle. Derek poczuł się jak zbity pies.

- Możesz mówić co chcesz - powiedziała. - Straciłam syna i pracę. Teraz nie mam już nic. Jestem łowczy-nią, Derek, i zamierzam wytropić tę sprawę do samego końca.

- Przykro mi, że straciłaś pracę - powiedział. I przykro mi z powodu Joego.

W milczeniu wypili kubek słodkiej herbaty, po czym policjant pomógł Edie zwinąć obóz. Pracowali w gęstej chmurze wrogości, a czynnościom towarzyszył tylko skowyt wiatru i chrzęst muszli pod ich stopami. Derek próbował wymyślić jakiś sposób, by znów do niej dotrzeć, ale kobieta wydawała się być myślami gdzieś daleko. Nie chodziło tylko o jego nietaktowną uwagę. Ich relację zmieniła też wspólnie spędzona noc.

Gdy się spakowali, postanowili udać się do miejsca, w którym rzeka wypływała spod klifu, i nabrać trochę słodkiej wody. Po wysiłku ich ciała mogły się wychłodzić, więc potrzebowali gorącej herbaty, by bezpiecznie wrócić do domu.

Edie wzięła ze sobą stary termos Joego. Schyliła się, by go napełnić, ale nagle krzyknęła, wyprostowała się i dotknęła czubka głowy.

- Cholera, coś na mnie spadło.

- Kamień? — zapytał Derek. Oboje spojrzeli na szczyt klifu, ale nie było w nim nic nadzwyczajnego. Policjant rozejrzał się też wokoło. Znowu nic.

- Pewnie tak - powiedziała Edie. - Tylko że był dziwnie miękki.

Napełnili butelki i zakręcili je szczelnie. Gdy Derek odwracał się, by ruszyć w stronę zwiniętego obozu, kątem oka dostrzegł, jak coś szybuje przez powietrze. Pomyślał, że to pardwa, ale po chwili sytuacja się powtórzyła.

Nagle usłyszeli niesiony wiatrem, charakterystyczny dźwięk; chór miliona cichych popiskiwań, które zlewały się w jeden, przenikliwy szum.

Derek wpatrywał się w linię niskiego klifu. Tym razem wiedział, czego wypatrywać. Lemingi rozpoczęły swój pęd.

Zarzucił kanister z wodą na plecy i puścił się biegiem w górę ścieżki prowadzącej przez morenę. Zapomniał o całym świecie. Tuż za nim biegła Edie. Derek czuł, jak wali mu serce. Czekał na tę chwilę tak długo, że te ostatnie sekundy wydawały mu się niemal nie do zniesienia. Gdy dotarł na szczyt, huczało mu w głowie i nie mógł złapać oddechu. Zamknął oczy i poczekał, aż pod powiekami przestaną mu tańczyć świetliste kształty. Wciągnął powietrze w nozdrza i otworzył oczy.

Torfowisko tętniło życiem. Przypominało wielką, pulsującą masę rudawego srebra. Gryzonie pędziły przez wierzby na południe w kierunku zatoki i na zachód przez rzekę. Stada były tak gęste, że nie dałoby się wcisnąć między nie nawet szpilki. Derek wiedział, że to właśnie leming spadł Edie na głowę. Rozpoczął się pęd - i nie było to masowe samobójstwo, jak sądzono przez wieki

- tylko wielka, wezbrana rzeka życia, instynkt przetrwania w najczystszej, zachwycającej swą siłą formie. Palliser widział, jak rzeka zaczyna się kotłować, gryzonie wirują i podskakują, gorączkowo próbując przedostać się na drugą stronę.

Edie była obok niego i śmiała się, zachwycona widokiem. Ruszyli razem przed siebie, by stanąć pośrodku pędu, a zwierzęta kotłowały się u ich stóp miękko niczym lawa. Wokoło unosił się wszechogarniający harmider popiskiwań i piżmowy zapach odchodów.

- Edie! - Mężczyzna próbował przekrzyczeć kakofonię. - Przemyślałem to, co wczoraj powiedziałaś. Jesteś łowczynią, rozumiem to. Jeżeli chcesz, żebym na razie trzymał się z dala, to tak zrobię. Przez jakiś czas. Potem będę działać.

Wcześniej był gotów na to, by odpuścić sprawę śmierci w Autisaq. Teraz wiedział, że prędzej czy później będzie musiał podjąć jakieś kroki. Dla Edie robi to później.

- Czyli umowa stoi? - zapytała kobieta. Spojrzała na niego swymi okrągłymi oczami.

Palliser pokiwał głową.

- Niezłe tarapaty, nie? - zapytała. Na jej ustach gościł uśmiech.

Gdy kilka godzin później wrócił do domu, Misha już na niego czekała. Podeszedł do niej i pocałował ją w policzek.

- Późno wracasz - powiedziała.

Opowiedział jej o pędzie.

- Nie zmienia to faktu, że późno wróciłeś.

Spojrzał na nią. Nagle ogarnęła go niewiarygodna wręcz pewność. „Co ja właściwie wyprawiam z tą kobietą?”, pomyślał. Zrobiło mu się smutno, ale z drugiej strony poczuł się lekko — wreszcie wyzwolił się z ciężaru, jakim była miłość do niej. Misha chyba wyczuła tę zmianę. Lekko się cofnęła.

- Powinnaś wyjechać - powiedział w końcu.

- To prawda - odparła. Była zrezygnowana, w jej głosie nie pobrzmiwała nawet nuta mściwości, której spodziewał się Derek. - Zresztą i tak zamierzałam to zrobić.

- Nie wiem, po co w ogóle przyjechałaś. - Jego słowa były bardziej okrutne, niż chciał.
- Tomas ze mną zerwał. Byłam sama - wyjaśniła. Pomyślałam, że może jednak cię Kocham.
- Ale nie Kochasz?

Misha uśmiechnęła się smutno.

- Nie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Edie znalazła Willę u swojego byłego męża. Oglądał akurat telewizję w towarzystwie Nancy, z którą Sammy to schodził się, to rozstawał. Między nimi stała miska popcornu, a w mikrofalówce coś się właśnie podgrzewało. Sammy'ego najwyraźniej nie było w domu.

- Cześć - powiedziała. Jej dawna rodzina stworzyła nową konstelację. Było jej przykro, chociaż właściwie nie powinno tak być. Nancy się uśmiechnęła. Willa nawet nie zaszczycił Edie spojrzeniem.

- Czego chcesz? — zapytał. — Oglądam program.

Był dzisiaj rozdrażniony. Zresztą ostatnio zawsze odnosił się do niej z dystansem.

- Chodzi o drobnostkę - wyjaśniła Edie.

Nancy poruszyła się niespokojnie i wstała.

- Przyniosę coś do jedzenia.

Edie zaczęła, aż kobieta zniknie w kuchni.

- Musimy porozmawiać na werandzie.

- Dlaczego? - Spojrzał na nią w końcu, a jego twarz wykrzywiła złość.

- Mam do ciebie prywatną sprawę.

Willa wstał, westchnął i pokręcił głową. Traktował ją jak zło konieczne.

Ganek był zagracony, więc musieli stać blisko siebie, zbyt blisko dla nich obojga. Dziesięć lat temu pewnie by się objęli, ale od dawna już nie było na to żadnych szans. Edie wciąż pamiętała, jak kiedyś wieczorami Willa wołał ją do siebie, a ona opowiadała mu bajkę o Sednie, dziewczynce, którą dziadek wyrzucił za burtę statku i obciął jej palce, by nie mogła się przytrzymać. „Palce zmieniły się w foki i morsy”, mówiła, „a Sedna usiadła na dnie oceanu, by rządzić zwierzętami. Czasem posyłała je pod harpuny myśliwych, czasem kazała im kryć się w morskich głębinach - wszystko zależało od tego, czy Inuici byli dla niej dobrzy, czy nie”. „Czy Sedna jest ze mnie zadowolona?”, pytał Willa. „Pewnie, że tak”, odpowiadała, a on zamykał oczy i natychmiast zasypiał.

Teraz jednak, zważywszy na jego nastrój, należało przejść od razu do rzeczy.

- Domyślam się, że to ty wpadłeś na pomysł zagospodarowania szklarni - powiedziała. — Ale dlaczego, u licha, wciągnąłeś w to również Joego?

Chłopiec palił, odkąd pamiętała. Nie była pewna, jak długo, bo kiedy w końcu wytrzeźwiała na tyle, żeby to zauważyć, brat Joego przerzucił się na heroinę. W końcu udało mu się wypłatać z nałogu i teraz znów palił tylko marihuanę. W pewnym sensie był to postęp.

Pokręcił głową i prychnął.

- Ty to masz tupet.

Edie cofnęła się nieco i podniosła rękę.

- Przepraszam - powiedziała. - Źle to wypadło. Czy możemy porozumieć się bez gniewu? Chodzi mi tylko o to, jak bardzo Joe był w to zaangażowany? Czy on też palił?

Wydawało jej się to mało prawdopodobne, bo nigdy nie wyczuła od niego narkotyków. Wiedziała jednak, że niektórzy palacze mieli stany depresyjne, cierpieli na paranoję i myśli samobójcze.

Willa zajrzał do salonu, ale Nancy wciąż była w kuchni.

- Na krótką chwilę zapomniałem, że wszystko, każda najmniejsza rzecz, sprowadza się do Joego. Nic z tego, Edie. Już od dawna nie jestem ci nic winien.

Kobieta milczała chwilę. Willa miał rację. Sama odebrała sobie prawo do wtrącania się w jego życie z chwilą, gdy pierwszy raz sięgnęła po butelkę. Chłopiec przez tyle lat pragnął, by kochała go tak, jak Joego, a ona nie potrafiła tego zrobić. Teraz po prostu cieszył się, że cierpi. Sama na siebie sprowadziła tę nienawiść. I zasłużyła na nią.

- Posłuchaj mnie - powiedział pojednawczo. - Gdybym miał jakiegokolwiek podejrzenia co do tego, dlaczego Joe odebrał sobie życie, na pewno bym ci o tym powiedział. Ale nic nie wiem. - Od uchylonych drzwi biło ciepło. - Joe był skomplikowany. *Ayaynuaq*, Edie, nic na to nie poradzisz, więc lepiej sobie odpuść.

- Zrobiłabym to, gdybym potrafiła, ale nie mogę, Willa. Muszę rozwiązać tę zagadkę.

Młody mężczyzna westchnął.

- Chcesz wiedzieć, co robiliśmy? To ci powiem. Dostarczaliśmy marihuanę do stacji naukowej. A chcesz wiedzieć coś jeszcze? - I tak zamierzał jej to powiedzieć.

- Nie zarobiłem na tym ani grosza, Edie. Joe zabierał wszystko, co do ostatniego centa, żeby odłożyć na czesne.

Edie poczuła, jak zaciska się jej gardło. Przez chwilę nie mogła oddychać.

- Wiedziałeś, że Joe gra w pokera? - Sądziła, że Willa poczuje pewną satysfakcję, gdy dowie się, że jego brat również nie był aniołem, ale chłopiec był równie zszokowany, co ona. Kobieta poczuła wstyd. - Myślę, że mógł przegrać te pieniądze.

Willa cofnął się o krok.

- Zwariowałaś.

Nagle w jej głowie zaświtała pewna myśl.

- Wy chyba... On przecież... Nie brał narkotyków?

- Od czasu do czasu sobie zapaliliśmy. I co z tego?

- Spojrzał na nią, próbując zrozumieć, o co jej chodzi. Nagle jego twarz zachmurzyła się niczym zimowy księżyc. - A, już rozumiem. Sądzisz, że wymieniałem marihuanę na coś mocniejszego, tak? - Roześmiał się ohydnie. - Chcesz wiedzieć, czy zrobiłem z mojego brata narkomana?

- Nie, Willa - odparła. - Wcale nie. - Prawda była taka, że sama nie wiedziała, o co jej chodzi.

- Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że gdyby Joe chciał brać narkotyki, to nawet nie musiał ich kupować? Pracował w klinice; miał tyle leków, że wystarczyłoby na całe stado ćpunów. Nic, tylko podgotować parę tabletek i złapać za strzykawkę.

Edie spojrzała na niego zdziwiona. Nie wiedziała, że pigułki można wstrzykiwać. Chłopak spojrzał na nią zniecierpliwiony.

- Błagam cię.

Wszedł do salonu i trzasnął za sobą drzwiami.

Wróciła do domu i natychmiast położyła się do łóżka. Była w fatalnym nastroju. Wcisnęła głowę w poduszkę, żeby odizolować się od świata. Jediną alternatywą była butelka, a obiecała sobie, że już do tego nie wróci.

Spotkanie z Willą było jak lawina lodowa. Ile jeszcze relacji uda jej się zniszczyć, zanim wreszcie się podda? Może to, co stało się z Joem, nie miało żadnego wytłumaczenia. Może jej pasierb faktycznie odebrał sobie życie w narkotycznym amoku.

Nagle drzwi otworzyły się z hukiem. Do środka wpadł Sammy.

- Dlaczego to robisz, Edie? - Był wściekły. Znowu.

Kobieta usiadła na łóżku oszołomiona. Po chwili jednak zaczęła śmiać się z samej siebie. Dlaczego w siebie wątpiła? Myślistwo było jej sposobem patrzenia na świat. Myśliwi kończyli łowy dopiero wtedy, gdy sprawa była naprawdę beznadziejna.

Sammy stanął w nogach łóżka. Był pijany.

- Nie mieszaj do tego mojego syna.

Edie poczuła, że ogarnia ją desperacja.

- Którego? - zapytała ostro. - Nieboszczyka czy ćpuna?

Dopiero gdy to powiedziała, zdała sobie sprawę, że dolewa oliwy do ognia. Sammy złapał przynętę. Poczzerwieniał na twarzy i rzucił się na nią z wściekłością. Kobieta przez chwilę myślała, że ją uderzy. W jego oczach widać było, że chciał to zrobić. Nagle jednak osunął się na ziemię i przymknął oczy. Był wyczerpany.

- Z tą szklarnią to moja wina — powiedział, gdy w końcu się uspokoił.

- Nie, Sammy. Joe grał w pokera, miał długi. - Nie zamierzała patrzeć, jak były mąż bierze całą winę na siebie. — Robił to w klinice, przez internet. Korzystał ze swojej karty kredytowej. I przegrywał pieniądze. - Nie było sensu dłużej przed nim tego ukrywać.

Sammy wyglądał na zaskoczonego.

- Edie, ale on nie miał karty kredytowej.

Mylił się. Jakiś czas temu pojechała z chłopakiem wypełnić wniosek. Potrzebował karty, żeby zamówić książki o pielęgniarstwie z jakiejś strony internetowej.

Sammy przysiadł na brzegu łóżka. Uleciała z niego cała złość.

- Joe pociął swoją kartę, Edie. Sam widziałem.

- Wyczerpał limit? - To by wyjaśniało, dlaczego przyszedł do niej po pożyczkę, gdy potrzebował części do skutera. Było gorzej, niż sobie wyobrażała.

Sammy pokręcił głową.

- Nie, to ja mu narobiłem długów. — Głos mu się załamał. - Potrzebowałem czujnika termicznego do strzelby, a raczej po prostu bardzo chciałem go mieć. Wiesz, żeby polować nocą. Nie miałem pieniędzy i wiedziałem, że nikt nie da mi karty kredytowej, więc pożyczyłem ją od Joego.

- Pożyczyłeś kartę od własnego syna?

- Dobra, po prostu wziąłem ją bez pytania. A potem Lisa namówiła mnie, żebym kupił jej nowy piec.

Po raz pierwszy od bardzo dawna Edie nie wiedziała, co powiedzieć.

- A potem zaczął do niego dzwonić bank. Niezła była z tego afera, Edie.

- Czyli pieniądze ze szklarni...

Sammy pokiwał głową. Na jego twarzy malowała się rozpacz.

- Poszły na spłatę karty. I to dlatego Joe ją pociął.

- Żeby jego ojciec nigdy więcej go już nie okradł.

Mężczyzna westchnął.

- Oj, Edie.

- Jestem zmęczona, Sammy. Zamknij za sobą drzwi.

Gdy została sama, próbowała określić kolejność zdarzeń. Może Joe założył konto do gry w pokera, ale potem już nigdy z niego nie korzystał? Nie, to nie miało sensu. Raczej zaczął grać, a później, gdy zobaczył, jak to na niego działa, postanowił przestać. A może nie miało to już żadnego znaczenia? Postanowiła porozmawiać z Robertem Patmą, ale jeszcze nie teraz. Teraz musiała się wyspać.

Kiedy się obudziła, było już jasno. Ale było tak przez całą dobę. W jej pokoju był jakiś mężczyzna. Przez chwilę Edie myślała, że *puikaktug* powrócił. Wkrótce jednak sylwetka stała się wyraźniejsza i okazało się, że to Mike Nungaq.

- Jesteś chora, Edie? - Wydawał się zmartwiony. - Jest już późno.

- Nie szkodzi.

Podał jej kubek.

- Zrobiłem ci herbaty.

Upiła łyk, a Mike sięgnął do kieszeni i wyjął z niej ochronną kopertę.

- Twój kamień wrócił. - Spojrzał na nią wyczekująco. - Pomyślałem, że będziesz chciała poznać nowiny.

Spojrzał na zegarek.

- Może najpierw się ubiorę.

- Jasne. - Mężczyzna się zmieszał. - Będę w kuchni.

Założyła swoje najlepsze spodnie i porządny sweter z owczej wełny. Spojrzała w lustro. Kogo chciała oszukać? Wyglądała jak kłębek bawełny po burzy.

Po dwóch kubkach herbaty i dwunastu łyżeczkach cukru powoli zaczynała czuć się jak człowiek.

Mike podał jej kamień.

- Okazuje się, że miałem rację, co do tego, że to meteoryt. Ale nie jestem ekspertem. Mój kolega, Jack, zwrócił uwagę na parę rzeczy. Po pierwsze, ten kamień jest na ziemi już od dawna.

- Pokazał jej czarną plamę. -Widzisz ten fragment tutaj? Świeże meteoryty są w całości pokryte skorupą obtopieniową. Ta ciemnobrązowa warstwa to żelazo niklowe, tak jak mówiłem, ale spójrz tutaj, na brzeg... Jest gładki. Wierzchnia część utleniła się w kontakcie z atmosferą. - Pokazał jej przeciwległą, dużo ostrzejszą krawędź. - Widać, że ktoś odrąbał ten kamień od większego meteorytu. Oba brzegi mają takie samo ubarwienie, a to oznacza, że jeżeli faktycznie to tylko fragment innej skały, to musiał od niej odpaść już dawno temu. Jack mówi, że musiało minąć więcej niż sto lat. Według niego warstwa oksydacyjna też jest dość równomierna. Inaczej mówiąc, kamień został ociosany wkrótce po tym, jak spadł na ziemię.

Przerwał i spojrzał wyczekująco na Edie. Kobieta uśmiechnęła się do niego blado. Mogła sobie pozwolić na to, by wciągnąć Dereka w te kłopoty, ale Mike to co innego: on miał wiele do stracenia. Na jego twarzy widać było rozczarowanie. Niczego więcej się od niej nie dowie, to było pewne. Wziął głęboki oddech.

— Nie zwróciłem uwagi na jeszcze jedną rzecz, o tutaj, w środku. - Pokazał jej wydrażoną w kamieniu dziurkę.

- Chodzi o te srebrnobiałe plamki. Jack miał co do nich pewne przeczucie, więc zeszkrobał odrobinę i poddał ją testom. Okazało się, że to iryd. Metal przejściowy, krewny platyny, niezwykle rzadko spotykany. Jeżeli chodzi o ziemię, to występuje praktycznie tylko w jej rdzeniu, ale meteoryty czasami go zawierają. I dlatego iryd najłatwiej znaleźć w kraterach, czyli astroblemach.

— Astroczemach?

Edie spojrzała na niego wymownie. Lepiej, żeby wreszcie przeszedł do sedna sprawy, bo jak dotąd nie miała pojęcia, o czym właściwie mówi.

— Znasz teorie na temat wyginięcia dinozaurów? — Mike dopił herbatę i spojrzał na dno kubka. - To właśnie wysoki poziom irydu na Jukatanie podsunął Luisowi Alvarezowi i jego ekipie hipotezę, że dinozaury zginęły w wyniku uderzenia ogromnego meteorytu.

Kobieta zakasłała uprzejmie. Mężczyzna spróbował jeszcze raz wytłumaczyć jej, o co chodzi.

— Pamiętasz tych geologów, którzy przyjechali do nas kilka lat temu, bodajże z Quebecu?

Edie próbowała sobie przypomnieć. Bez skutku.

— Geolodzy są jak skały, Mike. Jeżeli o mnie chodzi, to wszyscy wyglądają mniej więcej tak samo.

— Tamtym akurat trochę pomagałem. Kiedy skończyli projekt, wysłali mi artykuł. Wyjąłem go ostatnio z papierów. Naukowcy znaleźli na Craig niewielki astroblem. Krater po meteorycie.

Natknęli się na niego przypadkowo. Tak naprawdę interesowało ich coś innego. Wzmianka o astroblemie pojawia się tylko w przypisie. Postanowiłem trochę powęszyć. W normalnych warunkach, poniżej sześćdziesiątego równoleżnika, astroblemy można łatwo wykryć poprzez badanie pól magnetycznych. U nas jest to dużo trudniejsze.

To przynajmniej Edie rozumiała. Powoli zaczynała ją wciągać opowieść Mike'a. Kompasy na niewiele się zdawały na północ od sześćdziesiątego równoleżnika; wiedzieli o tym nawet pierwsi europejscy podróżnicy. W okolicach Autisaq, powyżej siedemdziesiątego równoleżnika, było jeszcze gorzej - kompas pokazywał przeróżne kierunki w zależności od lokalnego pola geomagnetycznego.

— Czyli na Ellesmere lub Craig trudno byłoby wykryć ewentualny astroblem?

— Tak, jeśli ktoś chciałby korzystać tylko z danych magnetycznych. No, chyba że ktoś by po prostu na niego wpadł, tak jak tamci geolodzy. W innym przypadku jedynym sposobem na to, by uniknąć długich lat skomplikowanych badań geologicznych, byłoby pozbieranie fragmentów meteorytu, który spowodował powstanie krateru, i prześledzenie jego historii. I tak byłoby to trudne zadanie. Uderzenie o ziemię zazwyczaj powoduje, że meteoryt rozlatuje się na drobne kawałeczki.

- Mike - przerwała mu Edie. - Ja naprawdę nie jestem aż taka bystra. Musisz mi trochę pomóc.

Nungaq obrócił kamień w dłoniach.

- Chodzi mi o to, że gdybyś bardzo się przyłożyła do poszukiwań, znalazłabyś na Craig drugi taki sam kamień. Po zgromadzeniu kilkudziesięciu odłamków mogłabyś narysować mapę dystrybucji fragmentów i w ten sposób zlokalizować astroblem. Tylko że to oznaczałoby mnóstwo pracy, a przecież nie muszę ci przypominać, jakie tam panują warunki. Przez dziesięć miesięcy w roku teren pokryty jest trzymetrową warstwą lodu i śniegu.

- Ale ci ludzie z Quebecu już go znaleźli.

- Mogę się założyć, że mało kto o tym wie. - Mike klepnął się w kolana i wstał. - Mam nadzieję, że nie masz mi już za złe, że cię wyciągnąłem z łóżka.

Gdy był już przy drzwiach, Edie nagle przypomniała sobie coś i zawołała go z powrotem.

- Tak mnie tylko ciekawi - czego właściwie szukali ci geolodzy?

- Soli - wyjaśnił. - Zwykłej soli.

Gdy mężczyzna wyszedł, kobieta poszła do łazienki i wyjęła z szafki butelkę środków przeciwbólowych.

W głowie huczało jej od nowych informacji. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek uda jej się coś z tego zrozumieć.

Zaparzyła herbatę, usiadła na kanapie, owinęła się skórą karibu i wzięła dwie tabletki. Musiała się zastanowić. Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Chodziło o rozmowę z Willą. Chwyciła butelkę z lekami, wyjęła z niej pigułkę i rozgniotła ją łyżką. Zwilżyła proszek kroplą gorącej herbaty. Lek niemal natychmiast się rozpuścił. Że też nigdy nie wpadła na pomysł, że pigułki można sobie wstrzykiwać.

Przypomniała sobie schludny stosik blistrów, które Derek znalazł w szufladzie Joego. To chyba niemożliwe, żeby ktoś w jego stanie mógłby myśleć na tyle trzeźwo, by wziąć sto pięćdziesiąt tabletek vicodinu, a później ułożyć opakowania i z powrotem schować je do szuflady. Jeszcze mniej prawdopodobne było, że ktoś mógłby go zmusić siłą do przyjęcia tylu tabletek. A co jeżeli ktoś je „podgotował”, jak to ujął Willa, i wstrzyknął Joemu do żyły, gdy chłopiec spał? To chyba było możliwe?

Ta myśl sprawiła, że zrobiło jej się niedobrze z przerażenia, ale przecież był w tym sens. Edie wciąż nie potrafiła przyjąć do wiadomości, że jej pasierb po prostu odebrał sobie życie. Taki

zbieg okoliczności był po prostu zbyt niewiarygodny. Fakty były jednak niezaprzeczalne, wyniki laboratoryjne wszystko potwierdziły. Joe umarł w wyniku przedawkowania vicodinu.

A co jeżeli to ktoś inny podał mu śmiertelną dawkę? Co jeżeli ktoś inny ukradł leki z kliniki, a później zjechał, aż młody mężczyzna zostanie sam, by wstrzyknąć mu płyn? Edie zamknęła oczy i próbowała jakoś przetrwać tę myśl. Gdy drzwi otworzyły się zamasyżycie, wciąż miała zamknięte oczy.

Do środka wszedł jej były mąż.

- Nie teraz, Sam my.

Chciała zostać sam na sam ze swymi myślami. Czy on naprawdę sądził, że wystarczy wrócić tu i płaszczyć się przed nią, by mu wybaczyła? Trzeba przyznać, że nie miał szczęścia. Podzieli się z nim swymi przemyśleniami na temat Joego, kiedy już się nad tym porządnie zastanowi i kiedy zdoła wybaczyć Sammy'emu to, co zrobił.

- Edie, ja... - Mężczyzna jęczał niczym zbity pies.

Czuł wyrzuty sumienia z powodu karty kredytowej i szukał jej wybaczenia.

- Idź stąd.

- Edie, proszę cię - powiedział. - Nie bądź taka. Robisz to, żeby mnie ukarać?

- No ciekawe - odparła. Jej głos był twardy i pełen sarkazmu. Gdy tylko to powiedziała, wiedziała już, że popełniła błąd, dając Sammyemu powód do obrony przez atak.

- Chodzi o to, że wyczyściłem kartę Joego? — Poprzednia jękliwość ustąpiła miejsca świętemu oburzeniu. - A może o tych dwóch facetów, których zabrałem na Craig? - Widać było, że dopiero teraz przyszło mu to do głowy. - Chyba nie chodzi ci o to, Edie? Mylę się?

Przewodniczka dopiła herbatę. Dopiero teraz przypomnieli jej się turyści, którzy chcieli polować na kaczki.

Dziwne, że akurat teraz pojawili się w Autisaq. Wcześniej była zbyt pijana, żeby zwrócić na to uwagę.

Sammy westchnął.

- Czyli faktycznie o to ci chodzi. Jak chcesz, to oddam ci połowę wynagrodzenia. Tylko przestań się na mnie złościć.

Kobieta wzięła oddech i cofnęła się w czasie, tym razem trzeźwa. Nie słuchała Sammyego, bo próbowała sobie przypomnieć jego relację z wypadku na Craig. Mówił wtedy, że po dotarciu na miejsce myśliwi bardzo zainteresowali się geologią wyspy. Było chyba coś jeszcze. No tak, przylecieli samolotem o dziwnych, zielonych barwach. Nagle powiązała ze sobą dwie rzeczy. Joe też wspominał coś o zielonym statku. Wydawało mu się, że to tylko przywidzenie, ale co, jeżeli było inaczej? Edie zaczęła przebierać niespokojnie palcami.

- Pamiętasz nazwiska tych ludzi? - Zdawała sobie sprawę, że jej głos brzmi natrętnie, ale nie mogła się powstrzymać.

Sammy otworzył usta ze zdziwienia. Wlepił wzrok w podłogę.

- Mówili, że są myśliwymi z Rosji. Co miałbym wiedzieć o rosyjskich myśliwych?

- Mógłbyś znać ich nazwiska.

- Chcesz nazwisk? Nie, Edie, nie pamiętam ich cholernych nazwisk. Pamiętam ich pieniądze.

Kobieta prychnęła. To wszystko było beznadziejne. On był beznadziejny.

- Sammy, nie zrozum mnie źle, ale naprawdę chciałabym, żebyś wyszedł. Najlepiej już teraz.

Wyszedł, nie wdając się w dyskusję, za co była mu wdzięczna. Krążyła chwilę po pokoju, włączyła *Gorączkę złota*, ale natychmiast się rozmyśliła. Miała poczucie, że stoi na skraju czegoś nowego, nieznanego i kręciło jej się w głowie. Serce biło jej jak oszalałe, tak bardzo była spragniona alkoholu. „Muszę się wyspać”, pomyślała. „Muszę się wyspać”.

Odkąd zwolniono ją z pracy w szkole, jej zegar biologiczny nie mógł poradzić sobie z

całodobowym dniem. Straciła poczucie czasu. Możliwość odkrycia prawdy przyprawiała ją o drzenie i euforię, ale z drugiej strony obawiała się do niej zbliżyć. „Może zaczynam tracić kontakt ze światem”, pomyślała. Przypomniała sobie jednak rozpuszczoną w herbacie tabletkę przeciwbólową. „A może dopiero teraz zaczynam go rozumieć”.

Musi się dowiedzieć, kim byli ci rosyjscy myśliwi i skąd się wzięli. Ale najpierw sen. Położyła się i zamknęła oczy. Gdy wstała kilka godzin później, miała już gotowy plan.

Późnym wieczorem, gdy Autisaq już spało, Edie wyszła na zewnątrz. Miasteczko było zalane słońcem. Spuściła Grubogłowego z łańcucha, uwiązała go na smyczy i ruszyła w kierunku ratusza. Przywiązała go do słupa, wsunęła klucz Joego w zamek i po cichu, nie zdejmując wierzchniego okrycia, udała się do biura burmistrza. Pies powinien ją ostrzec, gdyby ktoś się zbliżał.

Od razu znalazła teczkę opatrzoną etykietą „licencje myśliwskie”. Odszukała zezwolenie na polowanie na kaczki pod odpowiednią datą. R jak Raskolnikow i P jak Pietrowicz. Nie było adresów, tylko numery skrytki pocztowej. Nazwiska wydały jej się znajome. Próbowała sobie przypomnieć, gdzie je wcześniej widziała. W „Arctic Circular”? Olśnienie przyszło zniemacka. Po raz pierwszy w życiu poczuła wdzięczność wobec kanadyjskiego rządu, który zaserwował jej idiotyczne, południowe wykształcenie. Sprawa była oczywista. Raskolnikow i Pietrowicz to postaci ze *Zbrodni i kary*, morderca i detektyw, który postanowił go wytropić. Edie klepnęła się w udo. Przez cały ten czas poszlaki były tuż pod jej nosem — pseudonimy, zielony samolot, zainteresowanie myśliwych geologią raczej niż ornitologią wyspy Craig. To przez picie nie potrafiła tego wszystkiego połączyć. Joe musiał mieć rację. Zielony samolot faktycznie przelatywał nad Craig w dniu, w którym znikł Andy Taylor. A Edie była już prawie pewna, że wie, kto w nim siedział.

Zacisnęła pięść w geście zwycięstwa, po czym znów zaczęła szperać w dokumentach. Dziennik lotów był na swoim miejscu. Ta cała Sheila Silliq nawet nie wiedziała, jakim jest skarbem. W dniu przyjazdu Rosjan o 10.28 na pasie wylądował Twin Otter, numer rejestracyjny XOY4235, lot z Iqaluit. Jeden pilot, dwóch pasażerów. Przewodniczka zapamiętała dane i odłożyła dziennik na miejsce.

Z ciekawości przejrzała też inne teuczki. Natknęła się na plik opatrzonej etykietą „SI, osobiste”. W środku znajdowały się wyciągi bankowe na nazwisko Simeoniego Inukpuka. Edie przejrzała listę transakcji, ale ciekawe były na niej co najwyżej pozycje dotyczące centrum handlowego z modą damską w Ottawie. Burmistrz regularnie latał do stolicy, by brać udział w posiedzeniach samorządowych. Musiał mieć albo kochankę, albo skrywane skłonności do transwestytyzmu. Edie było wszystko jedno.

Kolejna strona przedstawiała dane z innego konta. Znajdowała się na niej lista regularnych przelewów na kwotę pięciu tysięcy dolarów kanadyjskich, z anonimowych kont, z tytułem darowizny dla Fundacji Dzieci Autisaq. Byłoby to bardzo poruszające, gdyby Edie wiedziała, czym jest ta fundacja, albo potrafiła sobie przypomnieć chociażby jedną rzecz, którą zrobiła ona dla dzieci w Autisaq.

Drzwi do pokoju Simeoniego były zamknięte. Kobieta wyjęła scyzoryk. Zamki w tych prefabrykowanych domach były bardzo liche. Tak jak inni miejscowi, przewodniczka już dawno usunęła większość swoich zamków, więc dobrze знаła ich konstrukcję. Wsunęła scyzoryk do dziurki i otworzyła drzwi. Podeszła do biurka i włączyła komputer. Rozejrzała się wokoło, choć sama nie wiedziała, czego szuka. Na ekranie pojawił się wygaszacz - zdjęcie góry lodowej. Edie nie znała się zbyt dobrze na komputerach, ale jako nauczycielka poznała pewne podstawy. Włączyła przeglądarkę i kliknęła na ikonę historii. Na dole listy znalazła stronę Zemmer Energy. Wzięła głośny, głęboki oddech. Nie ulegało wątpliwości, że nie chodzi o pizzerię. Była to firma

energetyczna, która miała coś do ukrycia, a Feliks Wagner,

Andy Taylor i - jak się okazało - Simeonie Inukpuk dobrze ją znali.

Kobieta kliknęła na adres. Strona poprosiła ją o hasło. Gdy miała wpisać pierwszą z możliwych kombinacji, usłyszała szczekanie Grubogłowego. Wybiegła z gabinetu, ale przypomniała sobie, że nie wyłączyła komputera. Pociągnęła za kabel. Cicho zamknęła drzwi i wyszła na zewnątrz. Na jej widok pies zaczął kaszleć i piszczeć, rozpaczliwie próbując zerwać się ze smyczy.

Kobieta stanęła na stopniach i natychmiast zrozumiała, dlaczego Grubogłowy tak ujął. Naprzeciw ratusza, w odległości niecałych pięciu metrów, stał niedźwiedź polarny; młody samiec. Przyglądali się sobie uważnie przez minutę, po czym zwierzę odwróciło się i podreptało w drugą stronę.

Wczesnym rankiem Edie wsiadła na skif i ruszyła do chaty ciotki Martie. Tylko ona mogła pomóc jej dowiedzieć się nieco więcej o zielonym samolocie.

Martie spała na stercie zwierzęcych skór. Obok leżała pusta butelka whisky. W powietrzu unosił się zapach alkoholu i czegoś jeszcze; jakiś lekko wędzony, kwaskowo-waty aromat. Przewodniczka podeszła do prymusa, by zrobić herbatę. Ciotka nie obudziła się nawet wtedy, gdy czajnik zaczął wyć.

Udało jej się osiągnąć zamierzony efekt dopiero, gdy opryskała legowisko zimną wodą. Wkrótce nad skórami pojawiła się twarz ze zmrużonymi oczami, które usiłowały dowiedzieć się, kto właściwie gotuje herbatę. Po chwili głowa znów znikła pod pledami.

- Ach, to ty, Mała Niedźwiedzico. - Głos był zduszony. Ręka kobiety pogłaskała ją w głowę. - Co ty, u licha, robisz tu o tej porze dnia i nocy, ty szalona dziewczyno?

Edie naląła herbatę. Opuściła dom w takim pośpiechu, że nie zdążyła się nawet porządnie ubrać. Czowała się jak idiotka. Przemarzała na kość. Gdy próbowała rozmieszać cukier w herbacie, Martie dostrzegła, że jej siostrzenica drży. Przywołała ją do siebie.

- Gdzieś ty tak zmarzała? - Przycisnęła palce do twarzy Edie, żeby zmierzyć jej temperaturę, po czym mocno ją przytuliła, by podzielić się swym sennym ciepłem. Edie piła herbatę małymi łyżkami, aż w końcu ucisk w jej gardle nieco zelżał.

- Martie, potrzebuję twojej pomocy.

- Cholernie źle się czuję - powiedziała jej ciotka. Zaczęła drapać się w usianą plamami, popękaną skórę.

- Jesteś chora?

Martie podążyła za spojrzeniem Edie.

- Ach, pytasz o to? - Potarła zaognione przedramię i schowała ręce z powrotem pod skóry. — To tylko alergia. - Uśmiechnęła się. — Powiedz lepiej, czego ci trzeba.

Edie wyjęła z kieszeni kartkę, na której zapisała dane dotyczące samolotu.

- Znasz tę maszynę?

Kobieta długo wpatrywała się w numery. W końcu udało jej się skupić wzrok. Pokręciła głową.

- Nie, ale to grenlandzka rejestracja, jeżeli ci to w czymś pomoże. O co chodzi?

- Dziennik mówi, że samolot przyleciał z południa, z Iqaluit. Czy jest jakiś sposób, żeby to sprawdzić?

Starsza kobieta zastanowiła się chwilę.

- Z której strony wiał wtedy wiatr?

Edie próbowała odtworzyć tę scenę w swojej pamięci, by dowiedzieć się, jaki był kierunek wiatru i w którą stronę ustawiony był dziób samolotu podczas lądowania.

- Osoba prowadząca dziennik albo nie zna się na stronach świata, albo ktoś tu nieźle

nakłamał. Maszyna jest zarejestrowana w Grenlandii i z Grenlandii przyleciała. - Ciotka dokończyła herbatę. - Czy już powinnam się zacząć lepiej czuć? Bo, niestety, coś nie bardzo mi to pomaga.

- Martie, słyszałaś kiedyś o Fundacji Dzieci Autisaa?

Kobieta schowała się z powrotem pod narzutę.

- Czy jest ona jakoś powiązana z Fundacją Ciotcia Martie Musi Się Wyspać?

Gdy wróciła do domu, nie było już sensu się kąsać. Otworzyła lodówkę i wyjęła z niej miskę zupy z foczej krwi. Powąchała ją i podgrzała w mikrofalówce. Wzięła głęboki oddech i przystawiła miskę do ust. Płyn był pełen zakrzepłej, ugotowanej krwi. Zdawała sobie sprawę z tego, że jest głodna, ale jej żołądek mówił co innego. Zapach zupy przyprawił ją o lekkie mdłości. Edie zmarszczyła nos, otworzyła usta i wlała płyn do gardła.

W głowie kotłowały się jej różne myśli, ale jedna wciąż uporczywie powracała: Joe został zamordowany.

Nie wiedziała, kto i dlaczego to zrobił, ale była pewna, że meteoryt Welatoka był kluczem do rozwiązania zagadki. Jeżeli Mike Nungaa miał rację, to kamień stanowił drogowskaz prowadzący do astroblemu na Craig, a Wagner, Taylor i, jak się obecnie wydawało, rosyjscy myśliwi, przybyli do Autisaa w poszukiwaniu krateru.

Edie nie wiedziała, dlaczego astroblem aż tak ich interesował, ale notatka Wagnera mówiła o soli, której dotyczył również artykuł kanadyjskich geologów. Dodatkowo zarówno on, jak i Taylor kontaktowali się z firmą Zemmer Energy, więc można było założyć, że krater ma dla niej jakąś wartość. Kobieta nie była pewna, jak się do tego mają strony z dziennika Fair-faksa - chyba że opisywały one lokalizację astroblemu. Ktokolwiek go jednak szukał, będzie potrzebował meteorytu, by dopasować go do innych kamieni znalezionych w okolicy i określić dystrybucję odłamków po zderzeniu z ziemią. Inaczej mówiąc, dziennik i kamień musiały być ze sobą ściśle powiązane. Razem stanowiły mapę, która zaoszczędziłaby naukowcom długich lat badań geologicznych.

Jak na razie wszystko wskazywało na to, że to Rosjanie odpowiadali za śmierć Andy'ego Taylora. Wydawało się logiczne, że to oni przelatowali nad Craig zielonym samolotem w dniu, w którym zaginął chudy *galunaat*. Może złamał on jakąś umowę, a może sprawa była zupełnie prosta - był o krok od znalezienia astroblemu, a Rosjanie nie mogli do tego dopuścić. Jeżeli to oni go zabili, to musieli strzelać z samolotu. W takiej zamieci nikt by nie wylądował. Oznaczało to jednak, że wciąż nie było wiadomo, kto poćwiartował szczątki Taylora.

Nie rozumiała jeszcze za bardzo, jak to wszystko ma się do śmierci Joego, ale podświadomie czuła, że te dwie sprawy są powiązane. Rozejrzała się po salonie. Widok drzwi do pokoju jej pasierba wciąż ją paraliżował.

Przypomniała sobie, co Sammy zrobił z jego kartą kredytową. Gdyby wciąż piła, pewnie sięgnęłaby po butelkę whisky, a później poszła do niego do domu i zrobiła mu awanturę.

Miała jeszcze raz zapytać Roberta o hazard. To dopiero była zagadka. Pielęgniarski wydawał się tak pewny swoich podejrzeń, ale Edie nie rozumiała, jak Joe mógł grać w pokera, skoro nie miał karty kredytowej. Może o czymś nie wiedziała. Włożyła swoją letnią kurtkę i wyszła na ulicę.

Robert siedział w swoim gabinecie i porządkował kondomy. Po jednej stronie leżały opakowania z piżmowołem, po drugiej foki, morsy i arktyczne zające. Poprosił kobietę, żeby zaczekała.

- Jakiś kretyn uszkodził tę partię z piżmowołami, więc teraz muszę wszystko posortować.

Strata czasu.

- Mam dla ciebie alternatywę.

- Serio? — zapytał.

- Możesz przestać tracić czas i porozmawiać ze mną.

Robert spojrział na nią zaskoczony, westchnął i odłożył prezerwatywy.

- Przepraszam. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Pewnie już zauważyłeś, że głupia ze mnie dziewczyna.

Pielęgniarka kiwnęła głową, żeby pokazać, że jej słucha, po czym zreflektował się i zaprzeczył.

- Kompletnie nie rozumiem, jak właściwie Joe mógł narobić sobie długów na grach on-line.

- Myślę, że po prostu go wciągnęło. - Patma wzruszył ramionami. - Tak to już bywa. Ludzie się uzależniają. - Wrócił do sortowania kondomów. - Będzie ci przeszkadzać, jeżeli jednak się tym zajmę?

- Nie, to znaczy, nie rozumiem, jak on w ogóle mógł mieć jakieś długi. Przecież żeby grać on-line, potrzeba karty kredytowej, prawda?

Robert znów wzruszył ramionami.

- Pewnie tak.

Edie wszystko mu opowiedziała.

Pielęgniarka podszedł do komputera, poklikał chwilę myszką, po czym odwrócił monitor, by pokazać przewodniczącą stronę logowania na pełnym kolorowych reklam portalu Gaming Station. Nazwa użytkownika była wypełniona: „Joelnukpuk”.

- To ta strona.

- Wpisz hasło — poprosiła.

Robert spojrział na nią zaskoczony.

- Ale ja go nie znam.

- To skąd wiesz, że Joe był im winien pieniądze?

Pielęgniarka przekręcił monitor w swoją stronę.

- Kiedy pierwszy raz wszedłem na stronę, był jeszcze zalogowany. Potem konto było zablokowane. Pewnie pliki autoryzacji wygasły. Dziwne. - Wrócił do swojego zajęcia. — Wiem, że jest ci ciężko, Edie. Mnie też trudno to powiedzieć i wstyd mi, że wcześniej tego nie zauważyłem, ale chłopak naprawdę miał mnóstwo powodów, by odebrać sobie życie.

- Miał też mnóstwo powodów, by tego nie robić.

Mężczyzna pokiwał głową.

Zacząła mu opowiadać o tym, jak losy Wagnera i Taylora były ze sobą powiązane. Nie wiedziała, czemu mu się zwierza.

- Myślę, że Joe przypadkowo się w to wmieszał - powiedziała. Zastanawiała się, czy mówić dalej, ale tym razem wygrała ostrożność. Jako kobieta Edie była impulsywna, nawet porywcza, ale teraz musiała być przede wszystkim myśliwym.

Pielęgniarka siedział spokojnie, a po jego twarzy przebiegały różne myśli. Po chwili wstał i delikatnie ujął ją za dłoń.

- Edie, czy wciąż masz halucynacje?

- Nie - skłamała.

- To dobrze - odparł. - Mam nadzieję, że przystopowałaś trochę z piciem? - Wyraz jej twarzy powiedział mu, że niekoniecznie. - Naprawdę lepiej się poczujesz, kiedy z tym skończysz.

- Jak to mówią w AA? - zapytała. - Obdarz mnie spokojem, bym zaakceptował rzeczy, których nie mogę zmienić.

- O to właśnie chodzi - powiedział Robert.

Pod prysznicem otworzyła usta i pozwoliła wodzie spłynąć do środka. Po chwili ją wypluła. Była miękka, ciepła jak krew i miała nieprzyjemny smak chloru.

Wcześniej korzystano z wody pompowanej prosto z jeziora Autisaq, które znajdowało się tuż

obok lodowca. Teraz jednak narzucono obowiązek tak zwanego oczyszczania - w ramach opracowanych przez Simeoniego planów „modernizacji”. Edie zakręciła kurek i sięgnęła po ręcznik. Rozmyśliła się jednak. Ogarnęło ją dziwne, nieznajome uczucie. Wyszła naga do salonu. Na zewnątrz blade słońce rozświetlało morze tysiącem iskier.

Którejś wiosny, gdy była jeszcze z Sammym i oboje wyjątkowo dużo pili, postanowili wybrać się na ryby. Jezioro już dawno przestało tętnić życiem, ale dawno temu, gdy jeszcze pływały w nim pstrągi, Eliasz Nun-gaq wrócił z połowu i opowiadał wszystkim, że widział w głębi wód ogromną rybę, prawie tak wielką, jak jesiotr. Natychmiast zebrała się grupa ludzi, którzy chcieli na nią zapolować, ale zwierzę znikło. Plotki jednak żyły własnym życiem, a rozmiar i reputacja stworzenia rosły z miesiąca na miesiąc. Co jakiś czas ludzie udawali się nad jezioro, by spróbować ją złowić.

Taki właśnie plan przyświecał jej i Sammyemu, ale gdy dotarli nad jezioro, byli już tak pijani, że zapomnieli o rybie. Nie zauważyli nawet niskich chmur i powiewającej z północy bryzy, które zapowiadały śnieżyce. Śnieg zaczął już padać, gdy Edie nagle poczuła, jak ktoś szarpie ją za ramię. Obudziła się, spojrzała w górę i zobaczyła twarz Joego.

Później często się z tego z Sammym śmiali. Nie potrafili zmierzyć się z myślą, że narazili swojego dziesięcioletniego syna na takie ryzyko. Chłopiec najprawdopodobniej uratował im życie.

Stała w promieniach słońcach i wspominała, gdy nagle do głowy przyszła jej pewna myśl. Doskonale wiedziała, co musi zrobić. Wytarła się ręcznikiem, ubrała i poszła do Sammyego. Mężczyzna był jak zwykle na kanapie i oglądał powtórkę *Prawa ulicy*. Biblia leżała na półce, okładką do góry.

- Lecę na Grenlandię - oznajmiła.

- Na Grenlandię? Ale dlaczego?

- Ci dwaj Rosjanie, myśliwi niby, przylecieli z Grenlandii grenlandzkim samolotem. Moim zdaniem mogą wiedzieć, dlaczego Joe umarł. - Zastanawiała się, czy nie powiedzieć Sammyemu o astroblemie i Zemmer Energy, ale zrezygnowała. Niektórzy ludzie źle reagowali na zbyt dużą dawkę rzeczywistości. Jej były mąż był właśnie takim człowiekiem.

Mężczyzna pokręcił głową i cmoknął z niezadowoleniem.

- Tylko jedna osoba wie, dlaczego mój syn nie żyje -oznajmił. - Jeżeli chcesz się tego dowiedzieć, to zapytaj ducha Joego.

- Myślisz, że nie próbowałam?

- Może w takim razie on nie chce, żebyśmy wiedzieli.

- Nie, Sammy, mylisz się. Myślę, że on chce, żebyśmy sami rozwikłali tę zagadkę.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nuuk w Grenlandii?

Edie pokazała obsługującemu informację lotniskową Inukowi podniesiony w górę kciuk. Udało jej się uzyskać połączenie. Rozmawiała z Derekiem Palliserem.

- Lemingi wygryzły ci tunel w mózgu? - zapytała.
- Co ty, u licha ciężkiego, robisz w Nuuk? - Policjant osłupiał. - Mam się martwić?
- O mnie? - prychnęła. — No coś ty.
- Dlaczego mnie nie uprzedziłeś?
- Bo wiedziałam, że będziesz próbował interweniować - wyjaśniła.

Pracownik lotniska zaczął sygnalizować, że czas się rozłączyć.

- Przecież mieliśmy umowę - poskarżył się Derek.
- Nikt ci jeszcze nie powiedział, że ludzie bez przerwy zmieniają warunki umowy?

Policjant westchnął.

- W którymś momencie będę musiał się zaangażować. - Edie usłyszała szelest papierów. —

Wiesz jak to jest, u nas nie da się zbyt długo dochować tajemnicy.

- Zdziwiłbyś się.

Po drugiej stronie zaległa cisza.

- Domyślam się, że nie zamierzasz mi wyjaśniać, co to wszystko oznacza.
- Raczej nie. Przynajmniej na razie.

Przewodniczka postanowiła nie wspominać o swojej nowej teorii, dopóki nie będzie miała więcej informacji. Zamierzała odnaleźć samolot i dwóch rosyjskich myśliwych, którzy przylecieli na Craig, by szukać kamieni.

- Zostawiłam list, na wypadek, gdyby coś mi się stało. Wyjaśniła mu, gdzie może znaleźć klucz do jej starej szafki z alkoholem. W środku znajdowała się już tylko koperta z kartkami, które znalazła w jaskini i czterema stronami jej własnych, spisanych niepewną ręką notatek.

- Obiecuj mi, że dowiesz się, co się stało z Joem.
- Już o tym rozmawialiśmy, Edie. Wiesz dobrze, co się stało.
- Chodziło mi o to, dlaczego tak się stało. Niech to będzie obietnica, Derek, nie umowa.

Znów zaległa cisza, tym razem jednak potężna jak milczenie kochanków.

- Obiecuję — powiedział. - Jak ci się podoba Nuuk?

— zapytał lekkim tonem.

- Okropne miejsce. Zbyt dużo ulic, za mało lodu. Mężczyzna na stoisku znów zaczął wymachiwać rękami. Palliser jeszcze się śmiał, gdy się rozłączyła.

- Przepraszam, ale nie wolno nam wykonywać połączeń międzynarodowych — wyjaśnił Inuk.

Miał okrągłą, płaską twarz i szerokie usta, które wyglądały, jakby był wiecznie zawiedziony. Nie znał inuktitut,

więc rozmawiali po angielsku, ale Edie nie do końca rozumiała jego akcent. Dopiero teraz odkryła, że nie wszyscy Inuici mówią w tym samym dialekcie. Z jakiegoś powodu bolało ją to.

- To jeszcze nie wszystko.

Mężczyzna spojrział na nią. Oczy mu się zwięzły. Odwrócił się i popatrzył na czterech mężczyzn w mundurach, którzy biegli w kierunku drzwi terminala.

- Jakies kłopoty?

- Protesty.

- Ojej. - Edie wydawało się to dziwne. Gdy w Auti-saq ktoś chciał coś oprotestować, wystarczyło pójść do ratusza i porozmawiać z burmistrzem.

- Z Danii przylatują dzisiaj jacyś politycy, żeby otworzyć nowe centrum sportowe. Chyba nie wszyscy przepadają za obcokrajowcami.

Odwrócił się do niej z powrotem. Wyglądał na roz-kojarzonego.

- Chciałam zapytać o jeszcze jedną rzecz - przypomniała mu Kiglatuk. - Chodzi o samolot czarterowy.

Mężczyzna oparł się o krzesło i pokręcił głową.

- O czarterach nic nie wiem. - Chyba ulżyło mu, że nie może jej pomóc. - Ja tylko obsługuję terminal.

Z zewnątrz dobiegły ich odgłosy gwizdów. Inuk udawał, że jest zajęty. Edie wyjęła kartkę, na której zanotowała numer rejestracyjny zielonego samolotu. Podała mu ją.

- Chciałabym tylko wiedzieć, jaka firma obsługuje ten samolot?

Mężczyzna rzucił okiem na papier, po czym spojrzał na Edie.

- Ty też jesteś jedną z protestujących?

- Tylko na mojej własnej ziemi - powiedziała kobieta z cierpkim uśmiechem. Przypomniała sobie, że pilotem samolotu był Inuk. - Chciałabym wynająć samolot. Znajomy powiedział mi, że pilot tej maszyny jest jednym z naszych.

Mężczyzna jeszcze raz przyjrzał się kartce, po czym rzucił jej dziwne spojrzenie, jakby do końca jej nie wierzył, ale postanowił nie zadawać żadnych pytań.

- To chyba samolot Johannesesa Moliera. - Podłączył coś do komputera i przejechał palcem w dół listy. - Tak. To Duńczyk, ale pracuje z inuickim pilotem. Facet nazywa się Hans.

- Nie wiesz, gdzie mogłabym go znaleźć?

Pracownik informacji wzruszył ramionami.

- Może w barze „Rat” w miasteczku. Wielu pilotów terenowych tam przesiaduje.

Nuuk było wielkim miastem jak na standardy Auti-saq, tymczasem Edie w swoim życiu zaledwie kilka razy odwiedziła Iqaluit. Czy bar miał jakiś adres?

Mężczyzna znów wzruszył ramionami. Zrobił dla niej wystarczająco dużo.

- Tak jak mówiłem...

- ...ty tylko obsługujesz terminal.

Podczas rozmowy pojawili się kolejni policjanci, którzy zajęli miejsca przy wejściu, żeby nie wpuścić protestujących do środka. Edie minęła ich i wyszła na ulicę.

Nagle zdała sobie sprawę, że zapomniała zapytać Inuka o jakiś tani hostel, ale gdy chciała wrócić do środka, drogę zatarasowało jej umundurowane ramię.

- Wstęp tylko dla pasażerów z ważnym biletem - powiedział mężczyzna po angielsku.

Przewodniczka próbowała się kłócić, ale policjant nie ustąpił.

Przeszła przez ulicę i ruszyła w kierunku protestujących za barierkami ludzi. Część z nich miała transparenty, ale Edie potrafiła przeczytać tylko grenlandzkie słowa „Grenlandię” i „Grenlandczyków”. Byli to głównie rdzenni mieszkańcy wyspy. Nie wyglądali na specjalnie groźnych.

Za barierkami znajdował się przystanek autobusowy. Nie było wyjścia, musiała precyzyjnie się przez tłum. Policjant otworzył przed nią barierkę. Edie zaczęła rozpychać się łokciami. W końcu udało jej się wydostać na drugą stronę. Nie spodziewała się, że tłum ludzi może być bardziej hałaśliwy od stada mew i śmierdzieć gorzej niż kolonia fok.

Próbowała właśnie zrozumieć rozkład jazdy, gdy podeszła do niej młoda Grenlandka w różowym futerku i powiedziała coś w miejscowym języku.

- Nie jestem stąd - wyjaśniła Edie.

Kobieta roześmiała się i odpowiedziała jej po angielsku.

- Ale jesteś Inuitką. - Przedstawiła się jako Qila Rasmussen. Pracowała na lotnisku jako sprzątaczką i właśnie skończyła poranną zmianę. - Pierwszy raz w Kangerlussuaq? - zapytała, używając grenlandzkiej nazwy kraju.

Edie przytaknęła. Autobus zbliżył się do przystanku, ale na chwilę utknął w tłumie.

— Czym oni się tak ekscytują? — Kobieta nie wiedziała nic na temat miejscowej polityki.

Jej nowa znajoma wyglądała na zaskoczoną. Miała nadzieję, że jej nie obraziła.

— Mamy już dosyć obcokrajowców, którzy próbują się mieszać w sprawy naszego kraju. - Kobieta mówiła bardzo cicho. - Sama bym protestowała, ale mam czworo dzieci i muszę myśleć o pracy.

Autobus zatrzymał się na przystanku, a Qila odsunęła się i wpuściła Edie przed siebie. Odezwała się do kierowcy po duńsku po czym pomogła przewodniczce odliczyć odpowiednią kwotę na bilet. Edie usiadła w pierwszym rzędzie, Qila obok niej. Autobus ruszył, trzęsąc się i wyjąc. Edie jeszcze nigdy w życiu nie widziała tak dużego pojazdu, może poza szambiar ką w Autisaq, ale autobus był jeszcze głośniejszy i jechał z zawrotną prędkością. Kobieta wyjrzała przez okno i przygryzła wargę.

Mijały góry, nieco mniej skaliste niż na Ellesmere, ale wciąż pokryte śniegiem mimo wysokiej temperatury. Stoki poprzecinane były metalowymi linami, które przypominały sznury do suszenia bielizny.

— Lubisz jeździć na nartach?

Edie odwróciła twarz od okna i spojrzała na Qilę pytająco.

- Mam na myśli wyciąg. - Kobieta pokazała na metalową linię.

- U nas nie ma zbyt dużo śniegu. - Edie czuła się bezpiecznie ze swą nową znajomą. - Raczej skała i lód. - Pomyślała o Joem, który wrócił na nartach z Craig, chociaż był półprzutomny.

Minęły długie, niski budynek w kształcie klina. Na szczycie dachu stał krzyż.

- Jesteś wierząca? - zapytała nagle Qila.

Edie wyjrzała przez okno. Jej wzrok spoczął na niskich wierzbach.

- Wierzę w różne rzeczy.

- U nas wszyscy są chrześcijanami — wyjaśniła Qila szeptem. - Poza kilkoma *galunaatami*, którzy w nic nie wierzą.

Droga wiała się między dwoma zboczami, po czym schodziła lekko w dół w kierunku miasta. Minęły znak z napisem „H J Rinksvej”, zapewne nazwą ulicy. W Auti-saq ulice też miały nazwy - Pierwsza i Druga - tylko nikt nie mógł się zdecydować, która jest która.

Powoli zaczęły pojawiać się pierwsze budynki. Autobus wjechał na wzniesienie, z którego widać było całe Nuuk. Przewodniczka wiedziała, że miasteczko jest dość małe jak na południowe standardy, ale i tak sprawiło ono na niej wrażenie nieznośnie zatłoczonego.

Minęli sześcienny, biały, przytulony do skały budynek otoczony dywanem arktycznych wierzb.

- To kościół Hansa Egede'a - wyjaśniła Qila. - Niektórzy uważają, że był prawdziwym bohaterem. Znasz go?

Edie pokręciła głową.

- Misjonarz. Przyjechał tutaj, żeby nawracać wikingów, ale my się mu trafiliśmy. - Kobieta roześmiała się gorzko. - Mimo to był dobrym człowiekiem, nauczył się języka, przetłumaczył Biblię.

Kierowca gwizdnął do jakiegoś znajomego przy drodze. Mężczyzna pomachał mu na

powitanie.

- „Ojciec nasz, któryś jest w niebie, fokę naszą powszednią daj nam dzisiaj”. To jego słowa. Właśnie będziemy mijać jego dom.

Jechali wzdłuż nadbrzeżnej drogi. Po jednej stronie tłoczyło się tyle budynków, że Edie zakręciło się w głowie. Wkrótce autobus zatrzymał się, a drzwi otworzyły się z ostrzegawczym piskiem. Qila wstała.

- Wsiadamy.

Po chwili znalazły się na chodniku tuż obok długiego, trójkątnego, czerwono-brązowego budynku. Edie postawiła torbę na ziemi i rozejrzała się. Powietrze przesiąknięte było znajomym, arktycznym zapachem psów i suszonej ryby. Odwróciła się i niezręcznie wyciągnęła do Qili dłonie.

- Gdzie się zatrzymasz? - zapytała kobieta.

Stały tuż obok szeregu przestronnych klifów ze szkła i betonu.

- Mieszkamy w Bloku 7. Dzieci są w terenie z ich ojcem. Mamy sporo miejsca.

Puste, ascetyczne wejście, stalowe drzwi do windy, smutne, betonowe schody i wąskie, brudne korytarze wydały się Edie tak dziwne, że trudno jej było sobie wyobrazić, by mogło wśród nich przetrwać jakiegokolwiek życie, a co dopiero Inuci, którzy tak cenili sobie swoją wolność. Wspinając się po schodach (winda nie działała), Edie zastanawiała się, czy Qila kiedykolwiek pytała swojego boga, dlaczego ona i jej dzieci muszą żyć jak ściśnięte na zboczach klifów mewy.

Dotarli na czwarte piętro i skręcili w korytarz. Minęły pięć par identycznych drzwi z niewielkimi, matowymi szybami, za którymi widać było cienie przesuwających się postaci. Powietrze wypełniło się apetycznym zapachem gotowanej fokki. Qila zatrzymała się przy szóstych drzwiach.

- To tutaj.

Mieszkanie było bardziej przestronne, niż mogło się wydawać. Pomalowane na jasne kolory ściany skąpane w świetle wczesnego popołudnia nadawały wnętrzu wesoły wygląd. Z okien widać było morze i majaczący daleko na horyzoncie cypel. Edie podeszła do parapetu i spojrzała w dół. Ulica, a po drugiej stronie rzędy identycznych bloków.

Do pokoju weszła nieco starsza, uderzająco podobna do Qili kobieta. Powiedziała kilka słów po grenlandzku, po czym po interwencji Qili przeszła na angielski. Przedstawiła się jako Suusaat, starsza siostra nowej znajomej Edie.

- *Qalunaaci* mówią na mnie Susie.

Weszła do aneksu kuchennego i naleła wodę do czajnika. Odwróciła się przez ramię i uśmiechnęła.

- Ale ty możesz do mnie mówić Suusaat.

Siedziały, popijając słodką kawę - kolejna nowość dla Edie, która na ogół wolała herbatę - i jadły małe, delikatne kawałki smażonego sadła.

- Przyjechałaś odwiedzić rodzinę? - zapytała Suusaat uprzejmie.

- Nie do końca — powiedziała przewodniczka. Ułożyła sobie całą historię w głowie jeszcze na lotnisku w Iqaluit, gdzie przesiadała się na drugi samolot. - Raczej szukam sprawiedliwości dla mojej rodziny.

Suusaat poczęstowała ją przekąską.

- Naprawdę? - Była zaintrygowana.

- Edie jest z . . . - Roześmiała się Qila. - Sama nie wiem, skąd.

- Umingmak Nuna, Ellesmere.

- Masz krewnych w Qaanaaq? — W głosie Suusaat pojawiły się ostrzegawcze nuty.

Cieśnina Naresa pomiędzy Qaanaaq i Wyspą Ellesmere'a miała zaledwie 30 kilometrów

szerokości i przez dziewięć miesięcy w roku była skuta lodem. Do niedawna regularnie przekraczały ją całe rodziny, by polować na piżmowoly na Hazen. Obecnie odradzało się jednak tego typu podróże. W sezonie nawigacyjnym okolice nadzorowała kanadyjska straż graniczna, a policja na Ellesmere miała obowiązek zgłaszać każdego znalezionego na terenie wyspy Grenlandczyka do komendy głównej RCMP w Ottawie. Wielu mieszkańców Wyspy Ellesmere'a było jednak luźno spokrewnionych z Inuitami z Qaanaaq.

- Mój prapradziadek pochodził z Etah, niedaleko Qaanaaq - przyznała Edie.

Kobiety spojrzały na siebie niespokojnie. Suusaat syknęła coś do siostry. Qila położyła jej rękę na ramieniu, by ją uspokoić.

- Praca Qili jest bardzo ważna dla naszej rodziny - powiedziała starsza kobieta z naciskiem.

- Zwłaszcza teraz, gdy ja straciłam posadę. Nie stać nas na pakowanie się w kłopoty.

Edie nic z tego nie rozumiała.

- Przepraszam, ale nie jestem aż taka bystra - powiedziała. - Właściwie to jest chyba wręcz odwrotnie.

- Suusaat pracowała w dziale drobnych ogłoszeń gazety grenlandzkiej „Kangiryuarmitut”.

- Czasami podsyłam ciekawe historie redakcji. — Starsza siostra podjęła temat. — A raczej podsyłałam. -W zamyśleniu poczęstowała kobiety smażonym sadłem, ale wyglądało na to, że wszyscy stracili apetyt. — Tydzień temu natknęłam się na wzmiankę o nowym centrum sportowym. Pufne informacje. Nieważne, jak to się stało. Pewnie słyszałaś o otwarciu nowego centrum?

Edie przypomniała sobie rozmowę z Inukiem z lotniska i pokiwała głową.

- Mój informator odkrył, że pieniądze wyłożył niejaki Fiodor Biełowski, miliarder z Rosji. Biełowski nigdy nie inwestuje za granicą, chyba że zamierza się wmieszać w politykę danego kraju. Co gorsza, chciał, żeby jego darowizna pozostała anonimowa. Przekazałam ten materiał do redakcji, ale nie chcieli tego ruszać, więc puściłam go w moim dziale. Kilka osób przeczytało go i zdecydowało wszcząć protesty. Nie zdawałam sobie sprawy, że aż tyle ludzi się tym przejmie. No i, koniec końców, straciłam pracę.

- Kiedy wspomniałaś, że masz krewnych niedaleko Qaanaaq, pomyślałyśmy, że może masz coś wspólnego z demonstracjami - wyjaśniła Qila. - Z powodu poszukiwań ropy w rezerwacie przyrody w Lauge Koch Kyst.

Edie była skołowana. Chciała tylko znaleźć właściciela zielonego samolotu i odszukać dwóch mężczyzn, którzy przylecieli do Autisaq i podawali się za myśliwych. Była przekonana, że to oni przelatowali nad Craig w dniu, w którym zniknął Andy Taylor. Ale wzmianka o Rosjaninie — i o ropie - podsyłała jej ciekawość. Być może Biełowski nie był powiązany z tamtymi dwoma, ale Edie chciała się upewnić.

- Nie przyjechałam tutaj po to, żeby robić wam problemy. ..

- Nie ma o czym mówić - powiedziała Qila mocno. Wzięła torbę Edie i kazała jej iść za sobą. Stały przed niewielkimi drzwiami.

- Moi synowie, Tomas i Ortu, mieszkają tutaj razem. Wybacz bałagan. - Otworzyła drzwi i dodała, że kolacja będzie za pół godziny.

W pokoju pełno było plastikowych ciężarówek i foczych kości, tak jak kiedyś u Joego i Willi. W powietrzu unosił się zapach kurzu, potu i gazów. Edie rozpakowała torbę i usiadła na łóżku. Poczowała ciężar kilku ostatnich miesięcy. Zasnęła natychmiast.

Wstała, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Kolacja stała na stole. Jak na letnią porę było dziwnie ciemno, a przez okno sączyło się wątle, zielonkawe światło. Wyrzwała w dół na ulicę, sądząc, że to latarnie. Okazało się jednak, że to niebo przybrało szmaragdowy kolor. Edie nigdy nie widziała na Ellesmere tak zielonego nieba. Pasma ciągnęły się przez sklepienie niczym ślady

po czymś, co dawno już minęło. Kobieta patrzyła, jak drżą i falują niczym flaga na wietrze, choć powietrze było spokojne. Mieszkała daleko na północ od owalu zorzowego, więc rzadko widywała światła Północy, a już na pewno nie w tak spektakularnej postaci. Widok zdawał się nasycać ją energią. Kobieta nagle poczuła, że ma w sobie mnóstwo sił.

Było później, niż jej się wydawało. Qila pukała do drzwi już jakiś czas temu, ale nie uzyskała odpowiedzi, więc postanowiła przesunąć posiłek. Na kolację podano gulasz z halibuta i ziemniaki. Chwilę rozmawiały o pogodzie, ale nie było co udawać. W końcu, gdy przeszły do kawy, Edie opowiedziała im o Joem. Mówiła o tym, że tuż przed śmiercią widział zielony samolot, a ona przyjechała na Grenlandię, by odszukać maszynę.

- Johannes Molier - powiedziała Qila i spojrzała na zaskoczoną Edie. - Przecież pracuję na lotnisku. Jak dzieje się coś podejrzanego, to Molier zazwyczaj jest w to zamieszany. - Zawahała się przez chwilę.

— Joe nie był moim biologicznym synem, Qila - powiedziała Edie. - Ale przysięgam ci, że kochałam go tak samo, jak ty kochasz Tomasa i Ortu.

Dwie siostry siedziały przez chwilę w milczeniu. Qila spojrzała na Suusaat. Kobieta pokiwała głową.

— Parę miesięcy temu dwóch rosyjskich antropologów dostało pozwolenie na zbadanie ruin starych domów z kości wieloryba z kultury Thule w pobliżu Etah. Molier ich tam zabrał. Jakiś rybak widział, jak rozkopywali stare groby. - Qila przygryzła wargę. - Władze w ogóle się tym nie zainteresowały. Naszym zdaniem ma to coś wspólnego z Bielowskim. Nasz informator twierdzi, że Rosjanie mieli na sobie firmowe czapki BelOil.

Powoli składały elementy układanki. Do Autisaq i nad Craig mogli przyjechać zupełnie inni ludzie, ale być może pracowali oni dla tego samego mocodawcy. Być może i Zemmerowi, i BelOil chodzi dokładnie o to samo. Edie poczuła, jak mocniej bije jej serce.

— Myślisz, że Bielowski przekupił władze, wykładając pieniądze na centrum sportowe?

— Oczywiście - powiedziała Qila. - W tym roku są wybory.

Suusaat podjęła opowieść.

— I dlatego zostałam wyrzucona z pracy. Bo puściłam parę z ust. Redaktor naczelny „Kangiryuarmit” jest na garnuszku polityków.

— Nie wiemy tylko, jaki interes ma Bielowski w rozkopywaniu grobów - ciągnęła Qila. - Biorąc pod uwagę profil jego firmy, zapewne chodzi mu o ropę, ale przepisy u nas są bardzo surowe. Rząd raczej nie będzie skłonny udzielić mu licencji na wydobywanie. Firma cieszy się złą sławą. Poza tym obecnie stawia się na platformy wiertnicze. Jak dotąd wszystkie próby pozyskiwania ropy na Grenlandii skończyły się fiaskiem. Nie wiadomo, czego szuka Bielowski, ale na pewno nie jest to ropa.

Edie czuła, że zaschło jej w gardle. W jej głowie powoli formował się plan.

- Pokażecie mi drogę do baru „Rat”?

Siostry zmarszczyły brwi i zamilkły.

- Jeżeli naprawdę tego chcesz, to okej - powiedziała w końcu Qila. - Molier zazwyczaj pojawia się tam późnym wieczorem.

Po umyciu naczyń Edie i Qila wyszły razem w szarą noc. Zorza znikła. Drogę oświetlały im światła sączące się z okien monotonnych bloków. Qila zatrzymała się przed obskurnym, dwupiętrowym, pogrążonym w ciemnościach budynkiem.

- To tutaj - powiedziała, wskazując Edie drzwi znajdujące się u szczytu niewielkich stopni. - Musisz zadzwonić dzwonkiem. - Położyła jej rękę na ramieniu.

- Widziałam cię na lotnisku, jak rozmawiałas z Pedrem. Właśnie skończyłam zmianę. Odbieramy pieniądze w biurze tuż obok.

- To dlatego podeszłaś do mnie na przystanku?

Qila wzruszyła ramionami.

- Gdybyś była *qalunaatką*, pewnie bym tego nie zrobiła, ale widziałam, że jesteś Inuitką. I wyglądałaś na *piviniik*. - Cofnęła się lekko. - Jak bezużyteczna rzecz, która chciałaby się do czegoś przydać. — Uśmiechnęła się do niej ostrożnie. - Wiedziałam, że czegoś szukasz. Uważaj na siebie.

Edie odwzajemniła uśmiech.

- Powiedz, że Julia cię przysłała. Czekamy na ciebie w domu. - Kobieta odwróciła się i ruszyła w powrotną drogę.

- Kto to jest Julia? — zawołała Edie.

Kobieta się roześmiała.

- To moje duńskie imię.

Drzwi otworzył jej wysoki, brodaty *qalunaat*. Spojrzał na nią z góry i zmierzył ją wzrokiem. Powiedział coś po duńsku. Edie przedstawiła się i podała imię Julii.

- Szukam Johanna Moliera.

- Nie jesteś z Grenlandii, co? - zapytał płynną angielszczyzną.

- Nie bardzo.

Na twarzy *qalunaata* wykwitł szeroki uśmiech, ale przewodniczka nie potrafiła powiedzieć, czy była to drwina, czy rozbawienie.

- Nowi są u nas zawsze mile widziani.

Poprowadził ją przez ciemny korytarz do drzwi na podwórze. Po drugiej stronie znajdował się dużo mniejszy budynek. Okna piwnicy były zasłonięte żaluzjami, przez które sączyło się nikiłe światło.

- Taka speluna? Teraz już rozumiem, dlaczego ten bar nazywa się „Rat” - mruknęła Edie.

Qalunaat roześmiał się głośno.

- „Rat” to duńskie słowo - powiedział, machając pięścią w górę i w dół. — Chodzi o joystick.

Otworzył drzwi i gestem zaprosił ją do środka.

- Baw się dobrze.

Przewodniczka widziała wystarczająco dużo seriali policyjnych, żeby zorientować się, że znalazła się w czymś na kształt klubu go-go. Kilku mężczyzn, głównie białych, siedziało przy stołach w otoczeniu na wpół roznegliżowanych kobiet, głównie Inutek. Niektórzy grali w karty, inni tylko rozmawiali przy alkoholu. Powietrze było gęste od dymu papierosowego, a Edie czuła też lekki aromat marihuany.

Brodaty *qalunaat* zaprowadził ją do stolika, przy którym siedział wielki blondyn o czerwonej twarzy. Mężczyzna miał jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat i grał w szachy z młodszym, młodszym Inukiem.

- Julia ją przysłała. Zagraniczna.

Obaj mężczyźni spojrzeli na Kiglatuk.

- Zazwyczaj lepiej wyglądają - powiedział ten drugi.

- I są młodsze.

Edie przelknęła ślinę.

- Znajdź sobie kogoś do zerżnięcia, kurdupłu, chciałabym chwilę porozmawiać z twoim kumplem.

Inuk roześmiał się pogardliwie.

- Coś mi się zdaje, że z nas dwojga to ty bardziej potrzebujesz rżnięcia, złociutka.

- Zjeżdżaj stąd - powiedziała Edie.

Mężczyzna pochylił się do przodu i złapał ją za pierś.

Kobieta rzadko posuwała się do agresji, ale czasem nie było wyjścia. I to był właśnie taki moment. Chwyliła stojącą na planszy królową, złapała Inuka za włosy i wcisnęła mu figurę do nosa. Mężczyzna krzyknął. Podniósł dłoń do nosa i wyjął figurkę. Po chwili po jego podbródku ściekła strużka krwi.

- Widzę, że jeżeli chodzi o ciebie to rżnięcie nie potrwałoby więcej niż kilka sekund - powiedziała Edie spokojnie. - Przez kolejne czternaście minut mógłbyś swoją kurwę zabawiać co najwyżej uprzejmą konwersacją.

Mężczyzna wstał, trzymając się za nos, i odszedł od stolika.

Molier spojrzał na nią z podziwem. Edie przedstawiła się imieniem matki, Maggie Kiglatuk.

- Potrzebny mi samolot.

- Dokąd? - Molier przetarł usta dłonią. Nagle zrobił się bardzo wesoły. Najwyraźniej potrzebował pracy.

- Do Qaanaaq.

Mężczyzna się zachmurzył. Machnął ręką lekceważąco.

- Air Greenland lata tam raz w tygodniu. Bilet można kupić na lotnisku.

- Potrzebny mi czarter.

Wiedziała wystarczająco dużo o lotach rejsowych, by zdawać sobie sprawę, że nie było jej stać nawet na bilet w jedną stronę. Poza tym wolała, żeby jej nazwisko nie figurowało w wykazie pasażerów. Plan coraz bardziej się komplikował. Liczyła na to, że na północy uda jej się wysledzić Rosjan. Miała nadzieję, że to ci sami, którzy przylecieli do Autisaq samolotem Moliera, a może nawet przelatywali nad Craig w dniu, w którym znikł Andy Taylor.

- Będzie nas ośmioro. Trzeba nas odebrać z Wyspy Ellesmere'a. - Już miała powiedzieć Autisaq, ale się powstrzymała. Chciała jak najwięcej zachować dla siebie. - Z Kuujuaq. Dałbyś radę?

Molier zastanawiał się przez chwilę.

- A czy wy zazwyczaj nie podróżujecie przez lód?

Edie spodziewała się tego pytania.

- Leciałyby głównie osoby starsze, które chcą odwiedzić rodzinę. Lód w Cieśninie Smitha jest naprawdę niebezpieczny. Poza tym za wszystko płaci rząd.

Nagle Molier wydał się bardzo zainteresowany.

- Zazwyczaj nie latamy do Kanady nad Morzem Baffina, bo wiatry katabatyczne bardzo utrudniają sprawę. Taka podróż sporo by kosztowała, sama rozumiesz, ale mamy doświadczenie. Mój partner, Hans, jest Inukiem, tak jak ty. Potrafiłby przeprowadzić muchę przez tornado.

- No cóż, skoro macie doświadczenie... - Szło jej o wiele lepiej, niż się spodziewała.

- Zabieraliśmy tam naukowców, wiesz, ludzi tego typu. - Pochylił się i rozejrzał wokoło, po czym wskazał jej siedzącego przy barze mężczyznę. — Zawołam Hansa, to go poznasz.

Edie zmrużyła oczy i spojrzała przez kłęby dymu. Natychmiast rozpoznała pilota, który kilka tygodni wcześniej przywiózł do Autisaq dwóch Rosjan. Było coraz bardziej prawdopodobne, że Rosjanie z Qaanaaq to ci sami, którzy jakiś czas temu odwiedzili Autisaq.

- Nie teraz - powiedziała. Szanse, że mężczyzna widział ją na Ellesmere, były bardzo małe, ale nie chciała ryzykować. - Najpierw muszę sprawdzić wasze kwalifikacje.

Molier otworzył paczkę papierosów i poczęstował Edie.

- Bądź tak miła, Maggie i usiądź, proszę.

Przewodniczka usiadła.

- Licencje, pozwolenia, wszystko mamy.

- Myślałam bardziej o próbnym locie. Następnym razem jak będziecie lecieć do Qaanaaq,

możecie mnie zabrać ze sobą.

Molier spojrział na nią badawczo.

- Bardzo nam zależy na komforcie naszej starszyny.

Mężczyzna pokiwał głową, zaciągnął się papierosem i zgasił go na stole.

- Co mi szkodzi - powiedział w końcu. - Bądź o piątej pod kościołem Egede'a. - Spojrział na zegarek. - To za siedem godzin. Mamy towar do zawiezienia, możesz zabrać się z nami. Jeżeli pogoda będzie tak dobra, jak przewidują prognozy, to jutro po południu będziemy w Qaanaaq.

Na ulicy znalazła budkę telefoniczną. Wybrała numer Dereka Pallisera. Nie spodziewała się, że tak ucieszy ją dźwięk jego głosu. Rozmowa była krótka. Powiedziała mu, że leci do Qaanaaq. On zapytał, dlaczego, ale Edie nie mogła mu jeszcze nic wyjaśnić. Nie spodobało mu się to, ale kobieta chciała mieć stuprocentową pewność, zanim wyjawi mu swoje podejrzenia. Chodziło chyba o jej dumę.

Rozłączyła się i ruszyła w drogę powrotną do Bloku 7. Gdy otworzyła drzwi do mieszkania Qili, dzwon w kościele Hansa Egede'a wybił właśnie dwudziestą drugą. W środku panowała cisza; z jednego z pokoi dobiegał cichy odgłos oddechu. Salon i aneks kuchenny oświetlała mała lampka. W ekspresie była gorąca kawa, a obok leżała kartka z pełnymi błędów ortograficznych instrukcjami, jak włączyć ciepłą wodę. W sypialni Edie znalazła wycinek z gazety. Suusaat przypięła do niego notatkę.

„Bielowski trzeci z lewej w drugim rzędzie”.

Zdjęcie przedstawiało dwudziestu kilku białych mężczyzn ustawionych w tradycyjnym szeregu. Większość z nich miała około czterdziestu czy pięćdziesięciu lat. Fotograf ustawił ich w dwóch rzędach, przy czym pierwszy rząd siedział na krzesłach. Reszta stała.

Pod zdjęciem widniał podpis, najprawdopodobniej po duńsku, z jednym wyjątkiem - zapisanymi kursywą słowami „Arctic Hunters Club”, Klub Myśliwych Ark-tycznych. Stojący jako trzeci z lewej *qalunaat* był wysoki i barczysty, miał szyję morsa i oczy orki. Zazwyczaj białych mężczyzn, którzy przyjeżdżali do Arktyki, można było podzielić na dwie grupy (i niemal zawsze byli to mężczyźni, choć czasami zdarzało się, że ktoś zabrał ze sobą żonę, by polowała na kaczki, gdy on będzie próbował ustrzelić niedźwiedzia): typ szczupłego melancholika i samiec alfa z przerostem ego. Zdjęcie było wydrukowane w słabej jakości, ale Edie od razu zorientowała się, że Bielowski zdecydowanie należał do tej drugiej grupy.

Położyła się na łóżku i próbowała przespać się przed wyjściem. Uczucie, że kolejny fragment układanki jest na wyciągnięcie ręki, nie dawało jej spać. W końcu spojrziała na zegarek i postanowiła wstać. Siostry wciąż spały. Wypiła resztę kawy. Płyn był gorzki jak żółć morsa, ale przynajmniej pomógł jej się dobudzić.

Wzięła do ręki zdjęcie i właśnie miała wrzucić je do torby, gdy jej wzrok przyciągnęła znajoma twarz. Na skraju pierwszego rzędu po prawej, siedział niski, łysawy mężczyzna, który wyglądał, jakby kolacje biznesowe były dla niego formą sztuki. Zmrużyła oczy i przyjrzała się zdjęciu nieco bliżej. Mężczyzna miał co prawda szczeci-nowatą brodę, ale poza tym nie było żadnych wątpliwości. Patrzyła na Feliksa Wagnera.

Jej przecucia się potwierdziły. Wiedziała, że Taylor był powiązany z Rosjanami poprzez zielony samolot, a z Wagnerem łączyły go wspólne interesy z firmą Zemmer Energy. Zdjęcie potwierdzało, że Wagner znał się też z Bielowskim. Czy ci dwaj Rosjanie na północy mogli mieć jakieś kontakty z Wagnerem? Dla kogo właściwie pracował Wagner — dla Zemmer Energy czy dla BelOil? I która z tych firm odpowiadała za jego śmierć?

Stąpając na palcach, by nie obudzić swych nowych znajomych, Edie wrzuciła szczoteczkę do zębów i bieliznę z powrotem do plecaka, schowała zdjęcie i wyszła na ulicę. Amplituda temperatur w Nuuk, miejscowości wysuniętej na południe o wiele bardziej niż Autisaq, była dość

wysoka. Wkrótce gęsta, zapowiadająca świt mgła sprawiła, że kobieta przemarzła na kość. Chciała jednak jak najszybciej dotrzeć na miejsce, więc nie wróciła po dodatkowy sweter. W nocy długo zastanawiała się, co powinna zrobić po dotarciu do Qaanaaq. Nigdy jednak nie potrafiła planować dalej niż kilka godzin w przód.

Nie była pewna, czy Molier jej nie oszukał. Zdecydowała, że jeżeli mężczyzna nie pojawi się do 5.15, pójdzie na lotnisko i będzie tam na niego czekać do skutku. Instykt podpowiadał jej, że musi być ostrożna. Szła prosto w ogień, ale czuła, że zbliża się do celu.

Równo o piątej usłyszała dźwięk silnika. Po chwili z mgły wyłonił się stary džip. Gdy samochód się zatrzymał, Molier otworzył drzwi i wpuścił ją do środka. Na tylnym siedzeniu siedział pilot, Hans. Wydawało się, że jej nie rozpoznał.

- Hej. — Edie rzuciła mu uprzejme spojrzenie, ale Inuk nawet nie zareagował.

Lotnisko było niemalże puste. Nocny strażnik skinął głową na Moliera i przepuścił ich przez bramę. Dżip podjechał na zaplecze i zatrzymał się przy rozklekotanym, na wpół prowizorycznym budynku, w którym stały rzędy zamykanych na zamek szafek. Molier otworzył jedną z nich, wyjął z niej teczkę i wrzucił ją do torby.

Edie pomogła im załadować do samolotu kilka pudeł. Godzinę później maszyna wystartowała. Przebili się przez niskie, letnie chmury i skierowali z wiatrem na zachód. Na wysokości tysiąca dwustu metrów Molier — bo to on usiadł za sterami - zaczął powoli skręcać na północ. Gdy zostawili Nuuk za sobą, mężczyzna zaciągnął roletę, wyjął teczkę i zaczął robić w niej jakieś notatki. Hans siedział obok niego i wyglądał przez okno pogrążony w myślach.

Pod nimi rozpoczynał się właśnie brzask nawigacyjny. To musi być dziwne, pomyślała Edie, całe życie spędzić na południu, poniżej koła podbiegunowego, i ani razu nie widzieć słońca o północy ani nie przeżyć aksamitnej czerni polarnego dnia zimowego. Żal jej było południowców, nawet Inuitów. Zwłaszcza Inuitów.

Wiatr nabral na sile. Wbili się w ciemną, gęstą chmurę. Samolot zaczął trząść się i podskakiwać, po czym gwałtownie obniżył lot, by po chwili znów wzbić się wyżej. Edie się nie bała; w każdym razie nie bardziej niż podczas podróży łodzią przez letnie morze, ale wstrząsy sprawiły, że zrobiło jej się niedobrze. Zaczęła przypominać sobie w myślach sceny z *Gorączki złota*, by jakoś odwrócić uwagę od nudności.

Wkrótce pomiędzy chmurami zobaczyła wielki, niebieski księżyc zatoki Disko, od północy ograniczonej fiordem Umanak, a od wschodu podnóżami lodowca Kangia. Za lodowcem, aż po horyzont, rozciągała się równina Sermaq Kujjaleq.

- Zapamiętaj sobie ten widok! - krzyknął Molier. - I pomachaj mu na pożegnanie. Za dwadzieścia lat nic z tego nie zostanie... - dodał, przeciągając dłoń w poprzek gardła.

Po chwili minęli kilka palczastych fiordów, mniejszych i węższych niż te na Wyspie Ellesmere'a, usianych drobnymi kłębkami karłowatych świerków.

Nieco później przewodniczka poczuła ucisk w żołądku i dzwonienie w uszach. Samolot podchodził do lądowania, a ona najwyraźniej zasnęła. Rzęsy miała oblepione drobną skorupą, jakby kryształkami lodu, i chyba jej się coś śniło. Przemierzali właśnie wysokie, pierzaste chmury, a pod nimi rozciągało się czarne, bazaltowe wybrzeże. Na wschodzie ciemna skała ustępowała pasiastym gnejsom. W oddali, między fiordami i otwartymi zatokami, kotłowało się morze. Nie było już żadnych drzew.

Lecieli na północ. Na powierzchni morza pływało coraz więcej kry. Około południa minęli rozsiane na pewnym dystansie budynki bazy lotniczej Thule, nieco na południe od Qaanaaq. Po drugiej stronie niebiesko-zielonych wód Cieśniny Smitha widać było brzegi Wyspy Ellesmere'a. Edie poczuła, jak zalewa ją fala paniki. To, co robiła, było lekkomyślne, nieprzemysłane. Wiedziała przecież już, że Wagner i Taylor - a może nawet Joe? - byli tylko pionkami w czymś o

wiele, wiele większym.

Daleko pod nią wirowały niezliczone odłamki wiedzione tajemniczym prądem.

- To śmieci! - krzyknął Hans, widząc jej pytające spojrzenie. - Pewnie wyrzucono je z jakiegoś statku rejsowego.

Widok przypominał Edie raczej zdjęcia galaktyk ze szkolnych podręczników. Aibo czarną dziurę.

Powoli zaczęli obniżać lot. Gdy w końcu znaleźli się nad Qaanaaq, samolot minął źródło wiru - ogromny statek zakotwiczony w porcie. Na nabrzeżu tłoczyli się uzbrojeni w aparaty *qalunaaci*.

- Tak jak mówił Hans, to zwykłe śmieci - powiedział Molier sucho.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Edie i Hans stali przy wejściu do magazynu. Molier siłował się z kłódką.

- Szeff mówi, że masz tu rodzinę - powiedział Hans. - Ja urodziłem się w Siorapaluk, to mniej niż jeden dzień drogi stąd. - Dialekt, w którym mówił mężczyzna, był dla Edie o wiele łatwiej zrozumiały niż gwara z Nuuk. Nazwał go inuktun, polarną odmianą inuktitut.

- Dlaczego wyjechałeś na południe?

- Sprzedałem się, co tu dużo mówić - westchnął Hans. - A teraz pracuję dla tego skurczybyka. Tobie chyba wcale nie chodzi o rodzinę, prawda? - Spojrzał na nią badawczo.

Edie się tego nie spodziewała. Wbiła wzrok w ziemię i gorączkowo próbowała znaleźć jakąś odpowiedź.

- Nie przejmuj się, przecież nikomu nie powiem.

Mike w końcu otworzył kłódkę. Magazyn był pogrążony w mroku. Za rzędem skrzyń znajdowało się niewielkie pomieszczenie mieszkalne z dwoma śpiworami, piecykiem elektrycznym i kuchenką. Mężczyzna wszedł do środka, a Hans podszedł do terenówki i zaczął rozładowywać skrzynie. Przewodniczka podążyła za nim.

- Jak się domyśliłeś?

- Cały samolot pachniał twoim strachem.

Molier wyszedł z magazynu.

- Nie chciałbym przerywać tej uroczej pogawędki dwojga rdzennych mieszkańców, ale mamy z Hansem trochę roboty.

Inuk pokazał kciuk swojemu szefowi.

- Nic nie rozumie i wkurza go to - powiedział w inuktun.

Molier chrząknął.

- Poza tym ty chyba chciałaś odwiedzić jakąś rodzinę, prawda? - zapytał.

Edie spojrzała na Hansa, ale wyglądało na to, że Inuk nie zamierza jej wydać.

- Z tego co wiem, to gdzieś wyjechali - skłamała. — Pokręcę się po mieście, aż po mnie przyjdziecie - dodała z wymuszoną lekkością.

Molier machnął dłonią w kierunku magazynu.

- Jakbyś chciała się na coś przydać, to postaw wodę na kawę.

Mężczyźni wrócili do samolotu. Edie weszła do budynku i się rozejrzała. Na przybitych do drzwi hakach wisały sznury, odzież nieprzemakalna i harpun. Na półce obok stały stare prymusy i pudełko z amunicją. Na płachcie na podłodze, niemal niewidoczna spomiędzy sterty przeżartych rdzą puszek, leżała stara strzelba, dwudziestka dwójka, pokryta grubą warstwą kurzu. Torba Moliera leżała na stole obok łóżka polowego.

Edie szybko otworzyła zamek i wyjęła teczkę z dziennikami lotów. Cofnęła się do kwietnia, żeby przejrzeć listę pasażerów i załadunek. Palcami nerwowo przerzucała strony, by w końcu znaleźć to, czego szukała. „22 kwietnia, Qaanaaq - Craig O, R Raskolnikow, P Pietrowicz”. Obok widniała adnotacja „kontant” i kwota w dolarach. Tymi samymi nazwiskami posłużyli się dwaj pseudomyśliwi, których Sammy zabrał na Craig. Coraz bardziej prawdopodobne było, że ci sami mężczyźni przelatywali nad wyspą w dniu, w którym znikł Andy Taylor.

Z zewnątrz dobiegły ją odgłosy kroków. Edie ledwo zdążyła wcisnąć teczkę do torby.

- Kawa gotowa? — zapytał Molier, wchodząc do środka.

— Sam sobie zrób kawę. Właśnie mi się przypomniało, że mój kuzyn wspominał, że może wróci nieco wcześniej. Muszę iść. - Kobieta już się zastanawiała, jak dostać się w pobliże Etah. - Złapię powrotny samolot w przyszłym tygodniu. A co do czarteru, to będziemy w kontakcie.

Do miasteczka podwiózł ją pracownik lotniska. Qaanaaq przypominało inne grenlandzkie osady

- rzędy pomalowanych na jaskrawe kolory dachów kształcie litery A przykrywających kamienne domostwa. Nieopodal znajdował się w miarę sensowny port i dwa budynki, które służyły zapewne jako kościół i sklep. Edie była zaskoczona liczbą *qalunaatów*, którzy włóczyli się po ulicach niczym głodne niedźwiedzie.

Większość była odziana w nowe, zapewne niebotycznie drogie ubrania sportowe. Inuici wyglądali przy nich niemal śmiesznie.

Szła przez miasteczko z plecakiem przewieszonym przez ramię. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Po jakimś czasie dotarła do urzędu pocztowego, w którym znajdował się również punkt informacji dla turystów i naukowców. Wiedziała, że nie uda jej się z powodzeniem udawać ani jednego, ani drugiego, ale i tak weszła do środka.

Siedzący za biurkiem Inuk spojrzał na nią i uśmiechnął się pytająco. Odwzajemniła powitanie swobodnym uśmiechem.

- Pracuję w pralni na statku - odezwała się w inukti-tut. - Ale dorabiam trochę na boku jako przewodniczka.

- Jasne - odpowiedział mężczyzna, również w inuktitut, i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Przedstawił się jako Erinaq. - Przyjechałaś z wody, prawda?

Edie czuła, że jest po jej stronie.

- Stamtąd wyruszyłam, tak. - Kobieta próbowała odszukać swój najbardziej ujmujący głos. — Potrzebna mi łódź i trochę sprzętu rybackiego.

Inuk posmutniał.

- Nie da rady. Wszystkie łodzie, które są jeszcze w przystani, zostały zarezerwowane przez turystów. Nie znajdziesz łodzi na wynajem w Qaanaaq, dopóki nie odpłynie „Arktyczna Księżniczka”, a to dopiero za parę dni.

Mężczyzna patrzył na jej dłonie. Zapadła pełna napięcia cisza.

— Słuchaj, może pracuję za biurkiem, ale jestem jednak Inukiem - odezwał się w końcu. - Dobrze wiem, jak wyglądają odciski od strzelby. Albo potrafisz prać ubrania, strzelając, albo polujesz bez zezwolenia.

Edie wzruszyła ramionami.

— Jeżeli nawet, to co z tego?

Erinaq uśmiechnął się szeroko.

— Powodzenia. Jeżeli o mnie chodzi, to zezwolenia są dobre dla *qalunaatów*.

Poszła na przystań, gdzie zacumował statek pasażerski. Zastanawiała się, co teraz.

Najrozsądniej byłoby zapewne powiedzieć Molierowi, że jednak wraca z nim do Nuuk i zaczekać na Rosjan na miejscu - przecież w końcu będą musieli wrócić. Od razu jednak odrzuciła to rozwiązanie. Zbyt wiele niewiadomych. Poza tym była w nastroju na atak. Wmawiała sobie, że jeżeli Joe został zamordowany, a firma BelOil miała z tym coś wspólnego, to łatwiej będzie stawić czoło Rosjanom tu i teraz, gdy najmniej się tego spodziewają i - jak podejrzewała

— nie mają żadnego wsparcia. Jeżeli będzie miała szczęście, to uznają, że wybrała się na ryby lub na polowanie. Jeżeli będzie miała pecha - a oni paranoję - to zapewne pomyślą, że chce ich powstrzymać przed wykopywaniem zwłok. Z drugiej strony szanse, że przestraszą się samotnej kobiety, były naprawdę niewielkie. Dopóki, oczywiście, sama się z czymś nie wysypie.

Potrzebowała łodzi i strzelby. Z tym ostatnim nie było problemu, w końcu wystarczyło

wykraść ją z magazynu Moliera. Gorzej z łodzią.

Siedziała pogrążona w myślach, gdy nagle podszedł do niej jakiś mężczyzna.

- Będziesz dzisiaj na imprezie dla załogi?

- Nie jestem zaproszona.

Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Spojrzała na statek i policzyła punkty ratunkowe. Było ich cztery, w każdym znajdował się dmuchany ponton.

- Ale chętnie bym wpadła - dodała.

- Fajnie. - Mężczyzna puścił do niej oko. — Zaczynamy o dwudziestej pierwszej. Powiedz strażnikom, że przysłał cię Nils.

Edie mrugnęła zalotnie.

Z przystani poszła prosto do sklepu. Kupiła kilka plastrów muktuku i suszone mięso karibu. W urzędzie pocztowym była mała kawiarnia, w której zamówiła słodką herbatę i jakiś rodzaj gulaszu. Nikt nie zwracał na nią specjalnej uwagi.

O osiemnastej kawiarnię zamknięto. Księżyc powoli wznosił się na niebie. Zbierało się na przypływ. Edie opracowała już plan działania. Do magazynu Moliera szło się piechotą godzinę, może nieco dłużej, jeżeli droga okaże się trudna do przebycia. W drugą stronę może być nieco trudniej z uwagi na obciążenie. Gdy już dostanie się na statek i spuści ponton na wodę, będzie musiała znaleźć jakąś kryjówkę, która pozwoli jej wymknąć się niepostrzeżenie, kiedy załoga upije się lub położy spać.

Na lotnisko dotarła dość sprawnie. Szła powoli, żeby się nie spocić. Pod koniec musiała czołgać się pod górę okalającego pas startowy wzniesienia, żeby nikt jej nie zauważył. Z torby wyjęła tłumiki z futra zajęczego i owinięła nimi buty. Wiatr szalał po pustym lotnisku, łopocząc flagami i wprawiając liny w drżenie. Było głośno, ale Edie nie chciała ryzykować — okolica pokryta była żwirem, a trzeszczenie mogłoby zaalarmować strażników.

Dotarła na drugą stronę lotniska i zaczęła iść powoli, pod wiatr, w kierunku magazynu Moliera. Nie była pewna, czy strażnicy nie trzymają psów. Skradała się niczym zwierzę, krok za krokiem, na ugiętych kolanach

- oddech płytki i spokojny, plecy napięte. W końcu dotarła na tyły magazynu. Przykucnęła, chroniona przed wiatrem, i przycisnęła ucho do ściany, za którą leżeli mężczyźni.

Przekradła się pod drzwi i powoli zaczęła je otwierać. W środku było ciemno. Mężczyźni chrapali miarowo. Strzelba i harpun leżały tam, gdzie wcześniej -przy ścianie obok wejścia. Najpierw sięgnęła po broń. Powoli, uważnie podniosła ją z płachty. Teraz trzeba było zdobyć amunicję. Przesunęła kciukiem wzdłuż półki, aż dotarła do zagłębienia w drewnie. Odmierzyła dwie długości lewą dłonią, po czym podniosła prawą i chwyciła wieko kartonowego pudełka. Po omacku szukała otwarcia. W końcu podniosła opakowanie i powoli wsunęła je do torby. Amunicja wpadła do środka, cicho szeleszcząc o nylon.

Edie znieruchomiała. Wbiła wzrok w ciemność i wyteżyła słuch. Wciąż słyszała chrapanie, które powoli przechodziło w coś na kształt syku zaskoczonej foki. Kobieta rozluźniła się i jeszcze raz sięgnęła przed siebie.

Potrzebowała już tylko liny, siatki i harpuna. Z siatką poszło gładko; przewinęła ją wokół plecaka i zabezpieczyła gumką. Gorzej poszło jej z harpunem, który na moment utknął między ścianą a wiszącą półką. Edie powoli wycięła w drewnie otwór. Harpun odskoczył. Ostrożnym ruchem wysunęła go z uchwytu. Na razie będzie musiała go nieść w rękę.

Nadszedł czas, by zająć się liną. Odmierzyła piętnaście długości dłoni od miejsca, w którym znajdował się wcześniej harpun. Z tyłu pomieszczenia ktoś poruszył się we śnie. Edie odczekała, aż mężczyzna znów zacznie miarowo oddychać. Uspokoila bicie serca. Powoli sięgnęła po linę. Najpierw chciała tylko sprawdzić jej grubość - wiedziała, że będzie musiała zdjąć cały zwój z

haka za jednym razem. Próbowwała ją zważyć w prawej dłoni; w lewej wciąż trzymała harpun. Sznur wykonany był z konopi, nie z poliestru, jak sądziła wcześniej. I w związku z tym był cięższy. Zarzuciła strzelbę nieco dalej na ramię, by upewnić się, że nie spadnie, po czym pochyliła się i powoli podniosła zwiniętą linę. Nagle coś upadło na ziemię. Edie spojrzała w głąb magazynu. Zobaczyła jakiś błysk. Skupiła cały wzrok w jednym punkcie, żałując, że jej oczy nie przyzwyczajają się do zmroku szybciej. W końcu dostrzegła dwa niewielkie ogniki. Ktoś na nią patrzył.

Panowała głucha, nieznośna cisza. Edie wciąż mrużyła oczy, wytężając wzrok. Prawa dłoń bezwiednie puściła linę i powędrowała nad brwi. Zobaczyła Hansa, pilota. Nikłe światło zgasło. Kobieta zanurzyła się w morzu brązu i pomarańczowych ogników. Sięgnęła po broń, ale zdała sobie sprawę, że jest już za późno i za ciemno. Ścisnęła harpun w dłoni. Mężczyzna nie spuszczał z niej wzroku, ale się nie poruszał. W końcu usłyszała szorstki, nagłący szept. Inuktun.

- *Aivuuq!* Biegnij!

Przewiesiła linę przez ramię i wycofała się do drzwi. Za progiem puściła się biegiem, poruszając się jak na nartach przez mokry torf, tak jak kiedyś nauczyła ją matka. Mózg pracował jak oszalały, wyświetlając sceny pościgów z dziesiątek filmów, które znała już na pamięć. Z ust buchała jej para. Gdy dotarła na drugą stronę lotniska, postanowiła się obejrzeć. Nikt jej nie gonił.

Po jakimś czasie się zatrzymała, zdjęła tłumiki i pospiesznie przepakowała torbę. Nie widziała już magazynu Moliera, a tundra wokoło świeciła srebrzystym, niebieskawym poblaskiem. Odwróciła się w kierunku przystani. Wokoło panowała ciemność, ale nawet z daleka widać było łunę statku. Pobyt w Nuuk wydawał jej się tak odległy, jakby była tam w innym życiu. Wzięła głęboki oddech i ruszyła w kierunku morza.

Do statku dotarła już dobrze po północy. Trap był spuszczonej. Fale lekko kołysały łodzią. Na pokładzie nie było nikogo, ale spod desek dobiegały ciche dźwięki muzyki. Powietrze pachniało mrozem. Przystań była pusta.

Edie rozejrzała się wokoło i weszła na trap. Statek był starszy i bardziej zniszczony, niż się wcześniej wydawało - farba się łuszczyła, gdzieś widać było cienką warstwę rdzy. Muzyka wydawała się dużo głośniejsza niż na nabrzeżu.

Wślizgnęła się na pokład i znów ostrożnie się rozejrzała. Ani śladu strażników. Wyglądało na to, że wszyscy zeszli pod pokład i cieszyli się wieczorem bez pasażerów. Co jakiś czas kobiecy śmiech wznosił się ponad muzykę, a podmuch wiatru niósł ze sobą wąty zapach alkoholu. Jeżeli wszystko pójdzie gładko, za kilka minut będzie już siedziała w pontonie. Znowu poczuła, że szczęście jej sprzyja. Powoli zaczęła skradać się na rufę statku. Wyobrażała sobie, że gra w starej komedii i właśnie ma zrobić coś niesamowitego; coś ogromnie ryzykownego, może nawet szalonego, czego tylko ona może dokonać. Wracala jej odwaga. Oczyma duszy widziała widownię w kinie, która zerka na nią zza zroszonych potem palców i wstrzymuje oddech, by jak najmocniej jej kibicować.

Dotarła do kabiny kapitana, i właśnie w tym momencie, zupełnie bez ostrzeżenia, drzwi się otworzyły i ukazała się za nimi twarz mężczyzny. Zza jego pleców sączyło się wątle światło korytarza. Przez chwilę wydawało się, że jej nie zauważył i być może udałoby jej się jakoś wycofać, ale mężczyzna spojrzał na nią i uśmiechnął się rozlazłym, pijanym uśmiechem. Gdy wyszedł na pokład, Edie wzruszyła ramieniem, żeby ukryć strzelbę.

Mężczyzna przyglądał się jej jakiś czas, po czym powiedział coś po duńsku. Przewodniczka znów wzruszyła ramionami. Miała nadzieję, że niespodziewany przybysz zrozumie aluzję i wycofa się pod pokład.

- Jesteś stąd? - zapytał, tym razem po angielsku.

Edie potaknęła.

- Duński bardzo zły. Ja sprzątać.

- Aha — powiedział mężczyzna i pstryknął się palcem w nos. — My dzisiaj sporo nabałaganimy. - Chyba był zadowolony ze swojego dowcipu. — Będiesz miała sporo do roboty.

Wycofał się z powrotem i zamknął drzwi. Edie widziała, jak jego cień przesuwa się wzdłuż przejścia pasażerskiego.

Uspokoila oddech i wślizgnęła się na rufę, omijając stosy lin i łańcuchów. Podeszła do stanowiska z pontonem. Guma była w nie lepszym stanie niż cały statek, ale przynajmniej ktoś przykrył silnik płachtą. W środku znajdowały się wiosła, kilka zwojów liny, koło ratunkowe i dwa duże kanistry z benzyną i wodą. Ponton przymocowany był do wciągarki, pod którą znajdowały się metalowe drzwiczki z panelem kontrolnym. Niepewnie przycisnęła guzik obniżania. Rozległ się głośny dźwięk. Zamarła, czekając, aż pobliskie drzwi otworzą się z hukem i wysypią się z nich strażnicy. Chwyciła torbę, strzelbę i harpun i wrzuciła je pod płachtę. W ten sposób mogła przynajmniej udawać niewinność; wmówić wszystkim, że wspięła się na łódź, żeby wypatrywać fok.

Szybkim ruchem przymocowała linę do knag na pokładzie, po czym przewinęła ją przez wciągarkę i związała. Wyjęła kawałek muktuku z torby i naoliwiła nim mechanizm i uchwyt. Powoli, ostrożnie, zaczęła odkręcać wciągarkę i wypuszczać z dłoni kolejne porcje sznura. Tłuszcz pomógł; słychać było jedynie cichy szelest liny obracającej się wokół bębna.

Wróciła do pontonu i nożem wyswobodziła go z cumowania, czekając, aż łódka ustabilizuje się i będzie mogła powoli poluzować liny. Z drugiej strony statku dobiegły ją głośne okrzyki. Ktoś chyba próbował śpiewać *I will survive*. Łódź powoli opuszczała się na wodę. Edie zablokowała dźwignię wciągarki i przywiązała sprzęt do liny, żeby spuścić go do pontonu. Teraz nie było już odwrotu. Wzięła głęboki oddech, chwyciła linę i zaczęła opuszczać się wzdłuż burty.

Po chwili była już w pontonie. Złapała się uchwytów i usiadła. Przecięła mocowania i odepchnęła się od statku. Wiosłowała miarowo po bezkresnym, ciemnym morzu, które na horyzoncie płynnie przechodziło w niebo. Wiosła co chwilę obijały się o lód i krę. Płynęła wzdłuż linii brzegowej, ale trzymała się na dystans, aż w końcu Qaanaaq było już tylko niewielką luną światła na horyzoncie. Dopiero wtedy zbliżyła się do wybrzeża.

Spała w zacumowanym przy plaży pontonie. Obudziło ją kredowe, matowe światło letniego świtu. Zagotowała wodę i wrzuciła do niej kawałek suszonego mięsa. Nie знаła tutejszych terenów, ale powtarzana przy każdej okazji opowieść o podróży Welatoka sprawiała, że wybrzeże wydawało jej się dziwnie znajome. Zamierzała zatrzymać się w Siorapaluk, ostatniej osadzie na Północy, kupić coś do jedzenia i dowiedzieć się, jak bezpiecznie dotrzeć do Etah i rezerwatu.

Silnik ruszył z łoskotem, niemal wyrrywając jej ramię. Wiatr jej sprzyjał, więc w okolicach południa wyraźnie widziała już okruchy dachów wtulonych w niskie klify. Ptaki tłoczyły się na nich w takich ilościach, że domostwa przypominały tętniące życiem mrowiska. Woń odchodów była niemal nie do zniesienia. Wiedziała, że wkrótce ptaki wyruszą w podróż na południe.

Wpłynęła do niewielkiej zatoki i zacumowała przy długim molo. Dwóch chłopców i dziewczynka w wieku sześciu czy siedmiu lat przyglądali jej się z podekscytowaniem i lękiem.

- Jesteś z rządu? - zapytał jeden z nich.

Edie pokazała na drugą stronę cieśniny.

- Nie, stamtąd.

Dzieci spojrzały po sobie, jakby jeszcze nigdy o czymś takim nie słyszały.

- *Illiyardjuk*, porzucone dziecko? - odezwała się w końcu dziewczynka.

- *Immaluk*. - Wiele lat temu.

- Kim teraz jesteś? — zapytała dziewczynka, tym razem nieco pewniej.

Edie zastanawiała się przez chwilę.

- *Saunerka*. - Kością.

Odkąd umarł Joe, czuła się jak pusta rama jakiejś niedokończonej duszy. Dzieci roześmiały się i zaprowadziły ją do sklepu, biegnąc wokół niej i wznosząc radosne okrzyki. *Saunerka!* *Saunerka!*

Sprzedawcą był krępy, niski Inuk o bladej twarzy. Chodził za nią po całym sklepie i udawał, że ocenia ilość towaru. Ona tymczasem udawała, że go nie zauważa, i spokojnie przeglądała amunicję, liny, nóż do odkrawania sadła i nowy plastikowy kanister na wodę. Wzięła też dużą puszkę syropu, trochę słodczy i herbatę w torebkach.

— Polowanie? - zapytał sprzedawca przy kasie.

- Można tak powiedzieć.

Mężczyzna spakował zakupy do plastikowej torby. Spojrzał jej w oczy. Nie było to przyjazne spojrzenie. Wcisnął jej resztę w dłoń tak mocno, że monety zostawiły okrągłe, czerwone ślady.

Zaniosła torbę z zakupami do pontonu. Po drodze nie spotkała nikogo. Gdyby nie dzieci, wydawałoby się, że osada wymarła. Podczas spływu mijala czasami letnie obozowiska. Stada ptaków i osłoniętych od wiatru zatok podpowiadały jej, że w okolicy dobrze się poluje. Ludzie pewnie byli zajęci gromadzeniem mięsa na długie miesiące ciemności.

Edie poczuła nagle, że tęskni za domem. W zeszłym roku o tej porze polowała na fokę z Joem. Teraz poszukiwała prawdy, jakby próbowała gołymi rękami złowić rybę w mętnej wodzie. Nie było jej dobrze widać; tylko od czasu do czasu coś błysnęło. A gdy już, już miała ją złapać, ryba wymykała się jej z rąk.

Dawno już porzucone, torfowe chaty Etah wtulone były w podnóża niewielkiego fiordu otoczonego górzystymi graniami pełnymi zakamarków dających schronienie traczykom. Ptaki powoli przygotowywały się do powrotu na morze, tak jak ich bracia z Siorapaluk, ale na razie jeszcze powietrze pełne było zgiełku i smrodu. Harmider był tak ogromny, że na lądzie nikt nawet nie usłyszałby warkotu silnika, Edie postanowiła jednak nie ryzykować. Wyłączyła maszynę i zaczęła wiosłować.

Po drugiej stronie fiordu ktoś zacumował motorówkę. W okolicy nie było jednak ani śladu podejrzanych. Kobieta znalazła niewielkie, osłonięte wgłębienie w skale, z którego można było zejść na plażę. Przymocowała ponton do brzegu za pomocą liny. Najpierw trzeba było znaleźć tych mężczyzn, a potem co?

Próbowała sobie wyobrazić, jak przyznają się do winy, a elementy układanki w końcu składają się w jedną, prostą całość, tak jak to bywało w starych, niemych filmach. Z góry wiadomo było, kto jest zły, a kto dobry, i jak wszystko się skończy. Co miała z nimi zrobić? Zabić ich? Jeżeli to oni zabili Joego, bez wahania pociągnęłyby za spust. Edie czuła jednak, że nic nie jest takie proste. Wiedziała, że natknęła się na fragment czegoś o wiele ważniejszego, niż tylko Taylor i Wagner, ważniejszego nawet niż Joe. Rosjanie prawdopodobnie też byli tylko pionkami, śrubkami w wielkiej, skomplikowanej maszynie, która miała zmienić Arktykę w krainę podporządkowaną człowiekowi i jego wiecznie niezaspokojonym potrzebom.

Pomyślała, że mogłaby zagonić mężczyzn do motorówki, trzymając ich na muszce, po czym popłynąć z nimi na Wyspę Ellesmerea. A potem? Wciąż będą setki kilometrów od najbliższej osady. Może lepiej byłoby zostawić ich na wybrzeżu i pojechać do Autisaq po pomoc. Ryzykowałyby jednak, że zaatakują ich niedźwiedzie albo wilki.

Pomyślała jeszcze raz o Joem. Była już całkiem pewna, że widział, jak zamordowano Andy'ego Taylora. Potem ktoś postanowił uciszyć i jego. Nie wiedziała jednak, jak do tego doszło. Przecież ktoś w osadzie musiałby zauważyć lądujący samolot czy nawet nieznamy skuter.

Przypomniła sobie Feliksa Wagnera i ślad buta z wytłoczonym na podeszwie niedźwiedziem. Wszystko wskazywało na to, że Rosjanie - a przynajmniej ich łącznicy w BelOil — mieli w Autisaq swojego człowieka. A to oznaczało, że Joe znał swojego zabójcę. Edie poczuła, że robi jej się słabo. Jak ktoś, kto znał jej pasierba, mógłby odebrać mu życie? Myśl o tak wielkiej zdradzie przyprawiła ją o mdłości. Miała tylko nadzieję, że Joe nie widział twarzy mordercy.

Powoli robiło się szaro, a chmury były zbyt gęste, by mogły się przez nie przebić promienie słońca czy światło księżyca. Edie ogarnęło nagle wyczerpanie. Zdała sobie sprawę, że od śmierci Joego nie przespała w całości ani jednej nocy. Musiała odpocząć. Była pewna, że bez problemu znajdzie Rosjan. Na tej bezkresnej przestrzeni nie można było ukryć się przed kimś, kto wiedział, czego szuka. Znajdzie ślady, wgłębienia w torfowisku, połamane gałęzie i pozostałości po ognisku.

Przecięła kamienistą plażę i wdrapała się z powrotem do pontonu. Przykryła się płachtą, pociągnęła spory łyk wody z kanistra i wyjęła z plecaka kawałek muktuku. Marzyła o ciepłej, słodkiej herbacie.

Obudziła się nagle z poczuciem, że coś dotyka jej głowy. Zobaczyła pistolet. Trzymał go chudy Rosjanin, który przyjechał kilka miesięcy temu do Autisaq, by polować na kaczki. W pewnym sensie poczuła ulgę. Poszukiwania można było uznać za zakończone. Doszło wreszcie do spotkania, chociaż nie do końca tak je sobie wyobrażała. Jej przecucia się jednak potwierdziły - byli to ci sami mężczyźni, którzy - jeśli wierzyć Qili i Suusaat - pracowali dla BelOil.

— Dobrze ci się spało, Maggie Kiglatuk?

Sprawa była tak oczywista, że Edie miała ochotę kopnąć się w kostkę. Hans w końcu się rozmyślił i zdradził ją Molierowi, który postanowił zadzwonić do swoich klientów. Szybko przypomniała sobie,

o czym rozmawiała z pilotami. Czy mogli się domyślić, że interesuje się sprawą z Craig? Nie, na pewno nie. Ta myśl dodała jej otuchy. Pewnie stwierdzą, że protestuje przeciwko rozkopywaniu grobów. Miała rodzinę w okolicy, mogła być nadgorliwą działaczką.

O ile nie domyślą się jej powiązań z Autisaq lub wyspą Craig, może czuć się bezpieczna - nie będą próbowali jej zabić.

Mężczyzna kazał jej wysiąść z łódki. Tuż za nim stał blondyn o dziwnie zimnych, stalowych oczach. Jego dłonie spoczywały na silniku. Wyciągnął rurę ze zbiornika z paliwem. Uruchomił silnik. Maszyna warkotała przez chwilę, zawyla i ucichła.

- Jaka szkoda - odezwał się blondyn. - Ponton ci się zepsuł.

- Na szczęście przybyliśmy ci na ratunek - dorzucił chudzielec.

Skinął na Edie strzelbą. Nie wiedziała, o co mu chodzi. Jakiś rosyjski gest. Kiwnęła głową w kierunku plecaka. Mężczyzna uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Niezłe masz poczucie humoru - rzucił, biorąc do ręki harpun i jej broń. Otworzył plecak, zajrzał do środka i wrzucił go z powrotem do pontonu.

Przecięli plażę i wspięli się stromym wzgórzem na szczyt klifu. Edie szła wciśnięta między swych strażników. Słońce zaczęło zataczać powolny, niski krąg nad horyzontem. Powietrze było tak czyste, że na zachodzie widać było fioletowe cienie Wyspy Ellesmere'a. Kobieta szła przed siebie, boleśnie świadoma wycelowanej w jej głowę broni. Pod nimi rozciągała się szeroka plaża z pozostałościami pięknych domów z kości wieloryba, wzniesionych przez lud Thule, którzy przybył tu tysiąc lat temu z Kanady przez skute lodem morze. Kobieta przystanęła na chwilę, by złapać oddech, ale blondyn o stalowym spojrzeniu ponaglił ją syknięciem. Zaczęła się mżawka. Edie czuła, jak kryształki lodu wbijają się w jej skórę, ponaglone porywistym wiatrem z

północnego wschodu.

Idący przed nią chudzielec odwrócił się i krzyknął coś po rosyjsku do swojego kompana z tyłu. Przyspieszyli kroku. Przecieli pokryty żwirem płaskowyż wysypany potężnymi, szarymi skałami, które porastały skupiska bawełny. Przed nimi rysowała się prowizoryczna ścieżka, która prowadziła wzdłuż stoku z powrotem do morza. Powoli zaczęli schodzić z klifu.

Tuż pod nimi, u stóp fiordu, rozsiana była grupka starych, torfowych chat dawno porzuconej już polarnej osady Etah. Kiedyś było to najbardziej wysunięte na północ skupisko ludzkie na planecie. Przewodniczka czuła, że nie jest to kraina człowieka; że tą ziemią rządzą inne, bardziej starożytne prawa. Patrzyła na idącego z przodu chudzielca. Jej wcześniejsze plany wydawały się teraz śmieszne. Nawet gdyby udało jej się wykaraskać z tarapatów, w żaden sposób nie udałoby jej się zapędzić tych mężczyzn do łodzi i zawieźć na wyspę. Poza tym wciąż nie miała niezbędnych dowodów. Lepiej będzie, jeżeli uzbroi się w cierpliwość i dowie, o co tak naprawdę im chodzi. Pewność siebie i nadmiernie żwawe tempo chudzielca świadczyły o tym, że był przekonany o swojej władzy nad okolicą. Edie wiedziała jednak, że ani on, ani blondyn z tyłu nie rozumieją Północy. Zbyt szybko się spieszyli. Zamierzała to wykorzystać, gdy tylko nadarzy się odpowiednia okazja.

Mężczyźni rozbili obóz pomiędzy chatami. Sprzęt umieścili w ziemiance, która zachowała się w na tyle dobrym stanie, by zapewniać pewną ochronę przed deszczem i wiatrem. Edie przyjrzała się wielkości i głębokości kręgu po ognisku. Policzyła torby ze śmieciami ukryte w jednej z chat, by nie dobrały się do nich niedźwiedzie. Rosjanie stacjonowali tutaj około miesiąca.

Chudzielec wepchnął Edie do położonej tuż obok namiotów chaty. W nozdrza uderzył ją zatechły zapach wilgoci, ale przynajmniej było ciepło i nie wiał wiatr. Mężczyźni przykryli podłogę płachtą i ustawili na niej dwa rozkładane krzesła. Blondyn kazał Edie usiąść na jednym z nich, a chudy przywiązał ją do siedzenia. Sytuacja wydała jej się dość absurdalna, jak scena z jakiejś niemej komedii. Mogłaby się roześmiać, gdyby nie to, że całą energię zużywała na opanowanie strachu.

Blondyn odłożył broń i zaczął podgrzewać kawę na przenośnej kuchence gazowej. Na drugim palniku postawił patelnię. Polał ją tłuszczem z puszki.

- I co, kolejna Inuitka, która nienawidzi białych? — Mówił po angielsku lepiej niż chudzielec. Edie stwierdziła, że to on jest szefem.

- Nie wszystkich białych - powiedziała. - Ale was na pewno. - Mężczyźni nic o niej nie wiedzieli, a to sprawiało, że czuła się bezpieczniej.

Blondyn roześmiał się cicho. Wlał trochę ciasta do patelni. Powietrze wypełniło się ciężkim, nieco kwaśnym zapachem pszenicy.

- Głodna? - Napełnił kubek kawą i podetknął jej pod usta. Wzięła niewielki łyk i natychmiast wypłuła płyn.

- Bez cukru jest obrzydliwa.

Blondyn wzruszył ramionami.

- Molier uprzedzał mnie, że będzie z tobą masa problemów. — Przyjrzał się jej. - Ale w sumie nie taka duża.

Chudzielec wpadł do środka i powiedział coś po rosyjsku. Blondyn przestał zwracać na nią uwagę.

Wkrótce mężczyźni opuścili chatę. Edie czekała długo, bardzo długo, po czym z ogromnym wysiłkiem wstała. Na czworaka, z krzesłem na plecach, podeszła do wyjścia i rozejrzała się wokoło. Pod ścianą drugiego domu stał typowy sprzęt ekspedycyjny: liny, kilka książek, oprzyrządowanie do wspinaczki, pianki, kilka prymusów i zapasowych butli z gazem, łom do

lodu, aparat ze statywem. Edie zaczęła wykręcać nadgarstki, żeby poluzować sznur, ale doszła do wniosku, że chudzielec był chyba marynarzem - związał ją idealnym węzłem refowym. Nie była w stanie się oswobodzić.

Kobieta zaczęła się kołysać na krześle i robić drobne kroki, by w końcu dotrzeć do sterty sprzętu. Miała nadzieję, że uda jej się znaleźć jakiś nóż albo chociażby ostrą krawędź, którą będzie mogła przeciąć linę. Nie dostrzegła jednak niczego, co mogłoby jej się przydać. Gdy próbowała ustabilizować krzesło, tylna noga przewróciła jedną z książek. To mogłoby ją wydać, więc Edie znów zaczęła się huścić, by odłożyć tom na poprzednie miejsce. Jej wzrok spoczął na zakładce. Palcem u nogi zaczęła przerzucać strony. Musiał to być drukowany w XIX wieku dziennik, bo wpisy opatrzone były datą. Od czasu do czasu widziała też litografie przedstawiające scenki rodzajowe z Arktyki, jakie widywała często w szkolnej bibliotece - dziwnie naszkicowane niedźwiedzie i poszarpane, nienaturalnie rozciągnięte góry lodowe. Prawdziwe kurioza. Już miała odłożyć książkę, gdy wiatr przewrócił kolejną stronę, a jej oczom ukazała się twarz Joego Inukpuka. Obrazek przypominał jej pasierba do tego stopnia, że Edie przez chwilę miała wrażenie, jakby przeniosła się w czasie i zobaczyła, jak Joe wyglądałby za dwadzieścia lat. Mężczyzna był jednak starszy i nieco zmęczony, a jego strój był zbyt staromodny, by ktokolwiek dzisiaj mógł go nosić.

Inukowi towarzyszył *qalunaat*. Obaj trzymali jeden nóż. W tle widać było klify i skutą lodem morenę pół-nocnozachodniej Grenlandii. Edie zmrużyła oczy. Mężczyźni stali na tej samej plaży, na której znaleźli ją Rosjanie. Pod spodem widniał duński podpis oraz dwa nazwiska: Welatok i Karłowski. Edie uspokoiła się nieco. Zdjęcie nie przedstawiało Joego, tylko jej prapradziadka, który był ich wspólnym przodkiem. Welatok najwyraźniej spotkał Karłowskiego w Grenlandii i albo towarzyszył mu w podróży, albo dokonał z nim jakiejś wymiany. Czyżby Rosjanie szukali właśnie jego grobu?

Edie przedostała się na drugą stronę chaty, otworzyła drzwi głową i rozejrzała się wokoło. Na horyzoncie widać było ludzką sylwetkę. Jakies dziesięć metrów przed nią stał aparat na statywie. Wpadła na pewien pomysł. Upadła na kolana i zaczęła powoli sunąć w kierunku urządzenia. Każdy krok sprawiał jej niesamowity ból; ostre kamienie przebijały się przez grubą warstwę skór i materiału i wbijały jej się w kolana. Nie mogła jednak iść prosto, bo byłoby ją widać - a Rosjanie pewnie mieli ze sobą lornetkę - więc musiała skradać się pomiędzy torfowymi chatami. W końcu kamyki zaczęły wbijać się głębiej. Kiedy wreszcie dotarła na miejsce, jej spodnie były mokre od krwi, a kolana piekły jak od odmrożenia.

Nie umiała podnieść się z powrotem na krzesło, więc musiała jeszcze raz przenieść cały ciężar ciała na kolana i wdrapać się do góry. Wyciągnęła się najdalej, jak mogła. Czuła, jak kamienie rozszarpują jej skórę, a brzeg krzesła wbił się jej boleśnie w plecy. Wzięła głęboki oddech. To nie Edie, to Kigga, a Kigga jest silna.

Wyciągnęła szyję i przystawiła oko do wizjera. I zamarła. Obiektyw był źle wycelowany. Żeby cokolwiek zobaczyć, musiałaby przesunąć go o jakieś trzydzieści stopni. Poza tym przybliżanie było wyłączone. Zrobiła kolejny bolesny krok na kolanach i odchyliła głowę. Z tej pozycji widziała przycisk, który mógł służyć do powiększania obrazu. Jeszcze kilka centymetrów i może uda jej się włączyć go brodą. Przewodniczka jeszcze raz zbliżyła się do aparatu, wspięła na kolana i uniosła do góry. Poczwała chłodną powierzchnię urządzenia pod brodą. Powoli przesuwała się, aż w końcu poczuła lekkie wybrzuszenie guzika. Już miała je przycisnąć, gdy kolana zapadły jej się głębiej między kamieniami. Straciła równowagę i upadła na bok. Uderzyła szczęką o kamienie. Żuchwa przesunęła się, a twarz wykrzywiła się w piekącym bólu. Spojrzała w górę i zobaczyła, że podczas upadku potrafiła też aparat.

Przez chwilę miała ochotę się poddać. Ale tylko przez chwilę.

Po pierwsze, trzeba było zignorować ból. Miała na to swój sposób - nauczył ją tego ojciec. Usiadła i zamknęła oczy, by przypomnieć sobie scenę, w której Harold Lloyd zwisa z osiemnastego piętra budynku, trzymając się ogromnej wskazówki zegara. Śmiech powoli zdobywał przewagę nad bólem.

W końcu mogła myśleć normalnie. Nie miała jednak dużo czasu, niedługo ból wygra. Musiała jakoś nastawić żuchwę. Zaczęła wyginać nogę, aż w końcu udało jej się podciągnąć kolano pod brodę. Wzięła głęboki oddech, pochyliła się i przycisnęła wybitą szczękę do nogi. Ból był tak ogromny, że miała wrażenie, że za chwilę straci przytomność. Po chwili poczuła jednak, że żuchwa wraca na swoje miejsce, a ból nie do zniesienia ustąpił miejsca zwykłej męczarni. Wiedziała, że spuchnie jej policzek, ale przynajmniej mogła teraz ruszać szczęką.

Musiała znaleźć jakiś kijek, którym będzie mogła nacisnąć przycisk zoomu. Ale skąd miała go wziąć? Najbliższe drzewo rosło jakieś dwa tysiące kilometrów stąd. Rozejrzała się wokoło. Powoli minęła ognisko, kierując się z powrotem do sterty sprzętu. Coś podpowiedziało jej, by zrobiła krok w tył. Pomiedzy zwęglonymi gałęziami wrzosu i drobnymi pędami wierzby leżał długopis. Najwyraźniej wypadł z kieszeni jednego z Rosjan. Plastik był podtopiony, ale może uda jej się go wykorzystać. Pochyliła się nad ogniskiem i nieczłowieckim wysiłkiem mięśni i szyi wsadziła twarz w stertę popiołu. Wróciła na kolana i powoli ruszyła w drogę powrotną do statywu, ściskając długopis między zębami.

Szturchnęła aparat głową, by go wyprostować. Nacisnęła włącznik i zoom długopisem. Jej oczom ukazały się zdjęcia inuksuków i kurhanów. Rosjanie rozbierali je z kamieni. Odsunęła się i za pomocą długopisu zrobiła kilka zdjęć.

Była osłabiona i złana potem, a musiała jeszcze wrócić do chaty, zanim znajdą ją Rosjanie. Już na miejscu, wykorzystując miękkość podłogi, wbiła nogi krzesła w ziemię i z zamachem usiadła. Szczeka pulsowała bólem, jakby ktoś ćwiczył na niej lewy sierpowy, ale przynajmniej było jej ciepło i nie ryzykowała, że pot zacznie zamarzać jej na skórze.

W chacie powoli robiło się ciemno. Spadająca temperatura zwiastowała nadejście czegoś na kształt zimeczu. Bolały ją kolana, a szczeka spuchła niemiłosiernie. Po raz pierwszy tego dnia Edie poczuła, jak bardzo dręczy ją pragnienie. Po Rosjanach nie było ani śladu. Może zostawili ją tu na śmierć?

Minęło sporo czasu, zanim usłyszała głosy i szuranie butów po kamieniach. Do środka wszedł blondyn.

- Ach, to ty - powiedział, jakby zupełnie o niej zapomniał.

Edie z trudem odkleiła język od podniebienia. Miała wrażenie, że żywcem zrywa sobie skórę.

- Pić mi się chce.

Blondyn podszedł do niej i rozwiązał jej ręce. Podał jej kubek wody. Zauważył spuchniętą szczękę i okrwawione kolana. Spojrzał na nią, czekając na wyjaśnienia, ale kobieta odwróciła wzrok.

- Puścimy cię, jak dostaniemy to, czego szukamy - odpowiedział na jej nieme pytanie. Kłamał. I nie szło mu to za dobrze. Edie stwierdziła, że to jeszcze jeden powód, by skupić się właśnie na nim. Był człowiekiem, a to czyniło go bezbronnym.

Do środka wszedł chudzielec. Spojrzał na nią z podziwem.

- Próbowwała uciec, co? — zapytał, podając blondynowi strzelbę. - Jak jeszcze spróbuje, to się nie wahaj.

Odwrócił się i rzucił w kąt torbę. Wyjął z niej garść kamyków. Usiedli razem na ziemi, wyjęli sprzęt i zaczęli pomiary. Przez jakiś czas rozmawiali po rosyjsku. Edie próbowała przysłuchiwać się rozmowie, szukając znajomych słów i dźwięków. Od czasu do czasu jeden z mężczyzn

podnosił kamień do ust, by go polizać. Jeden po drugim wyrzucali je na zewnątrz.

- Widzisz, ty Mały Problemie - odezwał się blondyn

- jesteście tylko poszukiwaczami kamieni.

Chudzielec zabrał się za przygotowywanie kolacji. Powoli chata wypełniła się zapachem jedzenia. Mężczyzna przelał zawartość rondla do dwóch misek i podał jedną z nich blondynowi, który po jednej łyżce odsunął od siebie naczynie. Nastąpiła krótka wymiana zdań

- zapewne wyzwisk - po czym blondyn odwrócił się do Edie.

- Mój kolega ma się za Auguste'a Escoffiera.

Kobieta wzruszyła ramionami. Że niby za kogo?

- Sama spróbuj - dodał mężczyzna. Podszedł do niej i podetknął jej łyżkę do ust. - Ohyda, co? - zapytał. Chciał ją mieć po swojej stronie.

Kobieta rozprowadziła jedzenie językiem po podniebieniu. Spuchnięta szczęka nie pozwalała jej żuć, ale wolała udawać, że współpracuje. W końcu przełknęła kęs.

- Można by chyba trochę posolić.

Blondyn się roześmiał. Nastąpiła kolejna wymiana obelg, po czym chudzielec rzucił rondlem o ścianę i wybiegł z chaty.

- A teraz uważa, że jest artystą - podsumował zmęczony blondyn.

Wkrótce chudy Rosjanin wrócił, dzierżąc w dłoni plastikowy worek. Chwycił miskę i wsypał do niej zawartość saszetki.

- *Sol* - powiedział do Edie. - A teraz żryj.

Kobieta przełknęła kropelkę bólu i spróbowała się uśmiechnąć. *Sol*. Słowo to co chwilę pojawiała się w rozmowie, gdy Rosjanie lizali kamienie. Szukali słonej skały.

- Jakoś straciłam apetyt - powiedziała.

Jakiś czas później blondyn poluzował więzy, żeby mogła się umyć i załatwić. Akurat związywał jej nadgarstki, kiedy z zewnątrz dobiegł ich głośny hałas. Chudzielec zaczął krzyczeć, a blondyn wybiegł na zewnątrz. Wydawało się, że rozpętał się chaos - mężczyźni krzyczeli i strzelali - ale trwało to tylko przez chwilę. Jakiś czas później jasnowłosy Rosjanin pojawił się przy drzwiach, pochylił się i wszedł do środka. Wyglądał na podekscytowanego. Nie mógł złapać tchu.

- Niedźwiedź. - Podszedł do Edie i wrócił do związywania nadgarstków. — Uciekł - powiedział i zachichotał.

— Ale nie rób sobie nadziei, tobie się nie uda.

Minęła godzina. Kobieta słyszała, jak jej oprawcy kładą się do snu. Po chwili wszystko ucichło. Szczęka pulsowała niemiłosiernie. Po jej głowie krążyły nieskładne myśli. Jedna ciągle powracała: że jej pierwotny plan okazał się idiotycznie optymistyczny. W środku nocy, przy drzwiach, pojawił się *puikaktuq*. Poczula ból w prawym oku i dzwonienie w uszach. To mogła być szczęka, ale Edie wiedziała, że jest inaczej. Wstrzymała oddech i czekała, aż przodkowie zaczną do niej mówić, ale nic się nie stało. *Puikaktuq* rozplynął się w powietrzu i została sama. Ogarnęło ją poczucie beznadziei. Bała się, że umrze, a wraz z nią zginie cała jej wiedza: nikt nigdy nie dowie się, że Joe Inukpuk wcale nie odebrał sobie życia, tylko został zamordowany.

Nagle strach zamienił się w gniew, a to przywróciło jej odwagę. Namacała węzeł na nadgarstkach i sprawdziła go trzy razy, zanim się uśmiechnęła. Lina była konopna, a konopie miały w sobie pewną elastyczność, można było z nimi pracować. Do tego jeszcze blondyn wybrał inny rodzaj węzła. Jeżeli tylko uda jej się nieco poluzować napięcie, spokojnie rozwiąże supeł. Spróbowała na próbę ścisnąć nadgarstki do środka, po czym powoli odsunęła od siebie. Sznur wpijał się głęboko w ciało. Mijały sekundy. Edie planowała już następny etap ucieczki.

Aby dostać się z powrotem do pontonu, musiała przyjść tą samą drogą, którą przybyła, a to

oznaczało, że będzie ją widać. Poza tym silnik był zepsuty. Mężczyźni nie zabrali jej wiosła, ale na pewno nie uda jej się uciec, jeżeli puszczą się za nią w pościg w motorówce. Gdyby chciała skorzystać z większej łodzi, musiałaby mieć do niej kluczyki, chyba że uda jej się inaczej ją uruchomić. Nie było to niemożliwe, ale jak dotąd miała do czynienia z dużo mniejszymi silnikami w skifach i pontonach.

Złożyła dłonie jak do modlitwy i znów zaczęła rozciągać linę, aż w końcu poczuła, że węzeł się rozluźnia. Wkrótce miała wolne ręce i zabrała się za rozwiązywanie stóp. Krew boleśnie pulsowała jej w żyłach.

Wiatr wiał ze wschodu, bezlitośnie, z hukiem smagając tundrę. Chmury zasłaniały nieco księżyc, ale Kigla-tuk była pewna, że pamięta drogę do łodzi. Aparat ze statywem stał w drzwiach do domku obok, ale było zbyt ciemno, by zajrzeć do środka. Edie przez chwilę zastanawiała się, czy nie ukraść pistoletu i nie zabić mężczyzn, ale obawiała się, że hałas mógłby ich obudzić.

Wyjęła kartę pamięci z aparatu i wsunęła ją do kieszeni, po czym wyszła na ścieżkę. Gdy dotarła na plażę, chmury rozstały się na chwilę i światło księżyca rozpełzło się po wodzie miękkim srebrem. Wdrapała się do pontonu i zaczęła odpychać się od brzegu.

Wkrótce wiosłowała wraz z silnym, pomocnym nurtem, prosto do zacumowanej nieopodal motorówki. Wrzuciła wiosła, plecak, kanistry z wodą i puszki kupionego w Siorapaluk pemikanu na pokład i wdrapała się na łódź.

Przewodniczka nie spotkała się wcześniej z takim modelem silnika, Johnson 150hp. Duży, silny mężczyzna być może mógłby go uruchomić jednym pociągnięciem uchwytu, ale ona mogła tylko zdjąć pokrywę i modlić się, żeby kable były ponumerowane. Najpierw jednak potrzebowała śrubokrętu.

Rozejrzała się po pokładzie i przypomniała sobie o nożu, który zabrała z magazynu Moliera. Otworzyła plecak i znalazła go w jednej z kieszeni. Szczęka pulsowała i piekła. Edie przejrzała resztę rzeczy, żeby znaleźć coś, z czego mogłaby zrobić bandaż.

Nagle przypomniała sobie o portfelu. Na pewno miała go ze sobą, ale w plecaku go nie było. Rosjanie na pewno nie grzebali w jej rzeczach, więc gdzie był portfel? Powoli zaczynała sobie przypominać. No tak - przecież wyjęła go z torby, żeby zapłacić za jedzenie w Sio-rapaluk, a potem wrzuciła go do kieszeni parki. Musiał wypaść gdzieś w obozowisku. Miała tam wszystkie swoje pieniądze, ale to nie ich teraz potrzebowała. W bocznej kieszeni znajdowało się zdjęcie Joego, a poza tym... W innej przegródce miała kartę przewodnika, na której widniały jej imię, nazwisko i adres.

Za niecałą godzinę słońce, które zaszło zaledwie pół godziny temu, znowu wstanie, a Rosjanie obudzą się i zobaczą, że uciekła. Jeżeli znajdą jej portfel, natychmiast powiążą ją z Autisaq. A wtedy już się nie wywinie.

Podbiegła do silnika i pociągnęła za uchwyt, ale nie miała wystarczająco dużo siły, żeby go uruchomić. Jeszcze raz rozejrzała się po pokładzie i dostrzegła wiszący na niewielkim haczyku klucz. Wsunęła go do stacyjki. Pasował idealnie. Najwyraźniej właściciel łodzi lubił mieć pod ręką zapasowe kluczyki.

Wciągnęła kotwicę na pokład, sprawdziła, czy ponton jest dobrze przywiązany i podeszła do johnsona. Motorówka zaczęła dryfować swobodnie po falach. Pomimo szumu Edie wyraźnie słyszała bicie swojego serca. Spojrzała w morze. Granica kanadyjska znajdowała się jakieś piętnaście kilometrów dalej, spowita mrokiem. Gdzieś za nią kryła się Wyspa Ellesmere'a. Tylko trzydzieści kilometrów, ale była to najniebezpieczniejsza przeprawa wodna na świecie.

Przekręciła kluczyk. Silnik zakaszał i zawył. Motorówka zadrżała i rzuciła się do przodu, ciągnąc za sobą ponton. Edie mocno przekręciła ster i skierowała się na zachód. Na wprost,

między mgłami, rozbłysnął piorun, rozświetlając chmury niczym magiczna latarnia. Edie spojrzała na czysty, szary horyzont.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Motorówka powoli minęła strefę przybrzeżnego lodu i wpłynęła na otwartą wodę niedaleko wybrzeża, gdzie pływały fragmenty młodej, jednorocznej kry. Przez jakiś czas zmagiała się z wyjątkowo silnym prądem i wydawało się, że nigdy już nie wyrwie się do przodu. Ból szczęki powoli stawał się nie do zniesienia. Edie znów poczuła strach.

Na wysokości Siorapaluk skierowała łódź na zachód. Wiatr był stały, słaby, wiał z północnego wschodu, a nurt wciąż zmagał się z motorówką. Kobieta czuła pokusę, by mu się poddać, ale wiedziała, że skrócić na południe będzie mogła dopiero wtedy, gdy zbliży się do lodowca wschodniej części Ellesmere.

Gdy wypłynęła głębiej w kanał, musiała zacząć manewrować między większymi fragmentami kry, a przesmyki stały się nieco węższe. Motorówka kołysała się na falach, od czasu do czasu z rykiem silnika przedzierając się przez połacie cienkiego, miękkiego lodu. Z każdym kolejnym wstrząsem Edie czuła, jak ktoś uderza ją pięścią w twarz. Wybrzeże Grenlandii było już tylko zaledwie ciemną plamą na niebie,

a Wyspy Ellesmere'a nie było jeszcze widać — zasłaniały ją niskie chmury i parujący nad lodem dym. Jakiś głos podpowiadał jej, że Inuici nigdy nie wypływali w morze tak daleko, by nie widzieć lądu; że zbyt wiele ryzykuje. Wiedziała jednak, że powrót na Grenlandię byłby jeszcze gorszym rozwiązaniem. Ukradła broń i łódź. Co gorsza, jeżeli Rosjanie znaleźli jej portfel i domyślili się, dlaczego tak naprawdę przyjechała do Etah, to prędzej czy później zaczną jej szukać. Tego mogła być pewna.

Motorówka nie miała radia, a po jej wieku i stanie Edie domyślała się, że należała do jakiegoś miejscowego myśliwego. Rosjanie na pewno chcieli uniknąć zainteresowania, jakie mogłaby wzbudzić lepsza łódź. Miała sporo wątpliwości co do tego, czy właściciel kiedykolwiek chociażby próbował przebyć nią cieśninę. Motorówka jęczała i wyła żałośnie, a z silnika wydobywał się bolesny charkot.

Tego roku lato było niemiłosiernie gorące. Pak lodowy na Wodach Północnych rozpadał się na drobne kawałeczki. Prąd przechodzący przez najwęższy punkt Cieśniny Smitha tworzył chaotyczne wiry, które potęgowały aktywność odłamków kry. Wystarczył moment nieuwagi, by siły natury zgmiotły motorówkę niczym kartkę papieru.

Edie Kiglatuk żyła już trzydzieści trzy lata, ale nie słyszała jeszcze, żeby jakikolwiek Inuk samotnie przepłynął się z Etah na Wyspę Ellesmere'a. Nawet w sezonie zawsze istniało ryzyko, że kadłub czy silnik po prostu zamarzną.

Gdyby zamarzał silnik, musiałyby wydobyć motorówkę z wody i znaleźć łom, którym mogłaby pokruszyć lód. Zamarznęty kadłub oznaczał pójście na dno. Zostały jej już tylko ponton.

Nie miała wyjścia, musiała dotrzeć w okolice fiordu Alexandry. Na południe od Gór Księcia Walii groziło jej zderzenie z górą lodową, a słodkowodny lód był o tej porze roku wyjątkowo niestabilny. Wystarczyło tylko, by jakiś lodowiec się przechylił lub zatrzęsł, a znalazłaby się głęboko pod wodą.

Przy fiordzie Alexandry trzeba będzie wykorzystać prąd tak, by skierować się na południe ku brzegom wyspy i jak najbardziej oszczędzać paliwo na przeprawę przez cieśninę. Mogła się tylko modlić o dobrą pogodę.

I o to, by nie wpaść na myśliwych polujących na morsy.

Jakkolwiek by na to patrzeć, podróż była ekstremalnie niebezpieczna.

Woda w kanale robiła się coraz bardziej spieniona. Fale wznosiły się i opadały białą flagą. Temperatura powietrza spadała, jakby była zima. Mróz przeszył Edie do kości, ale przynajmniej oznaczało to, że nie będzie burzy. Na razie.

Spojrzała daleko w morze i zobaczyła, jak plastikowe butelki wspinają się po grzbietach fal - załoga „Arktycznej Księżniczki” zostawiła po sobie trwałą pamiątkę. Przez jakiś czas śledziła wędrówkę śmieci i obserwowała zmieniający się nurt, aż w końcu horyzont zaczął ciemnieć. Zbliżała się do lądu. Poczwała przesywającą ją tęsknotę. Ellesmere była przed nią, ukryta przed jej spojrzeniem. W tej chwili nie liczyło się już dla niej nic oprócz domu i tego, jak do niego powrócić.

Edie nie wiedziała, czy ostrzegła ją jakaś wibracja w wodzie, czy może raczej woń wiatru. Myśliwski instynkt jednak jej nie zawiódł - wiedziała, że zbliża się do niej jakiś okręt. W najlepszym wypadku mógł to być trawler; może jacyś naukowcy. W najgorszym

— Rosjanie. Rozkręciła silnik do granic odwagi, byle tylko nie przedobrzyć, skrzyła na zachód i zablokowała ster.

Gdy w końcu okręt wyłonił się z niebytu, był już mniej niż jedną milę morską od niej.

Lodołamacz sunął przed siebie niczym gigantyczny, złośliwy wieloryb,

i wydawał sygnały ostrzegawcze. Przez chwilę zastanawiała się, czy dodać gazu, ale warunki były zbyt zdradliwe. Gdyby z rozpędu uderzyła w krę, motorówka rozpadłaby się na małe kawałeczki. Ona sama tymczasem znalazłaby się głęboko pod lodowatą wodą, nie mając na sobie nawet kamizelki ratunkowej.

W końcu uznała, że żadna próba ucieczki nie ma sensu. Sytuacja była beznadziejna. Czuliła się jak foka tuż pod łapą wygłodzonego niedźwiedzia. Pozostało jej już tylko wyłączyć silnik i pogрузić się w modlitwie.

Wkrótce łódź zwolniła. Masywny kadłub i śmiesznie małą przy nim motorówkę dzielił ocean ciszy. Kobieta wypatrywała poruszenia na pokładzie. Mrużyła oczy. W końcu dostrzegła opuszczany na wodę ponton.

We mgle widać było barwy kanadyjskiej straży wybrzeża. Edie poczuła, jak z serca spada jej kamień. Przynajmniej udało jej się dotrzeć do Kanady, zanim złapali ją Rosjanie. Wysokie tony wciągarki ustąpiły miejsca rykowi silnika. Zza mgły wyłoniła się żółta sylwetka pontonu.

Łódź zbliżyła się powoli. Na jej pokładzie znajdowało się sześciu mężczyzn. Sternik wyłączył silnik i przez jakiś czas ponton unosił się wraz z prądem. Edie stała bez ruchu. Jeden z mężczyzn zaczął do niej machać. Obok niego stał strażnik, który najwyraźniej przyglądał jej się przez lornetkę. Pierwszy mężczyzna przestał machać i wyjął megafon, ale przewodniczka usłyszała tylko coś na kształt szczekania. Podniosła rękę, żeby pokazać, że nie ma broni.

- Jest pani sama?

Pokiwała głową.

Mężczyzna z lornetką przysunął się do swojego kolegi, który znów przyłożył megafon do ust.

- Tu kanadyjska straż przybrzeżna. Mamy prawo zajęcia pani łodzi. Jeżeli będzie pani stawiać opór, będziemy zmuszeni podjąć kroki, które uniemożliwią pani ucieczkę.

Ponton zbliżył się do niej, a mężczyzna przerzucił linę na jej łódź i gestem poprosił ją o zamocowanie jej na pokładzie. Po chwili dwóch uzbrojonych strażników i dwóch innych mężczyzn wskoczyło na jej motorówkę. Przywiązali łodzi do siebie.

Nieuzbrojony mężczyzna, który mówił przez megafon, zaczął ją o coś pytać. Edie znała słowa, ale nie potrafiła zrozumieć ich znaczenia. Zauważyła, że mężczyzna miał różnokolorowe oczy, jedno piwne, drugie zielone.

— Mówi pani po angielsku? *Nakinngaqqin*. - Skąd pani przybywa?

— Autisaq.

Jeden z mężczyzn szybko obszedł motorówkę. Po chwili wrócił i pokręcił głową przecząco.

— Jest pani sama? — Mężczyzna o dziwnych oczach spojrzął na Edie badawczo i podniósł w górę palec. - *Ui*, mąż?

— *Uiggatuq*, nie mam męża - odpowiedziała w inuk-titut. Mężczyzna pochylił się nad nią i rzucił jej skołowane spojrzenie. Powtórzyła to, co powiedziała. Jemu jednak nie mieściło się to w głowie.

Edie westchnęła.

— Słuchajcie, drodzy żeglarze - odezwała się w końcu po angielsku. - Jestem rozwódką, okej? To się czasem zdarza. Czego ode mnie chcecie?

Uzbrojony strażnik zakasłał szyderczym chichotem. Drugi mężczyzna przedstawił się jako kapitan Fisher.

— To pani łódź?

— Teraz już tak.

Nieuzbrojeni spojrzeli po sobie. Fisher nie wydawał się przekonany.

\

— Dostałam ją od Grenlandczyka. - To przynajmniej była częściowa prawda.

— Czy mógłbym zobaczyć pani dokumenty? - zapytał Fisher. Artykułował słowa z przesadną starannością,

jakby mówił do dziecka. Zauważył jej spuchniętą szczękę i zastanawiał się, czy o nią zapytać.

- Ma pan jakiś okręt? - zapytała Edie. Fisher wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. -

Gdyby to u pana zawitała gromada mężczyzn z bronią półautomatyczną i zaczęła wypytywać, skąd ma pan okręt, to co by pan powiedział?

Fisher wziął głęboki oddech. Płuca wypełniło mu lodowate powietrze. Zmarszczył brwi. „Żółtodziób”, pomyślała Edie.

- Ponton też jest pani?

- A jak niby inaczej dotarłam do Qaanaaq? - Zastanawiała się, czy uda jej się poprosić go o podwiezienie do domu bez wzbudzania podejrzeń. W ten sposób oszczędziłaby na czasie i paliwie. I miałyby ochronę.

Fisher spojrzął na wymalowaną na pontonie nazwę.

- „Arktyczna Księżniczka”?

- To moje przezwisko.

Kapitan zrozumiał, że nie pójdzie mu z nią łatwo. Przełknął ślinę.

- Dokumenty?

Edie kiwnęła głową w kierunku plecaka. Fisher mruknął do kolegi, żeby mu go podał.

Przejrzał jej paszport.

- Będzie pani musiała zgłosić zakup motorówki w urzędzie celnym - powiedział kapitan, przybierając odpowiednio autorytarny ton.

Skinął głową na swoich ludzi, którzy powoli zaczęli wracać na ponton.

— Zanim sobie odpłyniecie, chciałam zapytać, czy mam szansę na holowanie i jakiś środek przeciwbólowy?

- zapytała Edie.

Fisher przeskoczył na służbowy ponton i przez jakiś czas rozmawiał z kimś przez radio.

— Musimy zabrać panią na pokład - powiedział po powrocie.

Godzinę później Edie siedziała na plastikowym krześle w sterowni, ubrana w za duży dres z

magazynu statku. Nadgarstki miała skute plastikowymi kajdankami. Robiła wszystko, by nie odpowiadać na pytania kapitana Paula Johnsona. Leki przeciwbólowe nieco pomogły, ale dalej kręciło jej się w głowie.

— Co się stało? - zapytał Johnson. - Z tego co wiem, wasi raczej nie kradną.

— To była raczej pożyczka - powiedziała, udając głupią.

„Wasi”. Jeżeli będzie miała szczęście, ten cały Johnson potraktuje ją jak dziecko — da jej parę klapsów i puści ją wolno. Pewnie skonfiskują motorówkę, ale potem będą musieli ją odwieźć do domu. W najgorszym wypadku czeka ją powrót na Grenlandię, prosto w wyczekujące objęcia Rosjan. Edie wiedziała jedno: jeżeli chciała coś wskórać w sprawie Joego, nie mogła trafić do więzienia.

Iskra bólu przedarła się przez odrętwiałe od środków znieczulających tkanki. Podniosła dłoń, by pogłaskać bolesne miejsce.

— Poprosimy lekarza, żeby na to spojrzął - oznajmił Johnson i spojrzął na ślady liny wokół nadgarstków.

Kazał strażnikom zdjąć jej kajdanki. — I na te pręgi też. Chyba nie byliśmy zbyt delikatni?

Przewodniczka zaczęła rozmasowywać nadgarstki, wykrzywając twarz w grymasie bólu. Niech czuje się winny. W sumie był całkiem w porządku, myślała sobie, mimo swojej surowej miny, brudnych paznokci i brody poszarpanej jak u wyliniałego piźmowołu. Gdzieś głęboko, pod spodem, kryło się ziarenko cywilizacji.

- Mówiąc szczerze, panno Kiglatuk, ten cały ponton obchodzi mnie jak zeszłoroczny śnieg. Nie ma tu miejsca na statki rejsowe, gdyby ktoś pytał mnie o zdanie. Ale złożono skargę, a my musimy dostosować się do procedur.

Wyjaśniła, że udała się na Grenlandię, by odwiedzić grób prapradziadka. Ułożyła zresztą całkiem przekonującą opowieść: usłyszała plotki, że jacyś Rosjanie chcą rozkopać grób jej przodka. Jako Inuitka nie mogła tego zignorować. To byłby wstyd, nieszczęście; żaden *qalunaat* nie mógł zrozumieć, jak straszliwa była to zbrodnia. Dlatego postanowiła polecieć do Qaanaaq. Chciała ich powstrzymać. Ktoś - postanowiła nie podawać nazwiska Moliera - zaproponował, że podwiezie ją z powrotem do Nuuk, po czym się wycofał. Nie miała ani pieniędzy, ani żadnego innego sposobu na dostanie się do domu. Czuła, że kapitan jej współczuje i postanowiła to wykorzystać.

— Gdyby to wydarzyło się w Kanadzie, moglibyśmy to jakoś wyciszyć. Odwieziemy panią do Autisaq, ale obawiam się, że do tego czasu będzie pani musiała przebywać w areszcie, a na lądzie będzie na panią czekać policja. - Spojrzął na nią z sympatią. - Tylko tyle mogę dla pani zrobić.

Okręt „Stefansson” opływał w luksusy w porównaniu do ziemianki Rosjan i celi na pokładzie lodołamacza kanadyjskiej straży przybrzeżnej. Miała zapewnioną czystą pościel, ubikację i kran z gorącą i zimną wodą. Lekarz obejrzał jej szczękę i nadgarstki, po czym dał jej silniejsze środki przeciwbólowe. Nie dał się nabrać, że plastikowe kajdanki mogły spowodować takie siniaki, więc zaczął ją przepitywać - ona jednak udzielała wymijających odpowiedzi. Lekarz uznał, że to nie jego sprawa.

O osiemnastej strażnik przyniósł jej sporą porcję żeberka z grilla polanych jakimś słodkim sosem, ale obrażenia nie pozwoliły jej nic zjeść. Po jakimś czasie wrócił, by zabrać tacę, i zapytał, czy czegoś jeszcze potrzebuje. Poprosiła o papier i długopis. Mężczyzna wrócił z notesem, ołówkiem i przeprosinami - z jakiegoś niezrozumiałego dla niego powodu aresztowanym nie wolno było korzystać z długopisu.

Zamierzała spędzić wieczór na porządkowaniu wiadomości o Rosjanach, ale od leków kręciło jej się w głowie. Potem ogarnęło ją takie zmęczenie, że musiała się poddać. Nie spała

jednak długo - wkrótce zaczęły ją dręczyć wspomnienia i mroczne myśli. Obudziła się z głową pełną pytań. Jakie relacje łączyły Feliksa Wagnera i Biełowskiego? Czy Wagner w tajemnicy przed swymi mocodawcami pracował i dla Zemmera, i BelOil? Czy Rosjanie się domyślili? Czym były te słone kamienie, których Rosjanie szukali na grobach Qaanaaq? Czy były jeszcze inne meteoryty i astroblemy? A jeżeli kratery świadczyły o obecności gazu lub ropy, to czy sól mogła być trzecim wskaźnikiem, swego rodzaju znakiem drogowym, tak jak dzienniki i kamień? W dodatku Joe był to w jakiś sposób zamieszany. Być może był tylko świadkiem śmierci Andy'ego Taylora, być może sprawa była poważniejsza. Tego Edie jeszcze nie wiedziała. Jedno było jednak pewne — wszystko sprowadzało się do jednego, najważniejszego dla niej pytania. Jeżeli ktoś faktycznie zamordował Joego - a czuła w kościach, że tak właśnie było

- to kto to zrobił? Była pewna, że gdy tylko uda jej się znaleźć motyw, znajdzie też mordercę.

Rozmyślenia przerwał jej rozdzierający powietrze świst. Gdzieś głęboko pod nią silniki statku warkotały i obracały się z mozołem, a z okolic dzioba do jej uszu dobiegały odgłosy uderzenia i pisku. Przedzierali się przez grubą krę. Edie podeszła do drzwi i spojrzała przez okienko. W korytarzu paliło się wątłe światło. Wróciła do celi.

„Muszę wrócić do domu”, pomyślała. „Muszę porozmawiać z Derekiem Palliserem i Mike'em Nungakiem”.

Gdy jakiś czas później w drzwiach pojawił się strażnik ze śniadaniem złożonym z jajek, tostów i kawy, zapytała, kiedy dotrą do wód Autisaq. Mężczyzna wzruszył ramionami. Nie był pewien, jak blisko będą podpływać. Patrol i tak miał już opóźnienie - a musieli jeszcze zatrzymać się na postój w stacji naukowej, zanim skierują się na południe - a kapitan nie chciał opóźnić przekazania aresztowanej, więc umówił się z władzami, że spotkają się gdzieś w połowie kanału. Strażnik nie wiedział, o jakie władze chodziło i niespecjalnie go to interesowało. Od dwóch miesięcy nie widział dzieci i nie miał zbyt wiele sympatii dla osób, które powodowały opóźnienia i kradły cholerne motorówki.

Wkrótce wrócił po nią. Oznajmił, że jest mu przykro, ale przepisy nakazywały mu zakuć ją w kajdanki przed przekazaniem odpowiednim władzom. Osobiście uważał, że to głupie, ale z drugiej strony sama wpakowała się w tę kabałę. Edie nie oponowała, wyciągnęła posłusznie nadgarstki.

W sterowni znów ją rozkuto, a dwóch mężczyzn, których wcześniej nie widziała, spisało jej zeznania i poprosiło o podpisanie kilku dokumentów. Po załatwieniu formalności strażnik znów założył jej kajdanki i wyprowadził ją na pokład.

Podszedł do nich jakiś nieznany jej mężczyzna. Przez chwilę po cichu rozmawiał ze strażnikiem, który w końcu odwrócił się i chwycił ją za ramię.

— Wracamy — oznajmił i zacisnął dłoń jeszcze mocniej.

Ogarnął ją niepokój. Czy to nie miał być zaledwie rutynowy transfer? Dlaczego zmienili zdanie? Zastanawiała się, czy nie stawiać oporu, może nawet wyskoczyć za burtę, ale wiedziała, że prędzej zamarznie, niż dotrze do brzegu. Poza tym pewnie i tak wysłaliby po nią motorówkę, a może nawet zaczęliby strzelać. Edie zamknęła oczy. Teraz, gdy była już tak blisko, nie mogła znieść myśli, że mogłaby znów oddalić się od Autisaq. Czuła, jak zaciska się jej gardło. Oddech stał się krótki, urywany.

— Niech pani usiądzie. Nie ma powodu, żeby pani marzła - powiedział strażnik i wrócił do swoich spraw.

Edie pomyślała, że najlepiej się czuje, gdy marznie. Wołała jednak milczeć.

Czekali. Od czasu do czasu przychodzili jacyś ludzie z informacjami. Johnson od niechcienia wydawał jakieś instrukcje. Kilka razy połączył się z kimś przez radio. Kontrolki rozbłyskały i gasły. Kiglatuk miała zszargane nerwy. Wiedziała, że jej sprawa wciąż się waży. Była w obcych

rękach tak blisko domu; okropne uczucie.

Nagle Johnson niespodziewanie ogłosił, że policja konna jest już w drodze. Edie poczuła, że ogarnia ją panika. Kanadyjska Królewska Policja Konna cieszyła się fatalną reputacją wśród Inuitów. W końcu to oni próbowali wysadzić jej babcię Annę i innych na fiordzie Alexandry, a gdy to okazało się niemożliwe, porzucili ich na pastwę losu na Półwyspie Lindstroma. Próbowала jakoś się uspokoić. Najbliższy posterunek konnych znajdował się o jakieś tysiąc kilometrów na południe. Dlaczego ich w to miesza? Czy chodziło o to, że dokonała przestępstwa za granicą? Opuściły ją wszystkie nadzieje. Jeżeli przejmą ją konni, to już po niej.

Johnson odwrócił się do niej ze zniecierpliwieniem. Chciał się jej jak najszybciej pozbyć. Nagle otworzyły się drzwi, a do środka wszedł jakiś mężczyzna. Zasalutował. Johnson odwrócił się i odwzajemnił powitanie. Po chwili do sterowni weszli dwaj mężczyźni w znajomych mundurach. Edie niemal zemdlała z ulgi. Pierwszym z nich był posterunkowy Stevie Killik, a tuż za nim pojawił się Derek Palliser.

Policjant spojrział na Edie i puścił do niej oko. Kobieta zrobiła to samo. Miała ochotę go pocałować.

Derek zdjął jej kajdanki, gdy tylko „Stefansson” znikł im z oczu.

- Nie musisz nic mówić. Po prostu znowu wpakowałaś się w te swoje tarapaty.

- Przepraszam.

Zacumowali motorówkę, a Stevie poszedł do Simeoniego Inukpuka omówić plan wyborów. Gdy Edie była na Grenlandii, osada zmieniła się w jedną wielką reklamę Inukpuka. Jego podobizna zdobiła każdą ścianę, spoglądała na nią z gazety i z tablic ogłoszeniowych. Simeonie patrzył na nią z okien szkoły i kliniki, ale - co Edie odnotowała z przyjemnością - nie było go na posterunku policji. Derek nalegał, żeby Robert Patma obejrzał jej szczękę. Odprowadził ją do kliniki. Podejrzewał, że sama może zapomnieć.

- Jak to się stało? — Robert badał zuchwę delikatnymi uciśnięciami. Edie rzuciła ostrzegawcze spojrzenie Derekowi.

- Spadłam ze skutera.

Pielęgniarka dała jej leki przeciwwzapalne i silne środki przeciwbólowe.

- Masz szczęście, że nie stało się nic gorszego - oznajmił. - Nie wolno prowadzić po pijanemu.

- Spokojnie, Robert — przerwał mu Derek. - Nie wymiga się od oficjalnego pouczenia.

Gdy zostali sami na posterunku, policjant natychmiast pozbył się służbowego tonu.

- Co ty, u licha, chciałaś osiągnąć?

- Sama nie wiem.

- Gdyby Johnson nie był takim outsiderem, mogłabyś skończyć w kanadyjskim więzieniu.

Edie próbowała przybrać jak najbardziej skruszoną minę. Chciała mu opowiedzieć, co udało jej się ustalić, ale Derek nie skończył jeszcze na nią krzyczeć.

- I tak mamy już wystarczająco dużo roboty, Edie, z tymi całymi wyborami, a teraz jeszcze znikł stary.

- Zapomniałam o wyborach.

Derek zaciągnął się papierosem i spojrział w sufit. „Szczęściara”.

Nagle Edie się zreflektowała.

- Koperkuj? - W głębi duszy czuła, że się nie myli.

- Nie zgłosił się po zasilek. Wygląda na to, że od jakiegoś czasu nie było go w domu. Nikt go ostatnio nie widział. - Derek spojrział na nią podejrzliwie. - Skąd wiedziałaś, że to o niego chodzi?

- Kobięca intuicja.

- Edie, właśnie wyciągnąłem cię za uszy z niezłego gówna, ale równie dobrze mogę cię tam z powrotem wepchnąć.

Przez chwilę przyglądali się sobie nawzajem; wyczerpana do granic kobieta i zmęczony życiem mężczyzna.

- Muszę zorganizować poszukiwania - odezwał się w końcu Derek.

Edie opuściła posterunek i poszła do sklepu. Za ladą siedział Mike. Sam. Co za ulga. Kupiła kopertę i znaczek do Grenlandii.

— Słyszałem, że do domu podwiozła cię straż przybrzeżna — powiedział sprzedawca. Poklepał się po twarzy. Zauważył spuchniętą szczękę. - Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Jak zawsze - odparła Edie.

Mike rzucił jej nerwowy uśmiech.

Włożyła kartę pamięci ukradzoną z aparatu Rosjan do koperty i zaadresowała ją do Qili z Bloku 7. Może uda jej się przesłać ją do jakiejś zagranicznej gazety, która chciałaby nagłośnić tę historię.

Do sklepu weszła Minnie Inukpuk. Niepewnym krokiem skierowała się do półki z alkoholem. Etok wyszła zza lady pocztowej i pospieszyła za nią. Mike ruszył w ślad za żoną. Edie wiedziała, co to oznacza - Minnie zaczęła kraść, a Etok nie zamierzała puścić jej tego płazem. Jej mąż natomiast, jak zwykle ugodowy, chciał zapobiec awanturze. Poczekala, aż Mike zniknie między półkami, otworzyła drzwi i wpadła na jego żonę, która trzymała w dłoniach najnowsze wydanie „Arctic Circular”. Papiery wleciały do góry i opadły na ziemię kolorową fontanną. Etok stała nieruchomo, gdy Edie zbierała gazety. Spojrzała na zdobiące okładkę zdjęcie czarnego pelikana. Pod spodem widniał napis „Zemmer”. Ukryła jeden egzemplarz pod kurtką, oddała resztę gazet Etok i pospiesznie wróciła do domu.

W mieszkaniu nic się nie zmieniło, było niemiłosiernie gorąco i pusto. Kobieta wyjęła gazetę spod kurtki i spojrzała na pierwszą stronę. Zdjęcie przedstawiało ogromny pożar jednej z platform wiertniczych firmy Zemmer na Morzu Ochockim, niedaleko wschodniego wybrzeża Rosji. Do pożaru doszło dwa dni wcześniej, a pelikan był tylko jedną z ostatnich ofiar. W wybuchu zginęło czterdziestu trzech pracowników platformy, a dwudziestu siedmiu uznano za zaginionych. Eksperci przewidywali, że wyciek ropy może osiągnąć rozmiary stanu Delaware. Rzecznik prasowy firmy Zemmer twierdził, że ktoś naruszył system bezpieczeństwa platformy i uszkodził sprzęt pompujący. Na miejscu zdarzenia znaleziono wykonany w Rosji detonator, ale rzecznik nie chciał spekulować. U dołu strony znajdował się odsyłacz do działu komentarzy.

„Czy to początek nowego terroryzmu paliwowego?”

Redakcja spekulowała, że eksplozja mogła być wynikiem działań czeczeńskich separatystów.

Edie odłożyła gazetę. Wiedziała, że może przesadza, ale w jej głowie kiełkowała pewna teoria. Czyżby firma BelOil chciała upiec dwie pieczenie na jednym ogniu i odwrócić uwagę od swoich działań w Arktyce, jednocześnie wykańczając konkurencję? Mogli mieć pewność, że media nawet nie zwrócą na nich uwagi. Jak to było - wojna to polityka prowadzona innymi środkami? A może w tym przypadku wojna była po prostu biznesem prowadzonym innymi metodami?

Wypakowała kilka rzeczy, które udało jej się zabrać z pontonu, zaparzyła herbatę i wstawiła miskę zamrożonego gulaszu z foki do mikrofalówki. Wzięła prysznic, nasmarowała włosy olejem i zaplotła je w warkocze. Przypomniała sobie o Koperkuju, ale nie mogła się teraz tym zajmować. Wszystko w swoim czasie.

Ktoś otworzył drzwi na werandę. Edie miała wrażenie, że serce wyskoczy jej z piersi. Pobieгла do schowka i chwyciła za strzelbę. Chwilę później w drzwiach stanął rozpromieniony Sammy.

- Cóż to za smakowity zapach?

Ucieszyła się na jego widok.

- Kolacja - wyjaśniła. — Dla jednej osoby. W dodatku zdążyłam już zjeść. Nie mów, że zdążyłeś się już rozstać z Nancy. - Gestem wskazała mu siedzenie. - Wystraszyłeś mnie - powiedziała. To był pierwszy raz w jej życiu, gdy coś takiego się wydarzyło.

- Wystraszyłem cię? — Sammy był zszokowany. Wziął ją za rękę i pogłaskał ją po przyjacielsku. - Nie wiem, co ty kombinujesz, ale rozumiem, że nie masz wyjścia. Uważaj na siebie, Edie. - Delikatnie pogładził jej policzek. Opuchlizna powoli schodziła, ale szczęka wciąż była fioletowa od siniaków. Mimo najszczerzych chęci nie wyglądała najlepiej.

- Nie narażaj się. Joe by tego nie chciał. I ja też.

Kobieta słuchała go w milczeniu. Z całego serca pragnęła mu się zwierzyć; zwierzyć się swojemu staremu, dobremu Sammyemu, ale to ona wpakowała się w te tarapaty i nie zamierzała go w nic mieszać.

- Chcesz trochę gulaszu? Mogę wstawić do mikrofalówki.

Sammy pokręcił głową przecząco.

- Nancy podgrzewa pizzę.

- Aha. - Kobieta przełknęła zawód. Siedzieli przez chwilę w ciszy, próbując pogodzić się z tym, co nieuniknione.

- Chyba czas na mnie — powiedział.

Cofnął się w drzwiach.

- Kiedy cię nie było, karmiłem twoje psy. Grubogłowego i całą resztę, tak jak prosiłaś.

- Dzięki, Sammy. - Wciąż jeszcze potrafił ją wzruszyć.

- Zauważyłem, że z tyłu domu wybrzuszył się lód. To nic poważnego, ale może ktoś powinien na to spojrzeć.

Znów mu podziękowała. Ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy, a Edie poczuła nagłą, palącą tęsknotę. Sammy odwrócił się i wyszedł.

Po raz pierwszy w życiu zamknęła na noc drzwi.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Edie wybrała się do Sklepu Północnego, by zatelefonować do sióstr Rasmussen. Po raz pierwszy od wiosny zaczął padać śnieg. Ostatnie promienie jesiennego słońca roztopiły płatki na wybrzeżu, ale klify pokrywał delikatny puch, niczym zapowiedź tego, co miało dopiero nadejść. Etok była w biurze, a Mike przyjmował dostawę. Edie podniosła słuchawkę dopiero wtedy, gdy była pewna, że nikt nie jej nie widzi. Odkąd straciła pracę i portfel, zostało jej zaledwie kilka dolarów pożyczonych od Sammyego.

— Ai

— Qila?

— Hej, Edie! - Qila się roześmiała. - Wysłałyśmy zdjęcia twoich rosyjskich znajomych do „Sermitsiaq”, naszej grenlandzkojęzycznej gazety. Opublikowali tę historię. I wyobraź sobie, że władze postanowiły jednak coś z tym zrobić - w przyszłym tygodniu deportują ich z powrotem do Rosji.

Przewodniczka uśmiechnęła się do siebie. To była dobra wiadomość. Nic nie powstrzyma Bielowskiego, ale przynajmniej jego przeciwnicy zyskają trochę na czasie.

- Wiadomo coś o tym, co oni tam robili?

- Kto, policja?

- Rosjanie.

- To, co wcześniej. Rozkopywali teren wokół ziemianek. Twierdzili, że nie wiedzieli, że był tam cmentarz. Ale zdjęcia świadczyły o czymś innym.

- Cieszę się, że już ich tam nie ma - powiedziała Edie. Pomyślała o portfelu. - Sprawdziłaś te dzienniki, o których ci napisałam?

- Tak - powiedziała Qila. — Znalazłam jeden egzemplarz w bibliotece. Miałas rację co do Karłowskiego. Faktycznie spotkał się z Welatokiem. - Kobieta zachichotała ironicznie. - Ten *qalunaat* lubił sobie popisać, nie ma co. Niezły kataryniarz, czy jak to się mówi.

- Chyba katarynka.

- Tak, stara, zdezelowana katarynka. Ale znał twojego prapradziadka. Spotkali się w Etah. Welatok przez jakiś czas mu towarzyszył, ale potem zrezygnował.

- Karłowski coś o tym napisał?

- Wiesz, jak to jest, Edie. Z jednej strony pisze, że trudno jest odczytać miejscowych, a z drugiej, że są prości jak, nie przymierzając, foki. Karłowski napisał, że Welatok miał jakiś kamień. Podobno nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział. - Westchnęła. - Mam nadzieję, że ci pomogłam.

- Pewnie — powiedziała Kiglatuk zachęcająco. Kamień? Jasne! Mike Nungaq mówił przecież, że ten fragment, który dostała od Koperkuja, pochodził z większej bryły.

- Jest coś jeszcze.

- Zamieniam się w słuch.

- W co się zamieniasz?

- Słucham, po prostu słucham, Qila.

- No tak, faktycznie. Co do tego kamienia. Karłowski chciał się wymienić z Welatokiem, ale ten się nie zgadzał. Zaproponował mu nawet dwie strzelby, i nic. Powiedział, że wcześniej już jeden *qalunaat* go oszukał i drugi raz nie da się nabrać.

- Fairfax. — Edie wzięła głęboki oddech. Elementy w końcu składały się w jedną całość.

- Kto?

- Nieważne.

- Welatok nie chciał już dłużej towarzyszyć Karłowskiemu i opuścił obóz. Karłowski chciał podążyć za nim, ale w głębi łądu brakowało zwierzyny, a jego psy były głodne, więc musiał zawrócić. Przynajmniej tak twierdzi.

- Nie wierzysz mu?

- Nie. Myślę, że Karłowski dogonił Welatoka, zabił go i okradł, zabierając też kamień.

- Dlaczego tak uważasz? - Z przekazywanej z pokolenia na pokolenie opowieści wynikało, że jej prapradzia-dek zmarł z głodu lub wychłodzenia, albo jednego i drugiego...

Qila wydawała się urażona.

- Nie wymyśliłam sobie tej historii ot tak, jeżeli o to ci chodzi. Mam dowody.

- Przepraszam. - Faktycznie, jej wersja wydarzeń miała pewien sens.

Nagle Edie zrozumiała, dlaczego *puikaktuq* i przypominał, i nie przypominał Joego.

Nawiedzał ją duch Joego i Welatoka; dwóch zamordowanych mężczyzn, którzy wołali do niej z zaświatów.

Rozejrzała się po sklepie. Wokoło było pusto.

- Karłowski pisze, że odstrzelił słabsze psy i w drodze powrotnej karmił pozostałe ich mięsem. Tylko że wyjechał z dwunastoma psami, a to oznacza, że musiał gdzieś zdobyć kolejne. Inaczej nie mógłby wrócić do Etah.

- Czyli sądzisz, że wziął psy Welatoka.

- Nie tylko psy. Musiał wziąć też kamień i wszystko inne. Dziennik urywa się tuż po tym, jak Karłowski próbował odkupić kamień od Welatoka, a ze wstępu wynika, że tuż po powrocie zaginął podczas zamieci. Jego ciała nigdy nie odnaleziono. Podobno jacyś Inuici znaleźli jego dziennik i sprzedali go ekipie ratunkowej. Moim zdaniem to bzdury.

- Dlaczego?

- To był czerwiec. W Etah w czerwcu nie zdarzają się zamiecie. Moim zdaniem Inuici dowiedzieli się, co Karłowski zrobił Welatokowi i zabili go w odwecie.

Edie czuła, że huczy jej w głowie. W kulturze Inuitów chęć wzbogacenia się czy kradzieży praktycznie nigdy nie stawała się powodem morderstwa, ale pragnienie zemsty owszem. Jej lud wierzył w zemstę.

- Czyli Rosjanie nie szukali grobu Welatoka?

- Nie. Chodziło im o Karłowskiego.

- Więc czemu tego nie powiedzieli?

- Bo wtedy wzbudziłby ciekawość innych - powiedziała Qila.

Edie doszła do wniosku, że Qila ma rację. Feliks Wagner, Andy Taylor, Rosjanie - wszyscy pragnęli tego samego, ale chudzielec i blondyn byli po prostu mądrzejsi. Taylor pewnie myślał, że Bill Fairfax będzie dla niego idealną przykrywką, a tymczasem tak naprawdę popełnił samobójstwo — zachodnia prasa podniosłaby przecież taki szum, że wszystkie jego plany musiałyby spalić na panewce. Rosjanie zlikwidowali go, gdy tylko dowiedzieli się o jego zamiarach. Owszem, rozkopanie kilku lokalnych grobów nie przysporzyło im przyjaciół na Grenlandii, ale dla prasy zagranicznej nie był to specjalnie interesujący temat.

Dalej jednak nie rozumiała, dlaczego Rosjanie w ogóle musieli posuwać się do takich środków. Skoro zastrzelili Taylora i pokroili jego ciało na drobne kawałeczki, to dlaczego nie zabrali kamienia?

Mike wyszedł z magazynu w chwili, w której Edie zakończyła rozmowę.

- Mogłaś się najpierw zapytać - powiedział urażony.

- Przepraszam, byłeś zajęty. Oddam ci pieniądze, ale to chwilę potrwa.

Sprzedawca spojrział na nią z wyrzutem.

- Mike, mam u ciebie dług.

- To akurat prawda — westchnął mężczyzna.

W domu zaparzyła bardzo słodką herbatę i próbowała przypomnieć sobie wydarzenia sprzed pięciu miesięcy, kiedy zginął Wagner. Wszystko jak do tej pory wskazywało na to, że to Rosjanie - chudzielec i blondyn - byli pasażerami zielonego samolotu, który widział Joe. Wiedzieli, że Andy Taylor miał kamień i dziennik. Tylko skąd? Może Taylor grał w tę samą grę, co jego szef, Wagner, tyle że na dwa fronty. Czy w pogoni za Taylorem Rosjanie zauważyli też Joego? Może jego też próbowali zabić, ale zgubił im się w śnieżycy? Zdawali sobie sprawę, że ich zauważył, więc skontaktowali się ze swoim człowiekiem w Autisaq. Ktokolwiek to był, najwyraźniej udał się do kliniki, ukradł z niej odpowiednią ilość vico-dinu - i być może również igłę - a potem odnalazł Joego i upewnił się, że jej pasierb nigdy się już nie obudzi.

Ponieważ plany przechwycenia kamienia po cichu, bez rozgłosu, spełzły na niczym, Rosjanie byli zmuszeni przenieść poszukiwania na inny teren. Z dziennika Karłowskiego dowiedzieli się, że Welatok miał jeszcze jeden odłamek meteorytu, a podróżnik najwyraźniej go ukradł. Nie pozostawało im nic innego, jak odnaleźć jego grób na jednym z wielu cmentarzysk rozsianych po otaczającej Etah tundrze i modlić się, by kamień był przy jego ciele.

Co do miejscowego współpracownika, który dokonał egzekucji, wszystko wskazywało na Simeoniego Inukpuka - wzbraniał się przed wszczęciem śledztwa, dostawał regularne darowizny na rzecz fikcyjnej fundacji, niespodziewanie wydawał pieniądze na konsultantów i plakaty wyborcze, a historia jego przeglądarki sugerowała, że przynajmniej ze słyszenia znał nazwę Zemmer. Poza tym był człowiekiem bezlitosnym. Ale jak miała to udowodnić? A nawet gdyby jej się to udało, to czy ktokolwiek ją wysłucha?

Podsmazyła pstrąga, włączyła *Gorączkę złota* i usiadła do kolacji. Gdy tylko zaczęła jeść, usłyszała, jak ktoś wchodzi na ganek. Czas stanął w miejscu. Oddychała szybkim, urywanym oddechem. Strzelba była w schowku. Właśnie miała po nią pójść, gdy usłyszała znajomy głos, a drzwi się otworzyły.

To była tylko ciotka Martie. Przez chwilę kobiety patrzyły na siebie w milczeniu, po czym Martie się roześmiała.

- Cholera, wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Przytuliła ją mocno do siebie. Ich oddechy się spotkały.

- Jak się miewasz, moja Mała Niedźwiedzico?

Edie uśmiechnęła się do krewnej.

- Czasami jest w porządku. - Poprosiła ciotkę, żeby usiadła. Przyniosła jej herbatę i resztę ryby. Martie zajrzała do kubka.

- Wyszłaś na prostą?

Przewodniczka pokiwała głową.

- Od miesiąca jestem czysta.

Ciotka poklepała ją po kolanie.

- To dobrze. - Wzięła kęs ryby, a na jej twarzy pojawił się błogi uśmiech. - Słyszałaś o starym? Był z niego niezły bzik, ale lubiłam go. Kiedyś to nawet wiesz, Koperkuj i ja... - powiedziała, odkładając talerz na podłogę. Wygląda okropnie, pomyślała Edie, i nie ma apetytu.

Zupełnie jak nie Martie. Jej ciotka zawsze lubiła dobrze zjeść. - Pewnie nie została ci ani jedna szklaneczka?

Edie pokręciła głową.

- Piwo?

- Niestety.

- Aha. - Martie posmutniała. — Co do starego. Wiesz, że miał pewne... - Zawahała się, szukając odpowiedniego słowa. - Chodzi mi o to, że miał trochę problemów.

Eddie znieruchomiała.

- Tak, stary Koperkuj był w tarapatkach. Wiesz chyba o tej całej sprawie ze szklarnią, prawda?

- Był w to zamieszany? - To była dla niej nowość. Willa najwyraźniej uznał, że nie opowie jej wszystkiego.

- Zlikwidowali ją. Szef stacji naukowej już się o to zatroszczył. Ale widzisz, stary chciał zacząć od nowa, przenieść hodowlę gdzie indziej. Mówił, że ma diament, który może sprzedać i zdobyć kapitał.

- Aha. — To wszystko zmieniało. - Myślisz, że to dlatego znikł?

Ciotka próbowała jej coś przekazać, ale jeszcze nie dotarła do sedna.

- Dlaczego dopiero teraz z tym do mnie przyszedł? -zapytała Eddie.

- Chyba dopiero teraz mi się przypomniało. - Martie wzruszyła ramionami.

Eddie czuła, że przyszła jej kolej na szczerłość.

- Wiesz, Martie, to ja dałam Koperkujowi ten diament.

- Serio? Skąd go wzięłaś?

- Nie sądzę, żeby był prawdziwy, ale nie wiem. Stary miał taki kamień, który był mi bardzo potrzebny.

- Kamień? — zdziwiła się Martie. — Zamieniłaś diament na kamień?

Eddie otworzyła usta, po czym zdała sobie sprawę, że i tak nie będzie potrafiła jej tego wytłumaczyć. Była już prawie na werandzie, kiedy Martie ją zawołała.

- Hej, dokąd idziesz?

- Zaczekasz tu na mnie?

- Jeżeli powiesz mi, o co chodzi!

- Muszę porozmawiać z Willą.

Starsza kobieta wzruszyła ramionami. Kiedy Eddie była już na ulicy, usłyszała, jak ciotka mruczy do siebie.

- Moja mała, stuknięta niedźwiedzica.

Eddie zastała Minnie jak zwykle na sofie, otoczoną pustymi butelkami.

- Wynoś się stąd, suko! - wrzasnęła pijana kobieta.

- Ja tobie również życzę miłego dnia. — Eddie minęła ją i poszła prosto do pokoju Willi.

Minnie próbowała wstać, ale po chwili poddała się i zaczęła wymachiwać pięścią.

Ku wielkiej uldze Eddie, jej pasierb siedział na łóżku i grał na konsoli. Zatrzymała się w drzwiach.

- Odpieprz się, Eddie.

Kobieta poczuła ukłucie w sercu. Przełknęła nagłą chęć, by mocno go przytulić.

- Czym zajmował się stary Koperkuj w waszym małym biznesie hodowlanym?

Spojrzał na nią. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie skłamać.

- Nie wiem, czemu znikł, jeżeli o to ci chodzi. -Znów wlepił wzrok w ekran. Miał nienaturalnie spokojny głos. - W każdym razie jeżeli mają coś do mnie, to niech mi to powiedzą w twarz.

- Ale kto ma coś do ciebie, Willa?

Kobieta wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. Zaledwie pół roku temu Autisaq było tylko nudną jak flaki z olejem arktyczną osadą. Gdzie podział się ten spokój?

- Ci faceci z Kuujuaq, Tooliq i Silliq. — Willa wzruszył ramionami.

Eddie nie była zaskoczona, gdy usłyszała te nazwiska. Sława tej dwójki sięgała nawet do Autisaq.

- W każdym razie - ciągnął Willa - czemu nagle zaczęłaś się mną tak przejmować?

Kobieta podniosła rękę w geście frustracji i kapitulacji zarazem.

- Myślałam, że ta cała historia ze szklarnią to już przeszłość.

- Bo tak było, i tak jest. — Willa westchnął. - Co chciałabyś ode mnie usłyszeć?

- Prawdę. - Edie zaczęła skubać warkocze. - Oczywiście, jeżeli to nie jest dla ciebie zbyt duży problem.

Jej pasierb wzniosł oczy ku niebu, ale zaczął mówić.

- Stary doglądał roślin, a my odpalaliśmy mu część zbiorów. Dzięki temu nie musieliśmy tam bez przerwy jeździć i nie zwracaliśmy na siebie uwagi. Tooliq i Silliq sprzedawali jego towar.

Nie wiem, może się wkurzyli, kiedy to wszystko się skończyło; może myśleli, że Koper-kuj chce ich wykiwać. Moim zdaniem stary po prostu gdzieś się zaszył. - Willa odwrócił się do konsoli. - I co, dasz mi teraz wreszcie spokój?

Kobieta milczała. Zastanawiała się, jak do niego dotrzeć. Jej pasierb nie odrywał wzroku od ekranu.

— Po prostu się odpieprz, Edie.

Wyszła na ulicę i ruszyła w kierunku posterunku. Ktoś musiał poinformować Dereka Pallisera o Tooliqu i Silliqu. Miała dług wobec Koperkuj, a poza tym trzeba ich jakoś nastraszyć, żeby dali spokój Willi. Nie chciała, żeby coś mu się stało.

Policjant siedział przy telefonie i wydawał dyspozycje ekipie ratunkowej. Kiedy skończył rozmowę, zaznaczył trasę na mapie i spojrzał na nią zmęczonym wzrokiem. Liczył na dobre wieści.

— Derek, mam pewne podejrzenia, co mogło się stać ze starym Koperkujem. Musisz aresztować Willę Inuk-puka.

Palliser pokręcił głową z niedowierzaniem.

— Cholera, Edie, tobie chyba naprawdę odbiło.

Kobieta wyjaśniła, czego się dowiedziała.

— Po prostu nie chcę, żeby coś mu się stało.

Derek spojrzał na nią błagalnie, po czym sięgnął do szafki po pistolet i kajdanki.

— Czasami się zastanawiam, co takiego zrobiłem ci w poprzednim życiu.

— Myślisz, że Tooliq i Silliq mogli coś zrobić Koperkujowi?

- Gdybyś zapytała mnie o to miesiąc czy dwa temu, powiedziałbym, że nie ma szans. Teraz nie jestem już tego taki pewien. Na wyspie dzieje się coś złego. I nie mam pojęcia, co.

Edie otworzyła drzwi na werandę własnego domu i usłyszała świst. Nóż myśliwski głucho wbił się we framugę drzwi, tuż obok jej głowy.

- Dałam ten nóż Koperkujowi, kiedy robiliśmy, to co robiliśmy. Wszędzie bym go poznała. - Martie podeszła do niej i wyjęła nóż z framugi, po czym przyjrzała mu się uważnie. - Zębki na czubku są nierówne. Mike sprzedał mi go za pięćdziesiąt dolarów - wyjaśniła. - Stary był słaby w łóżku, nawet w kwiecie wieku. - Zmarszczyła brwi. - Co ten nóż robi u ciebie?

Edie podniosła rękę do góry w geście kapitulacji.

- Wpadłam kiedyś do niego, tak po drodze. Stary przywitał mnie strzelbą. Myślałam, że będę musiała się bronić.

- Zabrałaś mu nóż?

- Nie martw się, Martie, oddam mu go.

- Okej. - Kobieta machnęła ręką. - Byłaś u Pallisera?

- Tak. - Nagle Edie uderzyła pewna myśl, tak mocno, że mogłaby się przewrócić. — Martie, zaczekasz tu na mnie?

Martie przewróciła oczami.

- Pewnie, nie mam nic lepszego do roboty.

Edie wyszła do schowka, zdjęła z półki puszkę z kośćmi Andy'ego Taylora i wysypała je na stół w salonie.

Wyszukała kość udową ze śladami noża i przyłożyła do nich ostrze Koperkuja. Pasowały idealnie.

— Popatrz.

Martie zachichotała i pokręciła głową.

— Ten stary mors zawsze nienawidził *qalunaatow*. -Nagle spoważniała. - Nie sądzisz chyba...?

— Raczej nie. Andy Taylor zarobił kulkę w głowę. Ale to by wyjaśniało, dlaczego nigdzie nie było śladów lądowania. - I dlaczego Rosjanie wrócili polować na kaczki. Edie postanowiła jednak zachować to dla siebie.

Martie wzruszyła ramionami i podniosła w górę dłoń. Nie miała pojęcia, o czym mówi jej bratanica.

— Celownik termiczny.

— Dalej nie rozumiem.

— Andy Taylor został zastrzelony z powietrza za pomocą celownika termicznego. Dzięki temu nawet nie musieli go widzieć. Celownik śledził ciepło ciała. Słaba widoczność uniemożliwiła im wylądowanie. Stary musiał znaleźć ciało Taylora i poćwiartować je, kiedy Rosjanie odlecieli.

— Co ma piernik do wiatraka? - zapytała Martie. W ogóle nie wiedziała, o co jej chodzi.

Edie wzruszyła ramionami. Sama jeszcze tego nie wiedziała.

Wkrótce odwiedził ją Derek Palliser, żeby powiedzieć, że Willa jest już bezpieczny w areszcie. Zamierzał polecieć do Kuujuaq, żeby przesłuchać Tooliqa i Silliqa. Na posterunku został sam Stevie. Pol miał go odwiedzić na miejsce i ruszyć na dalsze poszukiwania Koperkuja.

Gdy wychodził, Edie poprosiła go, by poczekał jeszcze chwilę. Chciała odgrzać coś w mikrofalówce. Po dwóch minutach wyjęła miskę i przelała jej zawartość do termosu.

- To dla Willi. Zupa z krwi foki, jego ulubiona.

Następnego dnia wstała wcześniej, upiekła praśny chleb i zaparzyła herbatę. Gdy polewała kromkę syropem, przypomniała sobie, że to właśnie tego dnia Simeonie Inukpuk miał przedstawiać swoją wizję rozwoju Autisaq na kolejną kadencję. Burmistrz od niepamiętnych czasów opowiadał, że zamierza zmienić ich małą osadę w coś w rodzaju podbiegunowego ośrodka handlu, rywała Resolute, które, jak do tej pory, przyciągało większą liczbę biznesmenów. Spora część mieszkańców Autisaq sądziła, że to marzenia ściętej głowy. Edie czuła jednak, że ostatnio coś się zmieniło. Rada Autisaq rozumiała, że życie Arktyki powoli dobiega końca. Chcieli zapewnić sobie miejsce na łodzi ratunkowej, gdy stopnieje ostatni lodowiec i zaleje ich woda. Poza tym ludzie chcieli, żeby ktoś tą tratwą pokierował. Część z nich -jak również sam zainteresowany - uznała, że najlepszym kandydatem na to stanowisko jest Simeonie Inukpuk. Poprzedniego dnia odwiedził ją nawet John Tisdale, żeby przekazać, że burmistrz uzna jej obecność na spotkaniu za „pozytywny znak”. Dyrektor sugerował, że być może będzie mógł nawet oddać jej parę godzin w szkole.

Oczywiście sama Edie nie miała najmniejszego zamiaru wysłuchiwać bzdurnych opowieści Simeoniego.

Spędziła poranek na czyszczeniu i ładowaniu broni, którą ukryła w różnych miejscach domu. Rosjan miała na razie z głowy, ale to nie oznaczało, że ich człowiek nie miał jej na oku.

Wyciągnęła kamień z szuflady słoika nocnego, wrzuciła go na dno puszek i przysypała cukrem.

Przed południem włożyła wierzchnie okrycie i wyszła na opuszczone ulice. Gdy dotarła do

sklepu, zobaczyła Mike'a Nungaqa pochylonego nad drzwiami. Prawą rękawiczkę trzymał w ustach i nagą dłonią próbował przekręcić klucz w zamku.

- Jak przemówienie? - zapytała. Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Już to wszystko słyszałem. - Zamek w końcu ustąpił. — Nie wszyscy jesteśmy tacy, jak ty, Edie. — W jego ton wkradła się nuta irytacji.

Tupnął kilka razy butami o posadzkę, żeby otrzepać je ze śniegu, i w ramach przeprosin obdarzył ją przyjaznym uśmiechem. Edie zwinęła najnowszy numer „Arctic Circular” ze sterty. Sprzedawca zauważył to i żartobliwie pogroził jej palcem. Gdy wyjęła dolara, machnął ręką.

- Muszę otworzyć sklep - powiedział. - Będziesz potem w domu?

- Hm - zastanowiła się. - Właściwie to wybierałam się do opery, ale skoro zamierzasz wpaść...

Mike zignorował żart.

- Mam coś, co powinno cię zainteresować. - Wyprostował się i przybrał dość niezręczny ton.

- Nie zostanę długo, wiesz, chodzi o Etok.

- Jasne - powiedziała. - Mógłbyś przynieść dużą butelkę syropu do naleśników? Mój się skończył. Zapłacę ci na miejscu.

Mężczyzna szturchnął ją w bok.

- A co, stary Mike nie jest wystarczająco słodki?

Edie musiała się namyślić, a do tego potrzebowała przestrzeni. Wzięła strzelbę myśliwską, udała się na brzeg, wskoczyła do kajaka i wybrała się na zachód, na fiord Jakeman. Klify upstrzone były młodymi trzczykami i wydrzykami. Ptaki powoli nabierały sił na długi lot na południe. Wkrótce odlecą; gęsi dawno już to zrobiły. Minęły już te krótkie, letnie tygodnie słońca, kwiatów i nowego życia. Edie zdała sobie sprawę, że nawet ich nie dostrzegła. Wiosłowała w dal, chłonąc resztki jesieni.

Gdy wróciła na wybrzeże Autisaq, Mike Nungaqa wyszedł jej na spotkanie. Poszli razem do niej do domu. Mężczyzna postawił jej zakupy na werandzie i przystanął niepewnie.

- Ten mój kolega od kamieni, który zidentyfikował meteoryt... - powiedział i sięgnął do plecaka, z którego wyjął niewielki plik kartek. - Przysłał mi to. Powiedział, że może cię to zainteresuje.

Wzięła przesyłkę do ręki i zaczęła przeglądać papiery.

- Powodzenia. Muszę już lecieć.

Edie patrzyła, jak Mike się oddala - szybko, jak najszybciej, byleby z dala od niej. Zaczęła skubać warkocze. Czy naprawdę ostatnio aż tak trudno być jej przyjacielem?

Kolega Mike'a wysłał jej artykuł z pisma geologicznego. Chodziło o anomalie irydowe w formacjach astroblemych. Autorów było kilkunastu, wszyscy byli profesorami lub naukowcami najlepszych amerykańskich uniwersytetów. Edie przeczytała pierwsze zdanie, zrobiła podejście do drugiego i poddała się z westchnieniem.

Po kilku herbatach powoli zaczynała rozumieć abstrakt, ale nie miała jeszcze na tyle odwagi, by zaatakować cały artykuł. Zawitych wykresów i tabelek nawet nie próbowała zgłębić. Z tego co zrozumiała, wynikało, że bogate w iryd meteoryty zanurzone w podłożu o wysokiej zawartości chlorku sodu działały jak potężny „korek” geologiczny, zapobiegając wydzielaniu się gazu. Wystarczyło odkorkować ujście, by odkryć ogromne złoża niewykorzystanego dotąd paliwa.

O ile się nie myliła, naukowcy potwierdzali jej przecucia. Kamień, którego poszukiwali przedstawiciele BelOil i Zemmera, zawierał śladowe ilości soli. By znaleźć nowe złoża gazu, jego właściciel musiał tylko dowiedzieć się, skąd dokładnie wziął go Welatok. Edie wyobraziła sobie rozległe złoża wielkości wyspy Craig. Ile mogły być warte? Warte życia trzech ludzi?

Kilkudziesięciu? Może nawet setek? Co jeszcze musiałoby zginąć? Sposób życia? Może cała Arktyka?

Zdjęła z półki puszkę cukru i wyjęła z niej kamień. Przez jakiś czas ważyła go w dłoniach, opuszkami palców badała każdy zakamarek, aż w końcu zaczęły ją boleć stawy. To dlatego wydawało jej się, że Feliksa Wagnera w ogóle nie interesuje polowanie. To dlatego Andy Taylor był tak kiepskim myśliwym. Wagner dość dobrze orientował się, gdzie Welatok mógł znaleźć meteoryt i próbował odnaleźć to miejsce bez wzbudzania podejrzeń. Próbował się zabezpieczyć, napuszczając na siebie dwie duże firmy. I zginął.

Podeszła do drzwi pokoju, który już zawsze miał być pokojem Joego. Bała się tego, co będzie mogła tam zobaczyć, ale i tak chciała tam wejść. Drzwi ustąpiły nieco pod pchnięciem, po czym się zatrzymały. Zaczęła na nie napierać całym ciałem, ale wyglądało na to, że coś blokuje je od drugiej strony. Przypomniała sobie, co Sammy mówił o wybrzuszonym lodzie. Najwyraźniej podłoga musiała się wygiąć. Trzeba było wyjąć drzwi z zawiasów i trochę je spiłować. Oczywiście najłatwiej byłoby po prostu dać za wygraną. Nie potrzebowała tego pokoju i nie stać jej było na remont. Z drugiej strony nie była w nim od kwietnia, tak jakby chciała odwrócić się od osoby, która kiedyś w nim mieszkała.

Znalazła swój najlepszy nóż myśliwski. Kiedyś patroszyła nim morsy. Zawiasy nigdy nie były oliwione; pokrywała je gruba warstwa farby i rdzy, ale drewno było miękkie i łatwo się odkształcało. Edie po raz pierwszy w życiu doceniła tanią tymczasowość prefabrykatów. W końcu drewno ustąpiło. Kobieta zdjęła drzwi z zawiasów i oparła je o ścianę obok.

Gdy włączyła światło, jej oczom ukazał się widok jak z surrealistycznych obrazów. Podłoga w niektórych miejscach wybrzuszyła się tak bardzo, że tworzyła niewielkie zbocza i pagórki. Miejscami wydawało się, że deski zapadły się poniżej znajdujących się pod spodem belek nośnych. Łód wypchnął fundamenty do góry, a pale z kolei wypchnęły belki nośne w kierunku podłogi. Spomiędzy pęknięć wystawały skupiska żółtej piany izolacyjnej. Podłoga wyglądała na chorą, jakby zaatakował ją jakiś wyjątkowy złośliwy grzyb. To pewnie stąd brały się te wszystkie tajemnicze odgłosy, które dotąd przypisywała *puikaktuqowi*. Była zbyt pijana - albo skacowana - żeby domyślić się prozaicznej prawdy.

Pomijając oplakany stan podłogi, pokój Joego wyglądał dokładnie tak, jak go zostawiła - na półkach wciąż stały podręczniki pielęgniarstwa wraz ze stetoskopem i termometrem elektronicznym, który Edie kupiła mu w prezencie świątecznym. Pościel już dawno została spalona, ale materac pozostał nietknięty. Nie dotykała go od śmierci Joego, ale teraz podeszła do ramy i usiadła na łóżku. Po raz pierwszy w życiu patrzyła na ściany pokoju z perspektywy swojego pasierba. To właśnie stąd Joe oglądał świat.

Edie wstała i popchnęła łóżko do kąta, ale przednia noga zaklinowała się w wygiętym drewnie. Kobieta uklękła i zajrzała pod spód. Właśnie miała pchnąć łóżko, gdy wyczuła pod małym palcem jakieś zagniecenie; opakowanie, może po ciasteczkach albo batonie. Pociągnęła za nie, ale plastik zakleszczył się między panelami.

Edie wyciągnęła ramię spod łóżka i zaczęła wyrzucać sobie swoją niechlujność. Odsunęła łóżko. Spomiędzy desek wystawał kawałek celofanu, zapewne z jakiegoś opakowania. Musiał wpaść w szczelinę, kiedy drewno zaczęło pękać. Schyliła się, żeby go podnieść, ale plastik nawet nie drgnął. Nie miała wyjścia - musiała zdecydowanie bardziej się postarać. Uklękła i przyjrzała się opakowaniu z bliska. Drewno wybrzuszyło się w tym miejscu na wysokość filiżanki herbaty. Plastik musiał wpaść w dziurę, a potem łód wypchnął go z powrotem na zewnątrz. Edie wychyliła się i chwyciła róg opakowania kciukiem i palcem wskazującym. Przez chwilę chciała go po prostu odciąć nożem, ale coś ją powstrzymało. W każdym razie plastik zaczął powoli się wysuwać. Okazało się, że to folia, może nawet spożywcza, którą ktoś skrupulatnie złożył w

kwadrat. W środku znajdowały się jakieś resztki. Wiedziona ciekawością przyjrzała się im z bliska. Folia ubrudzona była czymś, co przypominało czekoladę, z kilkoma ciemnobrązowymi płatkami. Edie spojrzała na nie pod światło. Zobaczyła kilka kruczoczarnych, granatowych niemal włókien. Nie miała żadnych wątpliwości - to były włosy Joego, jej Joego. Przez chwilę zakręciło jej się w głowie i upuściła folię na podłogę. Podniosła ją, schowała do kieszeni i przesunęła łóżko na miejsce. Jeszcze raz spojrzała na pokój. Wydawało jej się, że nawet ściany się wygięły, jakby patrzyła na nie przez krzywe zwierciadło.

W jej głowie kiełkowała pewna myśl, ogromna, niepowstrzymana myśl, która z minuty na minutę nabierała siły, niczym wielkie lodowe pole tuż przed ostygnięciem. Kto inny mógłby to nazwać przecuciem, ale Edie wiedziała, że nie ma w tym żadnej jej zasługi, że ideę tę zaszczerpiła w jej głowie jakaś moc, która wraz z nią weszła do pokoju Joego.

Pobiegła do schowka i wyjęła soczewkę teleskopową, za pomocą której odczytała dziennik. Żałowała, że nie ma z nią Dereka Pallisera — wiedziała jednak, że musi to zrobić sama. Drżącą ręką włączyła lampkę biurkową i przysunęła folię do światła. Trzęsła się jednak tak bardzo, że nic nie widziała.

Wkrótce ogarnęło ją zniecierpliwienie. Wstała i wsunęła płytę do odtwarzacza DVD. Po chwili poczuła, jak spływa na nią zbawienny spokój. Wyjęła z szuflady duży spinacz, przypięła folię do lampki i obiema rękami ustabilizowała soczewkę. Brązowe płatki rozpląnęły się w zbiór skrawków przypominających papier. Z bliska nie były już brązowe; miały lekko przyprószony, fioletowy kolor, poprzecinany serią drobnych linii układających się w nieregularne kształty.

Była to ludzka skóra w dziwnym, niezwykłym kolorze. I to nie tylko skóra, która już dawno oberwała się czy starła, tylko taka, którą ktoś wyrzucił gdzieś w tundrze. Edie przesunęła soczewkę. Ludzkie włosy, granatowoczarne i proste jak druty. Nieco dalej, pośrodku folii, widać było jeszcze dwa inne włosy - krótsze, z białymi kropkami na końcach; zbyt krótkie, by były to włosy łonowe, zbyt cienkie, by pochodzić z brwi... Kobieta pomyślała, że wyglądają jak włosy z nosa.

Z szafki pod zlewem wyjęła parę winylowych rękawiczek i naciągnęła je na dłonie. Zdawała sobie sprawę, że kiedyś jakiś południowy adwokat może jej zarzucić, że manipulowała materiałem dowodowym, ale i tak nie mogła się powstrzymać. Czowała, że stoi na progu czegoś nieodwracalnego, że za chwilę jej oczom ukaże się niezaprzeczone świadectwo zapisane we włosach i skórze. Nieudolny, zawył system prawny wydawał się w tamtej chwili czymś nieznośnie odległym i abstrakcyjnym.

Wróciła do biurka, wyjęła kawałek papieru i położyła go na blacie. Na wierzchu umieściła kwadratowy zwitek folii. Zaczęła go powoli, uważnie rozwijać. Uderzyło ją, jak pieczołowicie był zwinięty. W pewnym sensie przypominał figurkę origami. Edie czuła, że ten kawałek plastiku niesie w sobie taki sam ładunek informacji, jak kość. Analizując go, mogła wyciągnąć tyle wiedzy, ile kryła w sobie kość udowa lub poroże jakiegoś zwierzęcia. Joe nigdy nie był taki porządny. Tylko jego podręczniki pielęgniarstwa zawsze leżały na swoim miejscu. Obchodził się z nimi tak, jakby były wykonane z kruchego szkła; wszystko inne rzucał gdzieś w kąt, a gdy czegoś szukał, wykopywał w stercie zwiniętych ubrań długie tunele.

Kiglatuk jeszcze raz spojrzała na fioletowo-brązowe płatki. Joe miał lekkie odmrożenia na nosie i dwóch palcach u rąk. Mróz zazwyczaj sprawiał, że na skórze pojawiały się cętki, później jej powierzchnia ciemniała, aż w końcu obumarły naskórek odpadał. Kobieta zaczęła lekko uciskać folię, aż w końcu dostrzegła przyklejony do niej płatek. Powoli, ostrożnie, tak żeby nie rozsypać zawartości, zaczęła rozwijać opakowanie. Po chwili miała przed sobą duży prostokąt. Prawa krawędź była ząbkowana.

Folia była precyzyjnie oderwana od rolki. Znać było pewną, pedantyczną rękę. Taki opis nie

pasował do Joego. Widać w niej było niewielką dziurkę rozmiarów monety jednocentowej. Jej brzegi były stosunkowo gładkie, jakby zassane. Pod spodem, jakiś centymetr niżej, znać było wgłębienie o mniej więcej takim samym rozmiarze i kształcie. Folia była jednak tylko odrobinę naciągnięta. Pomiedzy tymi śladami, a raczej tuż pod nimi, plastik był jeszcze bardziej pofałdowany, i to właśnie w tym miejscu znajdowało się największe skupisko fragmentów skóry — przyklejonych do, jak się zdawało, tłuszczu. Edie pochyliła się i zobaczyła, że folia między dziurą i jej bliźniaczym wgłębieniem jest naciągnięta. Pochylała się nad biurkiem tak długo, aż w końcu poczuła tępy ból w karku. Wyprostowała się i powoli odwróciła folię o sto osiemdziesiąt stopni. Niespodziewanie jej oczom ukazał się jasny obraz. Nie było żadnych wątpliwości. Na folii odcisnięta była twarz. Plastik pękł w miejscu, w którym znajdowała się lewa dziurka nosowa.

Usłyszała dziwny dźwięk, coś pomiędzy płaczem dziecka a wyciem wilka. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to jej własny głos; że z jej piersi wydarła się cała rozpacz i żal, który tłumiła w sobie od miesięcy. Miała przed sobą niezaprzeczalny dowód na to, że Joe Inukpuk został zamordowany. Narzędzie zbrodni leżało na jej biurku.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Powietrze przeszył dźwięk alarmu ostrzegawczego, a Derek Palliser wiedział, że samolot zaczyna spadać. Nie mógł jednak zrobić nic, bo nie wiedział, gdzie jest pilot, a poza tym nie umiał latać. Siedział w fotelu drugiego pilota, a wewnątrz maszyny znikало w głębokim mroku. Alarm dalej wył, a Derek nagle znalazł się w ciemnym pokoju. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że się obudził.

Przetarł twarz dłońmi, sięgnął po budzik i nacisnął przycisk drzemki. Z wyświetlacza wynikało, że w nocy musiała nastąpić przerwa w dostawie prądu. Próbował namacać dłonią zegarek, ale zrzucił go tylko ze stolika na podłogę. Wstał, by odsłonić okna, gdy nagle przypomniał sobie, że jest połowa września, a to oznaczało, że na dworze prawie cały czas było ciemno. Wkrótce nadejdzie ostatni zachód słońca w tym roku.

Dzwonek wciąż brzęczał; ktoś próbował się z nim połączyć przez radio. Policjant zapalił światło, wsunął na nogi mukluki i zarzucił na siebie kurtkę. Odczytał czas na zegarku i zaklął. Znał tylko jedną osobę, która mogła do niego dzwonić o 4.30 nad ranem.

Otworzył drzwi do biura. Różnica temperatur była tak gwałtowna, że niemal zgiął się wpół. Pomyślał, że musi podkręcić termostat, ale potem przypomniał sobie, że to Misha lubiła przegrzewać mieszkanie. On sam wolał chłód. Kolejny powód, dla którego wcale za nią nie tęsknił. Choć trudno było mu to przyznać, termin jej przyjazdu wydawał mu się coraz bardziej podejrzany

- zaledwie jeden czy dwa dni po tym, jak naopowiadał jakichś bzdur rosyjskim naukowcom z Eureka. Misha sprawiła, że zapomniał o bożym świecie. Przez nią stracił z oczu swój cel. Czy szaleństwem było myśleć, że była jakimś szpiegiem, że zbierała dla kogoś informacje? Mężczyzna uśmiechnął się do siebie. „Paranoja”, pomyślał. „Skąd mi to przyszło do głowy?”.

Wszedł do pokoju radiowego, pochylił się nad mikrofonem i przywitał Edie Kiglatuk.

- Skąd wiedziałeś, że to ja?

- Męska intuicja. - Wciąż był na nią zły, że traktowała go jak osobistego asystenta, do którego można dzwonić o każdej porze dnia i nocy. - Chodzi ci o Saomika Koperkuja? Rozmawiałem już z Toolikiem i Silliqiem. Nie da się nic zrobić. - Chociaż nie cierpiał tego parszywego duetu, nie udało mu się znaleźć żadnych dowodów, które mogłyby obciążyć ich winą za zniknięcie starszego mężczyzny.

- Derek, musisz tu natychmiast wrócić. - Policjant zauważył napięcie w jej głosie.

- Dopiero co przyjechałem, Edie. Stevie jest jeszcze w Autisaq. Na pewno ci pomoże. - Miał dosyć tego, że ciągle mówiła mu, co ma robić. Nie zamierzał być jej popychadłem.

- Potrzebuję ciebie.

Przecież każdy mężczyzna chciał, żeby potrzebowała go jakaś kobieta. Tylko dlaczego Dereka ogarnęło takie rozpaczliwe pragnienie, by zapalić papierosa? Zaczął przeszukiwać kieszenie. Bezskutecznie. W końcu miał na sobie piżamę.

- Myślę, że zdajesz sobie sprawę, że brakuje ci piątej klepki — powiedział. Sięgnął do biurka po jedną z wielu schowanych na czarnej godzinę paczek Lucky Strike'ów. Odpalił papierosa i czekał, aż poczuje w głowie zbawczą moc nikotyny.

- Jasne. — Przewodniczka umilkła na chwilę. — Jak nie chcesz mi pomóc, to nie. Sama się tym zajmę.

- Pewnie - powiedział Derek.

- Co pewnie?

- Pewnie, przecież od wiosny sama się wszystkim zajmujesz, prawda? A wkrótce, jak nadejdzie czas, będę musiał się w to zaangażować. - Edie przerwała mu cichym „aha”, w którym słychać było nutę bólu. Derekowi zrobiło się przykro. - A poza tym pewnie, że ci pomogę, ale nieoficjalnie. I tak za parę dni mam być w Autisaq na wybory. - Zerknął na zegarek. - Będę jutro. Mam nadzieję, że wyjaśnisz mi wtedy, co ci leży na sercu. O ile w ogóle coś jeszcze, poza gigantyczną paranoją, mieści się w tym twoim sercu.

Nie usłyszał jej odpowiedzi, bo przerwały im zakłócenie na linii. Głos Edie powrócił wpół zdania.

- .. więc musisz przyjechać jeszcze dzisiaj.

Cholera, ta kobieta doprowadzała go do białej gorączki. Była niczym ogromna, budząca grozę lawina. Świat się nie zawali, jeżeli poczeka jeden dzień. Policjant usiadł i zastanowił się przez chwilę. Mógł się postawić, ale Edie była zbyt uparta. On tymczasem załatwił już wszystko w Kuujuaq, a poza tym i tak miał lecieć do Autisaq. Może się wybrać wcześniej. Spędzi noc w jednostce, a w środę rano będzie gotów do nadzorowania przebiegu wyborów. Cóż, wychodziło na to, że to całkiem dobry pomysł.

- Co znalazłaś? — zapytał.

- Dowód.

- Dowód na co?

- Morderstwo, pozbawienie życia, umyślne spowodowanie śmierci - nie znam prawidłowego terminu. Mam jednak dowody.

Chciał ją poprosić o rozwinięcie myśli, ale stwierdził, że lepiej nie rozmawiać o takich sprawach przez radio.

- Dobra Edie, poddam się - powiedział. - Jeżeli pogoda będzie dobra, przylecę jeszcze dzisiaj po południu. Mam nadzieję, że masz dla mnie coś dobrego - dodał oficjalnym tonem policjanta.

Lot do Autisaq okazał się dość spokojny, przynajmniej jak na Arktykę. Derek nie lubił patrzeć na ziemię, ale tego dnia światło księżyca wyraźnie podkreślało, jak ciepły był to wrzesień: lodu było mało, a kra wciąż była popękana. Jeszcze dziesięć lat temu wyraźnie widziałby lód brzegowy, a w styczniu cała wyspa zlałaby się z pakiem lodowym, tworząc ogromne, gęste, stabilne pole, po którym podróżowało się jak po asfaltowej drodze. Te czasy jednak już minęły. Ostatnio wydawało mu się wręcz, że Arktyka straciła całą swą dawną stabilność.

Samolot przeciął pasmo górskie i zaczął trząść się na wietrze. Gdy zbliżali się do lądowiska, Derek zauważył, że budynek terminalu, był cały oklejony plakatami wyborczymi. Wystarczyła zaledwie doba, by całe miasteczko zmieniło się w ogromny festyn ku czci jakiegoś totalitarnego wodza. Twarz Simeoniego Inukpuka spoglądała na niego z każdego okna i z każdego słupa ogłoszeniowego. Nawet Elias Nungaq, który był dzisiaj na zmianie na lotnisku, miał na sobie koszulkę z napisem „Głosuj na Simeoniego Inukpuka”.

- Czy coś mi się pomyliło, czy on nie miał przypadkiem być opozycją? - zapytał Pol, gdy szli przez pas startowy w kierunku terminalu.

- Wydaje mi się, że wszyscy jesteśmy kompletnie pomyleni - odparł Derek.

Obecny burmistrz czekał na nich tuż obok budynku. Rozmawiał ze Steviem.

- Dowiedziałem się, że wybierasz się do nas dzień wcześniej. - Simeonie poklepał Pallisera po plecach i pokręcił palcem. - Szpiegujesz mnie, co?

W powietrzu unosił się zapach alkoholu i grilla, a z ratusza dobiegały dźwięki muzyki. Derek wszedł do swojego biura, a Stevie zaparkował quada. Policjant planował zajrzeć do Willi,

poinformować swojego podwładnego o postępach w poszukiwaniu Koperkują, a na koniec udać się do domu Edie. Na razie jednak zapalił papierosa. Z ganku wyraźnie widział okna biura burmistrza, a za nimi dwóch lichu ubranych mężczyzn zwartych w niedźwiedzim uścisku. Inuickie zapasy na dyskotece z grillem w lokalu wyborczym. Odształcenie rzeczywistości.

— Mnie nie pytaj, Derek - powiedział Stevie, wchodząc na werandę. — Ja tu tylko sprzątam.

Willa spał na więziennej pryczy. Palliser nie widział żadnego powodu, by go budzić. Wrócił do biura i poprosił podwładnego, by wypuścił go, gdy tylko się obudzi. Nie mieli prawa dłużej go przetrzymywać. Te nagle skrupuły zakrawały niemal na ironię. Przez ostatnie miesiące robił co mógł, żeby uchylać się przed przepisami, aż w końcu policja stała się niemal niewidoczna. Mimo to nawet on uważał, że są pewne granice. Nie mógł już dłużej trzymać chłopaka pod kluczem bez przedstawienia mu zarzutów, a nie miał zamiaru oskarżać go o przestępstwa narkotykowe i niszczyć mu kartoteki tylko dlatego, że Edie miała jakieś przecucia.

Stevie podał mu gorącą herbatę.

— Jak tam poszukiwania?

— Żadnych śladów. - Stevie wybrał się do chaty Koperkują. Nie znalazł w niej ani jego strzelby, ani skifa. Poza tym jednak nie było żadnych poszlak. - Nie zdziwiłbym się, gdyby po prostu postanowił się ukryć. Ten typ tak ma. Nie pozostaje nic innego, jak poczekać. Tylko ta jego chata, Chryste Panie, co za nora.

- Jak to?

- Straszliwy bałagan i brud.

- Jakies ślady włamania?

- Nie, po prostu typowe mieszkanie starego kawalera. - Stevie umilkł na chwilę, zarumienił się, po czym rzucił szefowi skruszone spojrzenie. - Przepraszam, Derek, nie o to mi chodziło. - Odkąd Misha wyjechała, posterunkowy bardzo uważał, żeby w żaden sposób nie krytykować stanu cywilnego swojego przełożonego.

Derek poszedł do pokoju socjalnego, żeby się odświeżyć. Zamierzał się tylko chwilę zdrzemnąć, zanim pójdzie do Edie. Jednak gdy tylko położył głowę na poduszce, znów znalazł się w pozbawionym pilota samolocie. Tym razem nie było żadnych świateł ostrzegawczych. Nagle obudził się i poczuł, że w pokoju znajduje się ktoś jeszcze.

- Zły sen? - Przewodniczka siedziała po turecku na podłodze. Jej oczy błyszczały niczym gwiazdy. Wyglądała bardzo pięknie. Derek czuł się dziwnie zmieszany. Zaskoczyła go w bardzo intymnej sytuacji. A przecież nigdy nie był nieśmiały.

- Od jak dawna tu jesteś?

- Stevie mnie wpuścił.

Policjant usiadł na łóżku.

- Porozmawiamy w biurze?

Kobieta się zawahała.

- Nie wiem, czy Stevie powinien tego słuchać. Chodzi o to, Derek, że musimy rozkopać grób Joego.

Derek nie wierzył własnym uszom. Pomysł był po prostu zbyt absurdalny. Przecież nawet Edie musiała zdawać sobie sprawę, że nie może tak po prostu ekshumować zwłok. Policjant wydał z siebie krótki, gorzki chichot.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, jak to brzmi? - Spojrzał na nią i zrozumiał, że kobieta już dawno przestała się przejmować jakimikolwiek konsekwencjami. - Edie...

— Policjant nie chciał być niedelikatny. - ...Ty chyba, raczej nie sądzisz, że... Może to twoje picie...

- Derek, mój syn został zamordowany. A tak poza tym to już nie piję.
- „Pasierb”, pomyślał policjant, „twój pasierb”. Postanowił jednak tego nie mówić.

Kobieta wyjęła z kieszeni coś, co wyglądało na plastikową torebkę i zaczęła opowiadać, jak znalazła w pokoju Joego kawałek folii, rozwinęła go i zbadała. Derek słuchał jej spokojnie. Faktycznie, coś tu nie grało. Jej opowieść sugerowała coś mrocznego. Z drugiej strony członkowie rodziny często mieli problemy z pogodzeniem się z samobójczą śmiercią swoich bliskich. Edie miała wręcz obsesję na punkcie tego, że jej pasierbowi musiało na Craig stać się coś złego. Policjantowi przeszła przez głowę myśl, że cała ta historia z folią jest wyssana z palca; że to przewodniczka przykleiła do niej włosy i zrobiła w niej dziurę, twierdząc, że Joe walczył o życie. Była w takim stanie, że nie cofnęłaby się przed niczym, byleby przeciągnąć go na swoją stronę.

Ale co jeśli ten kawałek plastiku z przyklejonymi do niego włosami, kawałkami skóry i sebum faktycznie był narzędziem zbrodni? Edie miała przecież rację w sprawie Samwilliego Browna, chociaż wszyscy dookoła twierdzili, że jego śmierć była dziełem nieszczęśliwego wypadku. Wciąż niewiele wiedzieli na temat okoliczności śmierci Andy'ego Taylora czy Feliksa Wagnera. Simeonie wydawał się szczególnie zainteresowany, by uciszyć sprawę. Czy Derek mógł sobie pozwolić na to, by nie brać jej na poważnie?

- Wyniki badań są dość jednoznaczne - powiedział słabym głosem. - Chłopak nałykał się tyle vicodinu, że nawet największy mors by tego nie wytrzymał.

- Wiem, że nie wygląda to za dobrze, ale przecież nie było nawet sekcji zwłok. Wszyscy byli po prostu absolutnie przekonani, że to samobójstwo. Widzisz, Derek, ja czułam, że coś jest nie tak, jak tylko zobaczyłam te pieczolowicie schowane w szufladzie blistry. Tylko że wtedy się tym nie zajęłam. I żałuję. Już wcześniej dostał coś na uspokojenie, był zupełnie nieprzytomny. Morderca mógł z nim zrobić, co chciał.

Miała rację. Gdyby Derek trzymał się wtedy procedury, na pewno nalegałby na pełną sekcję zwłok. Przeprowadził pobieżne śledztwo, ale żaden patolog nie miał czasu przylecieć na wyspę, a wszyscy inni twierdzili, że dowody wskazują na samobójstwo i nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Derek zrezygnował więc z dalszych ekspertyz. Poza tym rodzice Joego, jak wielu innych Inuitów, byli przeciwni jakiegokolwiek ingerencji w ciało zmarłego. Prawda była jednak taka, że powinien był nalegać.

- Jak w takim razie vicodin znalazł się w jego organizmie?

- To żaden problem - powiedziała Edie. Wszystko już rozgryzła. - Wstrzyknęli mu go.

Wystarczy rozgnieść tabletki w wodzie, podać dożylnie i proszę, samobójstwo gotowe.

- To po co ta folia?

- Tabletki bywają zawodne. Ludzie wymiotują, zapadają w śpiączkę, po prostu nie umierają na miejscu. Ktokolwiek to zrobił, chciał mieć pewność, że Joe się nie obudzi.

- Ale dlaczego? Jedyne, w co był zamieszany, to niewielka plantacja marihuany i jakieś drobne długi za internetowy hazard.

Edie pokręciła głową.

- Z tymi długami to nieprawda. Myliliśmy się. Do założenia konta potrzebna jest karta kredytowa, a Joe jej nie miał. I to nie jest jedyna rzecz, co do której się myliliśmy.

- Nie zmienia to jednak faktu, że nie mamy motywu.

Edie wzięła głęboki oddech.

- Wszystko przemyślałam. Niektóre rzeczy wiem na pewno, innych muszę się domyślać.

Derek pomyślał o sprawie Browna. Domysły Edie były jak fakty u innych osób.

- Wiem, co sobie musisz myśleć. Ale to, że mam paranoję, nie znaczy jeszcze, że nie mam racji.

Policjant się roześmiał. Ta kobieta na wszystko miała odpowiedź.

- Feliks Wagner próbował określić dokładnie położenie złóż gazu - ciągnęła. - Wydaje mi się, że mogą być one całkiem spore. Bill Fairfax wysłał mu fragment meteorytu, który sir James Fairfax dostał od mojego prapradziadka, Welatoka. Wagner dostał jeszcze trzy strony z dziennika podróżnika, na których opisywał on, gdzie Welatok znalazł kamień. Bill Fairfax ma jakieś problemy finansowe. Potrzebował pieniędzy i chyba nie do końca rozumiał znaczenie tego meteorytu. To wyjątkowo rzadki okaz — ma dużą zawartość irydu, co jest charakterystyczną cechą skał, które działają niczym zatyczka astroblemu, czyli krateru. Wystarczy wyciągnąć meteoryt, żeby zaczął wydzielać się gaz.

Derek przyjrzał się jej uważnie. Jak mógł myśleć o niej jak o lawinie? Edie była słońcem, światłem.

- Zazwyczaj możliwe jest bardzo precyzyjne określenie lokalizacji krateru za pomocą pola magnetycznego wytwarzanego przez roztrzaskane wokół niego odłamki meteorytu. Tylko że na naszej szerokości...

- ...pole magnetyczne bywa zawodne - wtrącił się Derek. - A geologia regionu nie została jeszcze porządnie zbadana.

- No właśnie. Dlatego Wagner miał do dyspozycji tylko kamień, kilka stron z dziennika i prawdopodobieństwo znalezienia soli niedaleko złóż gazu.

- Soli?

- Chodzi o halityt, czyli sól kamienną. Z tego co rozumiem, spełnia on funkcję smaru w zatyczce, zapobiega przeciekaniu gazu.

- Jak to wszystko ma się do Andy'ego Taylora? I do Joego?

- Wagner działał w jakimś klubie arktycznych myśliwych. Taylor opowiadał mi, że jego szef bardzo interesuje się historią dawnych podróżników. Poznał Billa Fairfaksa poprzez klub. Wydaje mi się, że kiedy Fairfax popadł w tarapaty finansowe, Wagner zaproponował mu, że odkupi od niego kamień i fragment dziennika, a Bill będzie mógł pozostałą część wystawić na aukcji. Jednak mimo działalności w klubie Wagner nie był zbyt doświadczonego polarnikiem, więc potrzebował towarzysza. Taylor spędził jakiś czas na Alasce. To chyba zaimponowało jego szefowi, chociaż ciężko mi zrozumieć, jak można wynająć takiego dupka.

- Być może masz zbyt rozwiniętą wrażliwość na dupków, Edie — zauważył Derek.

- Być może na świecie jest po prostu zbyt wielu dupków.

- Mów dalej.

- Myślę, że Wagner posunął się za daleko. Wcisnął się w sam środek rozgrywki między dwiema konkurencyjnymi firmami energetycznymi - Zemmer z Houston...

- To im ostatnio zdarzył się wyciek ropy niedaleko rosyjskiego wybrzeża? - przerwał jej Derek.

Edie zignorowała pytanie.

- ...i BelOil, przedsiębiorstwem należącym do rosyjskiego oligarchy, niejakiego Bielowskiego, którego Wagner poznał w klubie.

Derek nagle skojarzył dwa pozornie niemające ze sobą nic wspólnego fakty.

- Myślisz, że to BelOil może być odpowiedzialny za wyciek na platformie Zemmera? - Myślał o Rosjanach, których spotkał na Eurece. Za bardzo się nim wtedy interesowali. - Jak wyglądali ci Rosjanie, których spotkałaś na Grenlandii?

Opis kobiety nie pasował do mężczyzn, których spotkał w stacji pogodowej, ale nie oznaczało to wcale, że nie pracowali oni dla tych samych ludzi. Pomyślał o Mishy. Czy naprawdę przesadzał, myśląc, że przysłali ją, żeby go rozproszyć?

- Niezły sposób na wykończenie konkurencji.

- Ale dlaczego Zemmer miałby próbować przypisać winę czeczeńskim islamistom?
- No cóż, polityka jest zapewne jeszcze bardziej mętna niż jej przedmiot. Może w ten sposób ściągają amerykańskie siły wojskowe w bogate w ropę regiony, żeby potem móc ją wydobywać. Wiesz, wystarczy rzucić hasło „islamista”, a jakaś szucha z Waszyngtonu na pewno dorzuci kolejne zera do budżetu na obronę. I nikt nawet nie mrugnie okiem.

Edie spojrzała na niego z ukosa. Derek zdał sobie sprawę, że gapi się na nią z rozdziawioną buzią.

- Może cię to zdziwi, ale ja też czytuję „Arctic Circular”. - Kobieta pociągnęła się za warkocz. — W każdym razie, albo Zemmer, albo Rosjanie zorientowali się, że Wagner wywiódł ich w pole, więc postanowili go zlikwidować - ręką miejscowego.

- Skąd to wiesz?

- Gdyby to był ktoś z zewnątrz, musielibyśmy usłyszeć samolot albo przynajmniej coś zobaczyć. Pamiętasz ten odcisk buta, który znalazłam na miejscu zbrodni? Trzeba znać teren, przynajmniej pobieżnie. Widzisz, mam takie przeczucie...

- ...przechucie? - Derek cofnął się nieco. Edie znów dała się ponieść wyobraźni.

- Tak, Derek, przeczucie, uczucie. Wiesz, takie zjawiska, które kierują naszym postępowaniem. Miłość, nienawiść, chciwość, ambicja — chyba rozumiesz, o czym mówię?

Palliser też miał różne uczucia. Zaczynał czuć, że wkroczyli na grząski teren gdybania. Przechucia powinny być poparte dowodami, inaczej do niczego nie służyły.

- Czyli twierdzisz, że masz przeczucie, że w Autisaq mieszka morderca.

- Ktoś, kto jest w to zamieszany.

Mężczyzna odpalił papierosa.

- Mówiłaś, że Taylor zabrał kamień i dziennik Wagnerowi? - zapytał.

- Nawet widziałam, jak to robi, tylko nie zdawałam sobie wtedy z tego sprawy. Tuż po tym, jak Wagner został postrzelony, ten dupek zaczął przeszukiwać jego kurtkę. Później znalazłam kartki z dziennika schowane w jaskini wraz z jego skuterem. Nie wiem, czemu je ukrył. Może usłyszał samolot i się przestraszył?

- Ktoś inny też chciał zdobyć kamień i kartki, więc Taylora trzeba było sprzątnąć.

- Joe mówił, że widział tego dnia zielony samolot. Udało mi się go odszukać — należy do niejakiego Johannes Moliera z Grenlandii. W dniu, w którym znikł Andy Taylor, Molier wynajął maszynę dwóm Rosjanom. Tym samym, którzy jakiś czas później przyjechali polować na kaczki na Craig. Są powiązani z BelOil.

- Myślisz, że to oni zastrzelili Taylora? Przecież tego dnia mgła była jak mleko.

- Molier ma pilota Inuka. Facet nazywa się Hans i potrafi latać jak sam diabeł. Rosjanie mogli skorzystać z czujnika termicznego. Ale nawet Hans nie mógłby wylądować w takich warunkach, więc kamienia nie dostali.

- I dlatego postanowili wrócić.

- Właśnie tak.

Derek czuł bijącą od niej energię.

- Myślę, że Joe i Koperkuj usłyszeli strzał. Tylko że Joe przypiął narty i udał się po pomoc, a stary znalazł ciało Taylora, zabrał mu kamień i pociął go na drobne kawałeczki. Znalazłam nawet jego nóż. Ślady na kościach idealnie do niego pasują.

- Dlaczego miałby to zrobić?

Edie wzruszyła ramionami.

- Stary Koperkuj nigdy nie przepadał za *qalunaatami*. Nie wiem, może chciał ukryć fakt, że obrabował zwłoki?

Policjant zdał sobie sprawę, że skubie skórę wokół palca wskazującego. Robił tak zawsze,

gdy czuł, że traci nad czymś kontrolę. Postanowił wszystko sprawdzić samodzielnie. Jeżeli dojdzie do rozprawy w sądzie, będzie musiał opierać się na dowodach, których na razie nie było zbyt wiele. Kilka pociętych kości, rzekomo użyty do ćwiartowania nóż, trudna kobieta jako świadek i kawałek folii spożywczej, który równie dobrze mógł być zwykłym zwitkiem plastiku i o niczym nie świadczyć. Potrzebna była ekspertyza.

- Rosjanie, ci z BelOil, postanowili zająć się drugim kamieniem, a raczej jego odłamkiem, który znajduje się gdzieś na północno-zachodniej Grenlandii.

- Czyli jest więcej kamieni?

- Wysłałam meteoryt Koperkuję do zbadania. To fragment większego kawałka. Być może to Welatok go podzielił. Może myślał, że w ten sposób więcej zarobi; może chciał go sobie powiesić na szyi jako ozdobę. Kto wie? W każdym razie przynajmniej jeden fragment znalazł się w Etah.

- Jak to?

- Welatok go tam zabrał. - Kobieta wydawała się zniecierpliwiona, tak jakby wszystko, co mówiła, było absolutnie oczywiste i tylko tacy żałośni kretyni jak Derek potrzebowali dodatkowych wyjaśnień. - Pokazał go pewnemu rosyjskiemu podróżnikowi nazwiskiem Karłowski, właśnie na Grenlandii. Facet, oczywiście, chciał dostać kamień, ale Welatok w ostatniej chwili się rozmyślił. Myślę, że Fairfax go oszukał, więc potem miał się już na baczności. Tylko że Rosjanin był o wiele większym gagatkiem - zabił go. — Przewodniczka machnęła ręką. - W każdym razie cała sprawa sprowadza się do tego, że ludzie Bielowskiego próbowali znaleźć drugi kamień.

- I udało im się?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Musiałam się zmywać przed zakończeniem. - Przygryzła wargę. - Ale szczerze, to wątpię. Kiedy Qila wysłała zdjęcia do gazety, wciąż jeszcze siedzieli na Północy.

- Okej - westchnął Derek. — Teraz to już w ogóle nie wiem, o czym do mnie mówisz.

- To nieważne.

Policjantowi przyszła do głowy pewna myśl.

- Koperkuj znał wartość kamienia?

Eddie pokręciła głową.

- Czy ktoś wiedział, że Koperkuj miał kamień? Albo że ty go teraz masz?

- Poza Mike'em Nungakiem? Nie. - Przynajmniej jedna dobra wiadomość. - Chociaż...

Zgubiłam portfel w obozie w Etah. Jeżeli go znaleźli, to nici z mojego alibi.

Derek odpalił papierosa. Raczej nieostatniego.

- A po co im w ogóle ten meteoryt?

Kobieta prychnęła ze zniecierpliwieniem.

- Żeby potwierdzić, że to faktycznie rodzaj kamienia, który występuje w pobliżu złóż gazu.

Potem może posłużyć jako wzór do dalszych poszukiwań. Kiedy meteoryt spada na ziemię, dochodzi do małej eksplozji.

Na podstawie lokalizacji fragmentów można stworzyć mapkę, która zaprowadzi cię do krateru.

- Czyli...

- ...do astroblemu.

— Który jest niczym wbity w ziemię znak „tu jest gaz”. Gdzieś na Craig.

— Właśnie tak.

- No proszę, jak to się wszystko pięknie składa. -Cała ta zwariowana historia wreszcie zaczęła nabierać sensu.

Edie wyglądała na zaskoczoną. Derek usiłował ukryć zadowolenie. Choć raz był o krok przed nią.

— Wyspa Craig to jedno z niewielu miejsc w Arktyce, które nie jest częścią Parku Narodowego. Taka ciekawostka historyczna. Gdyby ktoś chciał zdobyć licencję na wydobycie gazu w jakimkolwiek innym miejscu, musiałby przygotować się na długie lata walki w sądzie. W przypadku Craig w ogóle nie ma tego problemu.

Siedzieli w ciszy i próbowali przetrwać nowe informacje. Pierwszy odezwał się Derek.

- Skąd Rosjanie wiedzieli, że Taylor jest na Craig? -zapytał i natychmiast pożałował. Odpowiedź była oczywista. - No tak - dodał pospiesznie. - Albo mają swojego człowieka w Autisaq, albo Taylor też próbował ich przechytrzyć.

— Właśnie. - Oczy Edie wciąż błyszczały dziwnym poczuciem misji, jakby trzymała na muszce zwierzę i czekała na najlepszy moment, by je zastrzelić. - I w tym momencie na scenę wkracza Simeonie Inukpuk.

Derek mimowolnie zachichotał.

- No sam zobacz. Cała ta kampania wyborcza - plakaty, przypinki, marketingowe bajery. Nie sądzisz, że to trochę dziwne? Widziałam jego wyciągi z banku. Simeonie dostaje pieniądze za pośrednictwem jakiejś lewej fundacji. I to regularnie.

- To pensja, Edie. Pamiętasz jeszcze takie słowo? Ty też ją dostawałaś, zanim zaczęłaś mieszać się w nieswoje sprawy. — Policjant znów pożałował swoich słów. — Przepraszam, jestem zmęczony.

- Nie ma sprawy.

- Chodzi o to, że... Nie wiem, Edie, jakoś nie widzę w tym wszystkim burmistrza.

Kobieta wyglądała na wyczerpaną.

- Wiesz, mnie też to już nie obchodzi. Chciałabym tylko wiedzieć, kto zabił mojego chłopca.

Przygryzła wargę. Derek wziął ją za rękę. Miała taką drobną dłoń. Czuł, jak zalewa go fala współczucia dla tej drobnej, kruchej kobiety, która kierowała się bezgraniczną lojalnością wobec ducha.

- Nie prosiłabym cię o pomoc, gdybym jej nie potrzebowała. - W oczach kobiety pojawiła się dzikość. Chwyciła jego twarz w dłonie i potrząsnęła nią. - Zapomniałeś, kim jesteśmy? *Inuttigut*. Jesteśmy Inuitami. Mieszkamy w miejscu pełnym kości, duchów, wspomnień przeszłości. Tutaj nic nie umiera i nie gnije - ani kości, ani plastik, ani wspomnienia. Zwłaszcza wspomnienia. Żyjemy, otoczeni opowieściami. I w tym tkwi nasza siła. W przeciwieństwie do reszty świata, nie możemy uciec przed naszymi opowieściami, Derek. - Ujęła go za dłoń. -Musimy się dowiedzieć, jak kończy się opowieść Joego. Dlatego trzeba go odkopać.

Palliser oparł się o krzesło i zdrapał kawałek naskórka. Sam siebie zaskakiwał. Wiedział, że za chwilę nie będzie już odwrotu, ale nie miało to już dla niego żadnego znaczenia.

- Ludzie będą dzisiaj odsypiać kaca, a noc będzie raczej pogodna.

- Czyli pojedziesz ze mną?

Mężczyzna pokiwał głową. Edie uśmiechnęła się, pochyliła nad nim i pocałowała go na sposób Inuitów.

- Jest jeszcze jedna rzecz.

Derek poczuł się, jakby ktoś spuścił z niego powietrze.

- Chciałabym, żeby pojechał z nami Willa.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Przed wyjazdem Edie nakarmiła psy foczą tuszą i spakowała plecak. Wzięła suszone mięso, dwa termosy słodkiej, gorącej herbaty, kuchenkę turystyczną, nóż do cięcia lodu, nóż myśliwski i latarkę. Do torby wodoodpornej wrzuciła namiot, strzelbę, dodatkową latarkę i baterie, łom, harpun, sznur, śpiwór ze skóry karibu, sztuczne światło do wabienia ryb, zapasową odzież wierzchnią, gaz i amunicję. Ugotowała znośny gulasz na płetwie, okrasiała go sporą porcją tłuszczu i włączyła odtwarzacz DVD, żeby uspokoić się przed podróżą.

Pośpiech nie wynikał tylko z jej żądzy poznania prawdy. Z dnia na dzień robiło się coraz zimniej, a ziemię pokrywała coraz grubsza warstwa kryształów lodowych. Silne podmuchy wiatru wzbijały w powietrze tumany dymu. Wkrótce jeziora pokryją się śryżem, a podróż trzeba będzie odłożyć do czasu, aż lód zgęstnieje i zyska na stabilności. Wraz z nadejściem zimy ziemia zamieni się w jedną wielką lodową bryłę - tak samo jak kamienie, z których usypano kurhan Joego. Kolejna szansa, by dostać się do ciała, pojawi się dopiero wiosną. A wtedy mogło być już za późno.

Film już dawno dobiegł końca, gdy Edie obudził dźwięk otwieranych drzwi. Do środka wszedł Derek. Kobieta miała jeszcze pod powiekami resztki snu o *puikaktuqu*. W prawym oku poczuła pulsowanie niepokoju.

- Co z Willą?

- Poszedł przodem, żeby sprawdzić motorówkę - powiedział Derek. - Zaczekam na dworze.

Wstała, przeciągnęła się i wyszła na werandę, żeby włożyć wierzchnie ubranie, rękawice i kamiki. Derek stał przy schodach, a z każdym wydechem z jego ust buchała gęsta para.

Gdy dotarli do łodzi, Willa był już na pokładzie i przywiązywał sprzęt. Spojrzał na nią przelotnie, ale natychmiast uciekł gdzieś wzrokiem.

Płynęli powoli, przedzierając się przez pływające przy brzegu fragmenty lodu. Gdy wydostali się na spokojniejsze wody, Derek przekazał stery Willi, który podkręcił prędkość i skierował motorówkę na południe. Światła Autisaq zostały daleko w tyle.

Wiał silny, północno-zachodni wiatr. Jego huk zagłuszał dźwięki silnika. Zresztą na otwartej wodzie motorówka już tak nie wyła. Edie stała blisko Willi, czekając, aż młody mężczyzna się rozluźni. W końcu ujęła go pod łokieć. Jej pasierb na chwilę spuścił wzrok z trasy.

- Przepraszam - powiedziała.

Willa chrząknął. Znów patrzył prosto na linię horyzontu.

Dotarli na Craig tuż przed świtem. Na południowym horyzoncie pojawiła się krwawa luna. Słońce powoli unosiło się nad wodę i stawało coraz bledsze, rzucając nikiel, białe światło nad wysokimi chmurami. Wkrótce okazało się, że zbczyli z kursu, więc Willa poprawił kierunek. Od tego czasu trzymali się już wybrzeża. Gdy dotarli na miejsce, Derek zarzucił kotwicę. Wszyscy troje weszli do wody. Ustawili się w rzędzie i podawali sobie sprzęt, aż w końcu cały ekwipunek znajdował się bezpiecznie na plaży. Odpoczęli nieco, zaparzyli gorącą herbatę i ponownie napełnili termosy.

Po postoju przepakowali plecaki. Postanowili zostawić telefon satelitarny, kuchenkę, składane nosze i kilka innych rzeczy na plaży. Derek i Willa nieśli łopaty, światła, namioty i strzelby, a Edie zabrała termos, kamerę, łom i swojego remingtona. Gdy byli gotowi, wyruszyli w dalszą drogę.

Ścieżka prowadząca do miejsca pochówku leżała po drugiej stronie plaży i prowadziła przez

morenową dolinę na klif, wzdłuż urwiska. Kurhan pokrywały kryształki lodu, ale poranne słońce zaczynało powoli rozgrzewać kamienie. Delikatny szron błyszczał wilgocią.

Uklękli na lodzie, a Willa zmówił modlitwę. Po chwili Derek zaczął montować kamerę na statywie, a Edie i jej pasierb rozpakowali światła, włączyli generator i przygotowali namiot. Planowali rozebrać kurhan, by odsłonić przykryte skórą ciało, a następnie rozbić nad nim namiot - w ten sposób chcieli je ochronić przed działaniem czynników zewnętrznych. Przywiezione lampy miały posłużyć za źródło światła, a Derek postanowił zarejestrować całą pracę kamerą. Uparł się też, że do namiotu wejdą tylko mężczyźni. Edie nie zamierzała się spierać.

Gdy wszystko było gotowe, Palliser włączył kamerę. Cała trójka zabrała się do zdejmowania usypanych w kurhan kamieni. Pracowali powoli, żeby się nie spocić, poczynając od mniejszych kamieni u szczytu kopca. Stopniowo natykali się na coraz większe skały, którymi musieli zająć się razem — Derek podważał je łomem, a Edie i Willa spychali je na kawałek płachty, by następnie przetoczyć je lub przeciągnąć na bok. Pracowali w milczeniu. Stos kamieni skrywających ciało Joego Inukpuka stopniowo stawał się coraz mniejszy, a obok niego rósł drugi kurhan. W końcu pomiędzy skał zaczęły prześwitywać skóry karibu. Oczyszczili teren i rozbili nad ciałem namiot Edie. Kobieta została na zewnątrz, a mężczyźni zabrali się do mozolnego usuwania ostatnich kamieni.

Edie przez jakiś czas porządkowała zdjęte z kurhanu kamienie. Wkrótce jednak opadła z sił i usiadła na nasypie. Czekwała. Słyszała, jak Derek wydaje Willi ciche polecenia. Zerwał się porywisty, świszczący wiatr, który wzburzył tundrę i rozbijał się o klify. Podmuch uniósł na moment połę namiotu. Edie zobaczyła pochylonych nad całunem mężczyzn. Cała zeszywniała. Widziała ramię i dłoń, wyschniętą, brązową, pokrytą twardą łuską. Derek odwrócił się i zasunął zamek namiotu. Jakiś głos w niej zaczął wołać „*isumagijunnaipaa, isumagijunnaipaa*”. Wybacz mi, wybacz mi za te wszystkie chwile, w których cię zawiodłam. Ciebie, chłopca, który traktował mnie jak matkę.

Upłynęło sporo czasu - nie miała pojęcia, ile - nim usłyszała głos Dereka. Wołał ją. Podeszedł do niej, pochylił się i objął ją z całej siły. Uśmiechał się, a ciepło jego oddechu owiewało jej twarz. Znalazł go, znalazł ten mały fragment plastiku tuż przy dziurce nosowej Joego. Będą musieli zabrać ciało do Autisaq, żeby zbadał je patolog, ale przecież właśnie tej folii szukali. Poza tym wszystko nagrali na wideo, więc żaden adwokat nie będzie mógł twierdzić, że manipulowali materiałem dowodowym.

Zawinęli ciało z powrotem w całun. Willa wciąż był u boku brata, pogrążony w modlitwie. Derek miał pójść na plażę, zadzwonić do patologa w Iqaluit i przynieść nosze. Poprosił Edie, żeby została na miejscu. Willa jej potrzebował. To, co zobaczył w namiocie, wstrząsnęło nim do głębi.

Kobieta odprowadziła go spojrzeniem. W końcu jego futrzana czapa znikła jej z oczu. Przez jakiś czas słyszała jeszcze cichy odgłos kroków, ale wkrótce i on rozplynał się na wietrze. Podeszła do namiotu. Przypomniała sobie, jak powiedziała Derekowi, że trzeba dokończyć opowieść Joego. Teraz wiedziała już, że to nieprawda. Joe był Inuitą, a życie Inuitów było niczym parhelion, arktyczna tęcza - toczyło się po kole, nie po linii prostej. Nawet teraz, gdy odkopali jego ciało, dusza chłopca unosiła się gdzieś wysoko nad nimi. Była gwiazdą, która czekała, by ponownie się odrodzić. To ona, ze swoją krwią białego człowieka, potrzebowała zakończenia. To ona zawsze musiała znać ostateczną prawdę.

Pułap chmur obniżył się nieco, a wiatr zamarł. Willa wyszedł z namiotu ze strzelbą w dłoni, nasłuchując. Był naprężony, niczym myśliwy na polowaniu. Sprawdzał amunicję i odbezpieczył magazynek. W jego oczach pojawił się groźny błysk.

Lato było bardzo ciepłe, więc ptaki zostały w Arktyce, by odchowić kolejne potomstwo. Edie nie pamiętała, by kiedykolwiek widziała je we wrześniu. Stado wzbilo się w powietrze i zanurkowało w dół, razem, tworząc jeden, ogromny organizm; pulsujący ocean energii, chmurę życia, w której siła każdego z ptaków łączy się w jedność, w nową inteligencję.

Panował ogłuszający harmider. Z setek małych gardel wydobywał się ogromny krzyk. Stado zbliżyło się do nich. Przypominało ogromną chmurę kaczek. Pióra spadały w dół niczym śnieg. Willa opuścił strzelbę.

Wkrótce klucz znalazł się niemal bezpośrednio nad nimi, a Edie ledwo widziała swojego pasierba. Puch wirował w powietrzu. Nagle zrobiło się ciemno. Ptaki krzyczały wniebogłosy, a powietrze wypełniło się intensywnym zapachem guana i tłuszczu. Willa i Edie nie mogli się poruszyć; wszystkimi zmysłami chłonęli ten niezwykle spektakl przyrody. Młody mężczyzna drgnął dopiero, gdy ogon klucza znajdował się już daleko za nimi. Pochylił się i wzbil w powietrze garść pierza. Wkrótce dołączyła do niego Edie. Śmiali się i bawili niczym dzieci w śniegu, tak szczęśliwi, że minęła długa chwila, nim kobieta zdała sobie sprawę, że coś jest nie tak. Usłyszała wystrzał z broni, potem kolejny, a zanim trzeci, tym razem z innego kierunku. Wyprostowała się tak gwałtownie, że przez chwilę myślała, że być może to ją trafiła kula.

Edie sprawdziła magazynek i upewniła się, że działa jej celownik noktowizyjny. Gestem zabroniła Willi wstawać. Chwyciła plecak i powoli, skradając się, ruszyła przez dolinę w kierunku plaży. Gdy dotarła na skraj klifu, opadła na ziemię i rozejrzała się po tundrze. Na plaży poniżej widziała stos sprzętu, ale nigdzie nie było ani śladu Dereka, ani napastnika. Zaczęła czołgać się w kierunku prowadzącej na plażę ścieżki. Gdy do niej dotarła, podniosła się do niskiego przysiadu i skradała się dalej, kryjąc się między większymi skałami. W połowie drogi, tuż obok wychodni skalnej, zaryzykowała i rozejrzała się wokoło.

Z wychodni widać było plażę. Położyła się na brzuchu i podciągnęła się nieco, wystawiając głowę ponad skały. Z tej perspektywy widziała podnóże klifu. Derek Palliser leżał wciśnięty we wnękę w skale i patrzył na niskie wzgórza na północnym wschodzie. W dłoniach trzymał strzelbę. Był ranny w nogę. Edie przypomniała sobie ciało Feliksa Wagnera, który powoli wykrwawiał się na śniegu. Derek musiał przeżyć. Potrzebowała go bardziej, niż jej się do tej pory wydawało.

Uspokoila się i zrzuciła w dół garść puchu. Mężczyzna spojrział w górę. Jego ciało rozluźniło się nieco.

Edie pokazała na jego nogę. Derek pokręcił głową. Nie mógł się ruszać, ale poza tym wszystko było w porządku. Kobieta poruszyła strzelbę i podniosła rękę, ale policjant pokręcił gwałtownie głową. Nie chciał, żeby go goniła przestępcę. Edie jeszcze raz poruszyła strzelbę i lekko podniosła się, a mężczyzna skapitulował i pokazał jej kierunek, w którym udał się napastnik. Ktokolwiek to był, schronił się po drugiej stronie plaży. Przez chwilę porozumiewali się w migowym języku myśliwych. W końcu Derek mocno potrząsnął prawym ramieniem, a Edie zrozumiała, że uciekinier też jest ranny. Palliser pokazał, jak drugi mężczyzna upuszcza broń i podnosi ją drugą, zdrową ręką.

Pierwsze dwa strzały padły z drugiej strony plaży, ostatni stanowił reakcję Dereka. Strzelec najprawdopodobniej był sam, ale w tej sytuacji lepiej było niczego nie zakładać.

Edie rozważyła kilka możliwości i w końcu postanowiła zejść na plażę, przedostać się na drugą stronę i wspiąć na wzgórze, kryjąc się pod niewielkim klifem. Jeżeli strzelec faktycznie był ranny, to na pewno znajdzie ślady krwi, a wtedy będzie mogła ocenić jego siły.

Przezołgała się wzdłuż ścieżki i powoli wyszła na plażę, kierując się na zawietrzną stronę klifu. Wyglądało na to, że przeciwnik jej nie widzi — w każdym razie nie strzelał. Może miał taką strategię, może opadał z sił. Edie zatrzymała się i wyczuła słuch, ale wiatr wszystko

zagłuszał. Poruszała się skrajem plaży. Pokrywający ziemię puch tłumiał odgłos jej kroków. Wkrótce dotarła do miejsca, w którym plaża przechodziła w łagodne zbocze. Na białym puchu wyraźnie odbijały się krople krwi. Kobieta wymamrotała kilka słów podziękowań dla duchów ptaków, po czym pochyliła się nad śladami. Derek miał rację - mężczyzna krwawił z prawego ramienia,

i to mocno, widać to było po układzie odcisków jego butów. Kula musiała rozerwać tętnicę na strzępy. Mężczyzna nie będzie mógł długo uciekać. Pewnie spróbuje się gdzieś ukryć. Edie czuła, że nie będzie musiała go długo szukać.

Ruszyła w górę niewielkiej, płaskiej wychodni. Znajdowała się zaledwie kilka metrów od skraju zbocza, osłonięta przed nieprzyjaznym wzrokiem, ze strzelbą w dłoniach. Każdy krok był przemyślany; nie chciała się potknąć i przewrócić. Przykucnęła na skraju skał i jeszcze raz przyjrzała się śladom. Nie chciała zastrzelić przeciwnika, ale była gotowa na każdą ewentualność.

Ruszyła dalej, gdy była pewna, że strzelec nie stanowi bezpośredniego zagrożenia. Ślady krwi prowadziły na północny wschód. Piór było tu o wiele mniej, a plamy coraz słabiej widoczne. Ranny próbował biec, ale widać było, że szybko osłabł. Być może zaczęło mu się mieszać w głowie.

Edie wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. Schyliła się, by rzucić przed siebie otoczek. Natychmiast uskoczyła w bok. Miała nadzieję, że mężczyzna wystrzeli i zdradzi swoją pozycję. Wokoło panowała jednak cisza, słychać było tylko zawodzenie wiatru. Ranny albo niczego nie widział, albo nie był już w stanie zareagować.

Edie wysunęła się zza skrywającej ją strzały i ruszyła śladami krwi.

Napastnik wciąż mocno krwawił. Każdy jego krok zostawiał purpurową plamę na karłowatym poszyciu. Odciski były duże, o regularnym kształcie; strzelec musiał mieć na sobie komercyjne obuwie z fabryki, raczej nie kamiki. Ciężar ciała opierał na lewej stopie. Krew była już dość mocno skrzepła, co oznaczało, że wycofał się natychmiast po oddaniu strzałów. Profesjonalny myśliwy, dla którego najważniejsze było dopaść ofiarę, spróbowałby wycelować jeszcze raz. Wszystko wskazywało na to, że do Dereka strzelał amator.

Z każdą chwilą krwi było coraz więcej, a ślady coraz świeższe. W końcu plamy zlały się w jeden gęsty strumień. Na wprost znajdował się długi oz, który zwykli z Joem nazywać *uvingiajuq akivingaq*, bo przypominał ogromnego morsa. Ślad jednak nie ciągnął się najkrótszą drogą, czyli prosto na drugą stronę. Napastnik musiał się zawahać, bo tuż przed ozem widać było dużą kałużę krwi.

Mężczyzna mógł znajdować się zaledwie kilka metrów od niej, po drugiej stronie wzniesienia. Ślad prowadził wzdłuż ozu, by zniknąć tuż za nim. Już miała ruszyć krótszą drogą na wschód, gdy nagle zatrzymała się i cofnęła.

Wróciła do miejsca, gdzie ranny przystanął i powoli wspięła się w górę ozu. Po północnej stronie wzniesienia śnieg był bardziej zbity i ułatwiał jej drogę. Niebo było spowite ciemnymi chmurami. Wiatr nieco zelżał i zaczął padać drobny deszcz. Edie poruszała się powoli, ostrożnie, by nie osunąć się na żwirze. Po drugiej, chronionej przed podmuchami stronie na pewno było ciszej. Nie chciała, by ranny ją usłyszał. Gdy dotarła na szczyt wzniesienia, zatrzymała się i w myślach wezwała duchy na pomoc. Powoli, centymetr po centymetrze, zaczęła się wysuwać ponad skraj ozu, aż w końcu jej oczy wysunęły się ponad jego krawędź. Edie miarowo zaciskała palce u nóg i rąk, by jakoś się ogrzać. W tej chwili była bezbronna - i nie chodziło tylko o jej wroga, ale też o wiatr, który smagał zbocze i kruszył żwir.

Mżawka była tak gęsta, że Edie nic nie widziała. Czekwała. Po dłuższej chwili usłyszała trzaskający odgłos. Wyteżyła wzrok i spojrzała w mgłę. Dostrzegła nikielne, migoczące światło.

Człowiek, którego szukała, znajdował się na dole i najwyraźniej patrzył na zegarek. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna zacząć strzelać w kierunku światła, ale było to zbyt ryzykowne. Mężczyzna jednak zdradził jej pewną cenną informację — jeżeli to faktycznie był zegarek, to musiał on należeć do *qalunaata*. W końcu żaden Inuita nie wzięby takiej zabawki na polowanie. Edie rozluźniła się nieco. Szczęście jej sprzyjało. Jeżeli strzelec był biały, to musiał mieć jakąś piętę achillesową. Wszyscy *qalunaaci* ją mieli.

Kobieta wysunęła się bardzo powoli i zbadła kamienie po drugiej stronie zbocza. Żwir był grubszy i luźny, nie było między nim żadnych krzewów. Wystarczyło porządnie kopnąć w jednym miejscu, żeby kamienie potoczyły się w dół całą lawiną. Najprawdopodobniej nie zdołałaby ona go zabić - odłamki nie były ani wystarczająco ciężkie, ani ostre — ale przynajmniej mogłaby go unieruchomić. Edie przemyślała wszystkie czarne scenariusze. Mogło jej się nie udać wywołać lawiny, albo, co gorsza, mogła spaść wraz z nią. Szybko stwierdziła, że gra jest warta świeczki.

Podniosła obie nogi wysoko w górę i z całej siły kopnęła nimi o ziemię. Z początku nic się nie działo; kilka niewielkich fragmentów skały zaczęło nieco trzeszczeć. Wkrótce całe znieśnienie zaczęło się poruszać, kotłować, aż w końcu lawina osiągnęła masę krytyczną i runęła w dół, wzbijając w górę tumany kurzu. Edie usłyszała przeraźliwy krzyk, po którym zapadła głucha cisza. Mgła wciąż była zbyt gęsta, by cokolwiek zobaczyć.

— Hop, hop! - zawołała.

Nikt się nie odezwał. Powoli, krok po kroku, trzymając strzelbę w gotowości, zaczęła iść w kierunku rannego. Mężczyzna nie poruszał się. Gdy dotarła do stóp ozu, ostrożnie przykucnęła i otworzyła magazynek. Wyjęła amunicję i wrzuciła ją do kieszeni. Przerzuciła strzelbę przez ramię i podeszła do uwięzionego w gruzach człowieka. „Kim jesteś?”, zawołała, ale nie doczekała się odpowiedzi. Może nie żył? Spomiędzy kamieni wyciekała krew.

Edie zaczęła gorączkowo odkopywać ciało spomiędzy odłamków skał. Wkrótce spod rumowiska wyłoniła się parka mężczyzny. Potrząsnęła go za ramię, ale strzelec nawet nie zareagował. Na twarz miał naciągniętą kominiarkę i wciąż znajdował się głęboko pod kamieniami, więc Edie nie mogła go wyswobodzić. Szybkimi ruchami zaczęła odgarniać kurhan, ciskając gruz w ciemność.

W końcu udało jej się odkopać ciało na tyle, żeby móc je odwrócić. Mężczyzna był wysoki i dobrze zbudowany. Po sylwetce i ubraniu od razu widać było, że jest *qalunaatem*. Kula trafiła go w nadgarstek, przecinając tętnicę promieniową. Dłoń była częściowo amputowana. Krew wsiąkła w rękaw kurtki i zamarzła. Edie obmacała parkę mężczyzny w poszukiwaniu broni. Najwyraźniej gdzieś ją upuścił, zresztą i tak nie stanowił już żadnego zagrożenia. Prawdopodobnie stracił przytomność na skutek lawiny. Miał bardzo słaby puls. Był zbyt ciężki, by mogła sama zaciągnąć go na plażę, ale może z pomocą Willi uda się go ułożyć na noszach, na których planowali przetransportować szczątki Joego. Edie zdjęła szalik i zawiązała go w prymitywny temblak, ściskając mocno przedramię tuż nad częściowo oberwanym nadgarstkiem. Wzięła głęboki oddech i ściągnęła kominiarkę skrywającą warz mężczyzny.

Był to Robert Patma.

Edie odskoczyła o krok. Nic z tego nie rozumiała. Patma. Przez chwilę zastanawiała się, czy coś jej się nie pomyliło. A może to Patma się pomylił? Może to był tylko wypadek, może Robert wybrał się na polowanie i przez pomyłkę zaczął strzelać do Dereka, a potem spanikował? W głębi duszy Edie wiedziała, że to nieprawda. Czuła się skołowana, nie wiedziała, co się dzieje. W głowie kłębiły jej się niedorzeczne myśli. Pociągnęła się mocno za warkocze. Musiała wziąć się w garść. Znalazła broń Patmy i przerzuciła ją przez ramię. Wróciła pospiesznie na plażę i krzyknęła, że wszystko w porządku. Willa był u boku Dereka i uciskał jego ranę, by zatamować

krwawienie.

Nawet nie podniósł głowy, gdy podeszła. Na jego twarzy malował się głęboki niepokój. Chyba lubił policjanta o wiele bardziej, niż sam potrafił przyznać.

- Dopadłaś go? — zapytał Derek. Edie nie odpowiedziała. - Nie jest tak źle. Nie będziecie musieli oddawać mnie do uśpienia. — Uśmiechnął się blado. - W każdym razie jeszcze nie teraz.

- Będziemy musieli go z Willą przetransportować na noszach do motorówki. Żyje, ale ledwo.

- No i? — zapytał Palliser. Na jego twarzy pojawił się grymas bólu.

- No i co?

- Kto u licha próbował mnie zamordować?

Edie brakowało oddechu. Skutki uboczne działania adrenaliny.

- Wygląda na to, że Robert Patma.

- Nasz pielęgniarz? - Derek był równie zbity z tropu, co ona.

- Myślisz, że mógł pomylić cię z niedźwiedziem?

- Absolutnie nie.

Wymienili spojrzenie. Myśleli o tym samym.

- Był sam?

- Mam nadzieję. - Nie widziała przecież żadnych innych śladów stóp.

- Musimy go zawieźć do szpitala - powiedział Derek.

Willa głośno wciągnął powietrze.

- Odbiło ci?

Palliser milczał przez chwilę, jakby chciał rozważyć tę możliwość.

- Chyba, po prostu, jestem policjantem - powiedział zrezygnowany.

Edie i Willa powoli, rozglądając się, udali się w kierunku ozu. Robert Patma leżał tam, gdzie go zostawiła, uwięziony w lawinie kamieni. Młody mężczyzna podszedł do niego powoli i uniósł mu głowę. Gdy ją puścił, natychmiast opadła z powrotem na ziemię. Edie sprawdziła puls na zdrowym nadgarstku. Pielęgniarz wciąż żył. Nie mieli jednak wiele czasu.

- No to kopie my - powiedziała kobieta.

Wydostanie Roberta Patmy ze skalnego więzienia zajęło im kilka godzin. W końcu położyli go na noszach i przenieśli do motorówki, gdzie Willa przypiął go kajdankami do poręczy. Wrócili po Joego.

Ułożyli zwłoki między dwoma rannymi. Willa zajął się sterami, a Edie przeszukała apteczkę. W końcu znalazła trochę vicodinu. Patma wciąż był nieprzytomny. Zadzwoiła do Steviego przez telefon satelitarny.

- Robert, ten pielęgniarz? Co mu odbiło?

- Dobre pytanie - odpowiedziała Edie.

Stevie powiedział, że wezwie lekarzy z Iqaluit. Przyjazd do Autisaq nie powinien im zająć więcej, niż dwie godziny. Zaproponował, że połączy się z kliniką, żeby Derek mógł sam z nimi porozmawiać, ale sierżantowi nie spodobał się ten pomysł. Patma ranił go w mięsień; bolało, ale jego życiu na razie nic nie zagrażało. Udało się zatamować krwawienie, a gdy tylko vicodin zacznie działać, wszystko będzie w porządku. Edie próbowała zaprotestować, ale Derek, nawet ranny, potrafił czasem postawić na swoim.

Gdy dotarli do Autisaq, było już ciemno. Stevie czekał na nich na przystani wraz z Sammym Inukpukiem i Eliaszem Nungakiem. Mężczyźni zajęli się pielęgniarzem i zwłokami Joego, Edie wsiadła z Derekiem na quada, a Willa udał się do Simeoniego, by poinformować go o ostatnich wydarzeniach.

Stevie wrócił na komisariat, żeby dowiedzieć się, kiedy przyleci samolot. Edie oczyściła i opatrzyła ranę Dereka.

Robert Patma został umieszczony w jednej z sal w klinice. Drzwi zamknięto od zewnątrz, a Sammy trzymał wartę z naładowaną strzelbą w rękę.

- Tego się nie spodziewałem - westchnął.

Przyszedł Stevie. Jak się okazało, pogoda pogorszyła się na tyle, że nikt nie latał. Na przyjazd lekarzy musieli czekać do następnego ranka. Dostali jednak szczegółowe instrukcje, jak zająć się dwoma pacjentami. Z Iqaluit miała co godzinę dzwonić pielęgniarka, żeby upewnić się, że wszystko jest w porządku. Robert Patma miał być cały czas pod kluczem.

Wyszli do poczekalni.

- Musimy przeszukać mieszkanie Patmy - powiedziała Edie. Znajdowało się ono w budynku kliniki. Daleko nie mieli.

- Kazałem już Steviemu złożyć wniosek o nakaz rewizji. — Twarz Dereka skurczyła się w bólu. Środki przeciwbólowe przestawały działać. - Zajmiemy się tym tak, jak trzeba. Po mojemu. Nie chcę wpaść w dodatkowe tarapaty, jeżeli Patma umrze.

Jeżeli chodziło o mieszkanie pielęgniarki, to Edie miała swoje zdanie. I nie zamierzała się nim z nikim dzielić.

Klucz do schowka znajdował się w gabinecie Patmy. Otworzyła skrzynkę i wyjęła z niej klucz do apteczki. Edie przejrzała szafkę z lekarstwami. Na górnej półce, w rogu, leżało opakowanie vicodinu. Podskoczyła parę razy i w końcu udało jej się zdjąć lek z półki, ale przy okazji zrzuciła drugie opakowanie. Na szczęście nic się nie stało.

W kącie pokoju stał niewielki podest. Przysunęła go do szafki i wspięła się na górę. Miała właśnie odłożyć lek na miejsce, gdy jej uwagę przyciągnęło opakowanie stojące z samego tyłu szafki. Nie było w nim nic nadzwyczajnego, oprócz tego, że widniały na nim rosyjskie napisy. Wyjęła je i otworzyła. W środku znajdowały się blistry z tabletkami.

Przyniosła Derekowi vicodin. Postanowiła nie mówić o swoim znalezisku.

- Chcesz przespać się u mnie?

Palliser spojrzał na nią niepewnie. Nie chciał się narzucać.

— Albo moje łóżko, albo ta zimna prycza w biurze. Chrapanie Steviego gratis. Możesz też położyć się obok człowieka, który próbował cię zabić.

- No, skoro tak nalegasz... - powiedział Derek. Wyglądał na zmieszanego. - Ale Edie... - Ich oczy się spotkały. Edie zmusiła się do uśmiechu.

- Powiedziałam, że może pan spać w moim łóżku, panie sierżancie Superman. I właśnie to mam na myśli

- spać.

Odprowadziła kulejącego Dereka do domu i przygotowała zupę na kolację. Policjant położył głowę na poduszkę i natychmiast zasnął, głębokim, spokojnym snem. Edie odczekała chwilę, żeby upewnić się, że się nie obudzi, po czym znów wymknęła się w noc.

Drzwi do kliniki były otwarte, tak jak je zostawiła. Sammy siedział pod drzwiami sali, w której leżał Robert Patma, i smacznie sobie spał. Edie otworzyła schowek, wyjęła z niego klucz do kostnicy i weszła do środka. Siedziała obok ciała Joego długo, całą wieczność wydawałoby się, i wspominała ich wspólne, najszcześniejsze chwile.

- Tęsknię za tobą, Joe - powiedziała, wstając. Opuściła pomieszczenie i wróciła do schowka. Przejrzała klucze. Żaden nie pasował do drzwi mieszkania Patmy. W końcu udało jej się otworzyć zamek scyzorykiem.

Żaluzje były zaciągnięte. Edie włączyła lampę stojącą na stoliku.

Mieszkanie było nienaturalnie wręcz czyste. Meble w salonie ustawione były symetrycznie, z identycznymi stolikami po obu stronach pomieszczenia i lampkami do kompletu. Otwartej kuchni chyba nikt nigdy nie używał. Drogie, porcelanowe naczynia stały w żołnierskich rzędach

na półkach przeszklonej szafy, a nieskazitelnie czyste, stalowe sztuce zwisały z haków wbitych w ścianę. Ani śladu normalnego, kuchennego bałaganu

- przypalonych garnków, starych butelek po oleju i ścierek z postaciami z kreskówek. Ktoś albo pieczołowicie go uprzątnął, albo po prostu nigdy tutaj nie wchodził.

Salon również wyglądał jak żywcem wyjęty z katalogu. Dwie czarne, skórzane kanapy wyglądały na nigdy nieużywane, jakby nikt na nich nie siadał. Po obu stronach stały ozdobne, czarne stoliki z identycznymi, kremowymi lampkami. Na czarnej ścianie wisiały czarno-białe, opatrzone w srebrne ramy arktyczne grafiki, przedstawiające idealną, ugrzecznoną, bezludną krainę rodem z fantazji południowych fotografów i artystów. W rogu pokoju stał teleskop, przez który widać było Cieśninę Jonesa.

Biegający od salonu korytarz prowadził do dwóch dodatkowych pomieszczeń z wciśniętą pomiędzy nie niewielką łazienką. W jednym z pokoi mieściła się sypialnia, drugi Robert Patma przerobił na prywatny gabinet. W przeciwnych rogach pomieszczenia stały dwie identyczne, drewniane szafki na dokumenty. Na biurku leżała koperta z pieczętą z Tallahassee na Florydzie z datą z ubiegłego tygodnia. W środku znajdował się ręcznie napisany list do „Drogiu Bobbiego”, podpisany przez „mamę i tatę” oraz zdjęcie dwojga starszków nad basenem. Edie odwróciła fotografię i przeczytała podpis. „Jerry i June Patma”.

Przecież Robert mówił, że jego matka zginęła w wypadku? Pamiętała, że popełniła wtedy gafę; myślała, że to jego ojciec nie żyje. Tymczasem wyglądało na to, że cała historia jest zmyślona.

Próbowała otworzyć szafki. Obie były zamknięte, ale Edie bez problemu poradziła sobie z zamkiem swoim scyzorykiem. W pierwszej szafce nie było nic ciekawego, za to w drugiej znalazła dokumenty finansowe Patmy. Teczki oznaczone były długimi kodami liczbowymi. Kobieta wybrała jedną z nich na chybił, trafił i usiadła przy biurku, by się z nią zapoznać. W środku znalazła kilka certyfikatów pielęgnarskich, jakieś rachunki za naprawy i kilka listów z banku. Teczka nie przestrzegała żadnego określonego systemu. Edie wydało się to dziwne. Przecież Patma był chorobliwie wręcz pedantyczny - widać to było po jego mieszkaniu. Kolejna teczka wyglądała tak samo. Trochę rachunków, wyciągów z banku i gwarancji na sprzęt elektroniczny.

Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że to wcale nie był bałagan. Ktoś z zewnątrz nic z tego nie rozumiał, ale Patma doskonale wiedział, gdzie szukać odpowiednich dokumentów. Posługiwał się kodami cyfrowymi, zabezpieczając się przed wścibskością ewentualnego intruza.

Jeszcze raz przejrzała teczki i wyjęła z nich kilka wyciągów banków przedstawiających listę przelewów na konto Patmy. Wpływy były dość istotne, ale nieregularne i zróżnicowane - łączyło je tylko zapisane cyrylicą źródło. Sprawdziła jeszcze kilka innych teczek i znalazła w nich nowsze wyciągi. Wyglądało na to, że przelewy ustały. Zatknęła kilka wyciągów za pasek, odłożyła teczki do szafy i opuściła pokój.

W szafce w łazience znalazła leki przeciwbólowe, piankę do golenia i zatyczki do uszu. Zajrzała też do sypialni, ale szafki były puste. Pod łóżkiem też nic nie znalazła. W garderobie znajdowało się sześć par butów. Na podeszwach nie widać było jednak odcisku niedźwiedzia polarnego.

Edie weszła jeszcze raz do gabinetu. Była pewna, że musiała coś przeoczyć. Pospieszenie otworzyła jedną z szuflad szafki z dokumentami. Regał zachwiał się, a jeden z paneli podłogowych nieco odskoczył w tył. Ktoś musiał przy nim majstrować. Kobieta schyliła się i podważyła deskę. To, co ukazało się jej oczom, przeszło jej najśmielsze oczekiwania. Poczowała, jak wzdłuż kręgosłupa przebiega jej rozdzierający ból. Próbowała się jakoś pozbierać, ale zakreśliła jej się w głowie. Była pewna, że zaraz zemdleje. Łzy spłynęły jej kaskadą po

policzkach. Musiała przygryźć wargę niemal do krwi, żeby nie zacząć głośno szlochać.

W sekretnym schowku znajdowały się ułożone pieczołowicie w stosy po dziesięć blistry po lekach. Miejsca po kapsułkach były idealnie odcisnięte; wyglądały niemal jak nienaruszone. Jedno opakowanie nachodziło na drugie na krzyż, tak by nie marnować miejsca.

Większość normalnych ludzi w ogóle nie przechowywała pustych opakowań po lekach, a już na pewno nie porządkowałyby ich w tak schludny sposób. Edie jednak widziała już dokładnie takie same stosy. Ta sama ręka uporządkowała opakowania po vicodinie w pokoju Joego Inukpuka.

Robert Patma.

Edie obróciła opakowanie w dłoniach. Na opakowaniu, które przypadkowo wypadło z szafki z lekami w klinice, były takie same, rosyjskie napisy. Wyjęła papier z drukarki i przepisała nazwę leku. Odłożyła blistry na swoje miejsce i przykryła je deską.

Z gabinetu poszła prosto do kuchni i zaczęła gorączkowo przeglądać szuflady i szafki, aż w końcu znalazła to, czego szukała. Na najwyższej półce leżała ogromna rolka folii spożywczej. Edie zdjęła ją, przypadkowo strącając młynek do soli. Obróciła folię w dłoniach. Nie było na niej metki. Ktoś oderwał też kawałek plastiku za pomocą niewielkiego rzędu metalowych zębów. Brzeg folii był niemalże perfekcyjnie harmonijny, bez żadnych pęknięć czy naciągnięć. Robota pedanta. Edie dobrze wiedziała, gdzie może znaleźć podobny majstersztyk.

Sammy wciąż spał na krześle przed salą zabiegową. Edie podeszła do komputera, wyjęła zatknięte za pasek wyciągi i otworzyła internetowy słownik rosyjsko-angielski. Wpisała nazwę, która przewijała się w rachunkach. W niewielkim okienku u dołu strony pojawiło się tłumaczenie. BelOil.

Poruszała się cicho, niczym myśliwy na tropie zwierzyny. Zdjęła pudełko rosyjskich pigułek z półki apteczki i wydobyła z niego piętnaście saszetek, po czym po cichu minęła Sammy'ego. Przez chwilę mocowała się z zamkiem. W końcu usłyszała ciche szcęknięcie. Na palcach weszła do środka.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Edie patrzyła, jak Robert Patma oddycha. Na stoliku obok leżała strzykawka. Kręciło jej się głowie, a myśli gorączkowo próbowały przedrzeć się przez gęstwiny mrocznych zarośli. Walczyły o każdy promień słońca, o choć odrobinę powietrza. Przypominały jej o wydarzeniach ostatnich miesięcy. Wspominała Wagnera i Taylora, myślała o Dereku i *puikaktuqu*. Najwięcej jednak myślała o Joem.

Minęło zaledwie parę chwil, odkąd znalazła folię w kuchni Roberta Patmy, ale czuła, jakby nagle zamieszkał w niej ktoś inny, jakaś nieznana jej dotąd postać. To właśnie ta inna osoba wzięła z półki opakowanie hydroformu, przemknęła obok śpiącego Sammy'ego i włamała się do pomieszczenia, w którym leżał ranny, a potem jedna po drugiej rozgniotła tabletki, aż powstała z nich góra drobnego pyłu, i rozpuściła je w roztworze soli fizjologicznej. I to ta druga ona siedziała teraz z nią, patrząc, jak oddycha Robert Patma. Prawdziwa Edie wspominała szczęśliwe dni spędzone z pasierbem.

Za drzwiami wychyliła się głowa. Edie jakby się ocknęła. Do środka wszedł Sammy.

- Co ty tutaj robisz, Edie? - Mężczyzna był jeszcze zaspany.
- Nie wiem — przyznała. I nagle zrozumiała. Jakby napierająca powódź w końcu przerwała wał. „Zastanawiam się, czy go zabić”.

- Wychodzisz już? - Nie zauważył strzykawki.

- Daj mi jeszcze chwilę.

Sammy lekko uniósł brwi. Jej zachowanie wydawało mu się co najmniej dziwne.

- Masz minutę — powiedział.

Gdy tylko znikł za drzwiami, Edie chwyciła strzykawkę i wrzuciła ją do kosza na odpady medyczne. To samo zrobiła z blistrami leków. Znalazła też opakowanie gazy, otworzyła je i wrzuciła na wierzch, żeby ukryć dowody.

Pacjent spał i spokojnie oddychał. Kobieta poczuła, jak zalewa ją fala mdłości. Poprawiła temblak, który zawiązała mu wcześniej na ramieniu, po czym po raz ostatni w życiu odwróciła się do Roberta Patmy plecami i na palcach wyszła z sali.

Sammy siedział na krześle z niespokojnym wyrazem twarzy. Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Nie wspominaj o tym nikomu, dobrze? - poprosiła i wyszła.

W domu zrobiła sobie kubek herbaty i położyła się na sofie. Myśli kotłowały jej się w głowie. Próbowała głęboko oddychać, ale po kilku minutach dała za wygraną. Była zbyt rozemocjonowana, żeby się uspokoić. Na stoliku leżała płyta DVD. Edie bez zastanowienia wsunęła ją do odtwarzacza. Po chwili na ekranie pojawiła się znajoma twarz Harolda Lloyda. Z jej oczu popłynęły łzy.

Martie znalazła ją na sofie kilka godzin później.

- Robert Patma, kto by się spodziewał? - Starsza kobieta pokręciła głową z niedowierzaniem. Jej głos przeszedł w konspiracyjny szept. — W Autisaq mieszka mroczny duch, Edie. Widziałam go, moja droga. To mroczny, ciemny duch.

- Myślałam, że nie wierzysz w złe duchy, ciociu - powiedziała Edie, ziewając. — Tylko w złych ludzi.

- Nie wiem, Mała Niedźwiedzico - odparła Martie.

- Sama już nie wiem.

Przygotowały śniadanie złożone z herbaty i praśnego chleba z syropem. Gdy Edie

opowiadała, co się wydarzyło, starsza kobieta ze smutkiem kręciła głową. Po skończonym posiłku wstała, żeby wyjść.

- Nie mieszaj się już w to, moja Mała Niedźwiedzico
- poprosiła. - Ta sprawa może okazać się jeszcze większa, niż ci się wydaje.
- Już za późno, ciociu - westchnęła Edie.

Dopiero kiedy Martie wyszła, kobieta poczuła kwaśny, słodkawy zapach, który przyniosła ze sobą jej krewna.

Była akurat pod prysznicem i próbowała zdrapać z siebie tę drugą, złą Edie, gdy usłyszała wycie karetki powietrznej. Zanim zdąży się ubrać, medycy będą już w klinice. Miała nadzieję, że zastaną Roberta Patmę przy życiu. Wiedziała już, że nie chce, żeby pielęgniarz umarł

— najpierw musiała go wysłuchać, o ile w ogóle będzie miał cokolwiek do powiedzenia.

Była przekonana, że Patma zabił Joego na zlecenie Rosjan, którzy dostarczali mu leków. Może zresztą sprawa zaczęła się całkiem niewinnie; może z początku był tylko zwykłym informatorem. Może to on był uzależniony od hazardu i potrzebował pieniędzy na spłatę długu? Może z początku nic wielkiego się nie działo, ale później zaczął nadużywać leków przeciwbólowych i sytuacja diametralnie się zmieniła. Z początku pewnie wystarczyła mu zawartość apteczki, ale wkrótce głód stał się zbyt palący. I wtedy Rosjanie zaproponowali mu regularne dostawy narkotyku. Może miał też jakieś konszachty z Zemmerem, chociaż jak na razie nic na to nie wskazywało. W końcu jego mocodawcy zażądali od niego zapłaty. I tą zapłatą był jej ukochany Joe. Było wiele powodów, dla których postanowiła darować życie Robertowi Patmie, a jednym z nich było to, że chciała usłyszeć tę historię bezpośrednio od niego, chciała być pewna wszystkich szczegółów. Jego dalsze losy już jej nie obchodziły.

Ciepła woda spływała kaskadami po jej ciele. Po długim czasie Edie jeszcze raz się wyszorowała i nasmarowała włosy olejem. Gdy wyszła spod prysznicza, Dereka już nie było. W kuchni obok czajnika znalazła kartkę. Policjant pojechał ze Steviem na lotnisko, żeby lekarze zajęli się jego nogą.

Kilka godzin później wróciła z Derekiem do domu. Od razu zorientowała się, że ktoś był w mieszkaniu. Nie byłoby w tym nic dziwnego; jak wszyscy Inuici z Autisaq nigdy nie zamykała drzwi na klucz, więc ktoś mógł po prostu wejść do środka, żeby sprawdzić, czy jej nie ma. Sammy'emu często się to zdarzało, ale on zawsze otwierał lodówkę, wyjmował z niej jakiś napój i szukał jedzenia, a potem siadał na sofie i włączał telewizor. Tym razem tajemniczy gość szukał czegoś zupełnie innego. Niektóre przedmioty były delikatnie poprzestawiane. Od razu zwróciła uwagę, że ktoś przesunął jej kolekcję filmów i powymmował półki z książek, by po chwili odłożyć je na miejsce. To samo działo się w sypialni i kuchni — wszędzie widać było drobne wskazówki, że ktoś otwierał szafki, wkładał palce w zakamarki, przeszukiwał pudełka i zaglądał w kąty.

Edie stwierdziła, że na razie lepiej będzie nie wspominać o tym Derekowi i Steviemu. Może przyszedł Willa, a może Minnie szukała alkoholu. Pomyślała też o Koper-kuju, którego wciąż nie udało się znaleźć. Martwił ją jednak moment wizyty.

Poczekala, aż Stevie wyjdzie, a Derek zaśnie, żeby sprawdzić, czy kamień jest jeszcze w puszcze na cukier. Na szczęście nikt go nie zabrał. Odłożyła opakowanie na miejsce, oblała palce do czysta i zganila samą siebie za swoją paranoję.

Mężczyzna, który zabił jej ukochanego Joego w zamian za kilka pigulek był właśnie transportowany do karetki powietrznej. Policyjny ekspert badał zwłoki jej pasierba w kostnicy, szukając śladu po igle. Za godzinę lub dwie dowody zbrodni i sam morderca będą już w drodze do Iqaluit, a ona nie będzie musiała już nigdy patrzeć na Roberta Patmę. Gdy siedziała przy nim ubiegłej nocy i zastanawiała się, czy przerwać mu oddech, przyszła jej do głowy myśl. Pielęgniarz był przecież nikim, zwykłym narkomanem. I wtedy do środka wszedł Sammy.

Pomyślała o sobie, o swoim byłym mężu i o Willi. Oni też miewali w swoim życiu okresy, kiedy wręcz stawali się swoim uzależnieniem. A przecież zawsze, nawet na samym dnie, byli ludźmi - i ona, i Sammy, i Willa. Zrozumiała wtedy, że cokolwiek zrobił Robert Patma, nie różnił się wcale od ludzi, których kochała. Nie mogła odebrać mu życia, tak samo jak nie mogłaby zabić Sammy'ego czy Willi.

Tymczasem, chociaż odkryła, kto zabił Joego Inukpuka, wciąż czuła, że nie potrafi rozwikłać tej zagadki. Faktycznie nie było go w Autisaq w czasie pierwszej śnieżycy, kiedy zginął Feliks Wagner, nawet jeżeli powód nieobecności był wyspany z palca. Robert Patma nie mógł zabić Amerykanina, bo po prostu nie było go wtedy w regionie. Więc jeżeli nie pielęgniarz, to kto? Nie miała prawie żadnych poszlak - tylko ślad buta odcisnięty w jej pamięci. Kolejny raz przypomniała sobie o kamieniu i o zamieszeniu, jakie spowodował. Zabójca Wagnera chciał dostać kamień w swoje ręce i głupotą byłoby sądzić, że wycofa się po aresztowaniu Patmy. Edie czuła głęboki niepokój. Ktoś był u niej w domu. Martie ostrzegła ją, że sprawa może być o wiele bardziej skomplikowana. Czyżby ciotka wiedziała coś o zniknięciu Koperkuja i nie chciała jej o tym powiedzieć?

Sprawdziła, czy Derek śpi, włożyła parkę i czapkę, wsunęła stopy w obuwie i wyszła na zewnątrz. Udała się do niewielkiej kawiarni na ryłach Sklepu Północnego. Ciotka Martie często przesiadywała tam, gdy była w mieście. Dzisiaj jednak nie było po niej śladu. Edie weszła do sklepu. Zza półki z nachosami wyskoczył Mike.

- Jak dobrze cię widzieć. Zawsze uważałem Patmę za dobrego człowieka. Co się stało? Słyszałem, że był narkomanem.

- No cóż, wieści szybko się roznoszą. - Edie uśmiechnęła się z zamkniętymi ustami. Znała Mike'a dobrze i wiedziała, kiedy po prostu szuka plotek. Nie miała ochoty podsycać jego ciekawości.

- Nicky, sanitariuszka z karetki, wpadła na kawę. Podobno doktor Urquhart twierdzi, że Patma sprowadzał narkotyki z Rosji. O co chodzi?

Kobieta wciąż nie zamierzała dolewać oliwy do ognia plotek.

- Posłuchaj, Mike - przerwała mu. - Trochę się spieszę. Widziałeś Martie?

Sprzedawca wydawał się zaskoczony nagłą zmianą tematu.

- Była tu wcześniej, ale chyba już wyszła.

Edie podziękowała mu i poszła do domu. Spakowała kilka rzeczy, zostawiła na stole kartkę z wyjaśnieniami i wyszła. Za dzień lub dwa można byłoby podróżować po lodzie morskim, ale wciąż było jeszcze zbyt mało śniegu, więc musiała się zadowolić quadem Dereka. Za trzy tygodnie miał rozpocząć się okres całkowitej ciemności. Jeżeli w Autisaq mieszkała jakaś ciemna dusza, to musiała ją znaleźć teraz, zanim zniknie całe światło.

Zaparkowała quada przy znajdujących się z tyłu chaty Martie skałach. Zawołała ciotkę. Gdy nikt jej nie odpowiedział, podeszła do drzwi frontowych i zapukała. Nigdy tego nie robiła - ale deski oszalowania wydawały się jej tego dnia wyjątkowo nieprzyjazne. Przez jakiś czas nasłuchiwała pod drzwiami. W środku panowała kompletna cisza. Przekręciła klamkę - drzwi ustąpiły. Edie jednak wróciła na tyły domu, gdzie znajdowały się niewielkie budynki gospodarcze - szopa ze sprzętem i foczymi skórami, pusta psia buda i otwarty garaż, w którym Martie trzymała swoje pojazdy. Brakowało jej quada.

Kilka lat temu wybudowano drogę zwirową prowadzącą z Autisaq aż do chaty Martie, w nadziei, że to pomoże jej docierać na czas na pas startowy. Kobieta często się spóźniała i przepadały jej okienka. Ścieżka rozpadła się jednak na pierwszym mrozie i obecnie nie nadawała się do niczego, może po za jednym kilometrem tuż przy chacie. Martie lubiła czasem wsiadać na quada i pędzić na koniec ścieżki, by stamtąd wyruszyć na polowanie na niskich wzgórzach.

Często zbierała tam też moroszki, które pojawiały się czasami na południowych stokach. W tym roku lato było dobre, więc pewnie wybrała się na wyprawę.

Edie zdjęła wierzchnie okrycie i zaparzyła herbatę. Postanowiła poczekać na powrót ciotki. Siedziała, pogrążona w myślach, przy starym, zniszczonym stole. Bezwiednie zamieszała cukier w herbacie leżącą na stole łyżeczką. W jej głowie kołotało się mnóstwo pytań. Dlaczego tu przyjechała? Czy nie była nieco przewrażliwiona po tym wszystkim, co się stało? Może cierpiała na paranoję. Gdy odkładała łyżeczkę, zauważyła, że jej spód jest pokryty czarnym nalotem, chyba sadzą. Edie odłożyła ją z obrzydzeniem. Martie nigdy nie była zbyt schludna.

Z każdym łykiem herbaty coraz bardziej czuła, że trzeba było zostać w Autisaq i dowiedzieć się, kto przeszukał jej dom. Do tego nie było jej przy sekcji zwłok Joego. Tak jakby znowu go opuściła. Wiedziała, że zachowuje się nieracjonalnie - po jej pasierbie została już tylko pusta skorupa, ale przecież uczucia z definicji były nieracjonalne, cokolwiek sobie o tym myślał Derek Palliser. Do tego dochodził jeszcze policjant. Edie zdała sobie sprawę, że martwi się o niego o wiele bardziej, niż to konieczne. Na to też nie mogła nic poradzić. Kolejny powód, by wrócić do Autisaq.

Chwyciła za kurtkę i plecak. Gdy zamykała drzwi, jej uwagę przykuł przytwierdzony do framugi hak, na którym wisiał klucz od kłódki. Ciekawe - Edie nigdy wcześniej go nie widziała, a poza tym ciotka Martie nie miała w zwyczaju niczego zamykać. Wszystkie budynki gospodarcze zawsze stały otwarte, a poza tym starsza kobieta nigdy nawet nie zamykała samolotu. Dlaczego nagle miałyby kupować kłódkę? Edie instynktownie wzięła klucz do ręki i obróciła go w palcach. Metal był nowy, błyszczący, a hak świeżo wbity w drewno.

Rozejrzała się po pomieszczeniu. Wszędzie leżały puszki, skóry zwierząt i sprzęt myśliwski. Nigdzie nie widać było żadnej kłódki. Szopa na zewnątrz była otwarta, a w garażu stał skuter z kluczykami w stacyjce.

Edie zajrzała do środka. W pomieszczeniu panował bałagan. Na ziemi stały puszki kreozytu, płynu przeciw zamarzaniu i oleju, a także kilka harpunów, deflektorów, przynęt, *ulu* i innych sprzętów. W rogu szopy piętrzyły się skóry zwierząt. Ani śladu kłódki. Kobieta zamknęła drzwi do szopy. Powiedziała sobie, że nie powinna wtykać nosa w nieswoje sprawy. Musi odwiesić klucz, zanim wróci ciotka Martie. Należały jej się przeprosiny.

Minęła szopę i z mocnym postanowieniem poprawy zaczęła wracać do chaty, gdy kątem oka dostrzegła, że ciotka musiała niedawno przesunąć budę dla psa. Porosty na ziemi były świeżo odgniecione. Edie podeszła bliżej. Po rysach na kamieniach widać było, że ktoś kilkakrotnie przesunął budę. Popchnęła ją na próbę. Jej oczom ukazały się niewielkie drzwi wycięte w ścianie szopy, dokładnie w miejscu, gdzie po drugiej stronie leżała sterta skór. To tam znalazła kłódkę. Wsunęła kluczyk do zamka i otworzyła zamknięcie. W skrytce stało niewielkie, metalowe pudełko przypominające sejf. Było ono puste w środku. Gdy zamykała drzwiczki, poczuła w nozdrzach kwaśny zapach. Pamiętała go skądś, ale nie potrafiła zidentyfikować źródła wspomnienia. Zamknęła kłódkę. Po raz drugi tego dnia poczuła się źle w swojej skórze, jakby była zbrukana. Martie była jej krewną, a ona nie powinna przeszukiwać jej rzeczy. Przesunęła budę na miejsce, odwiesiła kluczyk na haku i wyszła.

Dopiero gdy przemierzała Cieśninę Jonesa, przypomniała sobie o dziwnych śladach na łyżeczce, którą mieszała cukier. I dopiero wtedy przypomniała sobie, że zostawiła kubek na stole.

Derek siedział na kanapie w jej domu. Kiedy ostatni raz go widziała, był zupełnie otumaniony środkami przeciwbólowymi, ale teraz wydawał się bardzo poruszony. Trzymał w dłoni zdjęcie członków klubu myśliwych, które dostała w sierpniu od Qili Rasmussen.

- Dlaczego mi go wcześniej nie pokazałaś? — Na jego twarzy malował się wyraz bólu. Ledwo powstrzymywał gniew.

- Nie wiem - odparła zaskoczona Edie. — Przecież powiedziałam ci o Feliksie Wagnerze i tym całym Bie-łowskim.

- Musimy się stąd zabierać. - Policjant przerwał jej i podał jej zdjęcie. - I to już.

- Zabierać? - Kobieta była skołowana. - Dlaczego?

- Nigdy jeszcze nie widziała go w takim stanie, Palliser wyglądał, jakby postradał zmysły. Zastanawiała się, czy to nie skutek uboczny leków. - Posłuchaj mnie, Derek, ja naprawdę, naprawdę nie wiem, o co ci chodzi. Poza tym z tą nogą daleko nie uciekniesz.

- Którego z tych mężczyzn rozpoznajesz?

Edie spojrzała na fotografię i pokazała mu Feliksa Wagnera i Bielowskiego.

- To wszyscy? - Derek kazał jej jeszcze raz przyjrzeć się zdjęciu. Kobieta jednak nie znalazła żadnej znajomej twarzy. Pokręciła głową.

Policjant pokazał jej stojącego z tyłu wysokiego, dystyngowanego mężczyznę z brodą i wydatnym, orlim nosem.

- Nie znasz go?

- Nie.

Mężczyzna wziął głęboki oddech i westchnął.

- To wiele wyjaśnia - powiedział nieco mniej agresywnym głosem. - Chyba zbyt pochopnie uznałem, że musiałas już się na niego natknąć.

- Jak to?

- Edie, ten człowiek to profesor Jim DeSouza.

Minęło parę chwil, zanim przypomniała sobie, skąd zna to nazwisko. No tak, DeSouza był kierownikiem stacji kosmicznej na Devon.

- Myślisz, że może mieć jakieś informacje na temat Wagnera?

- To trochę zbyt duży zbieg okoliczności, nie sądzisz? Fairfax, Wagner, Bielowski - wszyscy byli w to zamieszani. Wątpię, żeby DeSouza był tylko niewinnym człowiekiem z zewnątrz. Widziałem się z nim ostatnio kilka razy, wydawał się bardzo poruszony. Twierdził, że ma problemy w pracy. Chyba powinniśmy mu złożyć niezapowiedzianą wizytę.

Edie spojrzała na jego zranioną nogę.

- Ja pojedę.

Derek roześmiał się gorzko.

- O nie, Edie Kiglatuk, tak łatwo się mnie nie pozbędziesz. - Spojrzał na nią tak, że serce zaczęło jej szybciej bić.

Zdażył już obmyślić cały plan. Musieli zaskoczyć DeSouzę, żeby nie mógł sobie wymyślić żadnego alibi. Jeżeli profesor nie był zamieszany w śmierć Wagnera, to nie powinien też mieć nic do ukrycia. Nie mogli jednak polecieć samolotem. Musieliby wcześniej poprosić o zgodę na lądowanie w obrębie stacji naukowej, a poza tym samolot przyciągał zbyt wiele uwagi. Nie pozostawało im więc nic innego jak dostać się do stacji od strony morza. Cieśnina Jonesa dopiero niedawno pokryła się lodem i wciąż była niebezpieczna - tafla była cienka i mokra, a miejscami fragmenty kry wciąż kotłowały się w wirze. Psi zaprzęg pozwalał im lepiej wyważyć ciężar i dzięki temu nadawał się do podróży po młodym lodzie, ale skutery były zdecydowanie szybsze - a im zależało na czasie.

Derek wszystko już przemyślał. Na północnym wybrzeżu Devon, nieopodal stacji, ale niewidoczny z jej okien, znajdował się palczasty fiord, który chronił niewielką plażę przed wschodnimi wiatrami. Łód w zatoce zazwyczaj dość szybko stawał się stabilny. Mogli tam zaparkować i spędzić noc. Tuż przed świtem wyruszą w pieszą wędrówkę do stacji. Jeżeli będą mieli szczęście, zaskoczą DeSouzę przy śniadaniu.

- To kiedy ruszamy? - zapytała Edie.

Derek wstał.

- Teraz.

Przeprawa była piekielnie trudna. Skutery skakały po wyboistym lodzie niczym worek treningowy w rękach boksera. Co chwilę musieli się zatrzymywać, by ominąć otwarte pęknięcia. Gdy minęli przyczółek wieloletniego lodu, zerwał się silny wiatr, a woda pod cienką pokrywą zaczęła ryczeć w gniewie. Derek nie chciał brać leków przeciwbólowych, żeby zachować jasność umysłu, ale Edie dobrze wiedziała, że ratują go tylko papierosy. Mimo wszystko udało im się minąć Craig tuż po zmierzchu. Cienkie, czerwone słońce wisiało przez chwilę nad horyzontem niczym krwawe oko, by ustąpić miejsca mroźnemu księżycowi.

Jechali dalej w kierunku południowo-zachodnim na Devon, klucząc po formującym się paku lodowym aż do Niedźwiedziej Zatoki. Po trzech godzinach ich oczom ukazała się wyspa Sukause. Na horyzoncie majaczył fiord. Wiatr ustał, a znad lodu zaczął unosić się gęsty dym.

— Mamy szczęście — powiedział Derek.

- To nie szczęście. - Edie pokręciła głową. Spojrzała w górę na blade gwiazdy. — To wsparcie.

Postanowili rozbić obóz, posilić się i nieco odpocząć. Jeżeli ktokolwiek widział światła skuterów albo słyszał warkot silnika, to pewnie pomyślał, że wybrali się na polowanie.

Bez słowa rozładowali sprzęt. Wkrótce siedzieli już w namiocie i jedli suszone mięso karibu popijane gorącą herbatą. Na zewnątrz panowała gęsta mgła. Derek jadł mało i jeszcze mniej mówił. Edie spojrzała na niego. Siedział sztywno, z nogą wyciągniętą prosto przed siebie, a twarz miał napiętą. Rana musiała go bardzo boleć. Doktor Boswell kazał mu brać vicodin i xanax na rozluźnienie mięśni. Kobieta poprosiła, żeby wziął leki i się przespał. Sama zamierzała czuwać i czekać na zmianę pogody. Obiecała, że obudzi go, gdy tylko poprawi się widoczność. Wyraz ulgi i wdzięczności na twarzy mężczyzny mówił więcej niż jakiegokolwiek słowa.

Przez jakiś czas słuchała oddechu Dereka, pozwalając, by jego regularny rytm ukoił jej własny niepokój. Gdy poczuła się pewniej, wyszła na zewnątrz i przespacerowała się po plaży. Było już dawno po zmierzchu, a niebo nabrało głębokiego, nieskazitelnie czarnego koloru. Mgła nieco się przzerzedziła, ale w powietrzu wciąż unosiły się resztki dymu. Jej towarzysz mógł jeszcze chwilę pospać. Potem obudzi go i wyruszą w kierunku prowadzącego do stacji molo. Parę godzin nic tu nie zmieni. Był środek nocy. DeSouza im nie ucieknie - o ile oczywiście nie dowie się, że do niego jadą.

Weszła do namiotu. Derek wciąż spał. Wiatr zaczął smagać zbocza klifu, po czym wpadł z impetem na kamienistą plażę. Po chwili kamienie zaczęły chrzęścić innym dźwiękiem, bardziej rytmicznym, niezależnym od wiatru. Coś się do nich zbliżało; być może lis. Z drugiej strony kroki były nieco zbyt ciężkie jak na lisa; zbyt ciężkie nawet jak na renifera czy wilka. Edie instynktownie spięła się i wstrzymała oddech, wsłuchując się w odgłosy stąpania. Po chwili zwierzę wycofało się w kierunku klifów.

Zapewne był to tylko pismowół albo niedźwiedź, ale Edie postanowiła się upewnić. Pamiętała o zniknięciu Koperkujaja. Owinęła kamiki tłumikami z zajęczej skóry, chwyciła za strzelbę, pas z amunicją i noktowizor, po czym wyszła z namiotu. Zapięła wejście na zamek i wyruszyła w ciemność.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Noktowizor rozjaśniał gęstą, martwą masę kamienistego podłoża, oświetlając niewielkie wgłębienia pozostawione przez przybysza. Ślad prowadził w kierunku zachodnich wzgórz. Nie było jednak tak łatwo, jak spodziewała się Edie. Wszystko zdawało się płynne. Ślady były nieregularne, a wiatr powoli rozmywał ich kontury. Wyglądało na to, że ich właściciel poruszał się na dwóch nogach.

Nikomu poza Steviem nie mówili, dokąd się wybierają, więc to na pewno nie DeSouza odwiedził ich w nocy. Posterunkowy był jak skała, Edie była pewna, że nie jest zamieszany w tę aferę. Zapewne był to jakiś inny myśliwy, może nawet sam Koperkuj, choć wydawało się to mało prawdopodobne.

Wzięła głęboki oddech i wyrzuciła wszelkie myśli i słowa ze swojego umysłu. Od teraz zamierzała opierać się tylko na zmysłach; na wyciu wiatru, śladach kroków i gorzkim, cierpkim zapachu miazdzonego mchu. Szła przed siebie, stąpając po miękkim śniegu, a odgłosy jej kroków tłumiała skóra zająca. Była przygotowana na konfrontację. Wiedziała już, że ma do czynienia z człowiekiem, więc poruszała się w maksymalnym skupieniu. Serce waliło jej jak oszalałe. W końcu dotarła do podnóża klifu. Zatrzymała się i przykucnęła. Wkrótce usłyszała ciche rżenie. Zaczęła sunąć bezgłośnie w kierunku, z którego dochodził dźwięk. Kolana miała ugięte, a palec spoczywał na spuście.

Dotarła do niewielkiego, stopniowanego występu i usiadła. Sprawdziła stopą podłoże i opuściła się na skałę. Rżenie stawało się coraz głośniejsze. Nie ulegało już żadnej wątpliwości, że ma do czynienia z człowiekiem. Odgłos dobiegał zza dużego głazu. Wciąż pochylona zawołała kilka razy, ale nie dostała żadnej odpowiedzi. Nagły powiew wiatru przyniósł ze sobą nikły zapach, tak znajomy, że mógłby należeć do przyjaciela. Krew.

Edie poruszała się powoli, z wyciągniętą strzelbą, od czasu do czasu wołając „*Kinauvit? Kim jesteś?*”. Nie było jednak żadnej odpowiedzi. Gdy dotarła do głazu, zebrała siły i cisnęła w mrok kamień, by sprowokować strzał. Nie było jednak żadnej reakcji. W końcu zebrała się na odwagę. Podniosła strzelbę, poprawiła czołówkę i wysunęła się zza skały.

W gęstym mroku widziała leżący na ziemi, dziwnie wykręcony korpus. Człowiek, martwy lub nieprzytomny. Popchnęła go lekko lufą remingtona. Nic. Włączyła latarkę. Od razu zorientowała się, że myśliwy musiał paść ofiarą niedźwiedzia. Ciało wydawało się nietknięte, ale twarz była rozoraną, gęstą masą zdartej skóry i zakrzepłej krwi. Nie dało się rozpoznać rysów. Edie zarzuciła strzelbę na plecy, pochyliła się i położyła dwa palce na szyi rannego. Wyczuła słaby puls. Jej nadgarstek oparł się o chłodny metal. Przysunęła latarkę. Jej oczom ukazał się znajomy, złoty łańcuch. U jej stóp leżał stary Koperkuj, a jego życie wisiało na włosku.

Chwyliła go za ramiona i odwróciła na plecy. Zdjęła futrzaną czapkę i podłożyła mu ją pod głowę. Ręce Koperkuj opadły swobodnie w dół, a Edie kątem oka dostrzegła, że jego dłonie zmieniły się w krwawe kikuty. Ktoś powyrywał mu paznokcie. Kobieta odsunęła się z obrzydzeniem. Owszem, niedźwiedzie potrafiły być brutalne, ale to był już sadyzm. Czyżby stary Koperkuj był torturowany?

Mężczyzna leżał nieruchomo. Edie ułożyła mu zmasakrowane dłonie pod brodą. Jej inuicka dusza chciała krzyczeć. Maltretowanie osób starszych było równie wielką zbrodnią, co krzywdzenie dzieci. Łagodnie pogłaskała go po włosach.

- Wszystko będzie dobrze.

Wiedziała, że Koperkuj nie jest w stanie iść. Na pewno nie słyszała jego kroków. W okolicy musiał znajdować się jeszcze ktoś trzeci. Edie pospiesznie wyłączyła lampę i sięgała właśnie po strzelbę, gdy zza jej pleców dobiegł głos.

- Tak uważasz?

Gdy odwróciła się, oślepiło ją mocne światło lampy. Minęła chwila, nim ogniki tańczące przed jej oczami w końcu znikły. Z ciemności wyłonił się kształt mężczyzny o orlim nosie, który widziała już na zdjęciu podarowanym jej przez Qilę. Profesor Jim DeSouza mierzył do niej ze strzelby.

Instynkt podpowiadał jej, że ma do czynienia z psychopata.

- Ten człowiek ma już swoje lata - powiedziała.

- To nie moja wina. — DeSouza zbliżył się i zabrał jej broń. Zaczął mówić cichym, konspiracyjnym szeptem. -Dobrze wiesz, czego chcę. Gdybyś mu tego nie zabrała, do niczego by nie doszło. - Mężczyzna chyba wyczuł jej obrzydzenie, bo cofnął się lekko. — Nie spodziewałem się, że będzie chciał cię chronić. Ledwo udało mi się zmusić go do gadania - dodał, lekko kopiąc Koperkuję w dłoń.

- On nie przepada za *qalunaatami* - powiedziała Edie.

- Nie mam mu tego za złe. - Twarz DeSouzy była napięta i krucha niczym gałęzie starej, przez lata smaganej wiatrem wierzby. — Ludzie powinni się trzymać swoich swoich. Wszyscy byliby szczęśliwsi.

- Mogę ci powiedzieć, gdzie jest kamień - przerwała mu Edie.

- Wiem.

- Proszę - dodała. - Musimy sprowadzić dla niego pomoc. - Słowo „proszę” brzmiało w jej ustach nieznamo. Nie było go w inuickim słowniku. Profesor jednak nie był Inukiem.

DeSouza cmoknął językiem o zęby.

- I tak już po nim. - Mężczyzna stracił na wadze od czasu, w którym zrobiono zdjęcie. Twarz miał zapadłą. -Przez chwilę myślałem, że możesz być interesująca, może nawet inteligentna, ale widzę, że jesteś równie głupia, co pozostali.

- Pozostali?

- Rdzenni mieszkańcy. - DeSouza aż ociekał pogardą.

Edie wiedziała już, że nie uda jej się z nim porozumieć.

Podniósł jej broń z ziemi i jedną ręką otworzył ją, by wyjąć amunicję. Niedbałym ruchem podbródka kazał jej się odwrócić. Przystawił broń do jej lewego warkocza i uniósł go lekko. Był to intymny, poniżający gest. DeSouza dobrze o tym wiedział.

- Ty pierwsza.

Przecieli plażę. Wokoło znać już było pierwsze oznaki nadejścia brzasku nawigacyjnego - niebo na południu nabrało brązowej barwy, a kontury namiotu wyłoniły się z gęstej ciemności. Odgłosy ich kroków nie wzbudziły żadnej reakcji. Derek Palliser wciąż spał.

- Obudź policjanta.

Edie zawołała go, ale mężczyzna nie odpowiedział.

- Jest ranny. Wziął xanax i środki przeciwbólowe.

DeSouza się nachmurzył. Popchnął Edie do przodu lufą broni i podał jej linę.

- Zwiąż go, byle porządnie. I tylko spróbuj mi uciec, a zrobię mu to, co staremu. A potem dopadnę i ciebie. Otwórz poły namiotu, żebyśmy mogli cię widzieć.

- Wiemy o wiele więcej, niż ci się wydaje - powiedziała Edie, związując nadgarstki Dereka. - Znamy miejsce, w którym znaleziono kamień. Możemy cię tam zabrać.

Zaczęła związywać nogi policjanta. Czowała, że DeSouza zesztyniał.

- Wy chyba sądzącie, że my wszyscy jesteśmy tacy sami, prawda? - zapytał. - *Qalunaaci*. -

Wykasłał to słowo, jakby było jakąś infekcją. - Chodzi nam tylko o pieniądze. Może Wagnerowi i Fairfaksowi. Mali ludzie o ciasnych horyzontach. Mnie w ogóle nie zależy na majątku.

Edie stała tak blisko niego, że czuła adrenalinę buzującą w jego żyłach.

Derek poruszył się, po czym zapadł ponownie w głęboki sen. Edie siedziała cicho i zawiązywała płaski węzeł.

- Myślisz, że mi odbiło, prawda? - zapytał. Pociągnął kilka razy za sznur, żeby sprawdzić, czy jest dobrze związany. — Nic mnie to nie obchodzi.

Wyszli z powrotem na plażę, zostawiając Dereka w namiocie. DeSouza kazał Edie uklęknąć na kamieniach. Założył jej dłonie za głowę, jakby miał dokonać na niej egzekucji. Wycelował w nią strzelbę i spojrzał w niebo. Odłamki skał boleśnie wpijały jej się w kolana. Zastanawiała się, czy nie sygnąć profesorowi zwirom w oczy, ale zdażyłby ją zabić w mgnieniu oka, gdyby tylko się poruszyła. Ciekawe.

Na razie była bezpieczna - DeSouza nie wiedział, gdzie jest kamień. Kiedy się tego dowie, zabierze ją gdzieś daleko w tundrę i czym prędzej się jej pozbędzie. Kto oprócz Dereka zrobiłby wszystko, żeby dowiedzieć się, co się z nią stało? Mike? Stevie? Martie? Wiedziała, że Mike i Stevie nie będą w stanie postawić się Simeoniu. Swojej ciotki też nie była już pewna.

Wąski skrawek słońca przesuwiał się powoli po niebie, zbyt słaby, by się podnieść. Edie zaczęła ogarniać rozpacz. Próbowwała z nią walczyć, ale uczucie było jak wielka ciemność, wszechogarniające, nieuniknione. „Tak nie może być”, pomyślała. Edie ma słabsze momenty, ale Kigga nigdy się nie poddaje. Jeszcze raz spojrzała na horyzont. Słońce było rdzawe, rozplątywało się w ciemnościach, ale wciąż jeszcze walczyło.

Wciąż jeszcze.

Musiała go jakoś nabrać, przekonać go, że będzie współpracować. Czekwała, aż mężczyzna się rozluźni, a unoszący się w powietrzu zapach adrenaliny nieco zelżeje. Dopiero wtedy zdecydowała się odezwać.

- Wiem, gdzie mogą być inne kamienie - rzuciła. - Meteoryty.

DeSouza nie zareagował. Edie jednak nie poddawała się.

- Może mogłabym ci pomóc, gdybym wiedziała, czego szukasz? Znam teren.

Mężczyzna prychnął.

- Skąd niby mogłabyś wiedzieć, czego szukam? - Zbliżył się do niej tak, że widziała jego twarz. - I tak nic byś z tego nie zrozumiała.

- Wiem, że jestem głupia, nic na to nie poradzę - przyznała z pokorą. Profesor spojrzał na nią.

- Ale poza tym jestem przydatna. Może skończyć nam się jedzenie, a ja potrafię ustrzelić renifera z odległości kilometra.

DeSouza się roześmiał.

- Jedzenie nam się nie skończy — powiedział i podniósł jej warkocz strzelbą. - Do czego jeszcze się nadajesz?

Edie zamknęła oczy i przełknęła ślinę.

- Mogłabym ci pomóc znaleźć więcej kamieni, astroblem, może nawet gaz.

Mężczyzna chrząknął pogardliwie.

- Już ci mówiłem, i tak nic z tego nie zrozumiesz. - Znów spojrzał w niebo.

- Masz rację. Jestem głupia, a co gorsza jestem kobietą. - Próbowwała przybrać dziecienny ton głosu. - I ak się tylko zastanawiam, skoro i tak nie jestem nikomu potrzebna, to czy mogłabym opuścić ręce?

DeSouza westchnął ze zniecierpliwieniem, ale nie protestował. Wyglądał na zmęczonego, wycieńczonego niemal.

- Nasi naukowcy - odezwał się, pokazując dłonią na północny wschód, poza klify, w

kierunku kampusu -odwalają kawał dobrej roboty, wiesz, głównie w zakresie mechaniki. Projektują pojazdy i maszyny do zbierania próbek. — Tak naprawdę nie mówił do niej, ale raczej do jakiejś innej części samego siebie, która zachowała jeszcze resztki przytomności umysłu. Po chwili zamilkł.

Edie wreszcie zrozumiała, o co chodzi. Profesor był po prostu przeraźliwie samotny. Całe życie patrzyła, jak Arktyka niszczy takich ludzi, jak on. Przyjeżdżali na Północ z głowami pełnymi bajek o samowystarczalności i twardym indywidualizmie, by nagle odkryć, że wcale nie są aż tacy twardzi. Wkrótce większość z nich musiała w końcu zrozumieć, że potrzebuje ludzi. Reszta pograżała się w szaleństwie. DeSouza był na rozdrożu. Mógł pójść w każdym kierunku.

Mężczyzna patrzył w niebo. Po jakiś czasie odwrócił się i spojrzał na nią w milczeniu.

- Wiesz dlaczego meteoryty są takie cenne? Pomijając gaz? - zapytał w końcu. Brzmiał, jakby był zmęczony, choć próbował mówić oburzonym głosem. Edie poczuła ogromną, ciepłą ulgę. - Pewnie powiesz, że pochodzą ze świata duchów albo jakąś tego typu bzdurę.

- Nie - zaprzeczyła kobieta. - Ze świata duchów pochodzą duchy. Meteoryty pochodzą z kosmosu.

- ALH 84001, wiesz co to jest? - zapytał. Najwyraźniej zdała egzamin. Chciał się przed nią wymądrzać. Dobry znak.

Edie pokręciła głową.

- No, pewnie że nie wiesz. - DeSouza wydawał się zadowolony.

- Opowiedz mi - poprosiła. - Dla zabicia czasu. A jak nie chcesz, to ja też coś mogę poopowiadać.

- Chryste Panie, tylko nie to - zaoponował profesor. — Ludzie-gęsi, duchy morsów, mam tego po dziurki w nosie. Uśmiechaj się, rozmawiaj z rdzennymi. Pocałujcie mnie wszyscy w dupę.

- W takim razie może mnie trochę wyedukujesz.

Spojrzał na nią badawczo. Odpowiedziała mu słabym uśmiechem. Sprzyjało jej to, że była kobietą, Inuitką, a DeSouza jeszcze nie zorientował się, że wciąga go w grę. Dzięki niej mógł ukończyć swoją samotność.

- ALH 84001 to naukowa nazwa meteorytu znalezionej na Antarktyce. Dziesięć lat temu niejaki David Mackay z centrum kosmicznego w Houston ogłosił, że zawiera on skamielinę pewnej formy życia.

Zaczął padać drobny, zimny śnieg. DeSouza wstał. Widać było, że na coś czeka. Lub na kogoś.

- Cholera - mruknął.

Edie wyciągnęła szyję w kierunku namiotu.

- Tam jest cieplej.

Kazał jej ruszyć przodem i podnieść połę namiotu tak, żeby mógł zajrzeć do środka. Wszedł do środka tyłem, wyjął strzelbę Pallisera, otworzył ją i wyrzucił na śnieg. Edie spoglądała w zmierzch i próbowała wymyślić jakiś sposób, by pozbawić DeSouzę broni. Zerknęła na odciski jego butów. Wzór był znajomy. Zygzakowaty kształt z nazwą marki i logo z niedźwiedziem polarnym widziała już w dniu śmierci Feliksa Wagnera.

Profesor wyszedł z namiotu ze zwojem szpagatu. Wepchnął Edie do środka, kazał jej usiąść i związał jej kostki i nadgarstki. Wyjął papierosa z paczki Dereka i zapalił. Zapadła cisza, którą przerywało tylko miarowe chrapanie policjanta. Wydawało się, że DeSouza postanowił już nic więcej nie mówić. Edie wiedziała, że musi być ostrożna. Miała do czynienia z zabójcą; z człowiekiem, który zastrzelił Feliksa Wagnera. Chciała, żeby wiedział, że ona też wie; że zna jego tajemnicę, ale zamierza jej dochować. Zaczekała, aż profesor skończy palić papierosa.

- To właśnie tak poznaliście się z Feliksem Wagnerem? Oboje pracowaliście w centrum kosmicznym?

- Wagner był zwykłym dupkiem. — DeSouza wzruszył ramionami. - Kompletnym zerem.

Twarz wykrzywił mu wyraz pogardy. Poznali się na początku studiów na Uniwersytecie w Waszyngtonie przez uczelniany klub arktyczny. Później Wagner dorobił się sporego majątku na handlu nieruchomościami i wykorzystał znajomość z DeSouzą, żeby wstąpić do prestiżowego Klubu Myśliwych Arktycznych.

— Feliks był kanciarzem, nie żadnym myśliwym. W klubie zadawał się przede wszystkim z Fairfaksem z uwagi na jego kontakty i z Bielowskim dla pieniędzy. Szkoda, że nie widziałas, jak włazi im w tyłki. Polowali na niedźwiedzie na Kaukazie, strzelali do przepiórek z okien jakiegoś zamku w Anglii. Farsa.

— To w ten sposób dowiedział się o kamieniu i dzienniku, tak? - Edie wpatrywała się w twarz DeSouzy w poszukiwaniu oznak irytacji, ale mężczyzna chyba zapomniał, że rozmawia z zakładniczką. - Faktycznie sprzedawanie tych samych informacji Bielowskiemu i Zemmerowi nie było zbyt mądrym posunięciem. Przecież z góry wiadomo było, że się domyślą - powiedziała.

Profesor spojrział na nią z wyrazem niechętnego podziwu. Tak, samotność była jego słabym punktem. Znow był pionkiem w jej grze.

— Jednak nie jesteś taka głupia, za jaką się podajesz

— powiedział z nutą żalu w głosie. - Lepiej by dla ciebie było, gdybyś nie była taka sprytna.

— Wagner był głupi i na dobre mu to nie wyszło -zauważyła Edie. - Tak samo jak Andy'emu Taylorowi.

DeSouza znow pogardliwie wyduł wargi.

— Wagner zawsze miał wokół siebie jakichś koleśków i zawsze byli oni kompletnymi palantami. - Wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić. - Akurat z Taylorem nie miałem nic wspólnego. Rosjanie dopadli go pierwsi. -Mężczyzna zaniósł się śmiechem.

Edie drażyła temat.

- Opowiedz mi o ALH 84001.

Spojrzał na nią uważnie, jakby chciał ocenić, czy warto się wysilać. Po chwili się rozluźnił.

- W zeszłym roku McKay ponownie zbadał kamień za pomocą... - Zawahał się, rzucił Edie nieufne spojrzenie i cofnął się lekko. — Zresztą nieważne.

Kobieta próbowała sobie przypomnieć wszystkie terminy techniczne, jakie zapamiętała z raportu przekazanej jej przez Mike'a Nungaqa.

- Czyżby chodziło o mikroskopię elektronową?

DeSouza uśmiechnął się mimowolnie. Zgadła.

W nagrodę mogła liczyć na dalszą opowieść. Niewiele było trzeba, by profesor zapomniał, że ma przed sobą wroga. I chyba wcale nie chodziło o to, że potrzebował przyjaciela. Edie sądziła zresztą, że mężczyzna do przyjaźni nie był zdolny. W tej chwili potrzebował przede wszystkim, żeby ktoś zrozumiał jego obsesję

- i to bardziej, niż wydawało mu się, że potrzebuje kamienia.

- Jak dotąd wszystkie badania skupiały się na magnetycie. To znaczy wszystkie oficjalne badania.

- Oficjalne badania z dupy morsa - mruknęła lekceważąco.

- Coraz bardziej podoba mi się twój styl - odparł profesor. Był o wiele bardziej rozluźniony niż jeszcze parę chwil temu.

- To tylko niska inteligencja - powiedziała Edie. Ten człowiek był tak łatwy.

- Wiesz, czym są nanoby?

Pokręciła przecząco głową. Tym razem naprawdę nie wiedziała.

- To mikroskopijne, skamieniałe struktury pozaziemskie o średnicy jednej miliardowej metra. Do tej pory znaleziono je tutaj na ziemi w magnetycie i hali-tycie oraz w ALH 84001. Niektórzy twierdzą, że to ślady najmniejszych form życia, ale nikt jeszcze tego nie udowodnił. - Od mężczyzny znów biła wielka energia. - Myślę, że mogę udowodnić, że to faktycznie formy życia. Co więcej - mogę udowodnić, że żyły na Marsie.

Edie wstrzymała oddech. Zbliżał się samolot. Czowała nikłe drgania w powietrzu, choć nie słyszała jeszcze warkotu silnika. DeSouza na razie się nie zorientował.

- Wiesz, co to oznacza? Ludzie dostają Nobla za dużo mniej ekscytujące odkrycia.

Czyli o to chodziło. Sprawa okazała się przerażająca w swej banalności. Tak jak wielu innych wybitnych ludzi kierujących się tylko i wyłącznie ambicją, DeSouza zatracił gdzieś swoje człowieczeństwo.

- Ale żeby to zrobić, potrzebujesz kamienia - powiedziała. Może nieco zbyt głośno; próbowała odwrócić jego uwagę od odgłosu zbliżającego się samolotu. Mężczyzna przechylił lekko głowę.

- I czasu na badania.

- A to kosztuje pieniądze - dokończyła.

Silnik słyhać było bardzo wyraźnie. DeSouza też go usłyszał. Kazał Edie wstać, po czym nożem myśliwskim przeciął krępujący jej kostki węzeł.

- Chodź, spotkasz kogoś, kogo dobrze znasz.

Padał śnieg, a morze spowiły niskie chmury. Warkot silnika stawał się coraz głośniejszy. Stali na plaży, a powietrze zaczęło wibrować. Edie instynktownie sprawdziła kierunek i siłę wiatru. *Tarramiliivug*, kierował się na północ. Powoli zaczął ogarniać ją strach.

Johannes Molier. Facet siedział w tym głębiej, niż jej się wydawało.

Między chmurami pojawił się błyszczący punkt. Po chwili zaczął nabierać znajomego kształtu Twin Ottera. Nie była to jednak maszyna Moliera.

Samolot należał do ciotki Martie.

Edie zalała fala nadziei. Miała ochotę krzyknąć z radości. Martie ich odnalazła.

- To twoja ciotka, prawda? — DeSouza pokręcił głową. - A wy twierdzicie, że rodzina jest najważniejsza. Śmieszne.

Spojrzała na niego z niepokojem. O co mu chodziło?

Samolot zbliżał się do nich coraz szybciej. Edie czekała, aż Martie odwróci się, żeby lądować na wodzie tuż obok wybrzeża, ale maszyna wciąż kierowała się prosto na ziemię. W końcu była tak nisko, że wydawało się, że niemal muska fale poniżej. DeSouzę ogarnął niepokój.

- Co ona u diabła wyprawia?

Samolot wciąż nacierał. Był już zaledwie sto metrów przed nimi. Martie leciała tak nisko, że czuli, jak skrzydła zasysają powietrze wokół nich; tak nisko, że Edie niemal widziała grymas na jej twarzy. W końcu DeSouza się złamał. Krzyknął i padł na kamienie. Wypuścił strzelbę z rąk, by ochronić głowę. Samolot przeleciał tuż nad nimi, rycząc przeraźliwie. Edie natychmiast rzuciła się do przodu, by złapać za broń, ale skrepowane nadgarstki udaremniły jej próby. Maszyna wzbijała się w powietrze. Mężczyzna wstał i natychmiast chwycił strzelbę. Martie jednak ruszyła do ataku, zanim jeszcze zdążył się pozbierać.

Edie przyglądała się zbliżającej się maszynie. Gdy samolot znów obniżył lot, cofnęła się o kilka kroków w kierunku samolotu. DeSouza usłyszał chrzęszczenie kamieni i wystrzelił. Kula minęła ją ze świstem i odbiła się od skały. Samolot był już prawie nad nimi. Profesor znów padł na ziemię i przykrył głowę. Kobieta pobiegła w kierunku namiotu i zaczęła szukać strzelby Dereka. Liczyła na to, że zdąży ją złapać, zanurkować do namiotu, przeciąć krępujący jej nadgarstki szpagat i naładować broń zanim dopadnie ją DeSouza. Samolot zdążył jednak znów

wzbić się w powietrze. Profesor zapewne podnosił się z ziemi. Edie zerknęła za siebie i zobaczyła, jak mężczyzna podnosi broń. Instynktownie rzuciła się na ziemię.

Maszyna wleciała nad morze i zaczęła zawracać. DeSouza biegł w jej kierunku. Kłął, wrzeszczał i wymachiwał bronią. Edie wstrzymała oddech. Nagle zatrzymał się, przycisnął broń do ramienia i się przechylił. Rozległ się głośny trzask. Świat na chwilę stanął w miejscu.

Kobieta poczuła, jak twarz zrasza jej krew. Cała zeszywniała. Profesor upadł.

DeSouza leżał na plaży z twarzą w kamieniach. Z jego piersi wydobywało się złowieszcze bulgotanie, a z ust ciekła mu krew. Edie wstała. Gdy odwróciła się, zobaczyła Dereka Pallisera. Policjant opuścił broń i uśmiechnął się.

- Węzeł płaski. Edie, ty myślisz o wszystkim.

Podszedł do niej, kuśtykając. Samolot odleciał na otwartą wodę i zaczął podchodzić do lądowania.

- Znów te twoje tarapaty?

- O takich to jeszcze świat nie słyszał. - Edie pomyślała o Koperkujju. - Derek, myślisz, że będziesz w stanie pomóc mi przetransportować Saomika?

Po drodze opowiedziała mu, co się stało. Wspólnymi siłami zanieśli starszego mężczyznę na plażę. Był tak lekki i słaby, że aż dziw, iż jeszcze żył. Oddech miał płytki, urywany. Nie wyglądało to dobrze. Ale żył.

Martie już na nich czekała. Nie było czasu na wyjaśnienia. Położyli Koperkujja na przyczepie skutera Edie i przetransportowali go do samolotu.

Gdy wrócili, DeSouza już nie żył.

- Leć z Martie — powiedział Derek. — Ja zadzwonię do stacji i poproszę, żeby ktoś po niego przyjechał.

Spojrzeni na siebie. Przebiegł między nimi jakiś impuls.

Gdy samolot wzniósł się w powietrze, Koperkuj zaczął odzyskiwać przytomność. Charczał. Edie sięgnęła po przymocowaną do wręgi apteczkę i zdjęła ją. Samolot wzniósł się nad chmurą. Na ziemię spadło jakieś opakowanie. Odepchnęła je na bok i wyjęła z apteczki blister vicodinu. Zmiażdżyła kilka tabletek, opuściła nieco spodnie starszego mężczyzny, włożyła rękawiczki i wprowadziła mu proszek do odbytu. Wkrótce rzeźenie ustało.

Zdjęła rękawiczki i wzięła do ręki zagubione pudełko. Od razu zauważyła wyraźny, kwaskowaty zapach warzyw; ten sam, który unosił się w chacie Martie. Jej ciotka była zajęta wprowadzaniem ustawień na panelu. Edie wyjęła nóż i lekko nacięła folię ochronną. Otworzyła karton i wsunęła do niego palec. W środku znajdował się biały proszek. Oblizwała palec. Gorzki smak sprawił, że zadrżała.

Jej ciotka wiecznie się drapała. Do tego jeszcze ta osmalona łyżeczka. Przypomniała sobie, jak uważnie ktoś przeszukał jej dom, zaglądając do miejsc, gdzie faktycznie często coś chowała. Do tego wszystkie przedmioty były tak pieczołowicie odłożone na swoje miejsce. To właśnie ją DeSouza miał na myśli, gdy wspominał o starym znajomym i śmiał się z Inuitów, którzy niby zawsze stawiają rodzinę na pierwszym miejscu. To na Martie czekał. Na Martie, która ostrzegła go, że chcą go dopaść.

Edie czuła się, jakby ktoś wbił jej nóż w plecy. Do głowy przyszło jej tyle różnych myśli, że musiała wstrzymać oddech, by się pozbierać. Gdy się uspokoiła, powoli, po cichu sięgnęła po broń. Zbliżyła się do kokpitu. Martie poczuła chłód lufy na karku i krzyknęła, jak małe, głodne zwierzę.

- Edie, nie!

Kobieta jeszcze mocniej przycisnęła strzelbę. Adrenalina mrowiła jej skórę.

- Żyjesz tylko dlatego, że ktoś musi prowadzić samolot. Ale nie próbuj żadnych sztuczek -

jak tylko zaczniesz kombinować, pošlę nas wszystkich na ziemie.

Zamilkła na chwile i spojrzala przez okno na szare, hipnotyczne wody Ciešniny Jonesa.

- Jak daleko jeszcze? - zapytala, gdy znów poczuła się spokojniej.

- Dwadzieścia minut. - Głos ugrzązł Martie w gardle.

- Czyli masz dwadzieścia minut, żeby się usprawiedliwić.

Na początku chciała tylko trochę sobie dorobić. Metamfetaminę DeSouza odbierał osobiście ze statku patrolu arktycznego. Była ona pakowana w kartony opatrzone napisem „instrumenty naukowe”. Kapitan łodzi, Johnson, o wszystkim wiedział. Martie była przemytniczką. Od czasu do czasu zatrzymywała się w stacji naukowej, odbierała pudełko i zawoziła je do Iqaluit.

Kobieta przerwała na chwile.

- DeSouza twierdził, że pieniądze z narkotyków idą na sfinansowanie ważnych badań.

- Wiedziałaś, że to on zastrzelił Feliksa Wagnera, prawda?

Martie niechętnie pokiwała głową. Dowiedziała się o tym z dużym opóźnieniem. DeSouza śledził ich od momentu wyruszenia. Czekał, aż Wagner zostanie sam i będzie mógł go obezwładnić, żeby zabrać mu kamień. Kiedy wystrzelił, natychmiast pojawił się Andy Taylor. Profesor nie zamierzał zabijać dawnego kolegi, ale nie było mu też specjalnie przykro. Twierdził, że Wagner wiedział, jak bardzo potrzebuje tego kamienia. Podobno był mu coś winien. Zdecydował się go jednak zdradzić.

- Cholera, Edie, on mówił, że wyniki jego badań zmieniają świat. Że kiedy ziemia stanie się już zupełnie jałowa, będziemy mogli mieszkać między gwiazdami, tam, gdzie duchy. Nie znam się na nauce. Umiem tylko latać samolotem. No to pomyślałam, co mi szkodzi? Przecież narkotyki nie trafiały do Autisaq.

- Ale potem ty się uzależniłaś.

- Nie wiem, jak do tego doszło. - Martie wydała z siebie jęk bólu. - Najpierw brałam po jednej działce, żeby poprawić sobie koncentrację na dłuższe loty. Potem stary mnie przyłapał i się dołączył. Nikt nawet nie zauważył, że przesyłki były wybrakowane. Aż któregoś dnia DeSouza pojawił się znienacka, kiedy sprawdzaliśmy z Koperkujem towar. Wtedy zdałam sobie sprawę, że on też bierze.

- I wtedy dowiedziałaś się o kamieniu?

- No właśnie.

- Koperkuj nie chciał mu go oddać?

- Wiesz, jaki był stary... — Zawahała się. - Jaki jest. Gnoju by *qalunaatowi* nie sprzedał.

Kiedy DeSouza znowu się pojawił, powiedział mu, że zgubił kamień.

Facet mu nie uwierzył, ale stary się uparł. Dlatego pozwolił ci go wziąć. Nie chciał, żeby DeSouza go ukradł.

Martie zerknęła na Saomika.

- Myślisz, że przeżyje?

F.die wzruszyła ramionami.

- Zrozum mnie, Mała Niedźwiedzico, z początku z DeSouzą wszystko było w porządku.

Odbiło mu dopiero wtedy, gdy dowiedział się o kamieniu. I zaczął brać. Sama nie wiem, po prostu pogrążył się w ciemności.

- Ciemna dusza.

Martie pokiwała głową.

- A potem Koperkuj znikł...

- Szczerze? Nie wiedziałam, co się z nim stało. Wydawało mi się, że DeSouza łyknął tę bajeczkę o zgubie. Zresztą żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, że wiem, że to ty masz kamień, więc sądziłam, że jestem bezpieczna. Ale potem profesor wygadał się, że widział starego tuż

przed jego zniknięciem, więc wszystkiego się domyśliłam. Pamiętasz, jak ci powiedziałam, że Koperkuj handlował trawką? Wiedziałam, że powiesz Pallise-rowi. Myślałam, że doda dwa do dwóch i pójdzie sprawdzić DeSouzę.

- Myślałaś też, że jak zabierzesz kamień z mojego domu i oddasz mu go, to wypuści Koperkują i wszystko będzie jak dawniej.

- Tak, mniej więcej tak. Cholera, jestem kretynką, Mała Niedźwiedzico. Wszystko się tak poplątało. Nie mogłam znaleźć kamienia, ale znalazłam zdjęcie na twojej kanapie. Martwiłam się. A potem przyszłam do ciebie znowu, ale ciebie już nie było. Spanikowałam. Sądziłam, że się wszystkiego domyśliłaś.

— I zadzwoniłaś do DeSouzy.

Martie nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Gardło ścisnęły jej emocje. Daleko przed nimi widać już było Autisaq, niewielkie i kruche na tle imponującego, pełnego rozmachu masywu Wyspy Ellesmerea.

— Nienawidzę siebie za to, co zrobiłam, ale przynajmniej na końcu próbowałam wszystko naprawić.

Edie odłożyła strzelbę, zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech.

— Po prostu wyłączaj, Martie, a potem zejdź mi z oczu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Edie stała przy termosie z herbatą w poczekalni kliniki w Autisaq, gdy podeszła do niej Diandra Smitty, nowa pielęgniarka. Była to duża, flegmatyczna kobieta, całkowite przeciwieństwo Roberta Patmy. Lubiła powtarzać, że jest jedyną „czarną białą”, jaką większość mieszkańców okolicy miała kiedykolwiek okazję spotkać. Pracowała w Autisaq już od trzech i pół miesiąca i powoli zapoznawała się z przekazywanymi jej przez starszych mieszkańców tradycyjnymi kuracjami i praktykami. Stopniowo zaczęła wykorzystywać je we własnej pracy, za co wszyscy ją pokochali. Termos bufetowy też był jej pomysłem.

- Hej, Edie - powiedziała Diandra. - Przyszłaś odwiedzić staruszka?

Edie nalala sobie herbaty i zaczęła sypać do niej cukier. Pielęgniarka zawsze przyglądała się uważnie każdej kolejnej łyżeczce, ale powstrzymywała się od komentarzy. Edie bardzo ją za to lubiła.

- Jak tam nowy wolontariusz? - zapytała. Willa Inukpuk od dwóch miesięcy pomagał Diandrze w klinice.

- Świetnie sobie radzi - odparła Diandra. — Może to dziwne, ale niektórzy po prostu mają rękę do leczenia.

Willa jest jedną z takich osób. Tylko przez długi czas nic o tym nie wiedział.

Z jednego z gabinetów wyszedł sam zainteresowany. Gdy zobaczył Edie, uśmiechnął się do niej lekko. Wraz z nadejściem zimy ich relacje stały się nieco cieplejsze. Praca z Diandrą zupełnie odmieniła Willę. Jego dawna macocha jeszcze nigdy nie widziała go w tak dobrym stanie - młody mężczyzna wreszcie czuł się dobrze w swojej skórze i miał w życiu jakiś cel.

Pielęgniarka wróciła do gabinetu, a Edie ruszyła do pokoju Saomika Koperkuja. Z początku, gdy jego życie wciąż jeszcze wisiało na włosku, chcieli zadzwonić po karetkę powietrzną i zabrać go do prawdziwego szpitala w Iqaluit. Starszy mężczyzna stanowczo odmówił - powiedział, że jeżeli mają zabrać go z Umingmak Nuna, to woli umrzeć. Dramatyczne przejścia ani trochę go nie zmiękczyły; wciąż był drażliwy i ostry, ale na szczęście dla nich obojga, Edie nigdy niczego więcej się po nim nie spodziewała.

Odwiedzała go co dwa tygodnie. Stało się to już stałym punktem jej życia; Koperkuja zresztą też. Dobrze znali scenariusz i swoje role. Ona miała udawać, że wizyty są dla niej ciężarem. On twierdził, że wtyka nos w nie swoje sprawy i po prostu się mu naprzykrza. I fantastycznie się przy tym bawili. Koperkuj wiedział mnóstwo o dawnych tradycjach i chętnie dzielił się z nią wiedzą. Edie dowiedziała się, jak zrobić piłkę do gry w nogę z pęcherza morsa i leczyć psy ze ślepoty śnieżnej. Opowiedział jej, jak podejść pardwę tak, by sądziła, że jesteś foką, a potem pokazał jej, jak zrobić niezwykle skuteczną przynętę. Te rozmowy wiele jej dawały; dojrzewała jako łowczyni i jako Inuitka. Oczywiście nigdy by się do tego nie przyznała, nie Koperkujowi.

Nagle w drzwiach pojawiła się ciotka Martie. Edie wiedziała od Willi, że kobieta regularnie odwiedza klinikę, by posiedzieć z Koperkujem i leczyć się z uzależnienia, ale poza tym robiła wszystko, by nie wychodzić ze swojej chaty. Edie również starała się jej unikać. Nie rozmawiały ze sobą od czasu feralnego lotu.

- Hej, Edie. - Głos Martie aż drżał od żalu.

Kobieta nie potrafiła zdobyć się na to, by zapytać o zdrowie ciotki. Wybrała drugi z kolei temat.

- Jak ma się dzisiaj staruszek?

- W porządku. - Martie roześmiała się cicho. Jej oczy na chwilę rozbliły dawną energią. - T wierdzi, że chce ze mnie zrobić swoją legalną kobietę. Wyobrażasz sobie, po tylu latach?

- Zgodzisz się?
- Oszalałaś?

Edie się uśmiechnęła. Minęły się w drzwiach. Powietrze aż drżało od niedopowiedzeń. Przytrzymała drzwi i patrzyła, jak jej ciotka idzie korytarzem. Tuż przed wejściem do poczekalni, Martie zawahała się i odwróciła.

- Hej, Mała Niedźwiedzico, Willa powiedział ci, że jestem czysta?

Edie pokiwała głową. Martie milczała przez chwilę. Uśmiechała się, ale głos miała zduszony.

- Żadna tajemnica się tutaj nie uchowa.
- Mam taką nadzieję - powiedziała Edie. Wzięła głęboki oddech i weszła do pokoju

Koperkują.

Saomik Koperkuj siedział na łóżku i oglądał film na DVD. Podczas długich miesięcy rekonwalescencji Edie zaczęła stopniowo zaznajamiać go z największymi osiągnięciami niemej komedii. Wizyty miały już pewien określony scenariusz — Koperkuj opowiadał trochę o dawnych czasach, a potem razem oglądali jakiś krótki metraż. Starszy mężczyzna miał słabość do Bustera Keatona, twierdził, że w młodości był do niego podobny. Nazywał go *Kituq*, żeby było bardziej po inuicku.

- Wpadłaś na Martie? - zapytał.

- Tak. — Wzięła pozbawioną paznokci rękę Koperkują w swoją dłoń i lekko ją ścisnęła. Starzec spojrział na ekran i chrząknął. Odwzajemnił uścisk.

- Nie mogę dzisiaj zostać zbyt długo, muszę biec na lotnisko. — Chciała złapać Dereka Pallisera, zanim policjant wpadnie w wir pracy. — Nie wiem, czy mamy czas na opowieść.

- W porządku. Coś krótkiego też się znajdzie. -Wyprostował się dumnie. Jego twarz pokrywała sieć blizn, które nazywał ranami wojennymi. Nie za bardzo się nimi przejmował.

- Saomiku, mogę cię o coś zapytać?

Jak do tej pory nie wyjaśnił jej, co zrobił z Andym Taylorem. Mówił tylko, że usłyszał strzały na polowaniu. Znalazł go, umierającego, na plaży. Począł, aż *qalunaat* wyda ostatnie tchnienie, a potem zdjął mu z szyi łańcuch.

- Znam cię, Edie Kiglatuk. I tak mnie zapytasz.
- Dlaczego poćwiartowałaś ciało Andy ego Taylora?

Koperkuj zacisnął usta. Przecież wszystko już opowiedział.

- Facet i tak już nie żył — wymamrotał. — A psy były głodne. - Spojrzął na Edie. Kobieta wcale nie była oburzona. Po jego twarzy przebiegł wyraz ulgi. - No, to już ci powiedziałem i więcej do tego wracać nie będę. -Skrzyżował ramiona. - A jak tam Pauloosie?

Wkrótce po śmierci DeSouzy Edie i Derek odwiedzili Simeoniego Inukpuka, by zapytać go o tajemniczą Fundację Dzieci Autisq. Nowo wybrany burmistrz nawet nie próbował ukrywać, że przyjmował łapówki od firm paliwowych w zamian za przychylną politykę. Malwersował też fundusze rządowe. Doszli jednak do porozumienia. Wkrótce Mike Nungaq został wybrany nowym szefem fundacji. Niedługo potem ruszyła pierwsza wyprawa Dziecięcego Klubu Kampingowo-Geologicznego. Utworzono również kółko informatyczne i pojawiły się pierwsze głosy o konieczności pozyskania funduszy na kryty basen. Edie wróciła do pracy w szkole. Kilka razy zabrała całą klasę do szpitala, żeby Saomik Koperkuj przekazał im trochę tradycyjnej, inuickiej wiedzy. Dzieci uwielbiały Koperkują i jego szorstkie maniery, a on odwzajemniał ich entuzjazm. Najbardziej lubił Pauloosiego Allakarialaka. W jego wieku był podobnym urwisem, przynajmniej tak twierdził. Dzięki opiece starszego mężczyzny wiecznie skołowany, zraniony chłopiec zupełnie zniknął. Nowy Pauloosie zaczął pisać piosenki w inuktitut. Chciał zostać

pierwszym raperem w Autisaq.

- W porządku - powiedziała Edie.
- Powiedz mu, żeby do mnie wpadł. Wolę jego towarzystwo niż twoje.
- To mi ulżyło. Nie znoszę tu przychodzić. Od dawna już szukam wymówki, żeby przestać cię odwiedzać.

- Nikt cię tu nie zapraszał.

- Przychodzę tylko po to, żeby wielebny Jakmutam przestał mnie nękać, że nie chodzę do kościoła. Przynajmniej mogę mu powiedzieć, że pochłania mnie praca charytatywna.

- I tak na nic ci się to nie zda - zawyrokował Koperkuj. - Wszyscy wiedzą, że będziesz się smażyć w piekle.

Zostawiła Saomikowi domową zupę z foczej krwi i pojechała skuterem na pas lotniskowy. Przy terminalu stała grupa ludzi w garniturach i parkach, próbując wcisnąć do walizek ostatnie figurki i ubrania wykonane przez miejscowych rzemieślników. Pośrodku stał Simeonie i próbował zorganizować sprawną odprawę. Powitał ją skinieniem głowy. Nie byli może w przyjaznych stosunkach, ale od czasu konfrontacji burmistrz stał się wyjątkowo grzeczny. Edie podejrzewała, że obawia się kompromitacji.

Derek Palliser stał nieopodal wagi i rozmawiał z Polem Tilluqiem. Gdy ją zobaczył, pomachał ręką w kierunku garniturów. „Doradcy”, powiedziały jego usta. Edie wzruszyła ramionami. *Ayunqnaq*, nic na to nie poradzisz.

Od ostatnich wydarzeń minęły cztery miesiące. Rzadko widywała się z sierżantem.

Mężczyzna spędził trochę czasu w szpitalu w Iqaluit, potem poleciał do Ottawy, by przyjąć specjalne wyróżnienie od kanadyjskiego rządu. Po ceremonii wrócił do Iqaluit, żeby pomóc prokuratorowi w przygotowaniu procesu przeciwko Robertowi Patmie. Rozprawy miały się zacząć latem. Gazeta „The Ottawa Citizen” wydrukowała jego zdjęcie na siódmej stronie, a „Arctic Circular” opublikował długi artykuł na temat jego badań poświęconych lemingom i przyznał mu tytuł Policjanta Roku Osad Północnych. Wkrótce potem zadzwoniła Misha. Jednak nie miała żadnych powiązań z Biełowskim, ale i tak nie zaprosił jej z powrotem do Kuujuaq.

Edie przecisnęła się przez tłum. Uśmiechnął się do niej promiennie, a ona odwzajemniła się głupawym wygięciem warg.

- Hej, panie policjancie. Znajdzie pan dla mnie trochę czasu później? - zapytała. - Mam prośbę.

Mężczyzna spojrział na nią z udawaną rozpaczą.

- Dlaczego na dźwięk tych słów czuję, jak ogarnia mnie lęk? - zapytał.
- Ja też za panem szaleję, panie sierżancie.

Spędziła dzień w szkole, po czym wróciła do domu, zjadła na kolację język karibu na zimno i spakowała przyczepę. Około siedemnastej wstąpiła na posterunek. Derek sprzątał właśnie papiery z biurka.

- Gotowy?

- Tak gotowy, jak tylko to możliwe, zwłaszcza że nie wiem, dokąd się wybieramy. Ani co będziemy robić.

Edie mrugnęła do niego okiem.

- Zaufaj mi - poprosiła.
- Jasne - roześmiał się policjant.

Wsiedli na skutery i przecięli wzgórze ciśnieniowe, kierując się ku wybrzeżu i lodowej tafli Cieśniny Jonesa. Panował siarczysty mróz, pięćdziesiąt stopni poniżej zera przy porywistym wietrze, ale dawno już tak dobrze im się nie podróżowało - lód był gęsty, twardy i stabilny, a jasny księżyc stał wysoko na niebie. Gwiazdy oprószyły niebo drobnym śniegiem. Jechali na

południe przez trzy i pół godziny, aż w końcu ich oczom ukazał się ciemny zarys wyspy Craig. Kobieta zatrzymała się przy dużym lodowcu. Po jego północno-zachodniej stronie utworzyła się ogromna, zbита warstwa śnieżna. Edie zeskoczyła ze skutera i podeszła sprawdzić warunki.

- Trójwarstwowy śnieg — krzyknęła do Dereka.

Policjant podjechał bliżej i wyłączył silnik.

- Chcesz zbudować igloo?

- A co jeszcze można zrobić z takim śniegiem?

Edie wyjęła nóż z kości morsa i zaczęła wykrawać cegły.

- Wiesz, jaka to dzisiaj noc? - zapytała.

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę. Pokręcił głową.

Była to noc Wielkiej Ciemności. Inuici z koła podbiegunowego wyglądali jej przez całą zimę. Zapowiadała ona koniec okresu mroku. Jutro, tuż przed południem, słońce wzejdzie na chwilę po raz pierwszy od ponad stu dni.

Znaleźli dobre miejsce na dom - na tyle daleko od lodowca, żeby nie groziło im pęknięcie, ale na tyle blisko, by schronić się przed wiatrem. Załadowali cegły na przyczepę. Budowa domu zajęła im trzy godziny. Edie weszła do środka, ubiła podłogę, rozłożyła skóry karibu, zapaliła lampy i wycięła okno w ścianie. Z braku foczych jelit musieli zadowolić się kawałkiem folii służącym za szybę. Napili się gorącej herbaty. Odpoczywali, siedząc na skórach. Derek palił. Rozmawiali niewiele.

Edie wyszła na zewnątrz. Zabrała ze sobą nóż i poprosiła Dereka, żeby poszedł z nią. Wycięła dziurę w lodzie i przykucnęła tuż obok niej. Przez jakiś czas milczała, wspominając wydarzenia z ostatniego półrocza. Rozwiązała wiszący na jej karku rzemyk z foczej skóry i podała mu go. Mężczyzna położył kamień na dłoni. Widział go po raz pierwszy.

- Nic specjalnego, prawda? - zapytał.

- Chciałabym, żebyś wrzucił go do morza - powiedziała Edie.

Mężczyzna wyciągnął dłoń nad przerębel i wrzucił kamień do środka. Usłyszeli cichy chłopot. Było po wszystkim. Zaczął padać śnieg. Z wysokiej, rzadkiej chmury leciały ku nim miniaturowe kryształki.

- Jestem zmęczona - powiedziała nagle Edie.

- Chodźmy spać. — Mężczyzna pokręcił głową.

Wrócili do igloo. Spali bardzo długo. Po przebudzeniu Edie zaparzyła gorącą herbatę i podgrzała przywieziony z domu foczy gulasz.

Pod koniec tygodnia „Arctic Circular” poinformował, że wyciek ropy na Morzu Ochockim był o wiele gorszy, niż przewidywał rzecznik Zemmera. Notowania firmy spadły, a ekolodzy wzywali do postawienia zarządu firmy w stan oskarżenia za niedopełnienie obowiązków wobec osób, których życie i majątek zostały narażone na szwank w wyniku wycieku. Firma ograniczyła wydobywanie. Nie spodziewano się, by miała prędko wrócić do Arktyki. Bielowskiemu również dostało się po tym, jak ktoś opublikował na YouTube wideo przedstawiające dwóch pracowników firmy rozkopujących groby. Prezes zobowiązał się do zbadania afery. Przez ten czas niewiele było o nim słyhać.

- Pewnie i tak zainteresują się nami inne firmy - westchnęła Edie, nakładając gulasz. -

Przywiozą większe maszyny, więcej pieniędzy.

- To prawda - powiedział Derek. - Na dłuższą metę nie da się tego powstrzymać.

- A na krótką metę?

- Myślałem o tym trochę.

Policjant streścił jej swój plan. Ustawa o parkach narodowych z 1920 roku nie obejmowała wyspy Craig, bo po prostu nie było jej wtedy jeszcze na mapie. Większa część Wyspy

Ellesmere'a i okolicznych wysepek znajdowała się więc pod ochroną, a Craig nie. Dlatego tak interesowali się nią nastawieni na zysk biznesmeni. Derek stwierdził jednak, że może uda mu się przekonać zarząd Parków Narodowych do zmiany statusu wyspy. Mogli oni wydać tymczasowy zakaz eksploracji złóż na Craig do czasu ostatecznego rozważenia wniosku. Gdyby do tego doszło, to nikt - ani ratusz, ani samorząd Nunavut, ani nawet władze federalne — nie miałyby prawa wydawać licencji firmom paliwowym. Nawet gdyby w końcu udowodniono, że pod powierzchnią wyspy znajdują się bogate złoża gazu, nikt nie miałby wystarczającej mocy finansowej i prawnej, by rozpocząć wiercenie.

- I tak sobie myślę, wiosenne ekspedycje rządowe badają stan populacji rzadkich i zagrożonych gatunków zwierząt na Ellesmere - ciągnął Derek. - Ale jeżeli chodzi o bardziej rozprzestrzenione gatunki, opierają się na moich raportach.

- Chyba nie mówisz o lemingach! - roześmiała się Edie.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

- Oczywiście, że o lemingach. Może nie pamiętasz, ale jestem w tym temacie ekspertem, moja droga.

- Faktycznie chyba zapomniałam. - Mrugnęła do niego okiem.

Istnieje wiele gatunków lemingów, wyjaśnił Derek, w tym leming śnieżny, *Dicrostonyx torquatus* i północnoamerykański leming brązowy, *Lemmus trimucronatus*.

- Jest jeszcze mnóstwo innych odmian i podgatunków, ale na nasze potrzeby przyjmijmy, że są tylko te dwa.

- A jakie są nasze potrzeby?

Derek uniósł dłoń.

- Zaraz do tego dojdę. W naszej szerokości geograficznej *D. torquatus* jest bardzo rozpowszechniony, ale

L. trimucronatus jest bardzo rzadki - tak rzadki, że znalazł się na liście zagrożonych gatunków Międzynarodowej Unii Ochrony Przyrody - uśmiechnął się Derek. - Jak do tej pory nikt jeszcze nie widział żadnych śladów *L. trimucronatus* na północ od Ziemi Baffina.

Edie zastanawiała się przez chwilę. Rozłożyła ręce.

- Jako oficer Wyspy Ellesmere'a do spraw fauny, będę miał obowiązek zgłaszać Kanadyjskiej Służbie Ochrony Parków i Zwierząt wszelkie potwierdzone i niepotwierdzone doniesienia, że na wyspie Craig widziano *L. trimucronatus*.

Kobieta nagle zrozumiała, dokąd zmierza policjant. Derek podniósł dłoń. Jeszcze nie skończył.

- Trzeba będzie przeprowadzić badania demograficzne, środowiskowe i siedliskowe. Naukowcy mają na to zaledwie dwa letnie miesiące, więc kto wie, ile czasu mogą pochłonąć takie badania?

Edie parsknęła.

- Jesteś niemal tak sprytny, jak ci ludzie od ropy — powiedziała z podziwem.

- Nawet lemingowaty mózg czasem się do czegoś przydaje.

Uśmiechnęli się szeroko. Edie wstała i podała mu rękę.

- Chodźmy, panie policjancie - powiedziała. - Wyjdziemy na zewnątrz i poczekamy na wschód słońca.

PODZIĘKOWANIA

Na początku pracy nad książką bardzo pomogło mi stypendium Arts Council England. Dziękuję również Simonowi Bookerowi oraz dr Tai Bridge-man, którzy czytali kilka wersji tekstu i przekazali mi cenne wskazówki. Jestem wdzięczna mojemu agentowi, Peterowi Robinsonowi, Stephenowi Edwardsowi, Mar-garet Hamilton, Kim Witherspoon oraz pracownikom Rogers, Coleridge and White i Inkwell Management. Dziękuję również serdecznie Marii Rejt, Sophie Orme i ekipie Mantle, a także Kathryn Court, Alexis Washam i zespołowi Penguin USA. Wszystkie błędy w niniejszej książce to wyłącznie moja odpowiedzialność.

KILKA SŁÓW O INUKTITUT

Językiem inuktitut posługują się Inuici w Ameryce Północnej i na Grenlandii. Istnieje wiele dialektów i regionalnych odmian. W miarę możliwości starałam się podawać wersję Nunavit lub *Qikiqtaaluk uannangani*, ale bez wątpienia w tekst mogły się wkraść pewne nieścisłości, za co z całego serca przepraszam osoby posługujące się tym niezwykle bogatym językiem. Oferuje on wiele obrazowych, wyrazistych opisów zjawisk arktycznych, których nie da się wyrazić po angielsku ani w żadnym innym języku.